

RW2010

JOANNA ŁUKOWSKA



różne oblicza miłości

Od pierwszego dotyku

JOANNA ŁUKOWSKA
OD PIERWSZEGO DOTYKU

Pedant i gaduła

– Głasz... mnie! – rozkazała, moszcząc się w jedyнным łóżku.

– Hę? – Nie zrozumiałem, o co prosi; bąbelki mocno wpływały na jej wymowę. W Nowy Rok, gdy całe schronisko odsypiało lub leczyło kaca, ona ululała się francuskim szampanem, który przyjechał z nami z Poznania. Przetrwiał ostatnią noc, bo Weronika tyle biegła, tyle tańczyła i tyle gadała, że nie miała czasu na raczenie się trunkami. A to, co w przelocie wypięła, zaraz z niej parowało. I dobrze, dość miałem roboty z pilnowaniem trzeźwej Weroniki. Zbyt śmiało się ubrała moim zdaniem, ale – co tu kryć – pięknie wyglądała w zielonej, obcisłej sukience. Z dekoltem, owszem, na plecach, za to do... pasa! Czyli nie miała stanika. Inni też to zauważyli. Dodajmy do tego burzę rudych włosów, porcelanową biel skóry – i mamy gotowy przepis na kłopoty. Faceci, patrząc na nią, dostawali wilczych zębów. Musiałem pilnować, by żaden jej nie schrupał. Taka rola opiekuna. Nie migalem się od obowiązków, bylebym rozumiał, o co w nich chodzi...

– Gła...szcz mnie – powtórzyła nieco wyraźniej. – Po pleckach, inaczej nie zasnę. – Obróciła się, nadstawiając plecy do pieszczoty. Przy okazji wypięła tyłeczek i momentalnie naszły mnie kosmate myśli. Wahałem się. Zacznę ją usypiać głaskaniem, a skończy się na Bóg wie czym! Z tą szaloną dziewczyną wszystko się mogło zdarzyć.

– No, dalej, gła...szcz mnie, ja tu sz...czekam! – pogoniła mnie.

Jak odmówić tak uroczej prośbie? Raz kozie śmierć. Położyłem się obok niej, dla przyzwoitości okryłem nas oboje kołdrą; dopiero wtedy wsunąłem rękę pod bluzę różowego dresu i zacząłem głaskać ją po nagich plecach. Mruczała zadowolona. Zachęcony, rozpostarłem dłoń i delikatnie przejechałem paznokciami

od nasady piegowatej szyi po kość krzyżową. Jęknęła, wygięła się, przez jej ciało przebiegł dreszcz, jasne włoski stanęły dęba. Szlag!... Nerwowo przełknąłem ślinę, bo ja też... stanąłem na baczność. Fatalna sprawa. Miałem swoje zasady i nie wykorzystywałem kobiet, zwłaszcza pijanych. Ale krew nie woda. Oj, ciężka to będzie noc, jeżeli zaraz nie zaśnie...

Postanowiłem więc nie eksperymentować i poprzestałem na grzecznym głaskaniu okolic łopatek. Wyłącznie. Rany, co ta dziewczyna miała w sobie takiego, że działała na mnie jak narkotyk? Urody jej nie brakowało, ale znałem ładniejsze i z lepszym gustem, takie, które na przykład wiedziały, że rudy gryzie się z różowym. Jako architekt wewnątrz preferowałem prostotę stylu, minimalizm w detalach, stonowanie w kolorach. Roztrzepana, chaotyczna Weronika nie pasowała w ogóle do mojego pedantycznego świata. A jednak Robert, jej brat, a mój współnik, uznał, że skojarzy nasze dwa samotne serca przy okazji podwózki.

– Błagam, podrzuć ją na miejsce, bo sama gotowa zginąć! – rzucił dramatycznie do słuchawki zamiast wigilijnych życzeń.

– Powoli. Kogo i gdzie? – spytałem spokojnie, w opozycji do popędliwości Roberta. Również nasze style pracy się różniły. On wolał ciepły, prowansalski, bazujący na litym drewnie, ja – chłodniejszy, urbanistyczny, z przewagą metalu; ale właśnie dlatego jako współnicy w interesach świetnie się dopełnialiśmy. Wszak klienci trafiali nam się najrozmaitsi.

– No moją stukniętą siostrę, Werę. Do Karpacza, tego w Karkonoszach, a konkretnie do Strzechy Akademickiej, gdzie, hello, spędzimy kilka miłych dni wraz z Sylwestrem. Zapomniałeś? To przypominam. Jak dojedziesz do Karpacza, parkujesz u znajomego górala, adres ci podałem. Potem łapiesz manele i drałujesz pod wyciąg. Krzeselkiem wjeżdżasz na Kopę, tylko musisz zdążyć przed szesnastą, przed fajrantem. Ze stacji górnej najpierw idziesz szlakiem czarnym, a po pięciu minutach skręcasz w prawo i tyczkowanym szlakiem pedałujesz prosto do Strzechy. Jasne? Jasne. Tłumaczyłem ci już. Weronice zresztą też, nawet sobie notatki zrobiła, pani polonistka, ale... rany!... jak ta kobieta się zamyśli albo zagada, potrafi zabłądzić we własnym bloku! Ratuj, chłopie! Miała jechać z nami jutro, ale nie może, bo jej opiekunka do kota się rozchorowała. Uwierzysz?! Musi mu znaleźć nową nianię, co trochę potrwa. Już dwa hotele dla zwierząt nie zdały egzaminu. Ty i tak chciałeś dołączyć do nas dopiero po świętach, więc co ci szkodzi wziąć jednego, lekkiego pasażera. Dam ci jej numer, zgadajcie się, umówcie na wspólną podróż. Proszę, wiem, że nie lubisz takich nagłych niespodzianek, ale bądź przyjacielem. W ogóle, wiesz... tak sobie myślę, że to by

nawet dobrze się złożyło. W drodze poznacie się lepiej, może zaiskrzy... Od dawna uważam, że świetnie byście się uzupełniali. Tak jak my w robocie. To powinno zadziałać, zażyć...

– Wątpię – wreszcie uznałem za stosowne się wtrącić. – Z tego, co opowiadasz, Weronika, bez obrazy, nie jest absolutnie w moim guście.

– Wiem, jest ruda, gorącokrwista i pyskata, a ty gustujesz w dystyngowanych brunetkach, chłodnych i wycofanych. Z takimi preferencjami kiedyś w łóżku zamarzniesz. Weronika zaś nawet podobnego tobie bałwana rozrusza, he, he! – zaśmiał się rubasznie. – Niestety bywa też naiwna i za często trafia na drani. Stąd ten fioł na punkcie kota, świetnie się ponoć wyplakuje w jego futro. Ale ty... ty byś jej krzywdy nie zrobił, honorowy z siebie gość. Więcej, ty byś jej przypilnował, żeby gdzieś głowy nie zgubiła. Co ty na taką transakcję związaną?

– Robert... czy ty mi rajfurzysz własną siostrę? Daruj sobie. Dostarczę ci ją w całości, ale więcej nie oczekuj. Oczywiście, o ile w ogóle pojedę, bo nadal nie widzę siebie, spędzającego, hm, miłe chwile w zatłoczonym schronisku. Gdzie my tam będziemy spać, jak z tym niby zaklepanym od wieków pokojem nie wypali?

– A choćby pokotem na podłodze w jadalni! – huknął. – Zresztą czemu pokój, na który wpłaciłem zadatek jeszcze latem, miałby na nas nie czekać? Nie bądź takim przewidującym najgorsze sztywniakiem. Poza tym była umowa. Zeszłego Sylwestra spędziliśmy po twojemu, z klientami, kontrahentami, na dętym balu. Mało sobie szczęki nie zwichnąłem od sztucznych uśmiechów. Teraz ty się poświęcisz. Dałeś słowo, a przecież u ciebie słowo droższe pieniędzy. Masz te swoje zasady.

I właśnie z powodu moich zasad parę dni później, dwudziestego dziewiątego grudnia, stałem pod blokiem Weroniki, czekając, aż raczy zejść. Umówiliśmy się na siódmą rano. Punkt. Ze sporym zapasem powinniśmy zdążyć przed szesnastą. O ile wszyscy będą punktualni, a moja pasażerka miała już dziesięć minut spóźnienia. Na lekcje też przychodziła tyle czasu po dzwonku?

Wreszcie wyszła z klatki. Z nartami na ramieniu i plecakiem. Mało bagażu wzięła – dobrze, ale... w co ona się ubrała?! Wielkie trapery, dopasowana pomarańczowa kurtka z futerkiem przy kapturze. Do tego nepalska czapka, zielone getry, pasiasty szal z różnokolorowymi pomponami oraz zamszowa torba z frędzlami. Pomieszanie z poplątaniem! I ona miała mnie uzupełniać? Zbytek

łaski. Tym bogactwem barw i dodatków mogła obdzielić pułk wojska!

Zatrąbiłem i wysiadłem z auta. Dostrzegła mnie, pomachała ręką na powitanie i uśmiechnęła się promiennie. Zupełnie bezwiednie odpowiedziałem tym samym. Tak dowiedziałam się ważnej rzeczy o Weronice: miała bardzo zaraźliwy uśmiech.

– Już jestem, wybacź spóźnienie, ale musiałam wyjaśnić sąsiadce, która zajmuje się moim kotem, że Alojzy nie pija mleka. Absolutnie i pod żadnym pozorem, bo dostaje od niego łupieżu. Dziwiła się, bo przecież od małego indoktrynują nas, że kotki lubią mleczko, dlatego tyle to zajęło – zalała mnie wartką rzeką słów. Nieodrodna siostra swego brata; choć czułem przez skórę, że Robert był przy niej amatorem.

Otworzyłem bagażnik. Wsadziłem tam plecak, narty dołączyły do mojej deski snowboardowej na dachu. Potem, przy wtórze opowieści na temat wyższości prawdziwych choinek nad sztucznymi (zdumiewający skok myślowy od kociego łupieżu), otworzyłem przed Weroniką drzwi i szarmanckim gestem wskazałem siedzenie. Uniosła brwi i obdarzyła mnie takim spojrzeniem, że poczułem, jak rozgrzewa mnie od środka jakiegoś miłego ciepła. Tak dowiedziałem się kolejnej ważnej rzeczy o Weronice: sprawiała, że ludzie w jej towarzystwie czuli się lepsi, wspanialszy. Niedobrze...

– Ja nie miałem choinki, wcale – mruknąłem.

– Ani jednej gałązki, ani jednego małego stroika? Dla zapachu i nastroju?
– dopytywała się.

– No... – zawahałem się, bo mnie przyłapała. Jako pedant nie znoszę opadającego igliwia, ale... – Owszem, kupiłem na bazarze gałęzie jodłowe i przystroiłem srebrnymi ozdobami – przyznałem się.

– A widzisz! – krzyknęła triumfalnie i za karę uraczyła mnie podwójną dawką swego czaru: promiennym uśmiechem oraz pełnym aprobaty spojrzeniem, od którego stopniałem jak lód na patelni.

Ruszyliśmy.

Ja prowadziłem, starając się skupić na drodze. Ona gadała; o Gwiazdce w szkole, butach odziedziczonych po bracie, kocie znalezionym na śmietniku.

Przedstawiła mi niezwykłą historię swej nepalskiej czapki, opowiedziała emocjonujący przebieg licytacji na Allegro, w trakcie której wygrała torbę z frędzlami. Chryste, że też jej w ustach nie zasychało! Była niezmordowana i, o zgrozo, interesująca. Spotkałem już w życiu kilka gadułów, zamęczających słuchaczy nudnymi opowieściami, które nikogo poza nimi nie obchodziły. Ale Weronika mogłaby zarabiać gadaniem; zwykle historyjki nabierały w jej rozgestykulowanym, barwnym wykonaniu cech kryminału. Zaśnięcie za kierownicą mi nie groziło. Czas mijał niepostrzeżenie, zachłannie łykaliśmy kilometry. Z czystej ciekawości zapytałem:

– Czy ty się czasami zamykasz?

– A mam? – Zmartwiła się. – Bo jeśli cię rozpraszam, już milczę. Potrafię! – zapewniła solennie i przez bitych osiem minut nie odezwała się słówkiem. Wyrażnie ją to bolało, do momentu gdy zapatrzyła się w krajobraz za oknem. Błądziła myślami wśród gór majaczących na horyzoncie, uciekła marzeniami gdzieś wysoko, daleko; aż poczułem ukłucie żalu, zazdrości. Dlaczego? Bo marzyła czy... bo marzyła beze mnie? Chrząknąłem. Ocknęła się i już po chwili zaczęła się niecierpliwie wiercić.

– Powiedz, kiedy mogę przestać milczeć.

– Kiedy – ulitowałem się.

– Uff... Dzięki. Jakby mnie coś swędziało pod gipsem. Kiedyś złamałam rękę i musieli mi...

Popłynęła kolejna historia z jej jakżeż fascynującego – o dziwo! – życia nauczycielki języka polskiego.

Dwie godziny później stanęliśmy pod wyciągiem. Zdyszani i spoceni – wymęczeni wędrowką pod górkę od domu tubylca, gdzie za sutą opłatą zostawiłem auto. Niestety nasz wysiłek zdał się na nic. Co z tego, że było ledwie wpół do drugiej, sporo przed fajrantem, bo chwacko się uwinęliśmy, skoro z powodu zbyt dużego wiatru krzeselko nie działało. Szlag by to trafił! Zerknąłem na Weronikę. Zgarbiła się i przygryzła wargę, jakby walczyła ze łzami. Ogarnęły mnie bezradność i złość. Ale nie Weronikę! Wargę najwyraźniej przygryzła w zadumie, bo wymyśliła:

– Idziemy piechotą! Szlakiem żółtym. Albo czarnym. Robert coś napomykał

o takiej opcji, ale nie pamiętam dokładnie, trzeba sprawdzić bądź zapytać. Bo jedna trasa biegnie starym torem saneczkowym i bezpiecznie, w półtorej godziny, doprowadzi nas do Strzechy, a druga zimą jest zamknięta ze względu na zagrożenie lawinowe, więc lepiej się nie pomylić. Ale powinien być jakiś drogowskaz, nie sądzisz? No, dalej, ruszamy! – zaordynowała i dalejże zakładać plecak, zarzucać narty na ramię.

– Stój! Zwariowałaś? – powstrzymałem ją ciut ostrzejszym tonem, bo bredziła jak potłuczona. W jednej chwili pojąłem, czemu Robert uważał, że jego siostra potrzebuje Anioła Stróża. Już pomysł wędrówki od górnej stacji wyciągu do schroniska mało mi się podobał, ale przynajmniej byśmy szli po płaskim albo po niewielkiej pochyłości w dół. A ona chciała zdobywać Kopę! – W półtorej godziny? Chyba kpisz! W kopnym śniegu, pod górę, z plecakami i sprzętem, z wiatrem w oczy? Pomnóż ten czas przed dwa albo lepiej trzy. O ile się wcześniej nie zgubimy, bo zacznie się ściemniać. Dlatego nie ma mowy. Wy-klu-czo-ne! – wyskandowałem. – Czekaaj tu i nie waż się ruszyć, coś wykombinuję.

– Dobrze – zaszemrała.

Jej szalona koncepcja miała jednak pewien plus. Bezradność mnie opuściła, złość przerodziła się w chęć działania. Skutecznego, bo nie było opcji, bym włąził na tę przeklętą górę!

Pół godziny zajęły mi negocjacje z obsługą wyciągu i goprowcami. W końcu znalazłem chętnego, który za godną opłatą zgodził się nas podwieźć do samej Strzechy.

– Skuter... – Weronice zaświeciły się oczy. – Pojedziemy na skuterze śnieżnym! – Zaklaskała w dłonie jak mała dziewczynka. Potem spojrzała na mnie tak pełnym podziwu wzrokiem, że urosłem w dumę o jakieś dwa metry. Bagaż trafił do przyczepki, my na siedzisko. Chyba nie muszę dodawać, że nawet wciśnięta między mnie a kierowcę, z ograniczonym polem widzenia, Weronika nadawała na okrągło, zachwycając się urokami krajobrazu. Niesamowita kobieta!

Do jakiego stopnia była nieprzewidywalna, przekonałem się już w schronisku, zatłoczonym oczywiście po dach. Znajdź tu teraz Roberta... Weronika, kierowana siostrzanym instynktem, odnalazła go bez trudu w rojnej jadalni. Na nasz widok ucieszył się i zmieszał jednocześnie. Wyczułem kłopoty.

– Czyżby nie było dla nas pokoju? – zapytałem bez wstępów.

– No... jest, ale zajęty. Nie sądziłem, że dziś dotrzecie, skoro krzeselko nie działa. Więc przygarnęliśmy znajomych Majki – uśmiechnął się do swojej narzeczonej – których tu przypadkiem spotkaliśmy. Przecież nie mogłem pozwolić, by spali z dzieciakiem na korytarzu.

– Cholera, a ja mam kimać pod drzwiami? Marzę o prysznicu i drzemce. Teraz nic z tego. No pięknie mnie, drogi przyjacielu, urządziłeś! I swoją siostrę też. W ogóle, gdzie ona jest?! – zdenerwowałem się.

Weronika zniknęła. Rozejrzałem się czujnie i dostrzegłem ją; gadała z postawnym brodaczem, który wyglądał na szefa. Wskazywała na mnie i coś zawzięcie perorowała. Facet przyglądał mi się chwilę z dziwnym wyrazem twarzy, ni to litości, ni zazdrości. Potem uśmiechnął się pod nosem, sięgnął do kieszeni i dał jej klucz. Wera zdobyła pokój!

– Ile cię to kosztowało? – zainteresowałem się.

– Nic. Chętnych na ten pokój jest tylu, że kasa przestała mieć znaczenie. Postanowił odstąpić swoją jedynekę temu, kto przedstawi istotny powód...

– Rany, to coś ty mu naopowiadała?!

– Że się założyliśmy. Albo zdobędę jakiś pokój, albo będę się musiała z tobą przespać, znaczy iść do łóżka. Znaczy uprawiać seks – wyjaśniła wyczerpująco.

Hm, wolałbym, żeby była bardziej enigmatyczna. Raz poruszone struny wyobraźni nie chciały umilknąć i wciąż podsuwały obrazy: ja i ona, razem, tak razem, że bardziej nie można...

Następnego ranka obudziła mnie o świcie i zaraz po śniadaniu wyciągnęła na narty. Pogoda, jak to w górach, odmieniła się o sto osiemdziesiąt stopni. Wiatr ustał, świeciło piękne słońce, śnieg był cudnie sypki, wszystkie wyciągi działały, w tym te pod Strzechą: Grosik i Złotówka.

Na stoku dowiedziałem się kolejnej rzeczy o Weronice. Może nie jeździła stylowo i nie posiadała najnowszego sprzętu, za to pędziła jak sam szatan. Z trudem za nią nadążałem na swoim wysokiej klasy snowboardzie. Parę razy zamarłem, widząc, jak zmierza prosto na czołowe zderzenie, ale w ostatniej chwili robiła skręt. Obrzucała zdumionego osobnika lub niewzruszone drzewo śniegiem

oraz perlistym śmiechem i szusowała dalej. A ja za nią.

W pewnym momencie uderzyło mnie, że mógłbym się do tego przyzwyczaić. Podążać za tą szaloną dziewczyną, pilnując jej i czekając, z czym nowym wyskoczy – całkiem miły sposób na życie. Na pewno nuda by mi nie groziła. Poznanie Weroniki było jak przeskok z leniwej, uregulowanej rzeki do wartkiego, wezbranego powodzią potoku. Czy dlatego ogarniał mnie strach? Nie, nie przygód się obawiałem. Sprostalbym im, przy Weronice dałbym radę niedźwiedziowi i Himalajom. Tak się w każdym razie czułem, jak heros – wielki, silny, wspaniały. Bałem się natomiast, że ona mogła mieć zupełnie inny pomysł na nasze wzajemne stosunki.

Minął kolejny dzień, nastał Sylwester, a ona dalej traktowała mnie jak kumpla. Czy kobieta zainteresowana facetem bez żenady zaprasza go do jedyne go łóżka, by spali ze sobą na waleta? Chyba nie. Czowała się przy mnie zbyt bezpiecznie. Jako mężczyźnie wcale mi to nie pochlebiało. Diabli też wiedzą, co Robert jej nagadał? Jeżeli zareklamował mnie jako honorowego dżentelmena, co to uszanuje dziewczynę, otoczy opieką i palcem nie tknie bez wyraźnego życzenia – miałem przerąbane. Wyjść z tak napisanej roli, to wyjść na świnię.

Jednak trochę wyszedłem. Po prostu nie wytrzymałem. Najpierw szczęka opadła mi do kolan, kiedy na sylwestrową noc Weronika zamieniła swój różowy, puchaty i aseksualny dres na obcisłą, wydekoltowaną sukienkę. Zieloną, podkreślającą kasztanowy kolor włosów i biel cery, w której ślicznie wyglądała. I piekielnie seksownie. Nie dziwota, że chętnych do tańca nie brakowało. Do całowania i ściskania o północy też. Gdy jeden, już w Nowy Rok, przesadził z przytulaniem, a jego łapska pobłądziły za daleko w dekolt – nie zdzierzyłem. W ostrych, żołnierskich słowach kazałem gościowi spadać. Posłuchał. Gorzej, że się zdradziłem. Dziewczyna przekrzywiła głowę, przyjrzała mi się spod zmrużonych powiek i westchnęła:

– Ach, więc to tak...

A tak! Czyli już wiedziała. Wszystko. Ja zaś nadal pozostawałem ciemny jak tabaka w rogu. Czy miało jakieś znaczenie, że kazała mi tańczyć ze sobą tango?

– Nie umiem – burknąłem.

– Nie musisz. To się czuje albo nie. Wolny, wolny, szybki, szybki, jak w fokstrocie – nauczyła mnie co do kroków – tak też można. Wsłuchaj się

w muzykę i prowadź. Ja się dopasuję i pójdę za tobą, wszędzie.

– Chciałbym w to wierzyć, Weronka, bardzo – wyszeptałem w jej piękne rude włosy. Potem objąłem ją, przyciągnąłem do siebie, by ciałem wyczuwała moje intencje i... ruszyliśmy do tanga. Magiczne to były chwile. Trzy minuty czarów. Zaufaliśmy sobie nawzajem i przynajmniej w tańcu stworzyliśmy cudownie dopasowaną parę. Zatraciliśmy się w muzyce, w sobie, Weronika płynęła wraz ze mną, reagując na każdy najdrobniejszy ruch, poddając się bez oporu mojej niewypowiedzianej woli. Nie potknęliśmy się ani razu, nie zawahaliśmy ani przez moment. Doceniono to. Gdy piosenka się skończyła, okazało się, że tańczyliśmy sami, reszta się wycofała, oddając nam pole, czyli parkiet. Na koniec otrzymaliśmy gromkie brawa. Najgłośniejszą klasknęła Robert, potem uniósł w górę dwa kciuki.

A Weronika? Nad ranem z powrotem zamieniła sukienkę na dres i poszła spać. Odsuwając się i robiąc mi miejsce, bym i ja się położył. Czyli, mimo ognistego tanga, nic się nie zmieniło w naszych kumpelskich relacjach i kolejną noc spędziliśmy, śpiąc na waleta. Może powinienem się odważyć i otwarcie z nią porozmawiać?

Nie dała mi okazji. Ledwo się obudziła, umknęła. Najpierw w śnieżne szaleństwo na stoku, potem w... bąbelki. Jakby naprawdę uciekała, a przynajmniej unikała wyznań. Hm, jeżeli taki miała plan, to zawiódł. Ululana na perłowo i pogrążona we własnych myślach, zapomniała, z kim rozmawia i zaczęła mi się zwierzać.

– Chyba się zakochałam. Jest taki akuraty, poukładany, zaplanowany... Nie lubię takich, nie lubiłam... ale on mi się podoba, bo jest też opiekuńczy, szarmancki, cierpliwy i umie słuchać. Przy nim czuję się bezpieczna i piękna, bo... patrzeć też umie. Rany, jak on patrzy czasami!... Aż boję się to zepsuć. Robert mówi, że pasujemy do siebie, a jak nie? Pocałujemy się i... kiszka, nie zaiskrzy, co wtedy? Rany, byłoby szkoda... Ech, mimo wszystko nie miałam się za tchórza... – chlipnęła płaczliwie.

Wziąłem ją na ręce i zaniósłem do pokoju. Położyłem do łóżka. Wtedy wyjechała z tym dziecinnym głaskaniem po plecach, kiedy ja miałem ochotę na coś zdecydowanie bardziej dorosłego. Poprzestałem jednak na głaskaniu, którym uspiłem nas oboje. Zawsze jakiś zysk, tej nocy nie spaliśmy na waleta, tylko na łyżeczkę.

Ocknąłem się, gdy wymykała się z moich objęć. Celowo nie zareagowałem.

Wróciła po kwadransie. Po zapachu kokosu i mięty poznałem, że wzięła prysznic i umyła zęby. Uśmiechnąłem się, rozczulony tymi staraniami. Wślizgnęła się z powrotem na swoje miejsce, które było właśnie tu, w moich ramionach, i powiedziała:

– Już, możesz przestać udawać, że śpisz. Bądź dzielny i pocałuj mnie. Przekonajmy się, czy będzie tak sobie, czy jak w tangu. Nasze usta się zetkną, języki splecą, zniknie świat dookoła, zaczną się czary, których nieporadne słowa nie wyrażą....

– Więc się zamknij – poradziłem i zgodnie z życzeniem pocałowałem ją.

Było magicznie.

Zapomniałam

Obudziłam się z dziwnym wrażeniem zagubienia. Gdzie ja jestem? Biały sufit, przezroczyste ściany, specyficzny zapach... czego?... Szpitala. Co ja robiłam w szpitalu? Podłączona do jakiejś pikającej i mrugającej aparatury?! Przestraszona spróbowałam się podnieść. Mój nagły ruch wywołał alarm. Urządzenie zaczęło piszczeć i mrugać szybciej. Po chwili do izolatki weszła pielęgniarka.

– No, wreszcie się śpiąca królewna wybudziła. – Posłała mi dobrotliwy uśmiech. – Rodzina się ucieszy. Dwa dni była pani nieprzytomna. Nastraszyła nas pani tym upadkiem. Zwłaszcza męża. Tkwiłby na OIOM-ie cały czas, gdyby to było możliwe.

– Mąż...? – Patrzyłam na nią oszołomiona. Wrażenie zagubienia nasiliło się.
– Jaki mąż?

Wzrok pielęgniarki nabrał czujności.

– Pamięta pani, co się stało?

Wolno pokręciłam głową. Nie miałam pojęcia, jak i czemu tu trafiłam. Niemłoda kobieta w fartuchu wciąż się uśmiechała.

– A jak się nazywasz, pamiętasz, kochanie? – spytała łagodnie. Chciałam odpowiedzieć, jak grzeczna dziewczynka, chciałam ją zadowolić, była taka miła, dobra... Wytężyłam pamięć... i nic. Pustka. Nie wiedziałam, jak się nazywam. Nie

wiedziała, kim jestem!

– Za...zapomniałam! – wyjąkałam spanikowana.

– Nic, nic... – Pielęgniarka pogłaskała mnie po rękę. – To się zdarza przy wstrząśnieniu mózgu. Będzie dobrze, przypomnisz sobie, bez pośpiechu.

Neurolog potwierdził amnezję wsteczną, pourazową. Powtórna tomografia nic niepokojącego nie wykazała. Żadnego obrzęku ani wysięku w okolicach mózgowo-rdzeniowych. Należało po prostu spokojnie poczekać, aż pamięć wróci. Może nie cała i nie od razu. Faktycznie, nim trafiłam na ogólną salę, sporo do mnie wróciło. Z uczuciem dojmującej ulgi odnalazłam własną tożsamość, ale zatrzymałam się we wspomnieniach na maturze. Potem film się urywał, jakbym przesadziła z oblewaniem zdanych egzaminów. W ciele trzydziestolatki tkwiła dusza abiturientki, pełna planów, nadziei i wiary w jutro. Niestety przyszłość chyba mocno mnie rozczarowała, stając się przeszłością, którą zapomniałam. Psychiatra podejrzewał amnezję dysocjacyjną; rodzaj mechanizmu obronnego, wyparcia. Z jakiegoś powodu nie chciałam pamiętać dziesięciu lat ze swego dorosłego życia, zakończonych groźnym upadkiem ze schodów – w niejasnych okolicznościach, które policja chciała wyjaśnić. Ponoć takie obowiązywały procedury, gdy dochodziło do bezpośredniego zagrożenia życia i zdrowia. Rozmowa z funkcjonariuszem była niby czystą formalnością, ale czułam się jak podejrzana.

– Czyli nie pamięta pani, jak doszło do wypadku?

Potaknęłam.

– I nie może pani ani potwierdzić, ani obalić wersji współmałżonka?

Nie mogłam.

– Według niego w zdenerwowaniu, spowodowanym małżeńską sprzeczką, nie zauważyła pani zabawki leżącej u szczytu schodów, potknęła się pani o nią i po prostu spadła. Tak było?

– Najwyraźniej. – Wzruszyłam ramionami. – Czemu miałby kłamać?

– Ja się pytam czemu? Czy w waszym małżeństwie często pojawiały się konflikty? Czy mąż bywał agresywny? Czy leczyła się pani wcześniej? Na depresję na przykład? – zarzucił mnie pytaniami, na które nie znałam odpowiedzi. Ich

podtekst budził mój niepokój, bo sugerował, że wypadek nie był wypadkiem.

– Boże, nie pamiętam! – jęknęłam sfrustrowana.

– Dosyć już tego przesłuchania – włączył się lekarz. – Męczy pan pacjentkę. Wychodzimy. Upredzałam, że wiele nie powie.

– Takie mamy procedury – upierał się służbista. – Proszę mnie poinformować, gdy coś sobie przypomni – rzucił na odchodnym, mijając się w drzwiach z wysokim, przystojnym blondynem. Kiwnęli sobie głowami z niechętnym respektem. Policjant i kolejny podejrzany: Witek, mój mąż. Tak twierdzili, bo ja go nie pamiętałam. Dziwne... Jak mogłam zapomnieć tak niewiarygodnie pociągającego faceta? Z moją głową naprawdę było coś mocno nie w porządku. Ale hormony działały jak trzeba; gdy się zbliżał, puls mi przyspieszał. Nasze pierwsze spotkanie wypadło niezręcznie. Oboje nie wiedzieliśmy, jak się zachować, co powiedzieć, nawet jak się przywitać. Gdy się pochylił, owionął mnie podniecający zapach cygar i cedru. Chciał mnie chyba pocałować w policzek, ja przekręciłam głowę i ostatecznie zetknęliśmy się ustami. Zarumieniłam się. Czułam się jak na randce w ciemno. Absurdalna sytuacja, biorąc pod uwagę, że ten niby obcy człowiek był zarazem najbliższą mi osobą. Gapiłam się na niego z przyjemnością i niedowierzaniem. To mój mąż? Musiałam mieć jakieś głęboko ukryte zalety. Bo z lustra patrzyła na mnie starsza o dziesięć lat, dojrzała, szczuplejsza, ale wciąż do bólu zwyczajna Kaśka, taka jak w szkole, żadna rewelacja. Przy własnej siostrze wypadałam blado. Zresztą Róża odwiedziła mnie tylko raz, i może lepiej. Amnezja wyostrzyła moje zmysły – mogłam nie pamiętać, ale z miejsca wyczułam przymus i udawaną troskę. Cóż, nie przepadałyśmy za sobą. W tym względzie dorosłość niczego nie zmieniła. Za to Witek... Co za facet! Jakim cudem go zdobyłam i utrzymałam przy sobie?

– Witaj, Kasiu, jak się czujesz? – Podszedł do mnie, pochylił się.

– Teraz lepiej... – Odruchowo nadstawiłam właściwy policzek. Pocałował mnie. Znowu wychwyciłam męski aromat tytoniu i cedru. Pociągnęłam nosem.
– Podoba mi się ten zapach, seksowny.

– Tak? – Uniósł brew, wyraźnie zaskoczony. – Zawsze twierdziłaś, że zasmradzam dom, pozwalałaś mi palić tylko w gabinecie.

– Chyba byłam dość trudna we współżyciu... – Uśmiechnęłam się, licząc, że zaprzeczy.

– Czego chciał ten policjant? – zmienił temat. Nie chciał mówić o tym, jaka byłam; widać niezbyt sympatyczna. Tyle w kwestii ukrytych zalet.

– Sugerował, że zepchnąłeś mnie ze schodów – rzuciłam, ciekawa jego reakcji. Zesztywniał i umknął wzrokiem w bok. Czyżby miał coś do ukrycia?

– Uwierzyłaś mu?

– Nie. Nie pamiętam cię, ale nie wyglądasz na mężczyznę, który pozbywa się żony w tak drastyczny sposób. Prościej się rozwieść.

– Nie chcesz dać mi rozwodu – wyrwało mu się. – Przepraszam, nie tak zamierzałem ci o tym powiedzieć, nie teraz...

– A jak? – Westchnęłam. – Oględniej się tego wyrazić nie da. Czułam, że to zbyt piękne, aby było prawdziwe. Trudno. Z dwojga złego lepiej teraz niż później. Podobasz mi się, i to bardzo. Ale skoro już wiem, że nic z tego, postaram się w tobie nie zakochać. – Puściłam do niego oko.

Słuchał mnie, coraz wyżej unosząc brwi. Widać nie przywykł do takiej mnie. Znowu przyszło mi na myśl, że nim straciłam pamięć, byłam osobą mało przyjemną, skrytą i przewrażliwioną. Amnezja miała swoje plusy. Wraz ze wspomnieniami zabrała tę część mnie, której raczej bym nie polubiła. Idąc za ciosem, zapytałam:

– Masz kochankę? Zrozumiem...

– Boże, nie, ile razy mam ci to powtarzać?! – zirytował się momentalnie. – Właśnie to zniszczyło nasze małżeństwo, twoja wieczna podejrzliwość i zazdrość. O byle uśmiech, spóźnienie, telefon, maila... O to się kłóciliśmy, nim spadłaś, potykając się o tę piekielną zabawkę! Była tam, do cholery, nie zepchnąłem cię! – krzyknął ze złością i goryczą.

Ale nie dlatego zamarłam, zaciskając powieki. Tętno ruszyło z kopyta. Zabawka...? U szczytu schodów... Kto porzuca swoje zabawki, gdzie popadnie? Choć tyle razy prosiłam, by tego nie robił... Odruchowo przyłożyłam rękę do brzucha. Zalała mnie fala obrazów. Ja w ciąży, wielka jak wieloryb, drobne nóżki i rączki kopiące mnie od środka, wody płodowe, które odeszły za wcześnie, szaleńcza jazda autem w środku nocy, strach, błagalna modlitwa „poczekaj,

skarbie, poczekaj!” , potem przeraźliwy ból skurczy i wreszcie głośny, protestujący płacz mojego synka. Ulga, radość, miłość, szczęście, tęsknota – tyle uczuć, tak silnych. Jak mogłam zapomnieć?!

– Staś... – szepnęłam przez łzy.

– Przypomniałaś sobie, wreszcie... – Witek odetchnął. – Nie chciałem go tu przyprowadzać wcześniej. Ma tylko dziewięć lat, nie zrozumiałby, że mama go nie pamięta. Co jeszcze sobie przypomniałaś? – Nagle nabrał czujności.

Łzy ciekły mi po twarzy ciurkiem.

Wszystko! – chciałam krzyknąć, ale milczałam. Natłok wspomnień był zbyt bolesny. „Nie jest twój!” – wykrzyczałam mu wtedy w twarz. Bo chciał mi zabrać syna, starać się o opiekę, ze mnie zrobić wariatkę i histeryczkę! Wyraz jego oczu przeraził mnie. Bałam się, że mnie uderzy, zaczęłam się cofać... I spadłam, za karę. Staś był jego dzieckiem. Zresztą tylko on go przy mnie trzymał. Zaszłam w ciążę celowo, a on był zbyt honorowy, by unikać odpowiedzialności. Zakochałam się w chłopaku własnej siostry. Poznałam go tuż po maturze, flirtował ze mną i stało się. Ogarnęło mnie jakieś szaleństwo; musiałam go zdobyć i posunęłam się do podłości. Uwiodłam go, złapałam w pułapkę. Róża nigdy mi tego nie wybaczyła. Próbowałam być wspaniałą żoną, ale wyrzuty sumienia mnie zjadały. Po kilku latach przyszedł kryzys. Zamiast go wspólnie przezwyciężyć, wpadłam w obsesję zazdrości. Podejrzywałam Witka, że znowu spotyka się z Różą, że dawne uczucie odżyło. Im bardziej zaprzeczał, tym mniej mu ufałam. I straciłam go! Nigdy mi nie daruje tych okrutnych słów! Wołałabym ich nie pamiętać...

– Kasiu...? – Dotknął mojej dłoni. – Źle się czujesz? Mam zawołać lekarza? To pewnie szok. Przypomniałaś sobie...

– Nie! – skłamałam odruchowo. Nie byłam gotowa na zmierzenie się z prawdą. – Pamiętam Stasia, siebie, sceny z życia rodzinnego, ale ciebie w nich nie ma. Jakbym grała w filmie, w którym ty stałeś za kamerą... Przepraszam – szepnęłam. Modliłam się, żeby uwierzył, żeby nie drążył. Spojrzał na mnie i uśmiechnął się z przekąsem.

– Widać zasłużyłem sobie. Nie byłem najlepszym mężem. Za dużo pracowałem. Wciąż się skarżyłaś z tego powodu. Nieobecny usprawiedliwiony... Tak było mi łatwiej, wygodniej... To ja przepraszam. Rozwodem się nie przejmuj, mamy czas. Najważniejsze jest teraz twoje zdrowie. Lekarz mówi, że za parę dni

będę mógł cię zabrać do domu.

– Czy... – zawahałam się, ale musiałam wiedzieć – czy mamy jakąś szansę? Witek, czy sądzisz, że moglibyśmy jeszcze być razem? Przecież kiedyś chyba mnie kochałeś? – Wpatrywałam się w niego z nadzieją. Okazało się, że też umie być bezwzględny.

– Nie wiem. – Wzruszył ramionami. – Zapomniałem. Epidemia jakaś...

Wypisali mnie kilka dni później. Zalecili sesje z terapeutą; miały pomóc w leczeniu amnezji. Kłopot polegał na tym, że nie było czego leczyć, poza złamanym sercem. Na szczęście pozostał mi Staś. Na moje powitanie obwiesił dom balonikami i serpentynami, które zostały po sylwestrze. Rzucił mi się na szyję i zapytał, czy ta wstrząśnięta głowa już mi się zagoiła. Wiedział, że spadłam ze schodów, ale Witek oszczędził mu informacji o roli, jaką w wypadku odegrała porzucona zabawka. Słusznie. Dość wyrzutów sumienia jak na jedną rodzinę. Postanowiłam zachowywać pogodę ducha, bez względu na to, co los przyniesie.

Ta odmiana wciąż od nowa zdumiewała mojego męża. Skończyły się awantury, wyrzuty, wieczne pretensje. Zdarzało nam się żartować, rozmawiać o wszystkim i niczym, albo milczeć bez skrępowania. Pod pozorem amnezji wypytywałam go o pracę, plany, zainteresowania. Po raz pierwszy tak naprawdę poznawałam swojego męża i chcąc nie chcąc zakochywałam się w nim od nowa. Ale inaczej, bez żądań, bez warunków. On też poznawał inną Kasię – taką, jaką mogłam być, jakiej zawsze pragnął. Nie wspominał już o rozwodzie. Częściej bywał w domu. Przyłapywałam go, jak mi się ukradkiem przygląda. Bał się, że moja odmiana jest tymczasowa, że wraz z pamięcią powróci dawna Katarzyna. Pewnie dlatego mimo okazywanej mi troski zachowywał dystans. Nie całował mnie, nie przytulał. Unikał wszelkiej intymności. Sama zapędziłam się w tę pułapkę. Przecież wciąż udawałam, że go nie pamiętam. Jednak chyba nie do końca mi wierzył. Czasami rzucał na wabia jakieś znajome nazwisko, datę – i sprawdzał moją reakcję. Sprytny był, a ja powoli miałam dosyć pilnowania się na każdym kroku. Po co? Żeby dłużej i bardziej bolało, gdy w końcu wróci do rozmów o rozwodzie? Byłam zmęczona udawaniem, nowa ja wołała szczerość. Tylko jak się przyznać? Gotów pomyśleć, że celowo nim manipulowałam. Pomogła mi jego dociekliwość. Uparł się, by ustalić, jaką grupę krwi ma Staś.

– Na wszelki wypadek. Sama najlepiej wiesz, że wypadki chodzą po ludziach.

– Sprawdź, skoro musisz. – Wzruszyłam ramionami. – Ale to zbędne, ma ORh+.

– Jak... ja? – zdziwił się przesadnie.

– Jest twoim synem, więc cóż w tym niezwykłego.

– Nie masz wątpliwości? – Wwiercał się we mnie wzrokiem.

– Nie. – Nerwowo przełknęłam ślinę, ale odważnie odwzajemniłam spojrzenie. – Nieważne, co mogłam powiedzieć w złości. Kłamałam, by cię zranić, jak ty mnie. Wystarczy na niego spojrzeć. Skóra zdarta z tatusia, te same oczy, nos, tak samo unosi brwi jak ty, podobnie się uśmiecha. Jest dobry, dzielny, kochany. Mam nadzieję, że gdy dorośnie, odziedziczy także twój zabójczy urok i niewątpliwą inteligencję. – Ratowałam się żartem, bo wstał od stołu i podszedł bliżej. Za blisko. Poczułam tak dobrze znajomy zapach cygar i cedru. Ścisnęło mnie w dołku. Marzyłam, by go dotknąć, objąć, utonąć w nim...

– Dobry, dzielny, inteligentny, przystojny? Tak mnie postrzegasz? – zapytał cicho. – Ale pamiętać nie chcesz? Może lepiej. Zmieniłaś się, do takiej tęskniłem. Ale od kiedy wróciłaś ze szpitala, boję się, że sobie przypomnisz... co ci nagadałem, jak groziłem... Boże!... Wariuję. A to pamiętasz?

Złapał mnie w pasie, przyciągnął do siebie i pocałował. Tu złagodniał. Niespiesznie muskał ustami dolną wargę, droczył się z językiem, aż jęcząc, prosiłam o więcej, mocniej. Ochoczo spełnił moją prośbę. Potem patrzyliśmy na siebie, dysząc ciężko.

– Te schody, wypadek... – twarz Witka przeszył skurcz bólu – to moja wina. Mogłem cię stracić na zawsze. Wybacz mi, zapomnij, jeśli potrafisz...

Pogłaskałam go po policzku.

– Już zapomniałam.

Namiętność

Poczułam znajomą woń przy regale z nabiałem. Ledwie cień woni, ale postawił na baczność moje zmysły. Wzięłam głębszy wdech, tak... Słabiutki, ale charakterystyczny zapach cytrusów, morskiej bryzy i mięty sprawił, że momentalnie poczułam dreszczyk podniecenia. Ten zapach kojarzył mi się jednoznacznie. Z namiętnością, z Pawłem. Musiał tu być. Całkiem niedawno. Może nadal robił zakupy? Rozejrzałam się dyskretnie. Tam! Stał przy stoisku z pieczywem. Zrobiłam krok w jego kierunku. I następny, i jeszcze jeden. Przybliżałam się, jak ćma do światła, jak przyciągany magnesem opiłek metalu... Zatrzymał mnie dopiero głos małego chłopca. Malec wstał z kucek; w każdej ręce trzymał po drożdżówce.

– Tata, a Lenka woli z dżemem czy z serem?

– Twoja siostra woli ciastka francuskie, ale drożdżówki też weźmiemy, bo już ich dotknąłeś. Naucz się, towar dotknięty uważa się za sprzedany. – Mężczyzna potargał synkowi czuprynę.

Naraz zamarł w bezruchu. Coś wyczuł. Może mój wzrok, może moje perfumy, może po prostu... mnie? Podległy działaniu tej samej niewidzialnej siły, ciągnącej nas do siebie, obrócił głowę i zrobił bezwiednie krok w moją stronę, i jeszcze jeden, i kolejny.

Odwróciłam się i odeszłam. Łącząca nas nić napięła się niemal do granic bólu. Pękła dopiero wtedy, gdy zgubiłam trop jego zapachu. Przy kasie. Zapłaciłam i czym prędzej wróciłam do domu. Tu na niego poczekam. Wiedziałam, że przyjdzie. Nie miałam pojęcia, kiedy to się skończy, ale póki trwało, póty byliśmy od siebie uzależnieni. Nałogowcy namiętności. A zaczęło się od łez...

Wtedy też wyszłam ze sklepu, zagubiona w swoich smętnych myślach. Jak co piątek robiłam zakupy na cały weekend. W siatce dźwigałam ulubione smakołyki Jeremiego. Puskę czarnego kawioru, ser pleśniowy, czerwony grejpfrut... Boże, wciąż to dla niego kupowałam! Od jego śmierci wszystko robiłam odruchowo, z przyzwyczajenia – jadłam, oddychałam, wychodziłam z psem, głaskałam kota, pracowałam. Inaczej bym się rozsypała jak domek z kart! Mijał rok, od kiedy zostałam sama. Jeremi był ode mnie sporo starszy i liczyłam się z tym, że odejdzie pierwszy, ale... nie tak wcześniej! Ledwie skończył pięćdziesiąt dziewięć lat, ja trzydzieści osiem. Nie mieliśmy dzieci, bo on nigdy nie chciał, a ja

nie mogłam. Za to mieliśmy jeszcze tyle wspólnych planów, marzeń... Rozległy zawał je zniweczył. Mój ukochany zniknął nagle, bez ostrzeżenia, pożegnania. Nie byłam na to przygotowana! Po dwudziestu latach małżeństwa, po spędzeniu połowy życia z człowiekiem, który był moim pierwszym i jedynym mężczyzną, moim przyjacielem, mistrzem, podporą, drogowskazem – zagubiłam się. Nie wiedziałam, jak dalej żyć, jak sobie radzić z dojmującą samotnością. Więc jak liny ratunkowej, jak światła latarni morskiej trzymałam się rutynowych czynności. Nie zmieniałam rozkładu dnia ani tygodnia, oglądałam te same programy w telewizji, spotykałam się z tymi samymi znajomymi. Chodziłam do tego samego sklepu i kupowałam te same rzeczy, co sprawiało, że spizarnia i lodówka pękały w szwach od zbędnych produktów. Boże, Boże... Nie tak miało być! Wierzyłam w miłość po grób, ale nasze „na zawsze” trwało za krótko. I co dalej? Z trudem przetrwałam jeden rok, trzymając na zewnątrz fason. Jak zniosę następnych trzydzieści, czterdzieści lat?! Czułam się oszukana, zdradzona. Łzy pchały mi się do oczu. Nie zauważyłam krawężnika, potknęłam się, upuściłam siatki. Zakupy rozsypały się, niesforny grejpfrut potoczył się aż na jezdnię... Stałam i patrzyłam. Jakbym straciła zdolność ruchu, decydowania.

Pojawił się znikąd. Zza mgły łez. Mężczyzna, którego znałam z widzenia, ze sklepu i ze spacerów z psem. Mieszkał w okolicy. I był miły. Dotąd tylko mi się kłaniał, teraz podniósł owoc, pozbierał resztę wiktuałów i podszedł do mnie.

– Gorszy dzień... – mruknął ze współczuciem.

Dzień? Cały rok był okropny! Chciałam coś odpowiedzieć, cokolwiek, choćby zaśmiać się z gorzką ironią, ale nie dałam rady wydusić z siebie żadnego dźwięku. Jakby ciężki kamień przygniótł mi piersi, a silna ręka złapała za gardło. Wziął mnie pod ramię i pociągnął w stronę przejścia dla pieszych.

– Zaprowadzę panią do domu.

Wiedział, gdzie mieszkam. Jakoś mnie to nie zaniepokoiło. Załzawione oczy nie widziały go dokładnie, ale inne zmysły nie wznieciły alarmu. Miał ciepły, niski głos, łagodne ruchy, pozbawione wahania czy nerwowości. Pachniał też dobrze – męską świeżością, bezpieczeństwem. Wzbudzał zaufanie, więc pozwoliłam się poprowadzić do domu.

Przekroczyliśmy próg, on pierwszy, jakby sprawdzał, czy wszystko w porządku. Pies zamachał ogonem na jego widok, szczeknął parę razy dla zasady, kot otarł się o jego nogi; czyli zwierzaki również obdarzyły go zaufaniem.

Udaliśmy się do kuchni, gdzie zaniósł zakupy. Spojrzał na mnie, złapał za ramiona, delikatnie ścisnął i spytał cicho:

– Mogę jeszcze jakoś pani pomóc?

Trochę uspokoiłam się przez drogę, ale jego tkliwość sprawiła, że znowu się rozkleiłam. Łzy pociekły ciurkiem po wykrzywionej rozpaczą twarzy. Nie miałam już siły udawać silnej, młodej wdowy, przed którą jeszcze całe życie, która jeszcze mogła być szczęśliwa. Przyjaciele to powtarzali, rodzice... Niedobrze mi się robiło od ich banalnych pocieszeń. Łapa na tchawicy rozluźniła palce i z gardła wydarł mi się głośny szloch.

Przytulił mnie. Bez zastanowienia. A ja uczepliłam się go z całych sił, szukając ciepła, ulgi, ucieczki.

– Boże! Mam dosyć. Już nie daję rady! Przytul mnie, proszę... mocniej, bardziej! – łkałam.

Posłuchał. Jego ręce ożyły, głaszcząc mnie po plecach, barkach, szyi. Nie obchodziło mnie, czy wypada, aby obcy mężczyzna tak intymnie mnie obejmował. Całował...?

Tak! Sama podsunęłam mu usta. Niech całuje i choć na chwilę uwolni mnie od tej straszliwej pustki, niech zapełni ją namiętnością. Skąd się wzięła między nami? Jakim cudem delikatne muśnięcie warg, nieśmiały splot języków wywołały pożar? Ale wywołały. Pożądanie wybuchło znienacka i zapłonęło silnym płomieniem.

– Tam! – Wskazałam ręką drogę.

– Jesteś pewna? – wydyszał zaczerwieniony, spragniony.

Kiwnęłam głową.

Wziął mnie na ręce i zaniósł do sypialni. Bez słów zrywaliśmy z siebie ubrania, aż zostaliśmy nadzy. Wtedy rozpoczął się nasz niemy dialog. Rozmawialiśmy oczami, sycąc się widokiem naszych podnieconych ciał. Szeptaliśmy dotykiem dłoni, poznając nawzajem kształty swoich ud, ramion, brzuchów, pośladków. Krzyczeliśmy pocałunkami, głębokimi, namiętnymi, sięgającymi dna samotnej duszy. Czyżby i on był nieszczęśliwy, zagubiony we

własnym smutku?

Skończyło się równie nagle, jak wybuchło – gwałtownym spełnieniem. Nie czułam wstydu. Ulga była zbyt duża, stan nieważkości zbyt przyjemny.

– Zapaliłbym... – mruknął. – O ile pozwolisz, bo moja żona... Wybacz, niestosowna wzmianka, ale rozwodzimy się, uspokoję cię...

Spojrzałam na niego. Wydawał się speszony uwagą o żonie. Niepotrzebnie. Żonaty czy rozwodnik, nie miało to dla mnie znaczenia. Nie oczekiwałam od niego obietnic ani uczucia. Już je miałam i syciłam się swoim szczęściem, póki trwało. Nie szukałam nowego, strata za bardzo bolała. Wciąż dręczyły mnie wspomnienia i tęsknota. Choćby za zapachem fajki, którą palił Jeremi. Słaby aromat tytoniu wciąż unosił się w domu. Dym papierosowy mógłby go zabić.

– Zapal. – Uśmiechnęłam się zachęcająco.

Odtąd wpadał, gdy mógł. Często. Otwierałam mu drzwi i ramiona, jeżeli akurat byłam w domu. Z reguły byłam, choć nie umawialiśmy się konkretnie, by nie tworzyć nawet pozorów związku. Nie chciałam od niego miłości – tylko namiętności, która tłumiła smutek i żal. Uzależniłam się od niej, od żądz, jakiej nie czułam od dawna. Nawet Jeremi nie budził we mnie takiego pragnienia. Nielojalna myśl? Kto mi to wypomni? Nikt. Może Paweł. Ale jemu przeszkadzało raczej, że wciąż ich porównuję.

Zjawił się niedługo po spotkaniu w sklepie. Wiedziałam, że przyjdzie, czekałam, marząc o jego dłoniach i ustach. Spełniło się... Choć gdy całował mnie od czubków palców po czoło, był bardziej czuły niż namiętny. Zafundował mi słodko-gorzka rozkosz. Za karę?

– Nigdy nie będziesz moja tak do końca, prawda? – spytał, paląc później papierosa.

– Towar dotknięty uważa się za sprzedany – spróbowałam wykręcić się żartem.

– A tam? – Przykrył dłonią moją pierś. – Tam cię dotknąłem? Dosięgnąłem serca?

Zadrzałam. Nie z zimna, ale ze strachu. Bo, Boże mój... dotknął!

I co teraz?

Poczekalnia uczuć

Mglista ponura pogoda odpowiadała mojemu nastrojowi. Niby wiosna, pąki na drzewach, świat budzi się do życia, ale w moim sercu nadzieja zapadła w letarg. Wysłałam na spacer do parku mimo mżawki, gdyż pełne troski spojrzenia rodziców przyprawiały mnie o klaustrofobię.

Wróciłam do nich, bo zwyczajnie nie miałam się gdzie podziąć. A do przedszkola mogłam stąd chodzić piechotą. Ha! Choć jeden plus tej dołującej sytuacji. Trzy miesiące temu Dawid wykopał mnie ze swojego życia i mieszkania. Sądziłam, że mamy przyszłość przed sobą, a jego dom jest moim domem. Błąd. Iście angielska aura stanowiła więc idealne tło dla mojej chandry. I wcale się nie dziwiłam, gdy z mgły wyłonił się pies Baskerville'ów. Podbiegł, zagradzając mi drogę.

– Czego? – burknęłam. Warknął i zarzucił głową, a łeb miał jak u cielaka. Wielkością też przypominał małą krowę; sięgał mi pyskiem do pasa. I czegoś wyraźnie chciał.

– No, o co ci chodzi? – spytałam łagodniej. Co pies winny, że Dawid mnie nie kochał?

Psisko znowu wydobyło z siebie gardłowy bulgot, potrząsając łbem. Potem przysiadł na przednich łapach i podskoczył, kręcąc zadkiem, jakby chciał się bawić. No jasne! Lubiłam psy i nie bałam się ich bez względu na rozmiary. Na wsi u babci, gdzie spędzałam każde wakacje, roiło się od czworonogów. Niestety mieszkając przez sześć lat z Dawidem, o zwierzęcym towarzystwie musiałam zapomnieć. Mój wybranek był pedantem. Chorobliwym. Widok kłaków na ubraniu czy na obiciach mebli przyprawiał go o mdłości i dreszcze zgrozy. Mnie też naraz zrobiło się słabo... Słabo z wściekłości! Bo, do ciężkiej cholery, czym ja dla niego byłam przez te lata?! Uczuciową poczekalnią? Przystankiem do czegoś lepszego? Najwyraźniej, choć liczyłam na znacznie więcej. Na obrączkę, na biały domek z ogródkiem i gromadkę dzieci. Własnych, nie cudzych. Naiwna idiotka. Wiedziałam, że kocham bardziej, a w każdym razie idę na większe ustępstwa. Dlaczego? Bo też czekałam, aż mnie doceni. No i doczekałam się. Dawid wyprosił mnie ze swego życia bez pardonu, ledwie na horyzoncie pojawiła się lepsza opcja. Młodsza, ładniejsza, do tego spryciara. Nie prosiła, nie pytała, po prostu zaszła w ciążę i cześć.

No nic. Mówi się trudno i żyje się dalej.

– Chcesz się bawić? – spytałam rottweilera. – Ale w co?

Jakby mnie zrozumiał. Tuż u moich stóp wypluł małą piłeczkę, której wcześniej nie zauważyłam, bo zniknęła w jego wielkiej paszczy.

– Okej. – Wzięłam piłeczkę i rzuciłam ją daleko przed siebie. Pies w podskokach pobiegł za nią. W tym samym momencie usłyszałam dobiegający z za moich pleców znajomy głos:

– No tak, gnam tu z wywieszonym ozorem, by wyjaśnić przerażonej niewieście, że nie ma się czego bać, bo Borys tylko tak groźnie wygląda. Spuściłem go ze smyczy, żeby sobie pobiegał. Nie sądziłem, że kogoś spotkamy w taką paskudną pogodę. A tu... pani. Zaklinaczka dzieci. I psów też, jak widzę.

Adam, ojciec jednego z moich ulubionych wychowanków, uśmiechał się do mnie od ucha do ucha. Mareczek już skończył przedszkole. Teraz był statecznym uczniem pierwszej klasy, ale jego tata wciąż zdawał się mnie lubić. Choć dałam mu kosza.

– Groźne? To urocze, łagodne cielę? – Wskazałam brodą Borysa, turlającego się po trawie.

– Przy pani każdy zamienia się w owieczkę... Boże, jak miło panią widzieć! – zakrzyknął, patrząc na mnie przyjaźnie, życzliwie, niemal miłośnie. Nie zaliczał się do przystojniaków. Miał głębokie zakola, a jego zębom, z tego co pamiętałam, przydałby się aparat. Ale nie sam wygląd jest ważny, prawda? Był dobrym człowiekiem. Tylko... Boże, czemu nie można pokochać na zawołanie ludzi, którzy na to zasługują? Czemu wolałam zdradzieckiego Dawida od tego sympatycznego, troskliwego faceta? Poczułam, że zbiera mi się na płacz.

– Co u Mareczka? Jak w szkole? – wybąkałam.

– Radzi sobie dzielnie. Gdy z czymś ma problem, powtarza, czego pani go nauczyła, że „wszystko jest trudne, nim stanie się łatwe”. Jak wiązanie butów.

– Prawda, gdy do nas przyszedł, nie umiał jeszcze tej skomplikowanej czynności – wspomniałam z nostalgią.

Przywiązałam się do Marka, bo był trudnym wychowankiem. Tak to już jest, że ci wymagający więcej zachodu bardziej zapadają w serce i pamięć. Może dlatego Dawid tak mną zawładnął... Dość o nim! Ciężko obrażony na świat czterolatek trafił do mojej grupy krótko po rozwodzie rodziców i wyjeździe matki za granicę. Nie rozumiał ani tego, co się stało, ani targających nim emocji. Swój żal i poczucie krzywdy okazywał różnie: moczył się, nie chciał jeść, złościł się o byle drobiazgi. Najgorsze były napady szału. Pierwszym zaskoczył mnie, gdy deszcz pokrzyżował nam plany wyjścia na plac zabaw. Rozczarowany Marek rzucił się wtedy na podłogę, wyjąc jak syrena, tłukąc głową i kończynami. Całe przedszkole postawił na baczność. Zaalarmowana dyrektorka wezwała ojca, ale do czasu jego przyjazdu musiałam zadziałać. Dzieciak gotów był sobie zrobić krzywdę. Wzięłam go pod pachę i wierzgającego wyniosłam do pustej sali obok. Potem, z dala od przerażonych dzieci, objęłam go i przytrzymałam. Mocno. Miotał się jak w amoku! Był silny, ale ja silniejsza. Nabił mi kilka siniaków, wyrwał kępkę włosów, ale kiedy jego ojciec dotarł po dwóch godzinach, Marek już tylko cicho szlochał. Zmęczony, pogodzony z losem. Nieco obawiałam się reakcji tatusia. Przewrażliwiony mógłby mieć pretensje, jednak on mi podziękował. Było za co, bo Mareczek – mimo wizyt u psychologa – jeszcze parę razy próbował swoich sił. W końcu doszliśmy do porozumienia. Właściwie to nawet więcej.

– Jak będę duży, to się z panią ożenię. Bo ja panią kocham! – oświadczył mi się rok później.

– Ja też cię kocham, skarbie. Ale zanim ty będziesz duży, ja już będę stara i raczej zajęta. Planuję wyjść za mąż nieco wcześniej.

– Aha. – Zmarszczył brwi w zadumie. – Rozumiem. Więc powiem tacie, żeby on się z panią pobrał, nim ktoś nam panią ukradnie!

Roześmiałam się rozczulona i rozbawiona.

A dopiero się wesoło zrobiło, kiedy nazajutrz ojciec Marka podszedł do mnie i zagadnął:

– Czyli co, jesteśmy zaręczeni, pani Alu? Ja nie miałbym nic przeciwko.
– Puścił do mnie oko. – Zawsze kieruję się dobrem syna, więc skoro on panią wybrał, ja już nie mam tu nic do gadania! – Wyszczrzył się, prezentując swój krzywy zgryz.

Żartował. Jednak gdzieś, pod lekkim tonem, wyczułam, że chyba naprawdę

nie miałby nic przeciwko. Przez jedną szaloną chwilę rozważałam taki mariaż i musiałam przyznać, iż nie brakowało mu sensu. Przynajmniej z punktu widzenia samotnego ojca, który myślał o stałym związku. Marek mnie akceptował – więcej niż połowa sukcesu. Zaś Adamowi podobałam się fizycznie. Może nie tracił tchu na mój widok, ale do pocałunków nie musiałby się zmuszać. Kobieta czuje takie rzeczy. Świetnie nam się zawsze gadało i bez trudu byśmy się zaprzyjaźnili. Nie wątpiłam również w uczciwość, solidność i odpowiedzialność Adama. Czy można na takiej bazie zbudować małżeństwo? Bez fajerwerków namiętności, bez romantycznego uczucia? Wtedy uważałam, że nie można, bo miłość przez duże M jest najważniejsza. Wtedy byłam zapatrzona w Dawida, poświęcając czekaniu na niego najlepsze lata swego życia.

– Jestem zajęta – odparłam więc z przeproszającym uśmiechem.

– Szkoda, ale gdyby nie wypaliło, proszę o mnie pamiętać. O nas. Wspólnie z Mareczkiem machnęlibyśmy się za panią choćby jutro!

Ciekawe, czy po prawie dwóch latach propozycja nadal była aktualna? Zamyśliłam się i umknęły mi ostatnie słowa Adama. Chyba coś właśnie mówił w temacie wierności uczuć.

– ...bardzo lubi i często panią wspomina, ale co do miłości... ma już inny obiekt. Aktualnie jego sercem niepodzielnie włada pewna piegowata Monika. Przykro mi, choć z drugiej strony lepiej dla mnie, konkurencja mniejsza, o ile nie odstraszy pani to ustrojstwo! – Wyszczrzył się w uśmiechu, pierwszy raz pokazując zęby. Błysnęły metalicznie. Założył sobie aparat! Tego było mi już za dużo, rozplakałam się.

– Boże, aż tak kiepsko? – przejął się; ale raczej nie swoim wyglądem, bo zaraz potem wyciągnął do mnie ramiona. Utonęłam w nich bez wahania. – Nie udało się, tak? – domyślił się. – Na pocieszenie, droga Alu, przypomnę, że ja wciąż czekam...

– Ale ja... ja cię nie kocham. Przepraszam. I nie chcę, żebyś był moją uczuciową poczekalnią. Sama za taką robiłam i... i nie jest miło. Wyszłam z niej bez niczego i jeszcze złudzenia straciłam. Za bardzo cię lubię, by fundować ci coś podobnego – chlupałam.

– Chwila. – Odsunął się, patrząc mi uważnie w oczy. – Lubisz mnie i to na razie wystarczy. Ja też cię nie kocham. Jeszcze... W końcu, bez cudów, nawet na

jednej randce nie byliśmy! Ale wierzę, że możemy się pokochać. A na pewno może być nam dobrze razem, bezpiecznie, acz nie nudno. Pragnę żony, prawdziwego domu, z gromadką psów i kotów oraz z rodzeństwem dla Marka. Jeżeli się na to zgadzasz, dalej nie zamierzam szukać ani czekać. Już dziś mogę ci się oświadczyć. Uwierz, przeżyłem swoją wielką miłość od pierwszego wejrzenia i dziękuję uprzejmie za powtórki. Teraz chcę uczucia z rozsądku. Syn nas wyswatał. Cóż w tym złego?

Patrzyłam to na niego, to na Borysa, warującego u naszych stóp. Jego psi wzrok zdawał się mówić: „zgódź się, będzie fajnie, nie bój się, nie zwlekaj, nauczysz się nas kochać, szczęście cicho puka do drzwi, nie przegap go, czekając na coś lepszego, zgódź się, zgódź...”.

– Nic w tym złego – odparłam. – Zgadzam się.

Adam tak się ucieszył, że odważył się mnie pocałować. Ciekawe doświadczenie, nie tylko ze względu na aparat. Nie myliło mnie przecucie, absolutnie nie musiał się zmuszać, a jego ochoczość okazała się na dokładkę bardzo zaraźliwa.

Kocia miłość

Wyrzucając śmieci, usłyszałam dojmujący krzyk. Jakby dziecko płakało, przestraszyłam się. E, pewnie mi się wydawało...

Szybko pozbyłam się foliowego worka i zrobiłam w tył zwrot. Byle dalej od kłopotów. Jednak kolejny przejmujący pisk przykuł mnie do asfaltu.

– Ktoś tam jest, żywy i... wyrzucony – szepnęłam do siebie.

– No – potwierdził moje obawy rudy chłopaczek, który przyplątał się nie wiedzieć skąd. Przyglądał mi się z zadartą głową, z perkatego nosa zwisała niewielka kapka. – Ma ze trzy tygodnie, ślepe jest i parszywe – smarknął, wciągając kapkę do gardła – mama kazała mi toto odnieść z powrotem. Znalazłem je obok śmietnika, ale pomyślałem – tym razem wytarł nos rękawem – że w środku będzie mu cieplej. To je tam wsadziłem, a teraz chyba się dusi. Szkoda, bo mnie nie wolno grzebać w śmieciach. No to lecę! Koledzy wołają.

I pobiegł.

Przez parę chwil patrzyłam, jak bawi się w chowanego między autami, co jakiś czas zerkając w moją stronę. Rozpaczliwe piski nie ustawały. Nie tylko zasmarkany rudzielec czekał, aż podejmę decyzję. Nie znosiłam takich sytuacji; gdy czułam się winna, choć nic złego nie zrobiłam. Zupełnie jak wtedy, gdy cały weekend spędzałam w oknie, czekając na odwiedziny. I nikt się nie zjawiał. Nikomu na mnie nie zależało. Choć tak się starałam zasłużyć na miano najgrzeczniejszej i najmiłszej dziewczynki, nikt mnie nie chciał. Dawno temu przestałam wypatrywać i wypłakiwać oczy. Łzy obeschły, gdy pogodziłam się, że już zawsze będę sama. Tak lepiej. Nie czułam się samotna, bo rezygnując z marzeń o rodzinie, uwolniłam się od głupiej nadziei i tęsknoty. Jednak przez moment poczułam jedność z tą płaczącą, wyrzuconą istotą. „Śmietnik”, gdzie spędziłam dzieciństwo, był przynajmniej ciepłym i zadbanym miejscem. Ta chwila empatii zdecydowała. Podciągnęłam rękawy płaszcza, otworzyłam wszystkie włazy, żeby rozproszyć ciemność, i pokonując obrzydzenie, zajrzałam... Smród niemal mnie odrzucił! Ze wszystkich zmysłów węch miałam rozwinięty najsilniej; stąd kariera w zawodzie kiperka. I na co mi przyszło, grzebię w odpadkach w poszukiwaniu... No właśnie, kogo?

– Kto tu jest? Halo! Byle nie szczury... – Wzdrygnęłam się.

– Miau! – pisnęło coś z głębi, próbując wydostać się na powierzchnię. Zobaczyłam bure futerko i długie wąsy.

– Kotek... – Odetchnęłam z ulgą. – Mały koteczek, chodź do Zosi, kici, kici! – Zwierzątko nastroszyło się, wycofało. – Nie świruj, nie wleżę do środka. Daj mi cię szansy, to cię wyciągnę, ale nie przeginaj, bo cię tu zostawię. Cholera, ktoś idzie! – syknęłam. Zima zawiodła. Zamiast puchowej kołderki zafundowała chlapę, w której każdy krok odciskał się lepkiem plaśnięciem. Ktoś się zbliżał, a ja tkwiłam głową w śmietniku. Po prostu pięknie!

Wychyńnęłam z czeluści i wsparłam się z nonszalancją o kontener. Facet w dresie i śniegowcach uklonił się, obrzucając mnie łakomym spojrzeniem. Znałam go z widzenia. Jakiś niewyżyty typ. Parę razy przyłapałam go, jak gapił się bezwstydnie na moje łydki i tyłek. Większość facetów to beznadziejne egzemplarze. Wydaje im się, że jak kobieta nie ma stałego partnera, pochlebi jej każdy dowód uznania, nawet ze strony brzuchatego sąsiada z włosami w uszach. Niemniej uśmiechnęłam się z bezradnością blondynki, która wylądowała w szpilkach na pustyni.

– Przypadkiem wyrzuciłam kosz razem ze śmieciami, ha, ha! Właśnie myślę, jak go odzyskać...

– Może kijem? – zasugerował elegant w śniegowcach, odstawiając na bok karton z makulaturą. Jakiś zbieracz surowców wtórnych się ucieszy.

– Obawiam się, że nie dosięgnę.

– Może pomóc? – spytał pro forma.

– Byłabym wdzięczna! – Rozpromieniłam się.

No i nie miał odwrotu, jeżeli chciał uchodzić w moich oczach za macho. Przysunął do wjazdu sfatygowany stołek i wdrapał się na niego, ryzykując skręcenie nogi.

– Jak wyglądał pani kubełek?

– Żółty był.

– Nie widzę tu nic żółtego, za to coś piszczy.

– To też mnie interesuje – rzuciłam podnieconym tonem. – Może to dziecko?

– Chryste, jakie dziecko?! – Zachybotał się. – Niech mnie pani nie straszy. Dziecko w śmietniku, w życiu bym się po czymś takim nie pozbierała. Ale coś jednak piszczy... O, kot! Chce pani kota?

– Niespecjalnie, ale niechże go pan wreszcie wyciągnie.

Facet dzielnie zanurkował w paszczę włazu, by wynurzyć się, trzymając miauczącego wniebogłosy kociaka.

– Podrapał mnie, skubaniec. Mam nadzieję, że niczym nie zaraził.

Nagle zaroilo się wokół od dzieciaków.

– Na pewno ma pchły!

– I robaki.

– I tę... tokso...plazmę!

– Bierz go, sąsiadko, albo wsadzam skunksa z powrotem! – zdenerwował się sąsiad w rozwleczonym dresie.

Wyraźnie odetchnął, gdy wzięłam od niego bure zwierzątko.

– Co do kubelka...

– Nieważne, uratował pan stworzenie boże, policzają panu w niebie.

– To fajnie, teraz znikam, ale polecam się na przyszłość, gdyby znowu potrzebowała pani bohatera.

Zostałam sama z kociakiem na wyciągniętej dłoni. Wołałam trzymać go z dala od siebie. A smarkateria wołała się trzymać z dala ode mnie, gdy zagadnęłam, czy któreś nie przygarnie kotka. Wyparowali. Nie miałam pojęcia, co powinnam zrobić.

Czasami przypadek decyduje za nas. Czasami nie my wybieramy, ale zostajemy wybrani. Kociak powiercił się, popiszczął, potem zaczął lizać moją rękawiczkę i zasnął w trakcie. Nie mogłam go zostawić. Zaufał mi.

Nazwałam go Dżinks. I przygarnęłam do serca, stołu i łoża. Miejsca było aż nadto. Weterynarz zaskoczył mnie informacją, że to kotka. Wyglądał na kocurka, więc nie zmieniłam mu imienia. Jakoś lepiej czułam się ze świadomością, że sypiam z facetem. Nawet jeżeli był samicą.

– No, gdzie, gdzie się pchasz?

„No, tu, tu” – zdawały się mówić jego zielone oczyska, po czym włożył mi pod kołdrę i zaczynał skubać paznokcie. Odpywałam w miły niebyt, gdy od paznokci przechodził do lizania wnętrza dłoni i przestrzeni między palcami. Potem zakradał się pod koszulę i związał w kłębek na moim dekolcie. Nieraz go pokaleczył przez sen, gdy w pogoni za wymagowanym przeciwnikiem lub smakołykiem wbijał mi pazury w skórę. Wyglądałam potem jak ofiara zaborczego kochanka. Na przeprosiny mruczał mi do ucha. Usypiał nas powtórnie, liżąc powolnie trzymany w łapkach kosmyk moich włosów...

Nie mówiłam o tym nikomu. Sama nie rozumiałam. Nigdy nie sądziłam, że może istnieć taka intymna więź między zwierzęciem i człowiekiem. Ale moja wiedza o jakichkolwiek więziach z drugą istotą, nawet własnego gatunku, była dotąd czysto teoretyczna. Nie żebym pozostawała dziewicą w wieku lat trzydziestu sześciu, jednak od kiedy opuściłam dom dziecka, nigdy z nikim nie mieszkałam. Czasem – dla higieny – wdawałam się w krótkotrwałe romansy. Później wystawiałam faceta za drzwi z tekstem „zdzwonimy się”; i po sprawie. Nie planowałam stałego związku ani, broń Boże, jakichś dzieci. Nie nadawałam się do takich emocjonalnych komplikacji. Bidul wypalił mnie od środka. Wybrałam samotne życie, bo tak bezpieczniej, spokojniej. Będąc sama z wyboru, nie czułam się samotna. Nikogo nie potrzebując, nie tęskniłam za byciem potrzebną.

Tyle że Dżinks miał w nosie moje postanowienia. Kochał mnie miłością zaborczą i zachłanną. Gdy wychodziłam do pracy, kładł się spać. Gdy wracałam, szóstym zmysłem wyczuwał, że to ja, i już czekał przy drzwiach. A potem, gdzie się nie ruszyłam, dreptał za mną. Rozkładał się w poprzek czytanej książki, domagał się pieszczot, gdy oglądałam telewizję, nawet włożył mi w majtki, gdy robiłam siku. Bez przerwy szukał fizycznego kontaktu. I domagał się uwagi jak małe dziecko. Nie mogłam w spokoju usiąść, żeby kot czarownicy nie pakował mi się na kolana albo na plecy! To było urocze i irytujące zarazem. Chcąc przespać

w spokoju bodaj jedną noc, zamykałam go w przedpokoju. Mścił się za odstawianie od łoża, sikając na dywan. Przy moim wyczulonym węchu perfidniejszej kary nie mógł wymyślić. Szorując płamę albo lecząc rany na dekolcie, psioczyłam na niewdzięcznego drania. Czasem nawet żałowałam, że tak pochopnie go przygarnęłam. Zadręczał mnie swoim natrętnym przywiązaniem. Może lepiej by mi się żyło bez namolnego kociska?

Jednak kiedy naprawdę zniknął, wpadłam w panikę. Ostatnio w ogóle podejrzenie się zachowywał. Miauczał bez powodu, dziwnie się nadstawiał, drepcząc w miejscu, albo drapał w okno, choć zwykle mało się interesował światem na zewnątrz. Sądziłam, że trafił mi się kot z lękiem wysokości. Więc nie rozumiałam, co go tak nagle napadło.

Tego dnia nie czekał na mnie przy drzwiach, nie przyszedł, gdy sypnęłam karmą do miseczki, nie zareagował na cmokanie. Z przerażeniem odkryłam strąconą doniczkę. Okno z powodu upału zostawiłam uchylone... Boże! A jeżeli wypadł?! Pognałam na balkon i spojrzałam pięć pięter w dół. Uff!... Nie leżał na chodniku. Ulga trwała moment, bo dostrzegłam go wpitego pazurami w ozdobne kamyczki pokrywające ścianę bloku. Zmierzał do parapetu na trzecim piętrze. Niewiele myśląc, pobiegałam na dół i załomotałam do drzwi sąsiada. Otworzył mi znajomy bohater spod śmietnika. Po mojej minie zorientował się, że sprawa jest poważna.

– Znowu potrzebuje pani pomocy? Kogo tym razem trzeba uratować?

– Kota! – krzyknęłam, wpychając się mu bezceremonialnie do mieszkania.
– Jest na pańskim parapecie, w kuchni. Jakimś cudem zlaźł po ścianie.

– A to ją przypiliło! – Zaśmiał się. – Pewnie ciecзки dostała.

– Ciecзки...? – powtórzyłam zdziwiona i wtedy mnie olśniło. Stąd dziwaczne zachowanie. Przecież Dżinks był faktycznie kotką, skończył siedem miesięcy i natura się w nim, a raczej w niej, odezwała. Weterynarz nawet radził sterylizację, bo po co ma się zwierzak męczyć. Nie byłam przekonana. Wystarczy, że samą siebie wykastrowałam psychicznie z pragnienia posiadania dzieci i rodziny. Nie mogłam tego zrobić Dżinksowi. Irracjonalnie bałam się, że mógłby mieć do mnie żal. A teraz przez moje głupie sentymenty groziło mu niebezpieczeństwo! Stałam niczym sparaliżowana, patrząc, jak sąsiad otwiera okno na oścież... Kota już na parapecie nie było!

– No, niech pan coś zrobi!

Mężczyzna wlaź na stół, wychylił się za okno prawie do pasa i po chwili już dzierżył za futro przeraźliwie miauczącego Dżinka.

– Proszę! – Wręczył mi uciekiniera.

Złapałam kota w objęcia i popłakałam się. Pierwszy raz, od kiedy opuściłam Dom dziecka. Źródło, które niby wyschło na zawsze, trysnęło z nadspodziewaną siłą. Łzy płynęły ciurkiem. Jakbym nadrabiała zaległości. Miałam gdzieś, że sąsiad patrzy, wyraźnie zażenowany moim wybuchem.

– No, już, już.... – Poklepał mnie niezręcznie po plecach. – Bez hysterii. Wszystko dobrze się skończyło. Niech go pani po prostu lepiej pilnuje. Poza tym... przecież to tylko kot.

– Tylko kot?! – krzyknęłam. Aż się cofnął. – Pan nic nie rozumie, on, znaczy ona... to... to... byłoby straszne, gdyby... – Zabrakło mi słów. – W każdym razie bardzo panu dziękuję i lepiej już pójdę.

Nie protestował. Pewnie wziął mnie za zwariowaną starą pannę, która wszystkie niespełnione uczucia ulokowała w kocie. I niewiele się pomylił. Dżink był moją rodziną; jedyną, jaką kiedykolwiek miałam. Był jedyną żywą istotą, jaką dopuściłam do siebie na tyle blisko, by stało się najgorsze. I najlepsze zarazem. Pokochałam go. Gdyby zginął... Wolałam nawet o tym nie myśleć! Właśnie dlatego unikałam bliższych związków. Wycofywałam się, gdy robiły się zbyt poważne, żeby nie cierpieć, kiedy się skończą. Wolałam być sama niż samotna. Wraz z miłością pojawiał się strach o jej utratę. A jednak, tuląc do siebie Dżinka, nie żałowałam. Czasem nie my wybieramy, czasem wystarczy dać się pokochać – choćby kociakowi wyciągniętemu ze śmietnika. Reszta przychodzi sama. Jakimś sprytnym kocim sposobem Dżink otworzył zatrzaśnięte na głucho drzwi w moim sercu. I już nie chciałam być sama. Bo we dwoje, mimo lęku, świat wydawał się barwniejszy, pełniejszy. Może nawet odważyłabym się dać szansę temu przystojnemu właścicielowi winiarni, który wciąż dzwonił i zapraszał? Podobał mi się i patrzył tak tęsknie. Już mnie to nie tremowało.

Na razie umówiłam się na wizytę u weterynarza. Trudno, jeżeli ktoś ma mieć kiedyś dzieci w tym domu, to już lepiej ja. Przynajmniej nie będę wymykać się w tym celu przez okno...

Prima Aprilis

Nosiło mnie od paru dni. Coś nie dawało mi spokoju, jakiś szczegół, który usłyszałam albo zobaczyłam... Jak zwykle, gdy nie wiedziałam, co ze sobą zrobić, pognałam do Szymona.

Oglądał galę boksu zawodowego czy inne mordobicie; więc rzucił mi tylko krótkie spojrzenie.

– Co tym razem, Miśka, zakochałaś się czy odkochałaś? Bo minę w obu przypadkach masz taką samą.

– Nie kpij – westchnęłam – ja cierpię...

– Jeżeli z powodu kolejnego kretyna w twoim życiu, to nie chcę słuchać.
– Ostentacyjnym gestem wpakował do ust garść czipsów i wychrupał: – Wciąż ci powtarzam, że ilość nie przechodzi w jakość.

Chciałam się oburzyć, bo od pół roku z nikim się nie umówiłam, ale faktem trudno przeczyć. Wcześniej z nużącą regularnością dawałam się podrywać beznadziejnym palantom. Właściwie – gdyby nie Szymon – uważałabym, że wszyscy faceci są albo zajęci, albo do bani. A może podobna myśl zaświtała mi w głowie dopiero po spotkaniu Szymona... W porównaniu z nim każdy tracił.

Poznaliśmy się nietypowo. Marek, moja najnowsza zdobycz, zaprosił mnie do domu pod pozorem podziwiania kolekcji minerałów. Mógł wymyślić coś oryginalniejszego, ale w końcu lepsze kamienie półszlachetne niż znaczki. Poza tym Marek był naprawdę niczego sobie. I dość zabawny.

– Czyli jesteśmy umówieni, wtorek koło osiemnastej, tu masz adres, dzwonek nie działa, pukanie zepsute, więc pakuj się do środka bez ceregieli.

Istotnie, ciężkie masywne drzwi nie były zamknięte.

– Halo, jest tu ktoś? – spytałam, czując się niepewnie w obcym mieszkaniu. Zza drzwi po prawej stronie dobiegł mnie szum wody. Wolałam nie sprawdzać, czy Marek zmywa, czy akurat bierze kąpiel, więc skręciłam w lewo. Weszłam do pokoju i oniemiałam. Nie kłamał z tym kamieniami! Na ścianach wisiały wypełnione nimi gabloty, a na półkach spoczywały co większe okazy. Moją uwagę

przyciągnął białawy kamień wielkości i kształtu strusiego jajka. Spróbowałam podnieść go jedną ręką; nie dałam rady. Ujęłam go w dwie dłonie i wtedy usłyszałam zdumiewający tekst:

– Mogę wiedzieć, kto dobiera się do mojego jajka?

Odwróciłam się przestraszona i mało nie upuściłam kamienia na widok obcego faceta odzianego jedynie w ręcznik.

– Uważaj, cholera! – syknął – Ten chalcedon kosztował mnie rok poszukiwań.

Ostrożnie odłożyłam cenny minerał z powrotem na półkę.

– Przepraszam – wyjąkałam, poprawiając nerwowo fryzurę. – Jestem Michalina. Marek mnie zaprosił, żeby pokazać mi swój zbiór minerałów.

Zabrzmiało to tak głupio, że aż się zarumieniłam. Goły rozczochraniec zmierzył mnie kpiącym spojrzeniem, zaplótł ramiona na zapadniętej piersi i wycedził:

– Gdybym dostawał stówę za każdą naiwną panienkę, którą braciszek zbajerował na moją kolekcję, byłbym bogaty.

– Co tu robisz? – Wolałam przejść do ataku, niż dać się obrażać temu chudemu nudyście.

– Mieszkam – odparł takim tonem, jakby rozmawiał z dzieckiem. – Miałem wyjść przed siódmą. Niestety Marek chyba pomylił godziny. Ale wieczór jeszcze da się uratować – zapewnił gorliwie. – Przygaszę światło, wstawię szampana do lodówki... Kiedy zapominalski przyjdzie, będzie jak znalazł.

Krew we mnie zawrzała!

– Obaj jesteście siebie warci. Jeden kłamca, drugi... alfons!

– Nie pisałem się na stróża cudzej cnoty! – Teraz on wyraźnie się zdenerwował. – Nie podoba się, to droga wolna! – Zamaszystym gestem wskazał drzwi. Zbyt zamaszystym, ręcznik rozluźnił się i zaczął obsuwać... Złapał go kurczowo w ostatniej chwili. Gapiliśmy się na siebie z zaciętymi minami. Ja

wystawiona do wiatru, on prawie goły. Oboje upokorzeni. Byliśmy o krok od nienawiści albo przyjaźni na całe życie. Nie pamiętam, które z nas pierwsze zaczęło chichotać.

Kiedy wreszcie raczył się zjawić Marek, wysłaliśmy go po piwo, bo od gadania zaschło nam w gardłach. Nie protestował, usłyszawszy, o czym rozmawiamy. Dość szybko przekonałam się, że ulubionym tematem Marka była jego własna osoba. Co innego Szymon. Jeszcze nigdy nie spotkałam kogoś takiego jak on. Prawdziwy człowiek z pasją. Na co dzień pracował jako przewodnik PTTK. W ramach hobby należał do Towarzystwa Mineralogicznego, uczestniczył w zjazdach, pisał artykuły do czasopism, a latem ruszał w Sudety szukać skarbów. Do tego nie był nadęty; chętnie zdradzał tajniki mineralogii takiej amatorce jak ja. Nawet więcej – poznaliśmy się w kwietniu, a już w czerwcu zaproponował, żebym wybrała się z nim i jego paczką na coroczny wypad w góry.

– Najesz się za mnie wstydu – ostrzegłam.

– Ale umiesz gotować? – upewnił się.

– Jako absolwentka szkoły gastronomicznej zapewniam cię, że umiem.

– To jakoś przełknę wstyd, gdy weźmiesz piryt za złoto. Inni też. Zwłaszcza gdy nie będą musieli na okrągło łykać klopsów i gołąbków.

Miał rację. Towarzystwo jadło mi z ręki, choć z początku sytuacja wyglądała dziwnie. Mój status był niejasny. Zwłaszcza obecne na obozie panny traktowały mnie z rezerwą. Z czasem sprawy się wyklarowały. Kiedy rok później spotkałyśmy się ponownie, dziewczyny powitały mnie jak swoją. Ich sympatia wzrosła, gdy upewniły się, że wciąż nie wyszliśmy z Szymonem poza układ czysto przyjacielski.

Chyba wtedy po raz pierwszy przyszło mi do głowy pytanie: czemu nie? Jedni wierzą w miłość od pierwszego wejrzenia, ja coraz częściej skłaniałam się ku myśli, że miłość trzeba wyhodować. Tak jak wielki dąb wyrasta z małego żołądzia, tak wielkie uczucie kiełkuje z ziarenka porozumienia, dojrzewa w przyjaźni i zakwita, gdy przyjdzie pora. Czy dwa lata to dostatecznie długo, by zakwitło?

Marek uważał, że aż nadto.

– Wasz układ jest chory – stwierdził kilka dni temu, gdy graliśmy w pokera na słone paluszki. – Psujecie mi statystykę. Tyle czasu razem i zero seksu? To

nienormalne.

– Wścieka się – skomentował Szymon – bo przegrywa. Poza tym jesteś pierwszą dziewczyną, która woli mój intelekt od jego ładnej buźki. Do tej pory, gdy jakaś desperatka zaczynała się koło mnie kręcić, szybko zmieniała obiekt zainteresowań, kiedy poznawała Marka.

Powiedział to lekkim tonem, ale nie zabrzmiało wesoło. Marek wzruszył ramionami.

Przypomniała mi się ta rozmowa, gdy dostrzegłam wciąż leżące na stole karty i okruszki po paluszkach. Na swoje minerały Szymon chuchał i dmuchał, ale o resztę mieszkania nie dbał z takim pietyzmem.

To jest to! – olśniło mnie. Właśnie tych parę zdań wymienionych między braćmi nie dawało mi spokoju. Nie zwróciłam wtedy uwagi na ich podtekst, bo dostałam ekstra kartę, i coś mi umknęło, coś ważnego... Czyżby Szymon miał kompleksy?

Spojrzałam na niego – siedział rozparty w fotelu, zagrzewając „swojego” boksera do walki – i odrzuciłam tę myśl jako absurdalną. Owszem, Marek był przystojny. Szymon zaś nie powalał aparycją. Do momentu, kiedy się odezwał. Wtedy jego niezwykle plastyczna twarz ożywała, poruszały się brwi, usta, nawet uszy i włosy. Wobec takiej gry emocji gładkie oblicze Marka zdawało się płaskie i bez wyrazu. Nie, Szymon nie mógł mieć kompleksów.

W takim razie czemu był sam? Od kiedy się poznaliśmy, nie umówił się z żadną dziewczyną, a przecież te panny od kamieni wręcz ostrzyły sobie na niego zęby. Pozostał niewzruszony. Z jakiegoś powodu trzymał się z dala od kobiet. Czyżby przeze mnie? Przyłapałam go parę razy – przyglądał mi się, kiedy myślał, że nie widzę.

O, znowu się gapił! Rozpoznałam mieszaninę podziwu, obawy i złości. Podziw mogłabym zrozumieć, ale skąd lęk i gniew? Czyżby nie chciał się we mnie zakochać? Czyżby kiedyś ktoś go zranił?

– Czemu tak na mnie patrzysz? – spytałam cicho.

– Bo milczysz od pięciu minut, a to nienormalne.

Nie takiej odpowiedzi oczekiwałam. Poczułam łzy pod powiekami.

– Czego ryczysz? Komu mam przyłożyć? – przejął się, zupełnie jakby mu na mnie zależało.

– Nikomu! – wychlipałam, mażąc się coraz bardziej.

– To co mam zrobić, żebyś nie płakała? – Wyłączył telewizor i niezgrabnie objął mnie ramieniem.

Ooo...! Postanowiłam kuć żelazo póki gorące. Niewiele miałam czasu do namysłu, lecz potrzeba jest matką wynalazków. Przypomniałam sobie o Grażynie i jej zaproszeniu na imieniny, które wypadają akurat pierwszego kwietnia.

– Nie mam z kim iść na imprezę primaaprilisową. Organizuje ją moja kumpelka z liceum. Sprasza całą klasę. Zasada jest prosta: trzeba tak nabujać, żeby oszukać jak najwięcej osób – tworzyłam na poczekaniu. – Nie będzie łatwo, bo znamy się jak łyse konie, ale im trudniej, tym splendor większy, a ja chcę wygrać. Potrzebuję tylko odrobiny pomocy. Jak się nie zgodzisz, poproszę Marka, lubi takie zgrywy.

– Pomogę – rzucił przez zęby. – Powiedz mi tylko, na jaki temat mam kłamać.

– Że... że jesteśmy zaręczeni – zaszemrałam cichutko.

Z daleka pachniało szwindlem. Jeżeli się połapie... Nie połapał się.

Stojąc przed drzwiami, denerwowałam się.

– Wszystko wiesz? – dopytywałam się po raz setny. – Jesteśmy zaręczeni od miesiąca, pierścionka nie mam, bo oddałam do zwężenia, znamy się dwa lata, a uczucie wybuchło nagle...

– Michalina! – Złapał mnie za ramiona i obrócił ku sobie. – Przestań, bo i ja zaczynam się denerwować.

– Dlaczego? – spytałam z nadzieją.

– Bo kazałaś mi uczesać włosy. Gdybym dał ci się namówić na garnitur, już

by mnie tu nie było.

– Jesteś romantyczny jak deszcz w lipcu – rzuciłam z przekąsem. – Tak trzymaj, a wygraną mamy w kieszeni.

– Już dobra, dobra... Postaram się.

Ale się nie postarał. Był sztywny, jakby kij połknął. Zwykle taki wygadany, teraz ledwie się odzywał; a gdy splatałam jego dłoń z moją albo opierałam mu głowę na ramieniu – jak to się narzeczonym zdarza – podskakiwał nerwowo. Mój sprytny plan nie wypalił. Postanowiłam podjąć jeszcze jedną heroiczną próbę i zaciągnęłam go na parkiet. Jednym wino rozwiązywało język; może on się rozluźni w tańcu i wreszcie zrozumie, że jesteśmy dla siebie stworzeni.

– Nie umiem tańczyć – zaczął marudzić.

– Nie musisz. Gramy zakochanych. Wystarczy, że będziemy dostatecznie blisko. Dalej, obejmij mnie, nie gryzę.

– Kto cię tam wie – mruknął i niezręcznie złapał mnie w pasie.

Wtuliłam się w niego, licząc, że doceni moje krągłości. Miał je teraz w zasięgu ręki, nie musiał gapić się ukradkiem. Chyba jednak podziw, jaki wyczytałam w jego spojrzeniu, był tylko moim pobożnym życzeniem. Gdy usłyszałam, jak liczy pod nosem kroki, miałam dosyć.

– Nic z tego nie będzie. – Westchnęłam zrezygnowana, odsuwając się od niego. – Tylko zrobiłam z siebie kretynekę, łudząc się, że ci na mnie zależy... A ty drętwiejesz, gdy masz mnie objąć. Powinnaś zabrać Marka. On przynajmniej lubi tańczyć i nie brzydzi się mojego dotyku!

To był ostatni desperacki strzał, na ślepo. O dziwo trafił do celu skuteczniej niż cokolwiek innego.

– Wiedziałem! – syknął. Złapał mnie za łokieć, aż zabolalo, i przyciągnął do siebie. – Wiedziałem, że wciąż ci na nim zależy, że tylko udajesz przyjaźń, żeby być bliżej niego!

– Co ty bredzisz? Jeżeli naprawdę tak myślisz, to bijesz na głowę wszystkich palantów, z jakimi miałam nieszczęście się umówić!

Nie słuchał.

– Zawsze umiał czarować; rodziców, nauczycieli, dziewczyny, nawet ja nie umiałem się oprzeć draniowi. – Uśmiechnął się z przymusem. – W końcu pozwoliłem mu u siebie zamieszkać, kiedy sprowadził się do Wrocławia. I nie żałowałem, bo poznałem ciebie... – Pogłaskał mnie czule po policzku. Moje serce zabiło mocniej, ożywione nową nadzieją. – Myślałem, że skoro na wstępie przekonałaś się co ta za ziółko, oprzesz mu się. Czekałem, aż zauważysz we mnie partnera nie tylko do rozmowy. Ale niby czemu taka śliczna i mądra dziewczyna miałaby się zainteresować takim brzydalem – wykrzywił się paskudnie – zwłaszcza gdy pod bokiem ma takiego przystojniaka jak Marek? – Wyglądał tak smętnie, że miałam ochotę go uściskać... albo udusić za te kompleksy wielkie jak góra! – Właśnie dlatego wołałem trzymać się na dystans, nie dotykać cię, nie robić sobie nadziei. Wołałem mieć w tobie choćby kumpelkę, niż cię stracić... – Zamilkł na moment, jakby zawstydzony własną odwagą, a potem uniósł głowę i rzucił ze sztucznym ożywieniem: – A tak w ogóle Prima Aprilis! Ale dałaś się nabrać.

I znowu, jak dwa lata temu, wpatrywaliśmy się w siebie z napięciem. Oboje zdenerwowani, oboje niepewni, oboje zakochani. Byliśmy o krok od rozstania albo miłości na całe życie. Nie pamiętam, które z nas pierwsze się uśmiechnęło...

Od pierwszego dotyku

Wyczułem, że jest zdenerwowana i spięta. Nie musiałem jej dotykać, by to stwierdzić. Wystarczyło krótkie fachowe spojrzenie. Unikała mojego wzroku, raz po raz zaciskała i prostowała palce. Wtulała głowę w ramiona, garbiła się. Odniosłem wrażenie, jakby kuliła się wewnątrz swego ciała, którego nie lubiła. Pewnie dlatego założyła luźny sweter i czarne workowate spodnie, skutecznie maskujące figurę; podobnie jak włosy opadające na twarz zakrywały pyzate policzki. Kolejna dziewczyna wpędzona w kompleksy przez wszechobecny kult chudzielca. Ale przede mną nie musiała się wstydić.

– Witam i zapraszam. – Uśmiechnąłem się, próbując ją nieco ośmielić.

– Dzień dobry – bąknęła, zerkając na mnie z ukosa. – Byłam umówiona na piątą z... panem Antonim...?

– To ja, cały na pani usługi! – przedstawiłem się, rozkładając żartobliwie ramiona.

– Ach!... – Cofnęła się, wyraźnie zaskoczona. – Myślałam, znaczy, sądziłam... bo zasugerowałam się imieniem, że jest pan, no... starszy... – Całkiem zgrabnie wybrnęła z niezręcznej sytuacji. – Przepraszam... – szepnęła.

– Nie ma za co. – Uśmiechnąłem się ze zrozumieniem. – Naprawdę.

Przywykłem, że mój wygląd recydywisty nieco deprimował. Byłem roslym, umięśnionym brzydalem o pokancerowanej czaszce, z blizną przez pół twarzy – efekt wypadku samochodowego. Mniejsza o urodę; mało brakowało, a wylądowałbym na wózku inwalidzkim. Gdyby nie upór mojej mamy i cierpliwość pani Ali, zostałbym kaleką. Jednak stanąłem na nogi. Potem ćwiczyłem z przyzwyczajenia. Gdy przyszła pora wybierania zawodu, bez wahania zdecydowałam się na AWF, kierunek: rehabilitacja. Chciałem pomagać, tak jak mnie kiedyś pomogła pani Ala. I byłem dobry w swoim fachu. Na tyle, by zatrudniono mnie w prywatnej klinice. Zajmowałem się głównie pacjentami z urazami powypadkowymi. Masaże relaksacyjne i odchudzające wykonywałem z rzadka, na przykład zastępując kolegę. Jednak „panna nieśmiała” zapisała się konkretnie do mnie. Czemu? Gdy obejrzałem rentgen jej kręgosłupa, już wiedziałem. Lordoza oraz oznaki zwyrodnienia w odcinku piersiowym i lędźwiowym. W życiu czegoś takiego nie widziałem, nie u osoby w jej wieku.

Przyjdzie mi być brutalnym: albo się odchudzi, albo żaden masaż nie pomoże.

– Ile pani ma lat?

– Skończyłam dwadzieścia siedem. Czy... czy muszę się cała rozebrać i... i gdzie? – wyjąkała.

– Tam jest parawan. Wystarczy zdjąć sweter. Proszę się przygotować.

Wyszła zza parawanu, osłaniając się ręcznikiem jak tarczą. Wskazałem jej kozetkę i odwróciłem wzrok, gdy się na nią wdrapywała. Leżała, zapakowana szczelnie niczym gwiazdkowy prezent. Rozsunąłem poły ręcznika i zamarłem. Przywykłem do widoku obnażonych kobiet. Ale przyznaję, zaparło mi dech, gdy ujrzałem jej nagie plecy – szczupłe, delikatne, o niemal porcelanowej skórze, przecięte śladami po szerokich szelkach stanika. Nie była w stanie leżeć płasko. Kręgosłup wyginał się z powodu piersi wielkości melonów. Była tak drobna i lekka, że unosiła się nad kozetką niczym na dmuchanym kole. Nie mogłem jej masować w takiej pozycji.

– Proszę usiąść na piętach i pochylić się do przodu. – Przytrzymując ręcznik przed sobą, wykonała polecenie. Piersi spoczęły na kolanach, objęła je, opuściła głowę.

– Dziękuję – szepnęła, kuląc się – tak znacznie wygodniej.

Ogarnęło mnie współczucie. Jej drobny kościec od dawna musiał sobie radzić z mniej więcej pięciokilogramowym biustem. Pewnie już w podstawówce była narażona na chamskie uwagi kolegów, brutalne macanki i złośliwości ze strony koleżanek. Dlatego ukrywała swoje ciało. Nie dziwiłbym się, gdyby okazała się dziewczicą. Piersi takich rozmiarów to narkotyk dla gówniarzy i bolesne przekleństwo dla wrażliwej dziewczyny. W sensie fizycznym i psychicznym.

Zacząłem masaż. Delikatnie, od lędźwi, w górę, przez łopatki, do szyi. Pilnowałem się, by nawet małym palcem nie musnąć bujnej półkuli wychylającej się spod pachy. Rozluźniała się powoli, ale zauważalnie. Jej napięte mięśnie poddawały się sprawnym, wyuczonym ruchom. W trakcie masażu nie myślałem o niczym konkretnym. Z reguły. Wyłączałem się; ręce same wiedziały, co robić. Ale tym razem nie mogłem powstrzymać się od porównywania jej kruchego, dziewczęcego ciała z moim własnym – masywnym i twardym. Duże ogorzałe dłonie na mlecznobiałej skórze tworzyły ekscytujący kontrast. Gdy wsunąłem

rozpostarte palce w jej ciemne włosy, masując nasadę czaszki, przeszył ją dreszcz. Delikatny meszek zjeżył się na karku, a nagie ramiona pokryła gęsia skórka.

– Zimno? – spytałem cicho.

– Nie... – mruknęła i bezwiednie wygięła kark, jak kot nadstawiający się do dalszych pieszczot. Poczulem irracjonalne zadowolenie, wręcz satysfakcję, i przestraszyłem się. Co się z tobą dzieje? Gdzie twój profesjonalizm? – upominałem się. Nie była pierwszą kobietę, u której wywołałem ciarki, ale żadna nie reagowała aż tak spontanicznie. Co gorsza, po raz pierwszy dotykaniem pacjentki sprawiała przyjemność mnie osobiście. Stała się rzecz karygodna, niedopuszczalna! Powinienem natychmiast przerwać, zwłaszcza że wyznaczona godzina sesji już minęła, ale musiałem jeszcze raz jej dotknąć. Przesunąłem dłonią wzdłuż delikatnego kośćca. Nie wiem, czyj dreszcz był silniejszy...

Absolutnie nie mogłem być jej rehabilitantem. Jednak na samą myśl, że miałby masować ją ktoś inny, wprost zaćmiło mi się w oczach! Skoro istnieje miłość od pierwszego wejrzenia, może istnieje miłość od pierwszego dotyku. Albo mi się tylko wydawało.

Nie wydawało mi się. Była u mnie na jeszcze czterech sesjach. Pojawiały się te same ciarki, iskry, prężenie kociego grzbietu w ślad za ruchem mojej dłoni, chęć, by zamknąć ją w dłoniach i nikomu nie oddać... Wystarczy. Po czwartym razie przegrałem walkę ze sobą. Górę nad profesjonalnym masażystą wziął zwykły mężczyzna.

Ubrała się i siedliśmy naprzeciwko siebie. Dzieliło nas biurko. Szerokie, ale nie dość. Wyciągnąłem rękę i odgarnąłem włosy z jej twarzy, za różowe muszelki uszu. Pozwoliła mi na poufały gest. Uśmiechnęła się kącikami ust, a ja odetchnąłem z ulgą. Czyli i ona wyczuła, że połączyło nas coś niezwykłego.

– Kiedy mogę przyjść znowu?

– Kiedy zechcesz, ale w twoim przypadku masaż to rozwiązanie tymczasowe. Na krótko da ulgę nadmiernie obciążonym kręgom. Wszystko w tobie jest kruche i delikatne, oprócz biustu. To źle wróży na przyszłość.

– Wiem. – Skrzywiła się. – Jak ktoś raz zobaczy te cycki, nie widzi nic poza nimi. Ty jesteś inny. Dlaczego? – Wbiła we mnie zielone oczy.

– Bo rujną ci kręgosłup. Powinnaś poddać się operacji zmniejszenia piersi.

– Mówisz to jako facet? – spytała zadziornie. Od chwili gdy kwestia jej biustu przestała być tabu, nabrała pewności siebie. – Większość lasek robi coś wręcz przeciwnego.

– Z próżności. A jako facet wolę skromną dwójkę, czy nawet jedynekę, byle moja pani była zdrowa.

– Moja... pani... – smakowała te słowa. – Tak szybko?

– Za wolno! – Udałem złego. – Im dłużej się przekomarzamy, tym więcej tracimy czasu. Oczywiście liczę się z faktem, że po operacji nie będziesz chciała mieć nic wspólnego z takim brzydalem jak ja. Ale pomimo pewnych wpadek, jesteś wciąż moją pacjentką. Ucieszę się z każdego twojego sukcesu.

– Bez ciebie nie byłoby żadnego sukcesu...

Westchnęła, obejmując się ramionami pod biustem, który utworzył coś na kształt szerokiej, miękkiej poduszki. Zachęcony zielonym spojrzeniem, wstałem, obszedłem biurko i klękawszy przed nią, położyłem na jej piersiach swoją pokancerowaną, krótko ostrzyżoną głowę.

– Nie będzie ci żal takiego podłoża? – spytała ze smutną ironią.

– Smukła, wiotka czarnulka z małym biustem, za to z mocnym kręgosłupem, nie tylko moralnym, podkreśli moją inteligencję – zapewniłem dowcipnie. Nie rozbawiłem jej. – Dobra, wyznam żenującą prawdę. Zakochałem się w twoich białych plecach. Im bardziej będziesz płaska z obu stron, tym lepiej. Dla twojego zdrowia i dla mnie. Czy teraz możesz mnie wreszcie pocałować? Mnie nie wypada.

Odległa

Kocham cię – chciałem powiedzieć; jednak przygryzłem wargi. Bałem się milczenia w odpowiedzi. Dlatego nic nie mówiłem i nic się nie zmieniało. Zdarzały się namiętne noce, ale zawsze ciche, bez szeptów w ciemności, bez wyznań.

Jak więc cokolwiek mogło się zmienić?

Kochałem kobietę leżącą obok mnie. Od pierwszej chwili, gdy przyciągnęła mój wzrok na koncercie, nie mogłem przestać o niej myśleć. Zrobiłem wszystko, by ją zdobyć, i udało się; ale tak naprawdę to ona zawładnęła mną, sama pozostając nieuchwytną.

Jej pierwszej, młodej absolwentce Akademii Muzycznej, zaproponowałem wspólnie zamieszkanie.

– Po co masz się gnieść w kawalerce? Jest tak ciasno, że musisz spać razem ze swoimi skrzypcami, a u mnie pięć pokoi do wyboru... – kuśiłem. Miałem trzydzieści pięć lat, dobrą pracę i spory dom. Dotąd jego pustka mi nie przeszkadzała.

– Co w zamian...? – spytała, a ja dopiero po chwili pojąłem, że się zgodziła. Poczucie ulgi niemal uniosło mnie w powietrze.

– Zagraj dla mnie od czasu do czasu, tylko dla mnie, nie musiałbym płacić za bilet do filharmonii – zażartowałem.

Zarumieniła się, próbowała oponować, ale wystarczyło, że podałem jej smyczek...

Jak zwykle, kiedy grała, zapominała o bożym świecie, rozkwitała, płonęła! Lód się topił, zmieniając jej twarz Królowej Śniegu w płynne złoto uczuć i emocji. Uwielbiałem na nią patrzeć! Kiedy kończyła, wiodła dumnym spojrzeniem wokół, przez chwilę oddychając zapachem triumfu, uniesienia; potem jej oczy zasnuwał smutek, ale wkrótce i on niknął za bezpiecznym murem obojętności. Czego się bała, przed czym broniła...? Wolałem nie pytać, nie chciałem jej stracić.

Poruszyła się. Zrozumiałem, że znów mi umyka.

– Gdzie się wybierasz? – Przytuliłem ją. – Zostań, bez ciebie zmarznę.

Uśmiechnęła się.

– To się przykryj.

Wyślizgnęła się z moich objęć i narzuciła szlafrok.

– Chcę się wykąpać. Chyba... mogę? – spytała nieśmiało.

Były w niej dwie kobiety. Jedna namiętna, druga pełna zahamowań. Jedna pełna pasji, druga chłodna. Jedna nie znośła mówić o sobie. Druga uwielbiała słuchać opowieści o mojej rodzinie. Nigdy nie miała ich dosyć. Jak dziecko błaga o ulubioną bajkę, tak ona siadała mi na kolanach i prosiła o jakąś historię z mojego dzieciństwa. Miała w czym wybierać. Trafiała mi się wesoła i liczna rodzinka. Kłótnie, bijatyki i wrzaski były na porządku dziennym, ale jedno za drugie dałoby się zabić.

– Nie nudzi ci się po raz setny słuchać, jak tata przebierał się w ubikacji za Świętego Mikołaja? – spytałem ją kiedyś.

– Ani trochę! Co było dalej? – pogoniła mnie, choć doskonale знаła dalszy ciąg.

– Twoim starszkom nie zdarzyło się robić z siebie głupków? – nie ustępowałem. – Czemu tylko z moich mamy się nabijać?

– Moi naprawdę są... starsi. Urodziłam się im późno. Mieli już dużo swoich spraw, zobowiązań i... i wymagań, ja próbowałam im sprostać... – Zamilkła. – Jak nie chcesz, to nie opowiadaj...

Spojrzałem na nią: jakbym zakręcił kurek z radością. Znowu siedziała sztywno jak lalka, jak za pierwszym razem, kiedy usadziłem ją sobie na kolanach. Nie wiedziałem, co złego zrobiłem, znowu. Znałem jedną receptę. Przytuliłem ją mocniej i zacząłem głaskać po włosach. Kiedy się rozluźniła, podjąłem przerwana opowieść, jak to w samą Wigilię ojciec zapchał brodą z waty rurę odpływową. Na szczęście jeden z wujków był hydraulikiem...

W ogóle moja rodzinka słynęła z rzemieślników. Ja sam specjalizowałem się w elektronice samochodowej. W dobie postępu technicznego wystarczyło, że

przepalił się jeden mały bezpiecznik, a auto za sto tysięcy stało się nieme i głuche. Ja zaś potrafiłem usunąć usterkę. Każdą. Powiem tak: gdyby Roberta była srebrną Toyotą Avensis, wiedziałbym, jak jej pomóc.

Poszedłem za nią.

Niezauważony, ukryty za lekko uchylonymi drzwiami łazienki, przyglądałem się jak zaczarowany. Była taka piękna... Siedziała naga na brzegu wanny, czerwony szlafrok otaczał jej stopy. Uniosła ręce i zaczęła wiązać w kok długie, niemal białe włosy. Zafascynowany, wstrzymałem oddech. Kształty jej ciała przywoływały na myśl jej ukochane skrzypce. Gryf smukłej szyi przechodził w delikatną linię ramion, łagodne wcięcie w taliu prowadziło ku wypukłej krzywiznie bioder, niżej pełnia pośladków, a nad nimi dwa urocze wklęsnięcia. Przełknąłem ślinę. Drgnęła, instynktownie sięgając po okrycie.

– Nie chciałem cię przestraszyć. Może umyję ci plecy?

– Nie trzeba, poradzę sobie – odpowiedziała, osłaniając się szlafrokiem. Jakby wstydziła się nagości. Albo mnie.

Wyszedłem, dokładnie zamykając za sobą drzwi. Ona już wcześniej schowała się w swoim wnętrzu jak ślimak w skorupie.

Od tamtego dnia minął tydzień. Wszyscy szykowali się do świąt, ale ja nie miałem nastroju do malowania pisanek. Dręczyło mnie podejrzenie, że Roberta naprawdę się mnie wstydzi. Przed każdym spotkaniem z rodzicami stawała się nerwowa. Wszystko musiało być idealne – strój, makijaż, fryzura. W ciągu naszej niemal rocznej znajomości nie opuściła ani jednego niedzielnego obiadu. Choćby się paliło i waliło, a pociąg wykoleił, punkt druga musiała być na miejscu, bo wtedy zupa wjeżdżała na stół. Jestem pewien, że nigdy się nie spóźniła. Nigdy też nie poprosiła, bym jej towarzyszył. Ale tym razem chodziło o Wielkanoc. Denerwowała się bardziej niż zwykle; był dopiero Wielki Piątek, a ona już trzy razy wyprasowała bluzkę. Tę samą.

– Może pojedziemy moim autem? – zaproponowałem. – Podtrzymam cię na duchu. Nie mogą być aż tacy straszni. Uwierz, trafiali mi się naprawdę upierdliwi klienci.

Umknęła wzrokiem niczym spłoszona sarna. Głupiek! Nie trzeba było wspominać o pracy.

– Lepiej pojedę sama, oni potrafią być... nieprzyjemni, nie chcę cię narażać.

– Jasne... – sarknąłem – byle elektryk o brudnych łapskach nie jest dość dobry dla ich córki artystki. Nieważne, że mam własną firmę i zatrudniam siedmiu pracowników.

– Myślisz, że chcę tam jechać?! – wyrwał się jej pełen napięcia okrzyk. – Że nie wolałabym zostać z tobą i twoimi łapskami? Niechby sobie wyjechali! – rzuciła zawzięcie. – Tak jak zwykle, na Boże Narodzenie i w sylwestra. Beze mnie!

– Więc zostań! – Ścisnąłem jej szczupłe dłonie. Po raz pierwszy otworzyła się tak bardzo i nie chciałem zmarnować okazji.

– Nie mogę – wycofała się momentalnie; jej palce przeciekły przez moje jak woda przez sito. – Nie wybaczyliby mi. Muszę jechać, przepraszam...

W sobotę po południu odprowadziłem ją na pociąg. Miałem plan. Chciałem pokazać Robercie moją rodzinę – dużą, wesołą i kochającą. Spędzenie świąt w takim towarzystwie to przyjemność, nie przykry obowiązek. Gdyby tylko dała im szansę, zakochałyby się w nich. A potem może i we mnie...

– Moja mama zaprasza cię we wtorek, w drugie święto, będzie cała zwariowana rodzinka, o której tak lubisz słuchać. Lepiej zabierz ciuchy na zmianę, bo nie darują ci śmigusa-dyngusa.

– Dziękuję, ale...

– Nie ma żadnego ale, Robi. Nie tym razem. Mama chce cię wreszcie poznać. Jeżeli znowu odmówisz, pomyśli, że igrasz z uczuciami jej najstarszego syna, a to bardzo nieładnie! – Pogroziłem jej żartobliwie palcem.

– Przecież ja... – zawahała się.

– Co ty? – udawałem beztroskę, by nie zdradzić, jak bardzo zależy mi na odpowiedzi. Uratował ją ponagląjący gwizd.

– Muszę jechać – szepnęła i śpiesznie wsiadła do wagonu. Chwilę później pociąg ruszył. Znowu mi się wymykała, pozostawiając za sobą pustkę i niepewność.

Zdziwiłem się, słysząc za plecami swoje imię.

– Janek! Jaaa-neek! – Obróciłem się. Machała do mnie przez otwarte okno przedziału. Wiatr porwał jej jasne włosy do tyłu, odsłonił twarz, tak nieszczęśliwą, że bez namysłu rzuciłem się w ślad za nią.

– Nie!!! Zabijesz się! – krzyknęła z takim przerażeniem, że aż się... obudziłem.

Nie mogłem dłużej czekać. Musiałem wiedzieć, jak się rzeczy mają na jawie, nie tylko we śnie. Czy kocha mnie choć trochę. I czy przyzna się do tego przed rodzicami, z których opinią tak bardzo się liczyła. Wiedziałem o nich niewiele. Matka swego czasu odnosiła sukcesy jako śpiewaczka operowa, ojciec był znanym w środowisku muzykologiem, specjalistą od Wagnera. Mieszkali w Pile, w dzielnicy willowej.

Zmieszałem się, gdy otworzyła mi starsza kobieta w białym fartuchu i czepku na głowie. Gosposia? Kucharka?

– Czy zastałem Robi... znaczy Robertę?

– Sprawdzę, czy panienka jest. Kogo mam zapowiedzieć, jakby co?

Swojskie „jakby co” rozbawiło mnie.

– Jan Grodny, narzeczony panienki. Oto moja wizytówka.

Gosposia wzięła biały kartonik, po czym zatrzasnęła mi drzwi przed nosem. Dziwne obyczaje.

Za drugim razem w progu stanęła sama Roberta.

– Co tu robisz? Zwariowałaś?! – szeptała zdenerwowana. – Właśnie siadamy do stołu, a ty się zjawiasz jak... jak...!

– Roberto – przerwał jej autorytarny męski głos – skoro ten pan mieni się twoim narzeczonym, chciałbym go bliżej poznać.

Wyraźnie nie chciała mnie wpuścić, ale posłuchała polecenia ojca.

Pan domu – wysoki, kostyczny typ – nie wzbudzał sympatii. Taki osobnik zawsze ma rację i nigdy nie zmienia zdania. Uścisk jego ręki był lodowaty.

– Córko, prowadź do salonu.

Udałem się za Robi, która zdawała mi się bardziej odległa niż kiedykolwiek; zarazem boleśnie bezbronna i samotna. Miałem ochotę ją przytulić. Powstrzymałem się na widok dziwnej istoty w jedwabiu. Podpłynęła do mnie niczym zjawa, podając koniuszki długich, smukłych palców do ucałowania. Owionął mnie intensywny kwiatowy zapach.

– Podobno jesteście zaręczeni – odezwała się śpiewnym głosem. – Roberta nic nam nie powiedziała, to... niewybaczalne!

– Mamo, Marcelina musiała się pomylić...

– Jak na razie słuch mam dobry! – parsknęła gospoia. – Podawać czy nie? Wszystko zaraz wystygnie.

– Podawaj – zaordynował siwy mężczyzna. – A ty, Roberto, nie sprzeczasz się z matką. Twoja krnąbrność łamie jej serce.

W trakcie posiłku prowadziliśmy coś na kształt rozmowy.

– Elektromechanika Pojazdowa – gospodarz stuknął widelcem w wizytówkę, leżącą na stole – to pana... warsztat.

– Owszem – potwierdziłem.

Matka Roberty westchnęła wymownie.

– Ponoć żadna praca nie hańbi, moja droga – pocieszył ją mąż z taką miną, jakby zgryzł ziarenko pieprzu.

– Czy Autoryzowany Przedstawiciel Toyoty brzmi lepiej w państwa wyczulonych uszach?

Sądząc po szybkiej wymianie spojrzeń, zaskoczyłem ich. Jakby ironia była sztuką niedostępną dla prostych i maluczkich.

– Ma pan rodzinę? – kobieta zmieniła temat. – Jak oni się odnoszą do tego mariażu?

– Zapewniam, że przyjmą Robertę z otwartymi ramionami.

– Nie wątpię – wycedził mężczyzna. – Córka nie spełniła pokładanych w niej nadziei. Od lat nad tym ubolewamy. Nie odziedziczyła wielkiego talentu matki ani mojej pasji naukowej. Gra ledwie drugie skrzypce, ale panu może się wydawać dobrą partią. Choć nie widzę możliwości pokonania przepaści kulturowej... znowu nas rozczarowała... powinniśmy się przyzwyczaić, ale...

Nie słuchałem, całą uwagę koncentrując na Robercie. Była blada jak ściana, niemal bliska omdlenia, kurczowo ścisnęła w rękach serwetkę.

A więc przed tym się broniła, przed tym uciekała przez całe życie! Przed odrzuceniem ze strony tych, których kochała. Dlatego unikała wyznań i otwartości. Jej chłód był wyuczony. Zalała mnie fala współczucia i miłości. Zbyt długo zwlekałem. Nie zważając na jej rodziców, zerwałem się od stołu i przyklęknąłem przed Robi.

– Mówiłem poważnie. Kocham cię, wyjdź za mnie.

– Mnie nie warto kochać, nie ma za co... – szepnęła drętwo. – W końcu i ty byś się przekonał... A litości nie potrzebuję. Odejdź.

– Słyszał pan, niech pan zostawi Robertę w spokoju! – załkała dramatycznie dama w jedwabiach.

– Zwłaszcza teraz, gdy zmądrzała – poparł ją mąż.

Przeraziłem się. Nie umiałem pięknie mówić, przekonywać. Nie wygrałbym z tą dwójką wygadanych snobów. Ci ludzie nigdy nie powinni mieć dzieci. A już na pewno nie zasługiwali na tak cudowną, lojalną córkę jak Roberta!

Nie miałem wyboru. Po prostu wziąłem ją na ręce i wyniosłem z tego okropnego domu. Nie protestowała, gdy wsadzałem ją do auta, tylko płakała cichutko. Łzy płynęły przez całą drogę powrotną.

Zaniosłem ją do łóżka, przebrałem w koszulę nocną i okryłem kołdrą. Wciąż

płakała, jakby nadrabiała lata zaległości. Położyłem się obok niej i zacząłem nucić kołysankę, którą śpiewała mi moja mama.

Uspokoila się, myślałem, że zasnęła. Nagle powiedziała zupełnie spokojnym głosem:

– Wiesz, dlaczego wstydziłam się siedzieć ci na kolanach? Bo nie umiałam. Nigdy wcześniej tego nie robiłam. Czasami myślałam, że mnie adoptowali i wciąż tego żałują...

Teraz mnie zaszklily się oczy.

Tej nocy nie musiałem pytać, jak było. Oboje wiedzieliśmy.

Kiedy we wtorek stanęliśmy przed moim domem rodzinnym, drzwi otwarły się szeroko, w progu stanęła moja pulchna mama i rozpostarła ramiona:

– Witaj, synku, witaj, córuchna. Nareszcie jesteście!

Idealna miłość

Odezwała się. Tym razem odpowiedziała na zaproszenie przesłane na ręce jej rodziców. Więcej, obiecała, że na piętnastą rocznicę matury stawi się na pewno. Poprzednie okazje zignorowała, nawet znaku życia nie dała, więc miałam nadzieję... Ale Zośka, organizatorka imprezy, przekazała mi radosną wieść, że tym razem przyjedzie – na mur, beton i butapren. Dokładnie tych słów użyła w mailu; Zośka ich nie rozumiała, ale moje serce zabiło szybciej. Użyła naszej tajnej przysięgi. Pamiętała. I na pewno przyjedzie. Boże!

Zawsze się tego bałam; że Karolina kiedyś wróci i cały mój świat się zawali. Mój wspaniały, piękny świat, pieczołowicie zbudowany na kłamstwie. Czy cała budowla była zła, skoro podwalinę skaził fałsz? Nie, nie wierzę! Kochaliśmy się, byliśmy szczęśliwi, a przynajmniej zadowoleni, bo nie ma czegoś takiego jak nieustające szczęście. Czasem musi być źle, żebyśmy umieli docenić lepsze chwile. My docenialiśmy. Bez względu na początek naszej miłości, uczucie było prawdziwe. Wierzyłam w to i niczego nie żałowałam. Jak mogłam żałować swojego postępu, jeżeli dzięki niemu zdobyłam ukochanego mężczyznę? Był tym jednym jedynym, drugą połówką jabłka, wiedziałam o tym, ledwo go spotkałam, ledwie na niego spjrzałam, ale...

Trzymał pod rękę Karolinę. Czy raczej to ona uwiesiła się jego ramienia, podskakując i ćwierkając niczym radosna kretynka:

– To on! Czyż nie piękny, to właśnie mój Zenek, no, powiedz, przyznaj wreszcie, że wart grzechu! – przechwalała się swoją zdobyczą w sposób, który zupełnie do niej nie pasował. Przyjaźniłyśmy się również dlatego, że obie byłyśmy rozsądnymi dziewczętami, poważnie myślącymi o przyszłości. Nie chichotałyśmy głupawo, nie plotkowałyśmy o pierdołach, nasz świat nie kręcił się wokół facetów i strojów. Koncentrowałyśmy się na nauce. W liceum nazywano nas kujonami i słusznie, bo faktycznie kułyśmy jak dzięcioły. Byłyśmy obie bardzo ambitne i miałyśmy swój cel – chciałyśmy się dostać na wymarzone studia. Ja na medycynę, ona na architekturę. I udało się!

Właśnie na polibudzie, na sąsiednim wydziale, poznała Zenka, który studiował telekomunikację. I naraz jej odbiło, zmieniła się w zakochaną idiotkę, rozswiergotaną, rozmarzoną. W kółko o nim gadała, o tym Zenku, jaki bystry, dowcipny, wrażliwy, choć niby umysł ścisły, jakie ma cudne oczy, jaki boski uśmiech i w ogóle jaki z niego wspaniały facet. Zachowywała się jak odurzona

narkotykiem!

– Boże, to straszne. Jeżeli zauroczenie owym Zenkiem spowodowało drastyczny spadek twojej inteligencji, powinnaś go natychmiast rzucić – poradziłam jej. – Zenek... rany! Co to za wsiowe imię?

– Imię jak imię. Takie mu rodzice dali. A ty musisz go poznać, wtedy wszystko odszczekasz, zobaczysz! Jutro na imprezie w klubie. Jesteśmy umówione, nie waż się znowu nie przyjść.

Więc przyszłam, choć wcale nie miałam ochoty go poznawać. Po pierwsze, moja przyjaciółka przy nim głupiała. Po drugie, on mi ją ukradł. Jako studentki różnych uczelni widywałyśmy się rzadko, a od kiedy się zakochała, jeszcze rzadziej, bo nie chciałam robić za doczepkę, za piąte koło u wozu.

Nie, wcale nie chciałam go poznawać...

Ale przyszłam wcześniej, usiadałam w kącie i czekałam. Kiedy się zjawili, najpierw moją uwagę przyciągnęła machająca i piszcząca radośnie Karolina. Boże, co za egzaltacja...

A potem spojrzałam na niego i wszystko się zmieniło. Dotąd nie wierzyłam w takie brednie jak miłość od pierwszego wejrzenia. Ale na jego widok wszystkie myśli przysły, ulotniły się niczym kamfora, czas niemal stanął w miejscu i widziałam każdy jego ruch w zwolnionym tempie. Zbliżał się do mnie. Wysoki i lekko zgarbiony, jakby się wstydził swojego wzrostu, z przydługą blond czupryną, opadającą na czoło, z ciepłymi piwnymi oczami, z uśmiechem łamiącym serce. Chyba ten uśmiech mnie załatwił. Na amen. Krótko, chłopak ścinał z nóg – dobrze, że siedziałam. Zrozumiałam, że tylko ten i żaden inny. W jednej chwili stał się moją obsesją, nałogiem. Musiałam go zdobyć. Lata przyjaźni przestały mieć znaczenie. Zresztą Karolina nie pragnęła go tak jak ja. Nikt nigdy nikogo tak nie pragnął! Aż byłam tym przerażona. Zupełnie obcy facet, a ja czułam podniecenie. Działał na mnie jego uśmiech, zapach, błyski w oczach, gdy pochylił się nisko, bo pocałować moją dłoń. Kiedy się odezwał aksamitnym, radiowym głosem, mało orgazmu nie dostałam. Karola nic nie zauważyła. Nic. Ćwierkała dalej:

– No, a nie mówiłam, że cudny. Dżentelmen prawdziwy! Szykuj się, zostaniesz moją druhną!

– Czyżby coś mnie ominęło? Zaręczyny na przykład... – Zenon posłał nam zabójczą mieszankę uroku: głos, uśmiech, odgarnięcie blond włosów.

Zadrżałam. Wewnętrznie. Na zewnątrz trzymałam fason, ale bałam się, że już dłużej nie dam rady.

– Mnie chyba też coś umknęło. – Skrzywiłam się. – Skoro mamy się bratać, chodźmy zatańczyć, a Karola niech ochłonie w tym czasie. I niech zamówi nam drinki.

– Idźcie, idźcie, dzieci, nie będę zazdrosna, oboje was kocham. – Patrzyła na nas roziskrzonymi szczęściem oczami.

Przez sekundę zawahałam się, ale zapomniałam o niej błyskawicznie – gdy trzymał mnie w objęciach, gdy był tak blisko, że czułam jego zapach, jego oddech, jego męskość ma swoim brzuchu...

Och...!

Wybyłam się resztek skrupułów.

Odczekałam dwa miesiące, by przekonać się, że za urodą Zenona kryje się także niekiepski umysł – nie chciałam niszczyć przyjaźni dla pustaka – i z premedytacją skłamałam. Powiedziałam jej, że poszedł ze mną do łóżka. Powiedziałam, że jest mi przykro, że bardzo ją przepraszam, ale stało się i już tego nie zmienię. „Zakochałam się w nim, a on we mnie. Na miłość nie poradzisz. Pojawia się i już. Proszę cię – błagałam – w imię przyjaźni, usuń się sama... Tak, zapytaj go – judziłam – biegnij i zapytaj, na pewno zaprzeczy! Z litości. Dlatego wciąż się z tobą spotyka. On naprawdę cię lubi i nie chce cię zranić – dobijałam ją – ale to mnie kocha i ma wyrzuty sumienia z powodu tego uczucia. Jest dżentelmenem, przecież wiesz...”.

Uwierzyła. Patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami, już nie skrzyły się szczęściem. Była smutna, zraniona, upokorzona... ale wciąż dumna. Dobrze ją znałam, bezbłędnie ją podeszłam. Usunęła się.

Wyjechała bez słowa wyjaśnienia. Do znajomych czy rodziny w Anglii.

Zenon oszalał, chciał jechać za nią. Powiedziałam mu, że tylko się ośmieszysz, bo ona już go nie chce. Zdradzała go z takim jednym... Czemu milczałam? Bo to

moja przyjaciółka, ale skoro sama tchórzliwie uciekła, również ode mnie, zwolniła mnie tym samym z lojalności. Krzyż jej na drogę. Nie zasłużyła ani na taką przyjaciółkę jak ja, ani na takiego faceta jak on. Udawałam bardzo złą, bardzo rozżaloną.

Uwierzył i załamał się, a ja go pocieszałam. Do skutku. Bronił się, ale w końcu mi uległ. Musiał. Wszak byliśmy dla siebie stworzeni! Para doskonała. Niemal. Kilka drobnych poprawek i będzie idealnie.

I było!

A teraz ona wracała i wiedziałam, czułam, że nie uda mi się tego ukryć przed Piotrem. Może powinnam mu wyznać prawdę? Przynajmniej część...

Spóźniłam się. Skoro postanowiła wrócić, zdecydowała się też odnaleźć Piotra na Facebooku. Wysłała mu maila, on jej odpowiedział i, od słowa do słowa, wyszło szydło z worka.

– Czemu? – spytał cicho. – Powiedz, czemu nam to zrobiłaś?

– Z miłości! – krzyknęłam. – Zakochałam się w tobie od pierwszego wejrzenia. Osądzaj mnie, oskarżaj, ale pamiętaj, że zrobiłam to z miłości. A gdyby ona naprawdę cię kochała, nie dałaby się tak łatwo oszukać, walczyłaby o ciebie!

– Boże, nie masz pojęcia, czym jest miłość. Ona mnie kochała... i ciebie też, dlatego wyjechała, dla nas, żebyśmy byli szczęśliwi...

– I byliśmy. Piotr!...

– Mam na imię Zenon, po dziadku, to dla ciebie zacząłem używać drugiego imienia. Dla ciebie obciąłem włosy, zmieniłem przyjaciół i kierunek studiów na informatykę, bo bardziej przyszłościowa, za twoim podszeptem przyjąłem pracę w państwowej firmie, a potem założyłem własny biznes, dla ciebie grałem w tenisa i ubierałem się w ciuchy, których nie znosiłem. Zmieniałaś mnie od pierwszej chwili i nigdy nie przestałaś. Kiedyś myślałem, że mnie motywujesz, jak na dobrą dziewczynę, a później żonę przystało, ale potem zwątpiłem. Zacząłem podejrzewać, że w głębi duszy żalujesz związku ze mną, że wyszłaś za mnie z litości, dlatego wciąż musiałem ci udowadniać, że nie popełniłaś błędu. I dlatego wciąż nie mamy dzieci, na nie też muszę sobie zasłużyć.

– To nie tak! – jęknęłam. – Ja po prostu chciałam, by było idealnie, najpierw dom, kariera, potem...

– Akurat! Wreszcie zrozumiałem. Musiałem być idealny, taki jak sobie wymarzyłaś, by usprawiedliwić własne kłamstwo, własną podłość. W efekcie przestałem być sobą.

Zaskoczył mnie. Spojrzałem na niego i naraz do mnie dotarło, że istotnie nie przypominał dawnego Zenka. Nie garbił się, bo ćwiczył, modnie przycięte włosy nie opadały na twarz, był elegancki, wysportowany, niewiarygodnie przystojny, ale gdzieś zgubił ciepły błysk w oczach i ten powalający uśmiech...

– Wiesz, właściwie to mi pochwala, że posunęłaś się do draństwa, by mnie zdobyć. Czyli masz skazę, pani perfekcjonistko, to cię ucłowiecza. Mógłbym nawet ci wybaczyć... – podniósł wzrok, zmierzył mnie lodowatym spojrzeniem – ale Karolina nie wyjechała sama, była w ciąży, urodziła dziecko, chłopczyka, a ja nie widziałem, jak rósł, jak uczył się nowych rzeczy. Straciłem czternaście lat z jego życia i więcej nie zamierzam. Mam syna. Mam syna...

Jego uśmiech olśniewał, ale nie dla mnie był przeznaczony.

Mój świat właśnie runął.

Bożek miłości, czyli dziwne przypadki Magdy S.

Rafał dokonał analizy feng shui mojego strychu, który osobiście zaadaptowałam na pomieszczenie mieszkalne, i stwierdził:

– Równowaga czterech podstawowych żywiołów została zachwiana. Musisz wzmocnić element ziemi w tej części mieszkania. – Wskazał moją sypialnię.
– Umieść coś... o, tutaj.

– Coś, czyli co?

– Roślinę w doniczce albo samą doniczkę, jakąś rzeźbę z gliny...

– Mam! Bożek z terakoty może być? W czasie remontu wpakowałam go do pudła i kompletnie wyleciał mi z głowy.

Pognałam do korytarza i z dna szafy wydobyłam glinianą figurkę. Uśmiechnęłam się mimowolnie. Pucułowaty, goły bożek, z przyrodzeniem do kolan, zadowoloną miną i rękami rozłożonymi w geście „czyż nie jestem piękny?”, zawsze mnie bawił.

Jak mogłam o nim zapomnieć? Dostałam go od Łukasza na trzydzieste drugie urodziny. Potem przyglądał się nam z uciechą, gdy kończyliśmy wieczór, tarzając się po dywanie w salonie...

Zaś ostatnio posucha. Kiedyś wystarczyło pstryknąć, żeby facet pchał mi się do łóżka, a teraz... Szkoda gadać. Justynka skończyła cztery latka, czyli... Boże, już blisko pięć lat męczę się w przymusowym celibacie!

– Co cię taka zgroza ogarnęła? Wszystko w porządku? – dopytywał się Rafał.

– Nie. Żyję jak zakonnica. Chłopa mi trzeba! – wyrwało mi się z głębi serca.

Nie wiem, co mnie napadło. Rafał to tylko znajomy, do tego nawiedzony, a ja mu się zwierzam z takich rzeczy!

– No wiesz, Magda, skoro jesteś potrzebowska, chętnie służę. Może być miło... – wymruczał głosem amanta z telenowel, wskazując wzrokiem łóżko,

i poruszył znacząco brwiami.

Nigdy wcześniej się tak nie zachowywał. Szczerze? Miałam go za geja. A teraz byłam bliska przyjęcia jego oferty. Oto jak nisko może upaść wyposzczona kobieta.

Zerknęłam na figurkę, którą postawiłam na parapecie obok akwarium. A może to twoja sprawka, świntuchu, pomyślałam, wynudziłeś się w szafie i teraz szalejesz, co?

Bożek nie raczył odpowiedzieć. A Rafała z trudem wystawiłam za drzwi.

Już w łóżku, przed zaśnięciem, zaczęłam wspominać. Dziwne rzeczy się działy, od momentu gdy bożek pojawił się w moim domu.

Z Łukaszem... totalne szaleństwo! Ale jednonocne, nadal się kumplujemy. Wkrótce potem poznałam Piotra i Roberta... Piotr? Seks bez zobowiązań. Ale w związek z Robertem naprawdę się zaangażowałam. Był taki słodki, nieśmiały, nieporadny, młody... trzy tygodnie później poczęła się Justynka...

W nocy miałam sny, że ja dziękuję! Facet na moim miejscu musiałby zmieniać pościel.

Rano goła figurka podglądała mnie, gdy się ubierałam. Idiotyczne wrażenie. Próbowałam sobie tłumaczyć, że to tylko rzeźba, ale... dokończyłam ubierania w łazience.

Byłam zła, że tak się rozpraszam. Czekala mnie rozmowa na policji, ze śledczym Kamilem N. Przez telefon jego głos brzmiał fascynująco; umawialiśmy się trzy razy, więc zdążyłam się wsłuchać. Mógłby mi tym głosem czytać bajki na dobranoc. Jak znam życie, facet okaże się łysy, niski i bez talii.

Cóż za zaskoczenie... Przywitał mnie wysoki, przystojny inspektor w cywilu. Biły od niego spokój i pewność siebie oraz zapach drogiej wody kolońskiej. Hm...

Niestety nie spodobało mu się, że swoją niezależną opinią eksperta budowlanego w sprawie zawalenia się hali targowej namieszałam mu w śledztwie. Na dokładkę usłyszałam, że nie mógłby być z kobietą, która myśli tak technicznym językiem. Nie wiem, czego się spodziewał po rozmowie z architektem. Lirycznych opisów? Jednakowoż pod koniec spotkania nazywał mnie już „drogą panią

Magdą”.

Ten familiarny ton nijak nie tłumaczył esemesa, jakiego dostałam dwa dni później:

Jest Pani piękna, bardzo seksi, ale szkoda, że niedostępna. Kamil N.

Kompletnie mnie zaskoczył. Byłam z Justynką w sklepie. Kupowałyśmy jogurty, chrupki kukurydziane, serek, fasolkę... a tu taki tekst! Po powrocie wysiliłam się na odpowiedź:

Pewnie tak jak pan, panie Kamilu.

Po minucie odpowiedź.

Ja niedostępny? O, nie! A Pani jest naprawdę bardzo piękna! Niezwykle ponętna i niebywale seksowna.

W trakcie spotkania nie wyczułam aż tylu pozytywnych myśli pod swoim adresem. Odniosłam wręcz wrażenie, że miał „drogą panią Magdę” za przemądrzałą blondynę. Ale odpowiedziałam:

Bardzo mi miło, że pan o mnie tak myśli.

Myślę o Pani nieustannie! Nie mogę pojąć, jak taka kobieta może żyć bez seksu.

A to co miało być? Zirytowałam się i trochę przestraszyłam. Bo albo strzelał w ciemno, albo przeprowadził na mój temat dużo głębszy wywiad, niż sądziłam. Odparłam kategorycznym:

Nie pańska sprawa!

Uraziłem Panią. Błagam o wybaczenie! Liczę, że wciąż mam szansę, by skosztować Pani ust, by dotykać Pani cudownego ciała. Marzę, tęsknię, by napawać się pięknem i smakiem Pani piersi i poślad...

Odrzuciłam komórkę jak zatrutą. Aż mną wstrząsnęło. Zważyłam: policjant czy zboczeniec? Następnego dnia zapytałam Macieja, męża przyjaciółki, co sądzi. Uświadomił mi, że wielu facetów tak działa.

– Od razu przechodzą do sedna. W dziewięciu przypadkach na dziesięć dostają w pysk, ale dla tego jednego razu opłaca się pocierpieć.

– Zrobiłeś tak kiedyś?

– Ja...? Nie. Ale ja jestem nienormalny. Dwadzieścia lat z tą samą babą. Co gorsza wciąż mam na nią ochotę.

Taktownie zostawiłam ich samych.

Pamiętam, jak zaczęli ze sobą chodzić, a teraz ich starszy syn był wyższy ode mnie. Naprawdę im zazdrościłam. Odnaleźli się już w liceum. Kiedyś nie doceniałam, jakie to ważne trafić na właściwą osobę. Liczyła się dobra zabawa, choć seks na pierwszej randce nigdy nie należał do moich specjalności. Nie wiedzieć kiedy dojrzałam do pragnienia, by wreszcie spotkać swoją drugą połowę. Wydawało mi się to o niebo ważniejsze niż szybki numerek, choćbym nawet bardzo mocno marzyła w nocy.

Dlatego definitywnie skreśliłam pana Kamila. Spojrzałam na bożka. Pogroziłam mu palcem.

– Jak się nic nie działo, to się nie działo. Aż tu naraz w przeciągu paru dni dwóch facetów na siłę pakuje mi się do łóżka. Epidemia? Nie przeginaj, stary. I celniej trafiaj, bo strach się bać normalnie.

Racja, lękałam się, co będzie dalej – ale w ten miły, pełen oczekiwania sposób...

Zacząło się rankiem pięć dni później. Typowo – otrzymałam kolejny esemes.

Podobasz mi się bardzo... Madziu.

Bojąc się, że to znowu napalony śledczy, spytałam:

Czyli niby komu?

Widziałem cię raz w życiu. Dwa miesiące temu. Wywarłaś niezatarte wrażenie, Madziu...

Co on z tą „Madzią”? Nie lubiłam tego zdrobnienia. Kojarzyło mi się z czasami, gdy nosiłam aparat na zębach. Pewnie dlatego nie spieszyłam się z odpowiedzią. Wieczorem tajemniczy wielbiciel ponaglił mnie.

Milczysz? Bardzo chciałbym się z tobą spotkać, Madziu. Jestem mężczyzną twojego życia. Zawsze o takim marzyłaś. Zdobądź się na odwagę i wyślij esemesa RANDKA. Wtedy będę wiedział, że niebiosy mi sprzyjają.

No, no... Nie wiem, czego mu brakowało, skoro podrywał laski na esemesy, ale na pewno nie skromności. Z drugiej strony rozbawił mnie.

Randka? A może jesteś niebezpiecznym świrem, który uciekł z psychiatryka. Mam dziecko, muszę uważać.

Właśnie. Miałam dziecko. W tym tkwiło sedno problemu. Dlatego poważniej podchodziłam do życia. Wcześniej nie wierzyłam przyjaciółkom, gdy mówiły, że macierzyństwo wszystko zmienia. Niesłusznie. Wraz z przyjściem na świat Justyny mój system wartości wyrócił się do góry nogami. Może byłam nadopiekuńcza, ale w końcu mała (prócz równie nadopiekuńczej babci) miała tylko mnie. Robert nie tylko w łóżku okazał się nieporadny. Dzieciuch wystraszył się ojcostwa. Wyparł się córki, jego strata. Niemniej zostałam sama. Czy żałowałam? Nigdy. Jeden uśmiech Justysi rekompensował mi wszystkie niedogodności bycia samotną matką i samotną kobietą.

Co nie znaczy, że wzmożone działania bożka miłości nie robiły na mnie wrażenia. Żeby tylko tym razem lepiej wybrał kandydata.

Rzeczony potrzebował nocy, żeby przemyśleć, co mi odpisać.

Ja też mam dziecko. Spore, siedemnaście lat, syn. Nie jestem świrem, Madziu. Ale pragnę, byś ty ześwirowała i zaprosiła mnie do siebie na kawę.

Niezły zabieg z tym synem. Nie wstydził się wieku ani potomstwa. Od razu poczułam sympatię. Wychodziło mi, że facet to rozwodnik. No i wpraszał się, by smakować kawę, a nie słodycz mych ust. Zdecydowanie subtelniejszy typ niż śledczy. Choć wciąż nie wiedziałam, kto zacz.

Przepraszam, ale czy my jesteśmy na ty? Bo nie przypominam sobie...

Wymieniliśmy jedno spojrzenie. Wystarczyło. Pani też zdawała się

poruszona. Dlatego ośmieliłem się na bardziej bezpośredni ton. Nie wolno mi... Madziu?

Zrobiło mi się gorąco! Czyżby to był on? Facet, którego spotkałam na budowie Kasi, w pustym niewykończonym domu. Gdy weszłam, stał tyłem, tylko w dżinsach, bez koszuli. Wspierał się pod boki. Błyskawicznie rejestrowałam: szerokie ramiona, wąski, zgrabny tyłek, mięśnie jak u lekkoatlety – widoczne, ale bez przesady. Był lipiec, upał trzydzieści stopni. Na jego opalonej skórze lśniła warstewka potu. Pewnie słona... Oblizawałam się, czując nagłe pragnienie. Wtedy się odwrócił. Zauważył, że mu się przyglądam i sam zmierzył mnie wzrokiem. Elektryzujące ciarki dreptały po moim ciele śladem jego gorącego spojrzenia. Nogi ugięły się pode mną. Był równie surowy jak otaczające nas ściany. Męski do bólu! To zawsze na mnie działało. Niemal zapytałam Kasię o drogę do najbliższego łóżka, bo miałam ochotę tu i teraz się z nim kochać! Dawno nie czułam czegoś podobnego. Chyba od czasów Hiszpanii, kiedy z pewnym tubylcem przeżyłam jeden, ale niezapomniany dzień...

Właściwie na co nam łóżko, zastanawiałam się, wystarczyłaby ściana. Oprę się o nią plecami i...

Myśl o Justysi dodała mi sił. Musisz odebrać ją od mamy o czwartej, nie masz czasu na romanse! Podziałało. Zrobiłam w tył zwrot. Ale jeszcze długo wspominałam ów boski egzemplarz, wdychając tęsknie. Właściwie do dzisiaj mi nie przeszło. Gdybym mogła wybierać ze wszystkich mężczyzn na świecie...

– Kochany bożku, zapalę ci kadzidelko i złożę w ofierze dwie muchy, byle to był on!

Zadzwoiłam do Kaśki z prośbą o numer telefonu do jej znajomego brygadzysty, pod pretekstem, że mam dla niego robotę. Obiecała, że poszuka wizytówki i oddzwoni. Na razie musiałam grać na zwłokę. O co pytał? Zerknęłam na wyświetlacz.

Wolno. Ale czemu akurat per „Madziu”?

Madziu...? Czyż nie brzmi ładnie? Miętko i aksamitnie. Tak samo będę wymawiał twoje imię. Tylko powiedz: gdzie i kiedy.

Byłam bliska napisania: *Tu i teraz!* Bożek miłości emanował aurą na całego. Z trudem wzięłam się w karby.

Hola, hola! A może masz żonę, o której zapomniałeś wspomnieć?

Jasne, nawet trzy. Ty będziesz czwarta.

Żartowniś się znalazł. Czemu ta Kaśka tak się guzdrze? Pospiesz się, kobieto!

Zrobiła coś innego. Wydała mnie.

Dość tych tajemnic. Rozpytujesz o mój numer telefonu.

No tak. Porządna Kasia najpierw spytała, czy facet się zgadza, nim podała jego namiary pewnej Magdzie S. Ciekawe, czy uwierzył w bajeczkę, że chce go zatrudnić. Zresztą, nieważne. Najważniejsze, że to był ON! Przystojniak o ciemnej karnacji i ciele, na widok którego robiłam się łakoma.

Wygrałeś! Jeżeli chcesz wiedzieć, już drzę na myśl o spotkaniu z tobą – przyznałam się.

Bądź spokojna. Czas na dreszcze nadejdzie – obiecał.

Spodobała mi się jego pewność siebie.

Na pierwszą randkę zaproponował spacer. Oryginalnie. Umówiliśmy się na piątek. Nie podałam dokładnego adresu. Miał czekać pod moją kamienicą o siódmej. Zjawił się punktualnie z długą różą w ręce. Zyskał kolejne punkty.

Wyglądał inaczej, bardziej cywilizowanie. Jak agent służb specjalnych. Gładko ogolony i uczesany, w czarnym garniturze; przypięta do paska torebka na dokumenty wybrzuszała lekko marynarkę, jak autentyczna kabura. Ten image odpowiadał mi na równi z poprzednim. Oba były niesamowicie męskie, choć obiecywanych dreszczy na razie nie odczułam.

Za głośno się śmiałam. Mariusz szedł u mego boku i tryskał humorem. Dowcipami, nierzadko pieprzonymi, sypał jak z rękawa. Jego niepoważne odpowiedzi na moje poważne pytania zamiast irytować – bawiły mnie. Podobnie jak chęć przeniesienia mnie przez nowo odremontowany most. Miał facet fantazję i dużą wiarę we własne siły. Naturalny, spontaniczny i aktualnie wolny – jak wyczuwałam z rozmowy – czy kobieta można chcieć więcej?

Jedyne, czego mu brakowało, to odrobiny finezji. Lubiłam niedomówienia, grę słowną, błyskotliwe riposty. On do intelektualistów się nie zaliczał. Ale dzięki niemu na chwilę oderwałam się od rzeczywistości. Zapomniałam, że jestem sama. Nasz pocałunek wypadł trochę nieudolnie, jakby nam nosy przeszkadzały. Cóż, pierwsze koty za płoty.

Kolejne spotkanie, tym razem u mnie, odwołał, bo jak przeproszał: „nie wyrobiłem się”. Westchnęłam z żalem. Zgasiałam świece, zapiekankę schowałam do lodówki, koronkową bieliznę zmieniłam na wygodniejszą.

Umówiliśmy się ponownie. Tydzień ciągnął się w nieskończoność. Nie mogłam spać ani pracować. Wpatrywałam się w mojego bożka oświetlanego na zmianę światłem słońca i księżyca i w kółko pytałam:

– Tym razem dobrze wybrałeś, prawda?

Popatrywał chełpliwie.

Czekałam. Mariusz przyszedł. Wręczył mi trzy szkarłatno-srebrne róże. Najpiękniejsze, jakie kiedykolwiek widziałam. I zanim powiedział cokolwiek, pocałował mnie. Zakasował ten nieco nieudany pocałunek z poprzedniego razu. Ciarki wróciły, całą chmarą!

Pokazywałam mu mieszkanie, ćwierkając radośnie. Mariusz rzucał komentarze w stylu: „A ten brodzik nie za mały dla nas dwojga?”, „Aha, więc tu będę się budził co rano...”. Zachowywał się, jakby planował bardzo długi, długi romans. Wyglądało, że wie, czego chce i konsekwentnie dąży do celu. Jak facet, nie chłopiec, których po doświadczeniach z Robertem miałam dosyć do końca życia. Był dojrzałym, starszym o trzy lata mężczyzną. Na pewno wiedział, jak dotykać kobietę. Nie pił, nie palił, regularnie jeździł na rowerze. Stąd sylwetka lekkoatlety. Uwierzyłam, że to on, pan właściwy, idealny kochanek, wymarzony towarzysz.

Sama wszystko zepsułam. Chciałam się upewnić, że na pewno jest wolny. Zaczęłam drążyć temat. I w końcu się dowiedziałam, że mieszka z synem i jego matką, a... swoją żoną.

– Tak bywa, to nic nie znaczy, zrozum...

Nie mogłam. Byłam załamana. Oszukał mnie, a przecież pytałam! Raz już się wpakowałam w trójkąt i dziękuję bardzo za powtórkę.

Nim odszedł, spytał z grobową miną, co zrobię.

– Upiję się, do cholery!

Spojrzał mi w oczy i... odszedł, smutny, poważny i zgaszony. Nie przypominał siebie sprzed kwadransa.

Nie próbował walczyć. Chciałam dużo więcej, niż mógł mi dać. Fantastyczny seks? Na pewno. Miłość? Niewykluczone. Ale nigdy nie pogodziłabym się z ukradkowymi spotkaniami, wykradanymi godzinami, chowaniem się przed znajomymi. Nawet jeżeli okazałby się kochankiem mojego życia. I niby jak miałabym go przedstawić córce? To wujek Mariusz, skarbie, ale nie przywiązuj się... za bardzo?

– Naaawaliłeeeś! – zwróciłam się do bożka nieco bełkotliwie. – Moja córka jest bezpieczna, ale moje łóżko wciąż zimne i... puuuste! Chyba znowu schowam cię do szafy.

Musiałam być zdrowo ululana, skoro usłyszałam obrażoną odpowiedź.

– Ty głupia, ty! Trzeba było brać, co się samo w ręce pchało, a nie bawić się w skrupuły.

Na pewno mi się przesłyszało. Na pewno! Tylko czemu od tygodnia wciąż wzdycham i wzdycham. Jak ta głupia...

Majowa burza

Można się mijać każdego dnia i nic. Można widywać się całymi latami, mieszkać w tym samym bloku, jeździć tą samą windą, spotykać w sklepie, wymieniać ukłony... i nic. A potem jedno wydarzenie, trwające ledwie kilka chwil, sprawia, że wszystko się zmienia. To, co było obojętną grzecznością, przeradza się w fascynację i trzepot motyli skrzydeł...

Od rana zanosilo się na burzę. Cisza zmieszana z niepokojem. W przyrodzie soki krążyły szybciej, jak krew pod wpływem adrenaliny. Wreszcie nadeszła prawdziwa wiosna, rozbuchana i spragniona. Jako nastolatka uwielbiałam tę porę roku, sprzyjającą zakochaniu i szaleństwu. Teraz w głębi duszy bliżej mi było do rozleniwionego lata niż młodzieńczej wiosny. Moje życie biegło utartym torem. Mąż, dzieci, biuro, dom. Rytuały powtarzane dzień w dzień, te same pytania, te same odpowiedzi, identyczne kłopoty. Wisząca w powietrzu burza nieco zakłóciła tę nudną sielankę. Wróciłam do domu podminowana.

– Co na obiad? – zagadnęła mnie córka, ledwo przekroczyłam próg.

– Nie mam pojęcia. Dzisiaj wy gotujecie. Ja spożywam. Ewentualnie mogę pościć, nie robi mi.

– Ale ja jestem głodny! – pisnął Szymek, nie zwracając uwagi na podejrzanе zachowanie naszego spaniela.

– Czy ktoś wyszedł z Brutusem?

– Dzisiaj jest kolej Majki! – Siedmiolatek bardzo szybko zapomniał, że jemu najbardziej zależało na psie.

– Ale ja mam lekcje – odbiła piłeczkę córunia.

Mąż nawet nie zauważył, że przyszłam. Tkwił przed telewizorem i chłonał jeden program informacyjny za drugim. Gdzie mi konkurować z kolejną bombą, powodzią czy aferą polityczną.

– Jasne... – mruknęłam. – Brutus, przynieś smycz.

Posłuchał natychmiast. Był jedyną istotą w naszym domu, która doceniała,

co dla niej robię.

Gdy spaniel ulżył sobie obficie pod jarzębiną, mogliśmy wracać. Ale ciepły podmuch wiatru, pachnący tęsknotą, oczekiwaniem, czymś właściwym tylko wiosnie, kazał mi zostać. Wyczuwałam w sobie podobne pragnienie, chęć zmiany, odnowy... Chciałam znowu poczuć się jak pełna emocji nastolatka.

Odbija mi, pomyślałam, jak na dorosłą, należycie ułożoną przez codzienność, kobietę przystało.

– Przespacerujmy się, piesku, przewietrzmy, obojgu nam się to przyda.

Spuściłam go ze smyczy. Większość przechodniów odstraszyły ciemne chmury, więc raczej nikt nie zacznie się czepiać. Poza tym Brutus był łagodnym stworzeniem. Choć może nie dzisiaj. Nieoczekiwanie obudziły się w nim duchy dzikich przodków. Węszył czujnie, poszczekiwał i kręcił się zwawiej niż zwykle. Gdy spadły pierwsze krople i gwizdnięciem dałam sygnał do odwrotu, nie posłuchał. Zaczął tarzać się w trawie. Zazdrościłam mu. Ja wciąż czułam się uwiązana na niewidzialnej smyczy. Co trzymało mnie w ryzach? Co kazało wtulać głowę w ramiona i bać się ciepłego deszczu? Powinnam rozpostrzeć ramiona i pozwolić, by splukał ze mnie frustrację. Tymczasem ganiałam w szpilkach za Brutusem, próbując go złapać. Trzeba się było przebrać przed spacerem, ale ogarnięta irytacją na rodzinę straciłam na praktyczności.

Burza przyszła nagle. Jak to wiosenna burza. Zajaśniało, zagrzmiało i lunęło jak z cebra. Brutus przybiegł do mnie z podkulonym ogonem. Na widok gromów i błyskawic odechciało mu się ucieczek. Mnie zaś jakby wmurowało w trawnik. Stałam, czując, jak włosy nasiąkają wodą, obcasy grzęzną w rozmięklej darni, a bluzka i spódnica przylepiają się do ciała. Dlaczego? Bo nie mogłam oderwać wzroku od mężczyzny, który wysiadł z samochodu. Parking przylegał do skweru. Dzieliło nas parę metrów i ściana deszczu. A zarazem nie dzieliło nas nic. Lejące się z nieba strugi utworzyły coś na kształt intymnego zakątka. Odnosiłam wrażenie, że na całym świecie jest tylko nas dwoje. Deszcz niszczył jego garnitur, a on stał i patrzył na mnie. Znałam go. Mieszkał na siódmym piętrze. Jego syn bawił się z moim, jego żona należała do komitetu rodzicielskiego. Tworzyli miłą rodzinę. Zawsze uważałam, że facet jest przystojny, ale nigdy nie przyszło mi do głowy, by spojrzeć na niego inaczej niż na sąsiada. A teraz, widząc, jak zdejmuje marynarkę, przeszył mnie dreszcz. Z zimna czy podniecenia? Jego koszula momentalnie przemokła, podkreślając tors i płaski brzuch. Czarne włosy przylgnęły do kształtnej czaszki, brwi uniosły się w wyrazie zdumienia, jakby też ujrzał mnie pierwszy raz

w życiu.

Jednocześnie ruszyliśmy w swoim kierunku. Zatrzymaliśmy się o jeden krok, o jeden oddech od siebie.

– Przemokła pani...

– To przez Brutusa. Zastrajkował. – Uśmiechnęłam się nerwowo, bo spaniel tulił się do moich nóg i skomlał, wyraźnie marząc o swoim suchym kocyku.

– Ja nie mam nic na swoje usprawiedliwienie – powiedział, a jego ton sugerował, że przynajmniej jedno wytłumaczenie by się znalazło. Ciężka sugestia w niskim głosie i błysk w ciemnych oczach wystarczyły, by znowu przeszły mnie ciarki, a piersi nabrzmiały w cienkim staniczku. Jego wzrok zdawał uczyć się na pamięć wzoru koronki. Poczułam strach zmieszany z ekscytacją na myśl, że przyjdzie nam razem jechać windą.

Na szczęście wraz z nami do dźwigu osobowego wsiadła rozzłoszczona starowinka. mm

– Wszystko mam mokre, nawet, za przeproszeniem, majtasy – wyznała z niszczącą atmosferą szczerością. Jednak gdy pożegnała nas na trzecim piętrze, nieoczekiwanie dopadła mnie klaustrofobia. Byłam aż nazbyt świadoma obecności sąsiada. Sierść mokrego spaniela wydzielala intensywny zapach, ale moje zmysły szalały pod wpływem zupełnie innych doznań. Szelest koszuli, zapach szamponu zmieszany z aromatem męskiego dezodorantu. Przypadkowe muśnięcie dłoni, gdy jednocześnie pogłaskaliśmy Brutusa. Cofnęłam rękę, wyprężając się jak struna. Gdyby wtedy mnie dotknął, wydałabym wysoki, dojmujący dźwięk. Ale chyba i jego sytuacja przerosła. Usunął się w róg windy i wbił wzrok w podłogę. Powiedzieliśmy sobie do widzenia z dużą ulgą.

Niemniej w domu byłam nieobecna duchem; przesoliłam ziemniaki i przypaliłam kotlety.

– Mama nam się zakochała – podsumował żartobliwie małżonek, a ja zaczerwieniłam się jak przyłapana na gorącym uczynku.

Następnego dnia niebo jaśniało błękitem, a powietrze tchnęło ożywczą bryzą. We mnie zaś wciąż kotłowały się mroczne emocje, zwłaszcza biorąc pod uwagę sny prześladowujące mnie w nocy. Jego dłonie rozpinające wolno guziczki

mojej bluzki. Moje palce zgrabnie wślizgujące się pod materiał jego koszuli, napięte mięśnie, gładka skóra, westchnięcia, udo przy udzie...

– Co się z panią dzieje, koleżanko? – zwrócił mi uwagę szef. – Trzeci raz powtarzam to samo zdanie. Dopadło panią jakieś wiosenne zauroczenie?

– Raczej wczorajsza burza. – Udałam, że psikam. Niezły patent, by uwolnić się od asysty kierownika hipochondryka.

Ale z towarzystwa natrętnych myśli nie umiałam się wyzwolić. Dopadały mnie w przeróżnych sytuacjach. Gdy piłam kawę, przypomniał mi się kolor jego oczu. Niemal westchnęłam, gdy wyczułam tamten zapach dezodorantu na korytarzu, a potem przestraszyłam kolegę, pytając zniecka, czego używa.

– Niczego zabronionego – odparł ostrożnie, a ja uznałam, że wariuję.

Kolejne dni były katorgą. Dziwną, dręcząco-słodką. Uważaj z życzeniami – słusznie ostrzegają mądrzy ludzie. Zachciało mi się powrotu do nastoletnich uczuć i spełniło się. Nagle wszystko zawirowało. Barwy stały się bardziej jaskrawe, a ciemność bardziej dogłębna. Zmysły szalały. Dopadła mnie majowa gorączka, nastoletnia burza, wiosenne pomieszanie z poplątaniem. Wiedziałam, że kocham mojego męża, moje dzieci, a zarazem czułam coś, czego od dawna już nie odczuwałam: podenerwowanie, łopotanie serca, fale zimna i gorąca. Klasyczne objawy. Po prostu zakochałam się w sąsiedzie z siódmego piętra! Już nie potrafiłam przejść obok niego obojętnie. Mijaliśmy się w drzwiach, kłanialiśmy się sobie w sklepie, wymienialiśmy uśmiechy i... za każdym razem coś iskrzyło. Wiedzieliśmy o tym oboje. Pewnie dlatego staraliśmy się unikać wszelkiego sam na sam.

Jednak los lubi płatać figle, a burze nie są w maju rzadkością. Tym razem deszcz złapał mnie po wyjściu z tramwaju. Biegiem wpadłam do bloku. Drzwi windy właśnie się domykały.

– Proszę na mnie poczekać! – krzyknęłam.

Męska dłoń przytrzymała ciężkie, metalowe odrzwia.

– Dzięki – sapnęłam, otrząsając się z wody. Uniosłam głowę i spojrzałam prosto w kawowe oczy. Za późno na ucieczkę. Winda ruszyła; podobnie jak ściany, wywołując kolejny atak paniki.

– Źle się pani czuje? – Pochylił się nade mną. Zapach bergamotki nasilił się. Osaczył mnie, pozbawił oddechu.

– To się nie dzieje naprawdę... – szepnęłam, kręcąc bezradnie głową. Znowu byliśmy mokrzy, sami na świecie i napięci niczym struny. W każdym razie ja. Wystarczyło trącić, by...

– Zbladłaś... – Dotknął mojego policzka, a ja wydałam z siebie przeciągły jęk, odskakując niczym oparzona. Moje plecy przywarły do panelu z guzikami. Niechcący wdusiłam przycisk „stop”. Winda zatrzymała się między czwartym a piątym. Między rzeczywistością a zakazanym światem ukrytych pragnień.

– To przypadek, celowe działanie czy przeznaczenie? – zagadnął uprzejmie przystojny sąsiad.

– Co to za pytanie? Nawet nie wiem, jak masz na imię.

– Marek. A pytanie jest jak najbardziej na miejscu. Dręczy mnie od czasu tamtej burzy.

– Jasne. Teraz brakuje tylko, żeby zgasło światło – próbowałam ratować się ironią. Choć chciałam, żeby zgasło, żeby ciemność stała się przepustką do zakazanej odwagi. Ale okratowana lampka nie zamierzała nawet zamigotać. Głośno przełknęłam ślinę.

– I co teraz?

– Pozostaje nam sprawdzić, co się dzieje.

– Winda stoi.

– Nie ona jedna... – mruknął.

Wpatrywaliśmy się w siebie jak zahipnotyzowani. Nie mogłam uwierzyć, że pragnie mnie do tego stopnia, by się do tej żądz przyznać. Byłam żoną i matką, rozsądną kobietą – zazwyczaj. On też miał rodzinę i poukładane życie. Ale przecież nie wymyśliłam sobie tego napięcia między nami; iskier, które mogłyby wzniecić pożar i strawić stuletni bór, a co dopiero nas dwoje. I nagle rzuciliśmy się na siebie. Zachłannie, łapczywie. Całował mnie, ja całowałam jego. Jego ręce były

wszędzie, wplatały się we włosy, przesuwwały się od szyi do pośladków. Moje palce, jak wyobrażałam sobie tyle razy, zapuściły się pod jego koszulę. Wpiły się w gładką skórą, pod którą grały napięte mięśnie. Wtuliłam się w niego, przylgnęłam niczym rękawiczka do dłoni. Delikatnie ugryzłam go w język; w odpowiedzi przygryzł moją wargę. Objęłam udami jego udo i pozwoliłam się unieść. Wygięłam się w łuk. Zawędrował ustami do nabrzmiałego sutka. Ujął go ustami i zaczął ssać. Niemal zapłakałam. Przestałam myśleć, cała byłam odczuwaniem. Zmysły smaku, dotyku i węchu niosły mnie poza granice rozsądku i moralności...

Nie wiadomo, co by się stało, gdyby znienacka winda nie ruszyła. Przytuliłam się do niego.

– Ciii... – uspokajał mnie i siebie. – Już dobrze. Chyba ktoś nas ściągnął na dół.

– Cóż za trafna metafora – powiedziałam, odsuwając się i poprawiając włosy oraz ubranie. On wsadził koszulę za pasek, a marynarkę przewiesił tak, by zasłoniła wybrzuszenie z przodu spodni.

– Niczego nie żałuję – wyznał. – Będę miał o czym śnić po nocach.

– Ja też. – Uśmiechnęłam się.

Szybko wróciłam do równowagi. Na pewno szybciej niż gdyby do niczego nie doszło. Po tygodniu incydent w windzie stał się niezapomnianym, ekscytującym, ale tylko wspomnieniem. Nie żałowałam nagłego porwyu namiętności. Dzięki temu odkryłam, że wciąż jestem do niej zdolna. Co ciekawe, moje małżeństwo tylko na tym zyskało. Mąż szybko zapomniał o złości, gdy wyłączyłam mu telewizor w środku Wiadomości. Wystarczyło, że rozchyliłam szlafroczek, pod którym nic na sobie nie miałam. Dzieci bawiły się na dworze, ale dla pewności zamknęłam drzwi na trzy spusty, co małżonek przyjął z aplauzem. Więc jednak wciąż potrafiłam zrobić na nim większe wrażenie niż zenujące intelektualne striptizy kolejnej komisji śledczej...

Można mijać się każdego dnia i nic. Potem jedno wydarzenie, trwające ledwie kilka chwil, sprawia, że wszystko się zmienia. To, co było obojętną grzecznością, przeradza się w fascynację i trzepot motyli skrzydeł. Intymny sekret, krótkotrwała burza zmysłów, na zawsze łączy dwoje obcych ludzi, a zarazem ożywia stary związek. I takich momentów nie wolno nie doceniać ani

ich żałować. Bo życie to chwila, jak powiedział ktoś mądry.

Złamane serce

Dostałam zaproszenie na imprezę rocznicową z okazji dziesięciolecia matury. Nie zamierzałam iść. Wątpię, by ktokolwiek zauważył moją nieobecność. Nie należałam do klasowej elity, za to do paru kółek zainteresowań. Byłam prymuską z zasadami. Chętnie udzielałam się w akcji samopomocy uczniowskiej, ale nie podpowiadałam na lekcjach i nie dawałam ściągac. Nie uznawałam też zgryw w stylu: „urywamy się z ostatniej matmy” albo „oddajemy na sprawdzianie puste kartki”. Takie podejście do szkolnego życia skazywało mnie na status outsiderki. Mój wybór, którego nie żałowałam, poza jednym wyjątkiem. Sergiusz... Złamał mi serce i nawet tego nie zauważył. Ostatnio widziałam w reklamie pasty do zębów aktora bardzo do niego podobnego i znowu wszystko wróciło. Dlatego nie uśmiechała mi się konfrontacja z przeszłością. A jeżeli znowu wpadnę po uszy? Przez lata porównywałam z Sergiuszem każdego nowo poznanego faceta i każdy wypadał blado. Trudno walczyć z siłą młodzieńczego zauroczenia. Podkochiwałam się w nim od pierwszej klasy, w czym nie byłam oryginalna. Pół szkoły za nim szalało. Sergiusz – bożyszczko dziewczyn, idol chłopaków, modny, przystojny, wysportowany, najpopularniejsza postać w szkole. Moje przeciwieństwo. Ale to właśnie ja miałam pójść z nim na bal! Myślałam, że pana Boga za nogi złapałam. Naiwna idiotka...

Dzwonek telefonu wyrwał mnie z zamyślenia. Odebrałam, by usłyszeć kolejny głos z przeszłości.

– Witaj, posągowa Mirosławo. Kopę lat. Poznajesz, kto mówi?

Oczywiście. On nadał mi to przezwisko i wiele innych, sugerujących, że jestem zimna i sztywna. Nie cierpiałam go. Od pierwszej klasy ścieraliśmy się, aż iskry szły. Uwielbiał mnie drażnić. Pan trefniś, klasowy błazen, pierwszy zgrywus i najlepszy kumpel Sergiusza. Brak prezencji i charyzmy nadrabiał siermiężnym dowcipem. Jednak to właśnie on miał okazję poznać moje wrażliwsze, mniej posągowe ja. Szkoda, że rozstaliśmy się w gniewie.

– Witaj, Sławku. Dzwonisz, żeby się pokłócić czy pogodzić? – zapytałam ostrożnie.

– To zależy, czy idziesz na imprezę. Jak cię znam, pewnie kombinujesz, jak się wymigać. Nic z tego. Jesteś mi coś winna. Dziesięć lat czekałem. Wpadnę po ciebie jutro o piątej. Masz być gotowa. Żadnych wymówek.

– Czy...? – Urwałam, ale Sławek domyślił się pytania.

– Jasne, że Sergiusz się zjawi. Nie odpuściłby sobie występu przed gronem dawnych fanek. Porównasz wspomnienia z rzeczywistością. Ciekawi mnie wynik tej lustracji.

Odłożyłam słuchawkę z mętlikiem w głowie. „Jesteś mi coś winna” – powiedział. Niby co? Do czego pił? Do tamtego pocałunku? Nie wiedzieć czemu mój puls przyspieszył, a w gardle zaschło. Czyżby skutki nieczystego sumienia? Okej, nie potraktowałam go najlepiej, ale to był przecież najgorszy dzień mojego życia. Zresztą to wszystko jego wina! Uruchomił lawinę zdarzeń, podchodząc do mnie wtedy na przerwie...

– Hej, wasza posągowość. Nim spopielisz mnie wzrokiem, najpierw wysłuchaj. – Złożył ręce jak do modlitwy. Znowu błaznował.

– Streszczaj się, zaraz dzwonek. Nie lubię się spóźniać na lekcje bez ważnego powodu.

– Jasne – potaknął – ty niczego nie robisz bez ważnego powodu. Dlatego się dogadamy. Niedługo matura, a ja z anglika kiepsko stoję. Nie zdam, jeżeli mnie nie wesprzesz. Mój wywiad donosi, że nawet analfabetę nauczysz pisać wierszem.

– Gratuluję wywiadu. – Uśmiechnęłam się krzywo. – Tylko czemu miałabym się wysilać i tracić cenny czas?

– Bo jestem fajny i mnie lubisz? – Zatrzepotał rękami.

– Próbuj dalej.

– Bo dobra z ciebie kobieta i nie odmawiasz pomocy potrzebującym. Poza tym znajdę ci partnera na bal maturalny. Ptaszki śpiewają, że nie masz pary i nawet rozważasz rezygnację z imprezy. Szkoda by było. Na myśl o tobie w balowej sukni moje tętno wariuje...

– Uważaj, żebyś zawału nie dostał – mruknęłam rozbawiona. – Kto niby miałby być tym partnerem? – spytałam z czystej ciekawości, lecz mój wzrok bezwiednie powędrował w kierunku Sergiusza. Stał po drugiej stronie korytarza. Smukły, wysoki, elegancki. Pięknie prezentował się na tle dużego okna, niczym

książę z obrazu. Słońce przeświałało jego rozwichrzone jasne włosy, tworząc złocistą aureolę wokół kształtnej głowy. Przełknęłam ślinę.

– Szczerze mówiąc, myślałem o sobie. Niestety, jak widzę, wybrałaś kogoś innego, co... łamie mi serce! – Sławek westchnął z udaną rozpaczą. – Ale da się zrobić. Sergiusz też nie ma pary, wyobraź sobie. Jego ostatnia panna stroi fochy, więc chętnie utrże jej ślicznego noska, idąc z tobą, panno z marmuru.

– Zbytek łaski – uniosłam się honorem. – Niby czemu miałabym się zgodzić?

– Prestiż, boska Mirosławo. Prestiż. Mają cię za nudziarę i kujona? Ale to ty wygrasz główną nagrodę i pójdiesz na bal z księciem. Nie jakaś pustogłowa lala, ale ty, dziewczyna z zasadami i najwyższą średnią w szkole. Dobrnieś do mety w pięknym stylu.

Kusił, niecnie kusił. Ale odmówiłabym, gdy w tym momencie Sergiusz do nas nie podszedł. Uśmiechnął się, zaćmiewając słońce.

– To będzie niezapomniany bal... – obiecał, a ja potrafiłam tylko kiwnąć głową.

Lekcje ze Sławkiem do łatwych nie należały. Na szczęście nie był kompletnym lingwistycznym dnem. Znał słownictwo, miał niezły akcent i swadę wypowiedzi, tylko z gramatyką stał kiepsko. Na niej się skupiałam – gdy mogłam. Bowiem niesforny Sławek szybko się nudził i rozpraszał. Zbaczał z tematu, gadając o sobie albo ciągnąc mnie z język. Był tak uparty, a zarazem ujmujący, że udzielałam mu informacji, byle się odczepił i wrócił do nauki. Przy okazji jednak z miłym zaskoczeniem odkryłam, że wiele nas łączy. Był ambitny, miał pasję i marzenie. Ja chciałam zostać lekarzem, on pisarzem. Ujął mnie znajomością z Kubusiem Puchatkiem i niesłabnącym uwielbieniem dla Mamy Muminka. Poza tym oboje lubiliśmy kryminały, chichotaliśmy na horrorach, nie cierpieliśmy szparagów, za to przepadaliśmy za przekąską w postaci jabłka, czekolady i szklanki mleka. Ja uprawiałam jogging, on jeździł na rolkach. Nie ustąpił, póki nie umówiłam się z nim na wspólny „spacer”.

– Pod warunkiem że nie powiesz słowa po polsku.

– Litości! Ja już śnię po angielsku. Jedyna radość, że o tobie... – Poruszył znacząco brwiami i wlepił we mnie cielece spojrzenie.

Flirtował nieustannie – po swojemu, błazeńsko – co mi pochlebiało, nie wprawiając w zakłopotanie. Wręcz przeciwnie. Dni mijały, a ja czułam się przy nim coraz swobodniej, jak z bratem albo przyjacielem. O dziwo, skrępowanie pojawiało się wraz z Sergiuszem. Nawiedził nas parę razy, jakby sprawdzając, czy należycie wypełniam swoją część umowy. Sławek trajkotał i błaznował wtedy więcej niż zwykle, wręcz na siłę. Ja z kolei sztywniałam, na powrót przywdziewając pozę posągowej, pilnując każdego słowa i gestu. Czy na balu też tak będzie? Trochę się tego obawiałam. Czasami już bym wołała, żeby to Sławek mi towarzyszył. Na pewno dobrze bym się bawiła. Tyle że prestiż mniejszy, a właściwie – żaden. Z drobnym, chudym rudzielcem u boku nie zrobiłabym na nikim wrażenia.

Za to nie widziałam nic złego w fakcie, że Sławek pomagał mi szukać sukienki na bal. Sam nalegał. A jak wybrzydzał! Nie ten kolor, nie taki fason. Choć przyznaję, że kiedy w końcu wybrał, poczułam się niemal... piękna. Sprawił to niekłamanym zachwytem w jego oczach, bez cienia błazeństwa. Wrócił do kręcenia nosem, gdy kupiłam szpilki.

– Za wysokie. Będziesz wyższa ode mnie.

– Ale nie od Sergiusza – przypomniałam mu.

– No tak. Głupi palant... – Zdumiona uniosłam brwi. – Co chcesz – wzruszył ramionami – zazdrosny jestem. Sam mu załatwiłem, że pójdzie na bal z najładniejszą laską w mieście. Też bym chciał, ale ty mnie nie chcesz, buu! – zachlipał.

– Mój ty biedaku... – Poglaskałam go po głowie. Nadstawił się jak kot i nawet zamruczał. Zachichotałam i trzepnęłam go w ucho. Zaraz potem rzuciłam się z piskiem do ucieczki, a on pognął za mną, grożąc mi straszną śmiercią.

Tak mniej więcej wyglądała ta nasza nauka. Na cud boski zakrawa, że Sławek zdał maturę z angielskiego na czwórkę z plusem. Z resztą poradził sobie równie dobrze. O swoich osiągnięciach skromnie powiem, iż nikogo nie zdziwiły.

Potem pozostało mi już tylko czekać na bal. Niecierpliwie odliczałam dni. Wyobrażałam sobie tę chwilę setki razy przed zaśnięciem. Za zamkniętymi oczami przesuwiał się piękny film... Wkraczamy razem do sali, wszyscy wzdychają z podziwem i zazdrością, Sergiusz obejmuje mnie ramieniem, nie odstępuję na

krok, na moment nie spuszcza ze mnie zachwyconego spojrzenia, wirujemy w tańcu, najpiękniejsza para na balu, patrzcie i podziwiajcie... Ależ byłam naiwna, po prostu głupia. Dzień, na który czekałam, który miał być chwilą mojego towarzyskiego triumfu, okazał się totalną klapą. Co gorsza, biorąc pod uwagę rozmach przygotowań, o samym balu niewiele mam do opowiedzenia, żałośnie wprost mało. Sergiusz zwyczajnie o mnie zapomniał, jak o parasolu zostawionym w szatni. Niby przyszliśmy razem, ale minutę później odpłynął w objęciach Aliny, pięknej rudowłosej kuzynki Sławka. To ich podziwiano, o nich plotkowano, to z nią zatańczył w pierwszej parze poloneza. To ja stałam i patrzyłam, z zazdrością i żalem. Pominięta, upokorzona, i zła.

– Czemuś ją ze sobą zabrał? – warknęłam do Sławka. – Nie mogłeś wybrać jakiejś brzydszej krewnej, mniej widowiskowej?

– Do ciebie i tak się nie umywa – zapewnił lojalnie. – Wyglądasz zjawiskowo, posągowo pięknie, i duszę masz piękną, i umysł, i w ogóle... Kocham się w tobie od pierwszej klasy! Robię, co mogę, byś to wreszcie dostrzegła, widać źle się staram... – Nerwowym gestem przeczesał rudą czuprynę. Niewątpliwie robił, co mógł, by mnie pocieszyć. Bez skutku.

– Daruj sobie. Nie chcę twojej litości. Posągowa? Masz rację, cholera. Sterczę tu jak jakiś posąg! A oni tam – wskazałam parkiet – brylują. Nie tak miało być. Nie to mi obiecywałeś!

– Ależ nic straconego! Osobiście marzę, by z tobą zatańczyć. Nawet brałam cichcem lekcje u mamy, by cię olśnić w razie czego. Nie przejmuj się Sergiuszem. Zapatrzony w siebie pozer i tyle. Olej go i skup się na mnie, wybierz mnie, mnie wybierz, halo, tu jestem! – Zamachał mi rękami przed twarzą.

Patrzyłam na niego jak na wariata. Złość i rozżalenie wzięły górę.

– Co ty bredzisz? Błazen za księcia? Też mi zamiana! – prychnęłam i rozżalona wybiegałam z sali. Guzik mnie obchodziło, czy pójdzie za mną.

Jednak poszedł. Dogonił mnie, złapał za ramię i obrócił w swoją stronę.

– Przepróż – zażądał cicho.

Zdążyłam ochłonąć i zrobiło mi się głupio, że tak mu dopieklam. Lubiłam go, naprawdę. Nie jego wina, że nie był Sergiuszem.

– Przepraszam, zachowałam się podle – szepnęłam.

– Próbuj dalej... – burknął.

Spojrzałam prosto w piwne oczy. Pociemniały. Zazwyczaj pełne ciepła i humoru, teraz były smutne i poważne. Przeze mnie. Musiałam ciut się pochylić, by go pocałować. Spiał się i zamarł, jakby w niedowierzaniu, ale już po chwili jego wargi rozchyliły się i podjęły intymny taniec. Spletliśmy oddechy i języki. Już nie ja jego, ale on mnie całował. Po swojemu: zachłannie, radośnie, wariacko.

– Chryste Panie!... – wydyszał, gdy w końcu się od siebie oderwaliśmy.
– Wiedziałem, że tak będzie! – Patrzył na mnie jak na siódmy cud świata.

Również z trudem łąpałam dech, kolana mi drżały, w głowie huczało. Intensywność tego pocałunku zaskoczyła mnie, a głębia uczuć – moich, jego? – przeraziła. Nie byłam na nie gotowa, wołałam złamać mu serce. Powiedziałam więc pierwsze, co mi się nasunęło:

– Teraz będziesz mógł opowiedzieć kumplowi, co stracił.

Policzki Sławka oblał ceglany rumieniec. Równie dobrze mogłam go uderzyć. Efekt byłby taki sam.

Wspominając później dzień balu, wołałam rozpamiętywać upokorzenie doznane ze strony Sergiusza, niż zastanawiać się, czemu tak wstrętnie potraktowałam Sławka. Czemu nie odpowiadałam na jego telefony, listy, czemu zerwałam z nim wszelki kontakt. Na dziesięć lat. A teraz mieliśmy się spotkać. Już jutro. Za godzinę. Za chwilę... Jak to będzie? Co wróci? Dawna swoboda i porozumienie czy zażenowanie, wstyd i ten dziwny lęk...?

Otworzyłam mu drzwi i już wiedziałam. Choć z trudem go poznałam, było tak, jakbyśmy się rozstali zaledwie wczoraj.

– Aleś wyprzystojniał! – krzyknęłam na dzień dobry i wciągnęłam go do pokoju, by dokładnie obejrzeć. – Włosy ci ściemniały, rysy zmężniały, ciało też. No, no, co za bary. Chyba w ogóle urosłeś. – Choć byłam w szpilkach musiałam unieść głowę, by spojrzeć mu w oczy. Piwne, pełne humoru, jak dawniej. Co za ulga!

– Gdy dałaś mi kosza, raniąc moją dumę i łamiąc serce, mój organizm wziął się za siebie. Skoro wolisz wyższych, rosłem i czekałem na drugą szansę.

– Przestań! – Trzepnęłam go żartobliwie w ramię. – Boże, nawet nie wiesz, jak się cieszę, że cię widzę! – Kiwał głową z uśmiechem, że wie, bo cieszy się tak samo. – Co u ciebie? Opowiadaj!

Przegadaliśmy godzinę, rozprawiając jedno przez drugie. Nie mogłam się na niego napatrzeć. Co rusz go dotykałam, by się upewnić, że naprawdę tu jest, siedzi na mojej kanapie, że go sobie nie wymyśliłam. Dopiero teraz pojęłam, jak bardzo za nim tęskniłam, jak brakowało mi naszych rozmów i przekomarzanek. Może i Sergiusz podobał mi się fizycznie, ale tak naprawdę to ze Sławkiem porównywałam każdego faceta. Żaden nie był dość bystry, zabawny, zaangażowany. Żaden nie umiał patrzeć na mnie tak jak on. Już mnie to nie przerażało, dojrzałam przez te lata. Zrozumiałam, że okradłam samą siebie, wykluczając go z mojego życia. Na szczęście wrócił i łatwo go nie puszczę.

– Czy musimy iść na tę imprezę? – Skrzywiłam się.

– Musimy. – Wziął mnie za rękę, splótł moje palce ze swoimi. – Po pierwsze, wisisz mi taniec. Po drugie, musisz spotkać się z Sergiuszem. Ty zламаłaś moje serce, on twoje. Bez tej konfrontacji nie uwierzę, że się zrosło. Poczeka mnie myśl, że nic się nie zmienił...

Weszliśmy do pubu. Na nasz widok wszyscy się zerwali i zaczęli z nami witać. Nie spodziewałam się aż tak gorącego przyjęcia. Czyżbym jednak była lubiana? Bo Sławek na pewno. Roztaczał wokół siebie czar i charyzmę. Koledzy klepali go po plecach, koleżanki cisnęły się, by go wycalować. Kolejny mój błąd. Chłopak, którego miałam za trefnisią, był faktycznym klasowym przywódcą. A jego wysokość książę? Niewielkie zrobił na mnie wrażenie, żałośnie wprost nikłe, biorąc pod uwagę wcześniejsze obawy. Stał z boku, czekając, aż tłum się rozstąpi. Przystojniejszy niż zapamiętałam, to mu muszę oddać. Ale jakiś nienaturalny, upozowany, zważający na każdy gest i słowo. Oraz nudny jak flaki z olejem. Rzucił „witam, witam”, a potem zaczął rozprawiać o reklamie, w której wystąpił. Pasty do zębów. Więc to jednak jego widziałam.

Szturchnęłam Sławka i zapytałam z rozczarowaniem:

– Rany, zawsze był takim pozerem? I ja się w nim kochałam... ale wstyd...

– Tłumaczy cię, choć tylko trochę, że nie ty jedna – odparł, obejmując mnie.
– Grają naszą melodię. Pani pozwoli?

– Naszą melodię? Od kiedy?

– Od teraz. – Poruszył znacząco brwiami i wlepił w mnie zakochane piwne oczy. Moje serce załomotało szaleńczo. Bez cienia wątpliwości było całe i zdrowe.

Obserwator

Obiekt – korpulentny właściciel sklepu w centrum, na co dzień przykładowy mąż i ojciec – opuścił hurtownię napojów o 16.02. Spakował towar do furgonetki i odjechał. Wolno ruszyłem w ślad za nim. Nie wracał do centrum.

Detektywem zostałem przez przypadek. Jakiś typek w kapturze uciekał środkiem chodnika, potrącając każdego na swej drodze. Mało nie przewrócił kobiety z wózkiem. Miał pecha, że wpadł na mnie. Niewielki unik, rzut przez biodro i koleś grzmotnął o podłoże aż miło. Goniący, postawny mężczyzna koło czterdziestki, był pod wrażeniem.

– Brawo. I dzięki. Zwiałyby mi, gówniarz. Z tym. – Odebrał młodemu czerwoną damską torebkę. – Dobry jesteś. Co trenujesz? Dżudo?

– Od szóstego roku życia. To twoja? – Wskazałem torebkę. – Gustowna...

– Proszę, proszę. – Uśmiechnął się. – Wysportowany, z refleksem i dowcipny na dokładkę. Coraz bardziej mi się podobasz. Gdybyś szukał zajęcia, wpadnij. Tu masz namiary. – Wręczył mi wizytówkę.

Nim zdążyłem zapytać o szczegóły, pojawili się policjanci i okradziona kobieta. Zrobił się rejwach jak na targu. A ja patrzyłem na błyszczący kartonik z logiem Agencji Detektywistycznej OKO i myślałem: to jest to, odpowiedź na pytanie, które dręczyło mnie od kilku miesięcy. Co dalej? Co po dyplomie? Ojciec chciał, żebym studiował prawo; ja marzyłam o aktorstwie; ostatecznie wyładowałem na AWF-ie. Tyle że nie widziałem się w roli nauczyciela wuefu. Chciałem czegoś... sam nie wiedziałem czego, póki nie dostałem tej wizytówki. Prawnicze geny, sportowe przygotowanie i zacięcie aktorskie. Nie mogłem wymarzyć dla siebie lepszej roboty. Po sześciu latach wciąż tak uważałem.

– Wyjaśnione, odfajkowane. – Asystentka Tina odłożyła *ad acta* sprawę sklepikarza. Nie był tak przykładowy. Zdradzał żonę w hotelu Arkadia, wynajmującym pokoje i „pokojówki” na godziny.

– Masz dla mnie coś nowego, ciekawszego niż facet z kryzysem wieku średniego? – spytałem.

– Mam. Firma Castle. Zajmują się tworzeniem systemów alarmowych,

głównie dla prywatnych osób. Ostatnio ich klienci padają ofiarą włamań. Gina drobiazgi, nic cennego. Złodziej zakrada się jak duch, niczego nie niszczy, zabiera kilka fantów i znika. Policja nie wie, od czego zacząć, i nawet nie udaje, że się przejmuje. Mała szkodliwość czynu. Nie dla naszego klienta, bo tracą wiarygodność i zlecenia.

– Kto jest obiektem?

– Młoda kobieta, podwójny inżynier, po informatyce i architekturze, od czterech lat główny projektant firmy – włączył się Marek, mój szef. – Nim się pojawiła, radzili sobie nieźle. Dzięki niej stali się bezkonkurencyjni. O ironio, to właśnie czyni z niej pierwszą podejrzaną. Tylko ona mogłaby obejść własne, dotąd niezawodne, systemy zabezpieczeń. Tyle że nie widzę motywu. Szefostwo ją hołubi, dobrze płaci. W życiu prywatnym też spokój: brak podejrzanych ruchów czy znajomości. Firma nie wierzy w jej winę. Wolą podejrzewać błąd w równaniu niż brak lojalności, niemniej muszą się upewnić. Tu pojawiaasz się ty. Skoro obserwacja z daleka nic nie dała...

– Czas na podryw – odgadłem. – Nie pierwszy raz skorzystałbym ze swego zabójczego uroku dla zdobycia informacji, czyż nie?

– Czyż tak. Jeżeli się przed kimś zdradzi, to przed tobą. Choć tym razem może być trudniej...

– Bo jest zdziwaczalą, starą panną? Daj spokój! Zjem ją na śniadanie.

– Albo ona ciebie, pyszałku! – prychnęła Tina. – Twój nowy obiekt ma zaledwie dwadzieścia trzy lata i IQ 170. Kolejne etapy edukacji zaliczała eksternistycznie i ekspresowo. To po prostu geniusz.

– Cholera, takie buty... – mruknąłem z respektem.

Maszerowała trotuarem. Drobna, niewysoka. Biała koszulka, niebieskie džinsy, adidas, włosy spięte w kitkę, kciuki zatknięte za troki małego plecaka. Wyglądała jak grzeczna panienka na wycieczce szkolnej. Tym gorzej dla niej. Weszła do gry i poniesie konsekwencje. Oho, zaczęło się... Wpadł na nią rozpędzony wrotkarz – uczeplił się plecaka i zakręcił dziewczyną jak frygą. Z trudem zachowała równowagę. Zaraz potem pojawił się kolejny pasjonat rolek, i jeszcze jeden, i kolejny. Otoczyli ją, raz po raz próbując odebrać plecak. Taki był plan. Przyuważyłem wrotkarzy w pobliskim parku i zaproponowałem kasę za mały

happening. Mieli ją nastraszyć i dać mi pretekst do ruszenia z odsieczą. Idealny sposób, żeby... Cholera, co ona robi?! Dziewczyna usiadła na asfalcie i rozdarła się:

– Ratunku!!! Policja!!! Pali się!!!

– Wyluzuj, już odjechali. – Podałem jej rękę. – Jeżeli policja kogoś zgarnie, to ciebie, za zakłócanie porządku.

– Jakbym mało miała problemów – mruknęła, przyjmując pomocną dłoń.

– Pali się...? – Uniosłem brwi.

– Badania dowodzą, że to hasło spotyka się z największym społecznym odzewem. Pożar jednoczy, bo zagraża każdemu w pobliżu. Ale chyba trochę przesadziłam. Przestraszyłam się i teraz burczy mi w brzuchu; tak reaguję na stres. Może coś zjemy? Ja stawiam. Co powiesz na pizzę? Mam na imię Zuzanna, dla przyjaciół Zuza. Choć jak na przyjaciela jesteś zbyt przystojny. To co, idziemy?

Ruszyłem za nią z mętlikiem w głowie. Oczekiwałem przeprawy z osobą trudną i nieufną. Tymczasem obiekt trajkotał za dwoje, prawił mi komplementy i wykazywał iście wilczy apetyt.

– Nie krępuj się. – Podsunąłem jej swoją niedojedzoną pizzę.

– Dzięki. Kiedy się denerwuję, jem. I gadam. Ruszanie szczęką mnie uspokaja. Zwykle lepiej nad sobą panuję, ale ci wrotkarze kompletnie mnie rozstroili.

– Świetnie sobie poradziłaś. Sprytnie.

– Na tym polega moja praca, na sprytnym unikaniu zagrożeń. Projektuję systemy alarmowe. Niestety ostatnio zaliczam wpadkę za wpadką. Ale dosyć o mnie – zgrabnie zmieniła temat. – Czym się zajmuje facet, który wygląda jak marzenie i spieszy z pomocą kobiecie w potrzebie? Mundurowy, sportowiec, aktor? – Wlepiała we mnie kocie oczy: wielkie, bursztynowe, w naturalnie ciemnej oprawie. Ale to jej domyślność zrobiła na mnie większe wrażenie.

– Wszystko po trochu. Jestem prywatnym detektywem.

Nie wolno lekceważyć inteligentnego przeciwnika. Trzymałem się więc

pierwszej zasady rasowego kłamcy: maksimum prawdy, minimum zmyśleń. Rzuciłem kilkoma autentycznymi anegdotami, ubarwiając je nieco. Efekt przeszedł moje najśmielsze oczekiwania. Zuzanna... zamilkła! Słuchała, mieniąc się na twarzy. Nawet przestała jeść.

– Przepraszam, ale muszę lecieć – udałem, że się spieszę. Nie kryła rozczarowania. – Wcale nie chcę. – Ująłem jej dłoń, delikatnie masując nasadę kciuka. Sprawdzona metoda okazała się super skuteczna. Przeszły ją ciarki, stawiając na baczność jasne włoski na przedramieniu. Zarumieniła się. – Cudnie się gada. Niestety obowiązki wzywają. – Puściłem jej rękę. Odzew był natychmiastowy.

– Może umówimy się jutro? Przed Multikinem. Mam bilety na dziewiętnastą.

Kaszka z mleczkiem. Już mi jadła z ręki...

Gapilem się w ekran, próbując nie ziewać. Co za chała! Zerknąłem na Zuzannę. Pochłaniała popcorn, jakby konała z głodu. Albo z nudów. Złapałem ją za rękę i pociągnąłem do wyjścia. Przed kinem wybuchnęła śmiechem.

– Sorry! Nie wiedziałam, że to będzie takie dno. Co robimy z resztą wieczoru? Decyduj. Ja się poddam. Najpierw zezarłam ci pizzę, potem zafundowałam intelektualną lobotomię.

– Może napijemy się piwa, pogadamy, porzucamy lotkami? Znam miły pub...

Ograła mnie. Jej strzałki trafiały w tarczę jak zaczarowane. Cieszyła się, skacząc i piszcząc. Jako detektyw też poniosłem klęskę. Rozluźniona atmosferą pubu mówiła chętniej o sobie i swojej pracy, ale nie dowiedziałem się wiele więcej, niż wcześniej zdradził mi szef.

– Mam dosyć – mruknąłem po jej kolejnym celnym rzucie. – Niszczysz moje męskie ego.

– Zmier się ze mną, mała. Moje ego wytrzyma. – Przyżegłował do nas jakiś koleś. Nie spodobał mi się sposób, w jaki gapił się na Zuzę. Na jej opięty dzinsami tyłeczek i drobne, acz kształtne piersi rysujące się pod materiałem bluzki. Podrywałem ją służbowo, nie prywatnie. Niemniej znajdowała się pod moją

opieką.

– Spadaj! – warknąłem do śliniącego się natręta.

– A jak nie, to co? Pobijesz mnie, mięśniaku?

Naprawdę byłem gotów mu przyłożyć. Tym razem Zuzanna złapała mnie za rękę i wyciągnęła na zewnątrz.

– Ochłoń. Bo uznam, że mogę cię pocałować – zażartowała.

– Zrób to.

Posłuchała. Musiała wspiąć się na palce. Musiałem się pochylić. Miała miękkie usta i ciekawski język. Komuś zakręciło się w głowie. Komu...? Chyba jej. Objąłem ją ramieniem w pasie i uniosłem. Jedną ręką. Drugą przesunąłem wzdłuż uda i zatrzymałem na pośladku. Ścisnąłem go. Był niewielki, ale krągły i jędrny. Pasował do mojej dłoni. Wtuliła się we mnie, poruszyła biodrami. Westchnąłem, jęknęła cichutko. Pogłębiłem pocałunek. Komuś waliło serce. Komu...? Nie wiem. Wolno opuściłem ją na ziemię. Milczeliśmy, oddychając ciężko. Jej oczy miały kolor roztopionego złota...

Umówiliśmy się na sobotę. Punkt dwunasta na Starym Rynku. Dwa dni czekania? Za długo. Postanowiłem kuć żelazo, póki gorące. W piątek, gdy wyszła z pracy, już na nią czekałem.

– Skąd ty tutaj? Jak mnie...?

– Jestem detektywem. Każdego wytropię, zwłaszcza piękną dziewczynę, na której mi zależy. Tęskniłem już w godzinę po rozstaniu. Nie mogłem czekać do soboty. – Zgrywałem zakochanego; cel uświęca środki. I znowu osiągnąłem więcej, niż oczekiwałem. Obiekt rzucił mi się na szyję.

– Jak dobrze, że jesteś!

Przytuliłem ją. Bezwiednie pogłaskałem po głowie. Spinka spadła, jasne włosy rozsypały się. W dotyku przypominały jedwab i pachniały szamponem dla dzieci. Poczulem irracjonalną złość.

– Co się stało? Ktoś cię skrzywdził? Obję mu gębę!

– Najpierw musiałbyś go znaleźć... – Westchnęła. – Znowu było włamanie. Zginęło pudełko cygar, perfumy pani domu i żarcie dla kota. Szkody wyniosły łącznie siedemset złotych. Firma straciła znacznie więcej: kolejnego klienta. To już szósty, który zerwał umowę! Gwarantuję najwyższą jakość wszystkich moich projektów, nawet tych sprzed dwóch lat. Nie miały prawa zawieść, a jednak ktoś wyłącza je jak ogrzewanie we własnym aucie!

– Sprzed dwóch lat...? – uderzyło mnie. Odsunąłem ją na odległość ramion. – A później? Skoncentruj się. Czy włamano się do jakiegoś domu, dla którego tworzyłaś system później? – Po chwili zastanowienia, wolno, jakby niechętnie, pokręciła głową. – Myśl dalej. – Potrząsnąłem nią lekko. – Co takiego zdarzyło się dwa lata temu? Coś musiało się zdarzyć, skoro... – Urwałem, widząc, jak blednie i sztywnieje. Łza spłynęła po jej policzku. Przeraziłem się. Po raz pierwszy w życiu poczułem się niezgrabny, za duży, za silny.

– Zuzka, przepraszam, nie chciałem...

– To nie przez ciebie. Dwa lata temu Marcin zerwał zaręczyny. Nikt o nich nie wiedział. Tak jak nikt nie wiedział, że od roku jesteśmy parą. Nie afiszowaliśmy się.

– Bo? – niemal wyrwałem z siebie to pytanie.

– Bo był moim asystentem, a ja jego szefową. Mało komfortowa sytuacja dla obu stron. Jak się pierwszy raz w życiu zakochałam, to w podwładnym, starszym od siebie i mocno ambitnym. Namawiał mnie do odejścia z firmy, założenia własnej. Przekonywał, że tak będzie uczciwiej. I zarobimy znacznie więcej. Zależało mi na nim, bardzo, ale musiałam odmówić. Polubiłam swoją pracę, kolegów, atmosferę w firmie. Szefostwo mnie doceniło, dało szansę, takiej smarkuli! Odwdzięczałam się, jak umiałam. Marcin tego nie rozumiał, obraził się, a moją lojalność nazwał głupotą, mój upór – chęcią dominacji nad nim. Z firmy odszedł za porozumieniem stron, ode mnie zażądał zwrotu pierścionka. Właśnie to się zdarzyło dwa lata temu. Straciłam ukochanego, ale na firmie się nie zawiodłam. Kiedy wynikła afera z kradzieżami...

Nie słuchałem, ogarnięty wściekłością. Na szefa, że tego nie sprawdził. Na siebie, że kiedykolwiek mogłem podejrzewać Zuzę o podłe knowania. Bardziej naturalnej i szczerzej osoby w życiu nie spotkałem. I bardziej naiwnej. Mimo swego intelektualnego geniuszu emocjonalnie błędziła w lesie. To tłumaczy, czemu

zadurzyła się w tym gadzie. Też się nie popisałem. Na samą myśl, że całował ją, dotykał, pieścił, ogarnęła mnie zazdrość, jakiej w życiu nie czułem.

– Czy nie widzisz, że to on?! – wybuchnąłem. – Wykradł twoje tajemnice, przeczekał dwa lata i teraz wykorzystuje je przeciwko byłej firmie i tobie!

– Nie wierzę... – szepnęła. – Nie wierzę, że ktoś mógłby udawać miłość, żeby wydobyć informacje...

Jakbym dostał obuchem między oczy. Może on nie udawał, może tylko mścił się za odrzucenie, ale... ja udawałem. I wpadłem na właściwy trop. Agencja go sprawdziła, potwierdziła i przekazała prokuraturze. Wkrótce wszczęto oficjalne dochodzenie przeciwko Marcinowi N. za szpiegostwo przemysłowe. Zuza czuła się mocno zraniona jego zdradą, niemniej wyraźnie odetchnęła z ulgą, gdy wszystko wreszcie się wyjaśniło. Wiedziałem, bo mimo rozwiązania sprawy wciąż się z nią spotykałem, ukrywając rolę, jaką odegrałem. Jednak przed Markiem i Tiną niczego nie dało się ukryć. Wiedzieli, że wpadłem po uszy. Po przyjacielsku radzili: odpuść albo się przyznaj. Nie mogłem, nie chciałem, nie umiałem. Z każdą randką zakochiwałem się w Zuzce coraz bardziej, coraz poważniej. Kiedy dowie się prawdy...

Jednak spotykałem się z nią, wbrew rozsądkowi, zbierając wspomnienia na przyszłość. Pocałunki. Uśmiechy. Spojrzenia. Splecione palce. Jej drobne piersi na moim torsie. Jej pośladki w moich dłoniach. Jej smutek, gdy się żegnałem. Jej radość na powitanie. Ładowałem baterie. By przeżyć, gdy się dowie. Aktor gra, sportowiec chce wygrać, prawnik też. Zuza niczego nie próbowała udawać ani wygrywać. Była sobą. Przy niej powoli uczyłem się tego samego: szczerości. Kiedy leżeliśmy w jej panińskim łóżku, kiedy miała na sobie tylko mnie i moje dłonie, musiałem się przyznać.

– Śledziłem cię. Byłaś moim obiektem.

– Co ty powiesz...? – Zmrużyła żółte, kocie oczy. I uśmiechnęła się jak tylko koty potrafią, z wszystkowiedzącym, leniwym zadowoleniem. – A ja głupio myślałam, że kiedy grunt palił mi się pod nogami, przystojny detektyw stanął na mojej drodze zupełnie przypadkiem. Ależ ze mnie idiotka...

Sobótka

Stuk, stuk – stukały obcasy szpilek w rytm moich kroków. Nie za szybko, nie za wolno. W sam raz. Wiedziałam, skąd i dokąd zmierzam. Samochód zaparkowałam przy Alejach (jak zwykle) i teraz szłam stałą trasą – w dół Paderewskiego, potem Starym Rynkiem do Franciszkańskiej, gdzie znajdowało się Towarzystwo Ubezpieczeniowe, w którym pracowałam od dwóch lat. Lubiłam swoją pracę, tak jak lubiłam swoje uporządkowane biurko i poukładane, zaplanowane na kilka lat naprzód życie. Mierzył mnie bałagan, pośpiech, decyzje podejmowane *ad hoc*. Moja starsza siostra Bianka cieszyła się chwilą i nie najlepiej na tym wychodziła. Wciąż zmieniała pracę i partnerów, balansowała na krawędzi, między euforią a dołami rozpaczy. Mój scenariusz nie przewidywał takiego braku odpowiedzialności.

Stuk, stuk – stukały obcasy w rytm moich myśli. Nie za szybko, nie za wolno. W sam raz. Od dwóch lat przemierzałam tę trasę dwa razy dziennie i nic nie było w stanie zakłócić tego rytuału. Dopiero parę tygodni temu na rogu Franciszkańskiej pojawił się on: grajek. O dziesiątej rano nie musiałam się obawiać spotkania z nim; tacy jak on nie wstają przed południem. Ale nim skończę pracę, na pewno go usłyszę. Mocny męski głos bez trudu przeniknie przez wiekowe mury i nieproszony wedrze się do mojej głowy. Grajek będzie uderzał w struny i śpiewał te dziwne, niepokojące songi, pełne tęsknoty i gorzko-słodkiego żalu...

Stuk, stuk – stukały obcasy w dokładnie odmierzonym rytmie. Słumiłam rodzącą się irytację. Nie na długo. Miał cały gwarny rynek do wyboru, ale jak na złość musiał ustawić się ze swoją gitarą akurat tutaj, tak blisko mnie! Przeszkadzał mi w pracy. Mącił w myślach, mieszał w uporządkowanym świecie.

Kilka dni temu okazało się, że jest gorzej, niż sądziłam. Akurat podpisywałam umowę z klientem i wydawało mi się, że poświęcam temu całą uwagę. Do momentu gdy starszy pan chrząknął i zauważył niby mimochodem:

– Ta piękna w swej prostocie melodia wspaniale pasuje do słów Norwida.

– Jakich słów? – zdziwiłam się, unosząc głowę. Nie rozumiałam, skąd w jego twarzy tyle pobłażliwego rozbawienia.

– *Przecież i ja ziemi tyle mam, ile jej stopa ma pokrywa, dopokąd idę* – powtórzył, a ja uświadomiłam sobie z przerażeniem, że nuciłam na głos.

– Bardzo pana przepraszam. Ten grajek... rozprasza mnie. Naprawdę bardzo mi przykro.

– Nie ma za co przepraszać – uspokoił mnie. – Chłopak ma talent.

– Chyba do wyprowadzania mnie z równowagi – burknęłam. – Zamiast wziąć się za porządną robotę, brzdąka na gitarze i przeszkadza uczciwym ludziom w pracy. Proszę o podpis tu i tutaj.

Stuk, stuk – stukały obcasy po chodniku w rytm moich pewnych kroków. Nie za szybko, nie za wolno. W sam raz. Wiedziałam, skąd i dokąd zmierzam.

I nagle... usłyszałam go! Boże, co tu robił o tej porze?! Stuk. Stuk. Stuk. Obcasy uderzały o bruk zbyt stanowczo, zbyt sztywno. Ale nie mogłam pozwolić sobie na słabość. Nie chciałam zmylić kroku. Nie zrobię mu tej przyjemności – pomyślałam zupełnie bez sensu. Pewnie nawet nie wiedział, że istnieję; choć ja byłam aż nazbyt świadoma jego obecności. *Wędrujemy cygańskim obozem, nocujemy w gwiazdzistej grozie...* – śpiewał. Mimo ciepłego, słonecznego dnia przeszły mnie dreszcze. Odległość między nami zmniejszała się. Dostrzegłam cień zarostu na ogorzałej twarzy... związane z tyłu długie włosy... koraliki w rozcięciu koszuli wypuszczonej na znoszone dżinsy...

Zwykle otaczał go wianuszek słuchaczy. Teraz było ich tylko paru. Za mało! Tylko spokojnie, nie gap się na niego, po prostu przejdź obok, spokojnie, najważniejsze to zachować spokój – powtarzałam sobie w kółko. Bo niepokoił mnie. Był zaprzeczeniem wszystkiego, w co wierzyłam, czemu hołdowałam. Żył z dnia na dzień, bez planu, rozwagi, z tego, co rzucili dobrzy ludzie, żył poezją, muzyką i powietrzem. Przerazał mnie! Podobnie jak jego jasnieniebiskie oczy, które przyszpiliły mnie do chodnika, gdy nasze spojrzenia spotkały się po raz pierwszy. Jakby szukał mojego wzroku, jakby widział, że słuchałam go mimo dzielących nas murów i wbrew własnej woli. Jakby śpiewał właśnie dla mnie, jakby czekał, żebym wyszła z pracy i nasze oczy wreszcie się spotkały. Absurdalny pomysł! Ale tkwiąc niczym wmurowana w płyty chodnika, nie mogłam myśleć o niczym innym. Może patrzył nie na mnie, ale przeze mnie? Śpiewał, zatopiony we własnym świetle, nieświadom tego, co się ze mną dzieje. A może wręcz przeciwnie... W końcu nie zniosłam napięcia. Umknęłam wzrokiem w bok. Ruszyłam gwałtownie do przodu i potknęłam się. Złapałam równowagę i uciekłam. Stuk-stuk, stuk-stuk. Gonił mnie dźwięczny głos i słowa: *Wędrujemy cygańskim obozem, nocujemy w gwiazdzistej grozie, dzisiaj pod Wielkim Wozem, jutro na*

Wielkim Wozie...

Maria Pawlikowska-Jasnorzewska. Dobrze zapamiętałam ten krótki wiersz. Kiedyś towarzyszył mi w Bieszczadach, gdy spaliśmy pod gołym niebem w miejscach, gdzie nie wolno było rozbijać namiotów. Grajek trafił w czuły punkt. Moja pierwsza miłość, pierwszy seks, pierwsze rozczarowanie, złamane serce... Już to wystarczyło, bym unikała go jak zarazy. Przypomnił mi o uczuciach, o których wołałam zapomnieć.

A teraz znowu śpiewał to samo!

Stuk, stuk, stuk... – stukały obcasy, ale już cichutko, trwożliwe. Już nie chciałam niczego nikomu udowadniać, tylko przemknąć obok, niezauważona. Zagrał ostatni dramatyczny akord, ludzie zaczęli klaskać. Odruchowo spojrzałam przez ramię i znowu ugrzęzłam w jasnoniebieskiej toni. Złapał mnie i uwięził. Patrzył, a ja oddychałam z trudem. Czego ode mnie chcesz? Czemu grasz pod moim oknem?!

Położył dłoń na sercu i ukłonił się. Monety posypały się do futerału. Poczułam się winna, bo kłaniał się mnie. Dlaczego? Czemu mi to robił? Przecież nawet mnie nie znał.

Znowu uciekłam, obcasy zastukały nierówno. Nieważne. Dopadłam drzwi agencji i skryłam się w bezpiecznym, przewidywalnym świetle, gdzie ryzyko jest dokładnie skalkulowane. Niewiele mi to dało. Byłam u kresu wytrzymałości. Grajek niszczył moją samokontrolę, burzył spokój. Budził wspomnienia i uczucia, które pragnęłam wymazać z serca i pamięci. Dosyć tego. Poszłam do szefa i poprosiłam o urlop. Od zaraz.

– Zośka, Noc Świętojańska przed nami! – Parę dni później siostra wpadła do mnie jak bomba. – Chyba nie zamierzasz spędzić takiej nocy w domu przed telewizorem? W końcu masz wakacje!

– Propozycje? – spytałam, godząc się z losem. Była na krzywej zwyżkującej. Tryskała energią niczym gejzer.

– Sobótką nad Maltą. Zapowiada się niezła impreza. Ogniska, puszczanie wianków, śpiewy i tańce, totalna orgia! – entuzjasmowała się.

– Jasne... – mruknęłam. W takim stanie potrafiła być nieobliczalna.

Absolutnie nie mogłam puścić jej samej. – Na którą się umawiamy?

– Na ósmą. Tylko, błagam, załóż coś niezobowiązującego. Żadnych sztywnych garsonek. Wyluzuj choć raz.

– A sweter, w razie chłodu, mogę zabrać?

– Jeżeli będzie ci zimno w sobótkową noc, to źle z tobą, sestro!
– Zachichotała.

Założyłam białą sukienkę, którą kupiłam pod wpływem impulsu. Oczarowała mnie szeroką, długą spódnicą oraz idealnie dopasowanym gorsetem bez ramiączek. Wspaniale podkreślała talię, a fiszbiny uwypuklały mój niezbyt obfity biust. Nigdy nie wyglądałam bardziej seksownie. Dlatego od miesięcy sukienka gniła w szafie. Nie miałam ani okazji, ani dość odwagi, by w niej paradować publicznie. Ale wreszcie doczekała się chwili triumfu.

Bianka pochwaliła mój wybór.

– Świetna kiecka. Jak szyta na miarę. Tylko żadnych swetrów, bo się zmarnuje. A ty nie zaszalejesz!

Nie zamierzałam szaleć. Raczej dobrze się bawić, obserwując innych i przy okazji nie spuszczać siostry z oka. Impreza miała oficjalnych sponsorów, patronat radiowy, organizatorzy postarali się o zgodę na palenie ognisk, nad bezpieczeństwem czuwały odpowiednie służby. Teoretycznie nic nie mogło się stać. Praktycznie mogło zdarzyć się wszystko...

Słońce z wolna chyliło się ku zachodowi, a ja miałam wrażenie, że trafiłam w środek niedzielного pikniku. Rodziny z dziećmi. Rozłożone koce. Piski i śmiechy. Pieczone kiełbaski i karkówka z grilla. Budki z watą cukrową i lodami. Dystrybutory z piwem.

Trwał mocno spóźniony koncert. Scena na wodzie wyglądała niesamowicie, oświetlona jedynie łuczycami. Czas mijał niepostrzeżenie. Kapela grała, tłum się kołysał, decybele waliły w bębny, a dzieciarnia, wymęczona wrażeniami, coraz liczniej przysypiała w objęciach rodziców. Dzięki ogniskom wciąż było jasno jak w dzień, niemniej słońce skryło się już za horyzontem, mówiąc „witaj” najkrótszej w roku nocy.

Koncert się skończył, parkingi opustoszały, ale nad brzegiem jeziora atmosfera jakby zgęstniała. Ściągnęli ci, którzy łaknęli czegoś więcej niż piwa, głośniejszej muzyki czy kiełbasek. Chcieli sobótkowej orgii. Do ogromnego ogniska rozpalonego naprzeciw sceny oraz kilku mniejszych nieopodal dołączyło wiele innych, rozrzuconych wokół całego jeziora. Pojawiały się znikąd, niczym pradawne wici rozsyłane od grodu do grodu, oznajmiając, że nie wojnę, a... Sobótkę czas zacząć!

Bianka natychmiast wczuła się w ten gorący, przesycony dymem i podnieceniem nastrój. Przyłączyła się do grupki nieznajomych i już po chwili podrygiwała wraz z nimi wokół niewielkiego ogniska w jakimś dziwnym szamańskim tańcu. Ktoś skoczył ponad płomieniami. Ktoś wrzucił w ogień garść ziół. Rozszedł się intensywny zapach... Chciałam odciągnąć siostrę, przywołać do porządku, ale wtedy usłyszałam pieśń niesioną po wodzie, gdzieś z daleka i bliska zarazem. Słowa brzmiały niewyraźnie, ale ten głos poznałabym na końcu świata. Mój grajek tu był i wołał mnie. Tylko raz zerknęłam na siostrę. Tańczyła, coś mruzczała pod nosem, falowała... Wyglądała jak służka pogańskiego boga. Nie powinnam jej zostawiać, ale, na Kupałę, była dorosła! A ja nie potrafiłam się oprzeć temu, który mnie wzywał.

Klap, klap! – zaprotestowały moje sandaalki na koturnie. Zdjęłam je i pobiegłam boso. Minęłam pusty stok narciarski, trybuny, źródelko, przebiegłam przez most, uniosłam wzrok ku skarpie powyżej. Tam, na niewielkiej polance, płonęło kolejne ognisko, stamtąd płynęła pieśń. Teraz już rozróżniałam słowa.

– Gdy słońce Raka zagrzewa, a słowik więcej nie śpiewa, Sobótkę, jako czas niesie, zapalono w Czarnym Lesie...

Dopałam drewnianych schodów, wspięłam się na nie, a potem leśną dróżką podążyłam ku czerwonej łunie. Mocny dźwięczny głos nęcił i obiecywał.

Puk-puk! Puk-puk! – łomotało serce w mojej piersi. Wyrывało się do niego. Nie czułam przerażenia, ale wszechogarniającą radość. Zaraz go zobaczę, jeszcze tylko kilka kroków, zaraz stanę naprzeciw niego i...

Wyszłam wprost na trwającą w najlepsze zabawę. Młodzi ludzie siedzieli na drewnianych ławach, na trawie, na barierkach otaczających polanę. Wielu tańczyło wokół ogniska, inni krążyli od jednej grupki do drugiej. Opadł mnie gwar rozmów i śmiechów. A ja naiwnie myślałam, że będziemy tu tylko we dwoje. Wciąż słyszałam sobótkową pieśń i dźwięki gitary, ale samego grajka nigdzie nie mogłam

dostrzec. Gdy przestał grać, poczułam lęk. Co ja tu robię? Co sobie roiałam? Stałam na tle mrocznego lasu, samotna i zagubiona. Moja sukienka odbijała blask płomieni. Tu jestem! Zauważ mnie! – zdawała się krzyczeć. Miała więcej odwagi niż ja. Opuściłam powieki, odcinając się od świata, który znowu mnie rozczarował.

Trzasnęła gałązka, zaszurał żwir. Ktoś się zbliżał. Otworzyłam oczy i w łunie ogniska ujrzałam zarys ciemnej postaci z gitarą przewieszoną przez ramię. Puk-Puk! Puk-puk! – załomotało serce w mojej piersi, przestraszone nadzieją, która je wypełniała.

– Czekałem – powiedział.

– Skąd wiedziałeś, że przyjdę?

– Przeczucie, przeznaczenie... – Uśmiechnął się. Bardziej usłyszałam, niż zobaczyłam ten uśmiech. Jego twarz wciąż tonęła w cieniu. – Ale teraz się boję. Wyglądasz piękniej, niż mógłbym to sobie wyobrazić. Jak panna młoda. Po prostu brak mi słów.

– Tobie, Poecie? – zdziwiłam się. – Pieśń o sobótce była...

– Kochanowskiego. Jestem odtwórcą. Zwykłym grajkiem z oficjalnym giejtem na występy w miejscach publicznych. Rozczarowana?

– Nie. Kiedyś odnajdziesz swoją muzę.

– Już ją znalazłem. Na co dzień nosi garsonki i poważną minę, stuka obcasami po miejskim bruku. Ale w głębi jej duszy śpi bosonoga, leśna nimfa, dla której śpiewałam, licząc, że usłyszy, obudzi się...

Położyłam dłoń na piersi i skłoniłam się w podzięcie. Jego śmiech zabrzączał jak szczerze złoto. Nie wiedziałam, skąd i dokąd zmierzam, ale moje serce wiedziało. Biło: stuk-puk, stuk-puk. Nie za szybko, nie za wolno. W sam raz.

Schadzka

Centrum handlowe świeciło pustkami. Jak zwykle przed południem w środku tygodnia. Poza tym zaczął się lipiec; większość narodu ruszyła na wakacje, nad morza i jeziora, byle dalej od tonącego w smogu i duchocie miasta. Osobiście wołałem góry, z ich różnorodnością krajobrazu, ale na dalekie wędrówki przyjdzie mi jeszcze kilka lat poczekać. Aż dzieciaki podrosną i dadzą radę zdobywać szczyty. Trudno, coś za coś. Na razie zrobiłem sobie małe wagiary. Przełożyłem służbowe sprawy i urwałem się z pracy na schadzkę. Na uroczę i sekretne sam na sam. Toteż pasowało mi pustawe centrum. Im mniej widzów, tym mniejsze prawdopodobieństwo, że natknę się na jakiegoś gadulskiego natręta, który przeszkodzi w randce. Pierwszej od dość dawna. Pochwycony w objęcia stabilizacji, zaharowany po uszy, zaniedbałem tę sferę swego życia. Bo przecież wyjścia z własną żoną do znajomych czy na imprezy rodzinne trudno uznać za randkowanie. Zdążyłem niemal zapomnieć, jak to jest, czuć ową ekscytującą niepewność i narastające podniecenie, gdy zerkając na zegarek, czeka się na piękną kobietę. A szkoda.

Spacerowałem klimatyzowanym holem. Mój wzrok przesunął się bezwiednie po kolorowych wystawach i zaraz wracał do nielicznych, snujących się sennie klientów. Wypatrywałam wśród nich tej jednej twarzy. Denerwowałem się. Powiedziała: znajdziemy się. Ale czy przyjdzie? Może w ostatniej chwili coś jej jednak wypadnie i nici ze spotkania? Choć to ona na nie nalegała. Zadzwoiła do mnie wczoraj. Jako właściciel własnej firmy wciąż jestem zagoniony, odebrałem machinalnie, nawet nie spojrzawszy na wyświetlacz, i mruknąłem:

– Nowak. W czym mogę pomóc?

– Na to liczę, że będziesz mógł pomóc – usłyszałem zaskakującą odpowiedź.

– Basia...? – Serce zabiło mocniej. – Coś się stało, że dzwonisz?

– A zaraz potrzebny jest jakiś konkretny powód? Nie mogę, ot tak, zadzwonić do swojego... – zawahała się – najlepszego przyjaciela. Wciąż nim jesteś, mam nadzieję...

– Oczywiście – odparłem.

– To świetnie. Bo źle mi, Marek – chliphnęła. Już się nie droczyła. W jej

głosie wyłapałem gorycz, zmęczenie. – Staram się być dzielna, wszak nikt nie obiecywał, że będzie lekko, ale... już nie mogę. Mam dosyć! Czuję się osaczona, zamknięta jak w klatce, dzień w dzień to samo, od miesięcy, właściwie od lat. Muszę się wyrwać z tego kierunku! Choć na parę godzin. Odetchnąć inną atmosferą, bo... bo wybuchnę!

– Co proponujesz?

– Spotkaj się ze mną. Na neutralnym gruncie. Tylko ty i ja. Jak kiedyś. Pogadamy o głupotach, żadnych poważnych tematów, poflirtujemy... Świetnie nam to wychodziło. Kiedyś... – Znowu to znaczące słówko. – Chcę znowu poczuć się kobietą godną grzechu. Kogo mam prosić o taką przysługę? Sąsiada? – zadrwiła. – Tego, który bezwstydnie gapi się na mój tyłek?

– To nie byłoby rozsądne – zauważyłem ostrożnie. – Twój, hm, mąż mógłby źle to odebrać... – zażartowałem.

– Właśnie... – Westchnęła. – Jak go znam, amory z brzuchatym, łysiejącym sąsiadem potraktowałby niczym zamach na swoje męskie ego. Więc jestem skazana na... ciebie.

– Nie zabrzmiało zbyt pochlebnie – obruszyłem się.

– A ty pochlebstw potrzebujesz, biedaku? – użaliła się kpiąco. – Komplementów? No to jest nas dwoje. Też czuję się niedopieszczona, nieco zaniedbana oraz, że użyję poetyckiej metafory, zagubiona w meandrach codzienności. Przyda się nam ta randka. Mnie na pewno. Może to rozbroi bombę, w którą się zmieniam. Niemal słyszę, jak tyka...

– Teraz też? Eksplozja tuż, tuż? – zaniepokoiłem się. Wiedziałem, że jest jej ciężko, w końcu nie pierwszy raz o tym rozmawialiśmy. Nie sądziłem jednak, iż sprawa przybrała tak niebezpieczne, grożące wybuchem rozmiary. – Potrzebujesz saperskiego natychmiast?

– No... bez przesady. Wytrzymam jeszcze trochę. – Wyczułem, że się rozluźnia, uśmiecha. – Nie zamierzam aż tak wywracać nam planu dnia do góry nogami. Oboje musimy się zorganizować. Ale może jutro? W centrum handlowym? Miałabym blisko. Tylko dwa przystanki autobusem. W okolicach jedenastej. Poproszę mamę, oferowała się z pomocą. Tym razem nie odmówię i pozwolę się wyręczyć. Własnej matce mogę chyba zaufać. A ty dasz radę znaleźć

zastępstwo?

– Jasne. Byciem szefem, poza wiecznymi nerwami, posiada także pewne plusy. Poza tym nie wystawię do wiatru swojej najlepszej przyjaciółki.

– Jesteś słodki. Wiesz, już ta krótka rozmowa mi pomogła. Co nie znaczy, że ci odpuszczę. Czyli jesteśmy umówieni, tak? Mamy jutro sekretną schadzkę.

– Tak jest – szepnąłem. – Jakies stroje maskujące przewidujesz? Może tajne hasło ustalimy?

– Wymyśl coś! – Zachichotała. – No to pa, mój konspiratorze.

– Moment, Basiu, a gdzie konkretnie się spotkamy? Centrum jest duże.

– Znajdziemy się. Po prostu mnie wypatruj...

Więc wypatrywałem, podekscytowany niczym smarkacz. Spóźniała się. Nastawiłem się i byłbym mocno zawiedziony, gdyby *rendez-vous* nie wypaliło. Zdążyłem zrobić dwie rundy wokół pasażu, nim wreszcie ją dostrzegłem. Szła wolno, kołysząc zalotnie biodrami. Obcasy szpilek stukały o posadzkę. Na pewno się nie maskowała – wręcz przeciwnie! Wystroiła się; może stąd to spóźnienie. Jednak efekt wart był czekania. Boże, zapomniałem, jaka z niej seksowna laska! Ostatnio widywałem ją głównie w dzinsach, włosach spiętych w kitkę i luźnych koszulach – wygodnych, łatwych do prania, ale bezkształtnych. Za to dziś... Rozpuściła włosy, założyła szpilki i letnią, kwiecistą sukienkę. Rozkloszowana spódnica opływała krągłe biodra, a opięta góra podkreślała pełne piersi. Jakiś facet zapuścił żurawia w kuszący dekolt i aż zmylił krok z wrażenia. Nie dla psa kielbasa, pomyślałem, ruszając w kierunku Basi. Złapałem jej wyciągniętą dłoń i uniosłem ku górze. Okręciła się tanecznie.

– I jak? – spytała, puszczając do mnie oko.

– Bosko! – oceniłem i cmoknąłem nadstawione usta. Smakowały truskawkowym błyszczkiem. – Bosko oraz... pysznie. – Oblizałem wargi. – Po prostu rewelacja. Gdyby tu było więcej ludzi, prowokowałabyś korki, bo męski trup ścieliłby się gęsto.

– Tylko tak mówisz... – Zarumieniła się.

– Akurat! Tamten gostek wciąż się za tobą ogląda. Mam mu dać w zęby?
– Przybrałem buńczuczną postawę.

– Obejdzie się, kogucie. Ty też niezgorzej się prezentujesz. Ładny ten lniany garnitur... Nowy, prawda? – Uśmiechnęła się kącikiem ust.

– Żona mi kupiła – podjąłem grę. – Ale dotąd nie nosiłem, bo wydawał mi się za jasny.

– Bzdura, świetnie wyglądasz. Ma dziewczyna gust.

– Nie będę zaprzeczał. W końcu za mnie wyszła...

– Szczęściara – mruknęła Basia. – Mimo wszystko – dodała, biorąc mnie pod ramię i ciągnąc w stronę pobliskiej kawiarenki. – Mam ochotę na kawę i jakiś deser. Ogromny! Pójdzie mi w biodra, ale jak szaleć, to szaleć.

– Jak to: mimo wszystko?! – Złapałem się za serce teatralnym gestem.
– Sugerujesz, że jestem złym mężem?

Nie odpowiedziała. Może pytanie było zbyt poważne jak na lekką rozmowę. Nie tak się umawialiśmy. Weszliśmy do pustawego lokalu, zajmując miejsce w rogu przy oknie. Od razu przyciągnęliśmy uwagę znudzonej kelnerki. Basia zamówiła podwójne cappuccino i dużą porcję lodów z owocami oraz bitą śmietaną. Ja poprzestałem na samej kawie. Za to z ogromną przyjemnością przyglądałem się swej partnerce pałaszującej deser.

– Pyszności... – Wyskrobała czarkę i oblizwała łyżeczkę. Bardzo seksownie, *notabene*. – Po takim lunchu świat od razu wydaje się piękniejszy.

– Patrząc na ciebie, na pewno... – Uśmiechnąłem się i znacząco dotknąłem jej kolana pod stołem. Rzuciła mi powłóczyście spojrzenie.

– Oj, nieładnie, mój panie – wymruczała. – Najpierw urywasz się z roboty na randkę z dawną kochanką. Potem uwodzisz ją bitą śmietaną, a teraz na dokładkę obmacujesz pod stołem. Czy to przystoi dobremu mężowi?

– Auć, zabolalo... Ty przewrotna, niewdzięczna kobieto... Ale i tak cię uwielbiam – szepnąłem, splatając jej palce ze swoimi.

– Ja ciebie też – odszepnęła.

Czas upływał nam szybko. Było jak kiedyś. Patrzyliśmy sobie w oczy, trzymaliśmy się za ręce, żartowaliśmy, flirtując na całego i przyprawiając podsłuchującą kelnerkę o wypieki. Nie poruszaliśmy żadnych ciężkich tematów. Skupialiśmy się na wspominkach i odległej przyszłości, kiedy wykradniemy dla siebie znacznie więcej czasu i wybierzemy się wspólnie nie na jedną sekretną randkę, ale całe długie wakacje. Tylko we dwoje. Może w góry, a może na bezludną wyspę...

Trzy godziny minęły nie wiedzieć kiedy. Niechętnie wracaliśmy do szarej rzeczywistości. Kawiarenka z wolna napełniała się ludźmi. Przy stoliku obok nas usadowiła się młoda kobieta. Ćwierkała do malca w wózku, na którym nie robiło to żadnego wrażenia. Rozdarł się na podobieństwo syreny strażackiej. Znałem ten nagłący, zropaczony ton. Niemowlak wyraźnie był głodny.

– O rany... mleko! – jęknęła Basia.

– Fakt, przydałoby się zatkać smarkaczowi dziób jakąś butelką – potaknąłem rozbawiony.

– Nie o to chodzi, głupku – syknęła, patrząc znacząco na swoje piersi.
– Moje mleko pociekło.

– Nie ściągnęłaś przed wyjściem?

– Ściągnęłam – westchnęła – i co z tego? Słyszę płacz głodnego niemowlaka i reaguję instynktownie. Taki los karmiących matek. Jestem mleczarnią w trybie całodobowym, zawsze gotową do udoju – burknęła. – Od tego nie da się uciec na długo. Chodźmy, zanim pokarm przesiąknie przez stanik i pocieknie mi do butów.

Nie mogłem się powstrzymać, parsknąłem śmiechem.

– Ciebie to bawi? – Zmarszczyła brwi.

– Troszeczkę. Przyznasz sama, zaskakujący koniec ma ta nasza romantyczna schadzka.

– No faktycznie. Prozaicznie życiowy. Taka... karma, nie tylko w sensie filozoficznym.

Teraz oboje zachichotaliśmy.

Uiściłem rachunek i opuściliśmy knajpkę. Potem odwiozłem Basię. Na pożegnanie pocałowała mnie gorąco i powiedziała, że musimy rzecz powtórzyć. Bo pomogło, mimo nietypowego finału

– Oczywiście, skarbie. Zawsze możesz na mnie liczyć. Widzimy się wieczorem. Wróć trochę później, bo nie wypominając, muszę nadgonić robotę, którą zaniedbałem z powodu...

– To nie wypominaj, nie psuj efektu! – Wymierzyła mi kuksańca.

Po czym moja żona wysiadła i pobiegła do domu. Do pomocnej teściowej, dzielnie zajmującej się naszymi dziećmi: trzyletnim Michasiem, zadającym setki pytań, i siedmiomiesięczną Olą, wciąż karmioną piersią.

Randka na łonie

Karolina przyglądała mi się nieco nazbyt uważnie. Właściwie nie tyle uważnie, co z głębokim namysłem... Westchnąłem w duchu. *Damn it*, co tym razem wymyśliła?

Poznaliśmy się czwartego lipca, trzy lata temu, na bankiecie zorganizowanym przez Ambasadę Amerykańską z okazji Święta Niepodległości. Przywykłem do rautów i bali oraz obecności na nich pięknych, eleganckich kobiet, ale kogoś tak niezwykłego jak Karolina jeszcze nie spotkałem. Wyróżniała się niczym polna róża w otoczeniu szklarniowych kwiatów. Oszałamiała naturalnym wdziękiem i delikatną urodą. Gdy raz na nią spojrzałem, nie mogłem oderwać wzroku. Niemal zapomniałem o swych obowiązkach. Gdyby nie wieloletnia wprawa, stałbym, gapiąc się w nieznaną jak sroka w gnat (jedno z powiedzonek mojej *grandma*).

Prowadziłem uprzejme rozmowy, odklaniałem się grzecznie, wymieniałem wizytówki, a zarazem zataczałem coraz bliższe kręgi wokół dziewczyny. Wyczuła moje zainteresowanie. Spojrzała mi prosto w oczy i uśmiechnęła się, wabiąc słodką obietnicą... Czego? Nie mogłem się doczekać, by to sprawdzić. I nie zamierzałem prosić nikogo o pośrednictwo w prezentacji, a już na pewno nie jej towarzysza, ambitnego urzędnika Biura Promocji Miasta. Była dla niego jedynie ozdobą, kwiatkiem w butonierce. *Stupid!* Gdy odplynał w stronę francuskiego konsula, ruszyłem do ataku.

– George Kowalsky...? – powtórzyła. – Ma pan polskie korzenie? Teraz rozumiem. Doskonała dykcja. Prawie nie słyhać jankeskiego akcentu, panie Kowalski.

– Mów mi George – zaproponowałem, kolejny raz łamiąc etykietę. – Albo po prostu Jurek, tak nazywała mnie babka.

– Po prostu Jurek... bardzo ładnie. Co robisz po pracy?

– Jestem umówiony z tobą.

I tak to się zaczęło... Była zabawna, urocza, nieprzewidywalna. Każdą wolną chwilę spędzaliśmy razem, a ja utwierdzałem się w przekonaniu, że oto spotkałem kobietę swojego życia. Kto by pomyślał, że właśnie tutaj: w ojczyźnie moich

dziadków, z której wyemigrowali, szukając szczęścia za wielką wodą. Powróciłem do korzeni i krąg się zamknął. Odnalazłem swoje przeznaczenie.

Nie mogła uwierzyć, gdy oświadczyłem się jej po trzech miesiącach.

– Nie za szybko jak na rozsądnego Amerykanina? Dzieli nas różnica wieku, doświadczeń, temperamentu, wychowania, nawet kultury. Polskie korzenie nic tu nie zmieniają. Na pewno wiesz, na co się porywasz? – spytała poważnie. – Nie nadaję się na żonę dyplomaty. Nawet w roli sekretarki wypadam kiepsko. Jestem nazbyt... – Wzruszyła bezradnie ramionami, nie umiejąc się określić.

Ale właśnie to trudne do określenia „nazbyt” tak mnie pociągało.

– Kochasz mnie? – spytałem. – Tylko to się liczy.

– Kocham...

– *So, nothing else matters!* Naprawdę, nic więcej nie ma znaczenia.

– Pożyjemy, zobaczymy...

So, od ponad dwóch lat żyliśmy jak małżeństwo, ale na razie wyjść za mnie nie chciała. Wciąż miałem wrażenie, że mnie sprawdza; próbuje, ile znieś, ile wytrzymam. Na każdym kroku podkreślała swoją niezależność, udawiała, że ma własne poglądy i humory. Na pewnym raucie wdała się w błyskotliwą dyskusję z konserwatywnym politykiem na temat antykoncepcji i celibatu księży. Nie wtrącałem się. Potrafiła wykręcić się w ostatniej chwili od oficjalnej kolacji, na którą nie wypadało mi przyjść samotnie. A jednak nie szukałem zastępstwa i nie tłumaczyłem nieobecności narzeczonej migreną, w którą i tak nikt by nie uwierzył.

Życzliwi radzili, żebym z nią zerwał, bo zaprzepaści mi dyplomatyczną karierę. *Maybe. So what?* Bez Karoliny kariera znaczyła dla mnie tyle co zeszłoroczny śnieg (kolejne z powiedzonek mojej babci). Przyjaciele zaś obawiali się, że stałem się... – jak to się mówi po polsku? – pantoflarzem, wiążąc się z tą *strange Polish women*. Możliwe, że była nieco dziwna. Zajęcia z jogi i tai-chi jeszcze rozumiem. Ale na co dwudziestotrzyletniej kobiecie odnajdywanie wewnętrznego dziecka i wmywanie toksyn z organizmu? Teoretycznie mnie – trzydziestopięcioletniemu dyplomacie o duszy starca – bardziej by się to przydało. Na szczęście nie potrzebowałem już żadnych terapii. Przy Karoli młodniałem z dnia na dzień. Inaczej bym za nią nie nadażył. Wystarczyło, że

wyjechałem na parę dni, a ona przemeblowała mieszkanie – zgodnie z zasadami feng shui. Zawiesiła w oknach dzwoneczki i łapacze złych snów oraz wywaliła mój stary fotel, bo... miał złe wibracje.

Czemu jej ustępowałem? Bo nie lubiłem się kłócić, zwłaszcza o drobiazgi typu fotel czy indiański *dreamcatcher*. Czemu tolerowałem gorsze wyskoki? Bo czułem, że prowokuje mnie celowo, testuje... Czeka na wpadkę, by mi udowodnić, że z tej mąki chleba nie będzie, jak mawiała moja *grandma*. Nic z tego. Okazałbym się kiepskim dyplomatą, zawalając najważniejsze w życiu pertraktacje. Kochałem tę szaloną, upartą dziewczynę. Przy niej każda inna kobieta wypadła blade. Fascynowała mnie, rozczulała, intrygowała, nigdy się z nią nie nudziłem, bo nigdy nie wiedziałem, co wymyśli. Jak teraz.

– Czemu mi się tak przyglądasz? Mam plamę na spodniach, pryszczka na twarzy...?

– Nie. Wyglądasz jak należy. Jak zawsze zresztą. To ja tu nie pasuję. Nie pasuję do ciebie. Ale powiedz mi, kiedy ostatni raz zabrałeś mnie na prawdziwą randkę?

– Przedwczoraj – odparłem. – Byliśmy w kinie, a potem na kolacji w twojej ulubionej restauracji.

Zmarszczyła brwi.

– Nie o takiej randce mówię. Ale o prawdziwej, spontanicznej łączności dusz na gruncie...

– Tydzień temu – wszedłem jej w słowo – bardzo spontanicznie połączyłem się z twoją słowiańską duszą na gruncie finansowym, gdy wydałem trzy stówy za nowe sandałki. Przekonałaś mnie, że są ci niezbędne, choć powoli brakuje nam półek na twoje buty. – Uśmiechnąłem się. Wciąż nie dawałem się zaskoczyć żadnym podchwytliwym pytaniem.

– No właśnie, kino, knajpa, sklepy, towary... – Westchnęła. – Cywilizacja, przemysł, nieustająca konsumpcja i ułatwianie sobie życia. W iście amerykańskim stylu. Oddaliliśmy się od natury. Czy to nie straszne?

Przyznaję, że zacząłem się gubić. Nie miałem pojęcia, co roiło się w jej ślicznej główce, jakimi krętymi ścieżkami biegły jej myśli.

– Mam cię zabrać na romantyczny spacer do parku? – próbowałem zgadnąć.

– Nie! Żadnych asfaltowych alejek, grzecznych ławeczek i psów sikających na nudne trawniki. Chcę prawdziwej, nieujarzmionej, niczym nieskażonej natury. Chcę poczuć wiatr we włosach, zapach żywicy, dotyk słońca na nagiej skórze, chcę intymnej więzi z tobą i... z borem. Chcę dzikiego seksu wśród traw i drzew. O ile dyplomata może się na to zdobyć.

– *Well...* – Wizja dzikiego seksu mocno przemówiła do mojej wyobraźni. Aż oczy się mi zaświeciły. W sprawach alkowy Karolina była równie pomysłowa, co na innych polach. Nie miałem nic przeciwko przeniesieniu jej fantazji na łono natury. Dlatego darowałam sobie uwagę, że leśne zwierzęta też załatwiają się wprost na ściółkę. I na pewno nikt po nich nie sprząta.

– *As you wish, honey.* Gdzie się wybierzemy?

Zdecydowaliśmy się na wypad do Puszczy Kampinowskiej.

– Będziemy chodzić boso po szyszkach – ostrzegła – obserwować biedronki i ślimaki, a potem spełnimy naszą miłość przy niemej aprobachie chrząszczy i sarenek.

No problem. Skoro to miało uszczęśliwić moją lubą – o własnej przyjemności nie wspomnę – proszę bardzo. *Here I am!*

Zostawiliśmy auto na parkingu leśnym i ruszyliśmy w puszcę, trzymając się za ręce. Po godzinie – skręcając w coraz bardziej zarośnięte dróżki – dotarliśmy do niewielkiej, ustronnej polanki, tonącej w słońcu.

– Idealnie! – Karolina rozłożyła ręce i okręciła się radośnie. Wdzięczna nimfa w zwiewnej sukience i rozpuszczonych jasnych włosach. – Słyszysz...? Cisza aż brzęczy w uszach.

– Raczej komar... – Klepnałem się w kark. Bzyczenie ustało. – Gdzie mam położyć koc? – Zdjąłem z ramienia plecak, w który przezornie spakowałem to i owo.

– Koc? – Spojrzała na mnie z rozczarowaniem. – Mógłbyś uwić nam gniazdko rozkoszy z liści i giętkich łodyg leszczyny.

– Nie jestem ptakiem, nie umiem więc gniazdek. Poza tym, *baby*, jesteśmy w rezerwacie przyrody. Moja przyziemna jankeska dusza wzdraga się nawet przed rozłożeniem pledu. Nie chcę rozgnieść jakiegoś gatunku pod ochroną. Więc, *sorry*, ale nie będę tu niczego zrywał.

– Już dobrze, dobrze, nie psuj atmosfery. Połóż koc choćby tutaj, pod tą sosną, tylko szyszki i igliwie. Niczego nie zgnieciesz. A teraz... chłoń!

Chłonałem, a jakże. Głównie Karolinę, która przyglądała się bacznie robakom i każdej najmniejszej trawce. Potem podrywała się i tanecznym krokiem biegła ku kolejnemu odkryciu, kolejnej tajemnicy. Istna boginka leśna! Gdy pochylała się nad kwiatkiem czy krzaczkiem jagody, sukienka odsłaniała jej ponętne uda, włosy opadały na policzek, a ona odgarniała je delikatnym ruchem... Poczułem, że budzi się we mnie zwierzę. Wrrrau! – zawarczałem w myślach. Chyba usłyszała, bo obróciła się i podążyła w moim kierunku. Miałem wrażenie, że czas się zatrzymał, a ona płynie ku mnie niczym zjawą. Bardzo powoli, kusząco niespiesznie wyswobadzając się z bieli sukienki... Gdy stanęła przede mną i nade mną, była naga, tylko w sandałkach, wiązanych na rzemyki.

– Będziemy się kochać. Tu i teraz. Bliscy sobie i naturze. Połączymy się intymnie ciałem i duszą, weźmiemy ślub, a puszca będzie naszym jedynym i najważniejszym świadkiem.

Powiedziała coś mniej więcej w tym stylu, ale dokładnie nie pamiętam. Trzęsącymi dłońmi pozbywałem się koszulki i spodenek. Marzyłem tylko o jednym; by wreszcie przestała mnie dręczyć i zaspokoila dzikość, którą wzbudziła.

A potem dosiadła mnie z wprawą wytrawnej amazonki. Pasowaliśmy do siebie idealnie. Jeden wspólny rytm... stęp... kłus... galop!... Oddechy łączyły się w jedno westchnienie. Moje dłonie na jej pośladkach, jej palce wpijające się w moją pierś. Jej szyja wyginająca się w okrężnym rytuale uwodzenia, włosy przesypujące się z twarzy na plecy, moje usta obejmujące i ssące jej sutki. Spełnienie było tak blisko... i wtedy krzyknęła boleśnie:

– Cholera!

Wystraszyłem się, że za bardzo mnie poniosło. Czyżbym przesadził?

– *Baby, honey...* co jest?

– Coś mnie użarło – poskarżyła się, trąc kolano. Spojrzała na nie i wrzasnęła jeszcze głośniejsze. – Mrówki! Czerwone mrówki po mnie łążą!

Zerwała się na równe nogi, skacząc i wymachując rękami.

– Wszędzie ich pełno! Gdzieś ty położył ten koc?!

– Tam, gdzie chciałaś... – jęknąłem. Poczucie zawodu przepełniało mnie do głębi. Potrzebowałem chwili, by ochłonać, by krew ostygła, a hormony przestały buzować. Dopiero wtedy i ja odczułem swędzenie, palenie i szereg innych niedogodności. Igliwie kłuło, szyszki się wpijały, a komary oraz mrówki postanowiły zemścić się na nas za zakłócenie ich spokoju. Łono natury pokazało, jak dzikie i nieokiełznane być potrafi.

Sięgnąłem do plecaka i hojnie spryskałem nas środkiem odstraszającym robactwo. Tylko czekałem, kiedy Karolina zacznie bredzić o naturze, którą właśnie skaziłem obrzydłą cywilizacyjną chemią. Nie byłem w nastroju na ekologiczne teksty. Nie w chwili, gdy wspaniały seks przerodził się w zwykłą farsę. Wreszcie udało jej się mnie zirytować.

– *Shit!* – zakląłem, gdy wciągając spodenki, natknąłem się na kolejnych intruzów. Spojrzałem na Karolinę i... złość się ulotniła. Wyglądała tak bezradnie i nieszczęśliwie. Jak dziecko, któremu ktoś odebrał lizaka. Nie tak sobie wyobrażała naszą randkę na łonie natury. Oczekiwała intymnego połączenia ciał i dusz w świątyni puszczy, a wyszło, jak wyszło. Ani mistycznie, ani romantycznie, raczej śmiesznie. Mali świadkowie naszego „ślubu” w sposób bolesny i dość upokarzający pokazali, że powinniśmy sobie wybrać inny kościół. Nie mogłem odmówić im racji. Nie mogłem też powstrzymać ogarniającego mnie rozbawienia.

– *Come on, baby.* Pokaż, gdzie boli. Posmaruję żelem i podmucharę. *Don't cry...*

– Jak ty możesz kochać taką idiotkę? – chlupała, gdy opatrywałem ją i ubierałem. – Jestem beznadziejna! Powinieneś mnie rzucić i poszukać sobie jakiejś rozsądnej, normalnej kobiety na żonę...

– A co mi po nudnej, miłej żonce? Czy ona tańczyłaby przede mną nago na polanie? Nie sądzę. Kocham ciebie i nie chcę żadnej innej. Uwierz w to wreszcie

i przestań mnie sprawdzać. Choć muszę przyznać, że ten test był wyjątkowo trudny. Mam nadzieję, że zdałem?

– Na szóstkę z plusem. Teraz muszę za ciebie wyjść, inaczej zachowałabym się niehonorowo – powiedziała poważnym tonem, ale już po chwili w jej oczach pojawiły się chytre błyski. – Ale przyznaj, miałam rację, że randka na łonie natury pozwoli naszym duszom złączyć się w sposób...

Zamknąłem jej usta zuchwałym pocałunkiem, jak to opisują w romansach.

– Pogadajmy nieco więcej o łączności ciał – wymruczałem.

– Okej, ale nie tutaj. Na dziś mam dosyć natury. Wolę bardziej cywilizowaną scenerię. Może w aucie...?

Tajemniczy wielbiciel z Lizbony

Nie odwiózł mnie na lotnisko. Nie stanął na tarasie widokowym i nie pomachał na do widzenia. Po prostu wsadził mnie do taksówki, cmoknął w czoło, mruknął zdawkowo: „pa, wkrótce się zobaczymy”, po czym zrobił w tył zwrot i odmaszerował szybkim krokiem. Nie obejrzał się ani razu.

Pozornie wszystko grało w naszym małżeństwie drobnej blondynki z postawnym brunetem. Tworzyliśmy piękną parę nie tylko pod względem fizycznym. Dopełnialiśmy się także zawodowo, wspólnie prowadząc galerię sztuki użytkowej. Filip zajmował się logistyką, czyli tym wszystkim, co mnie, magistrowi sztuki, wydawało się nudne, choć było niezbędne, by firma działała sprawnie. Ja koncentrowałam się na kontaktach z twórcami i na ciągłym poszukiwaniu nowych wzorów, trendów oraz autorów. Właśnie dlatego leciałam w lipcu na coroczne targi rękodzieła FIA Lisboa.

Z Polski nie ma bezpośredniego połączenia lotniczego z Portugalią, więc podróż z przesiadkami zajęła mi pół dnia. Głównie drzemałam, nabierając sił na zapas. Oprócz targów mieszczących się na terenach Wystawy Światowej EXPO, zamierzałam odwiedzić także inne miejsca, nacieszyć się pięknem Lizbony, jedynej europejskiej stolicy zbudowanej nad brzegiem oceanu. Potrzebowałam wytchnienia, perspektywy i czasu na refleksję. Lizbona – miasto kontrastów, staroświeckie i nowoczesne, żywiołowe i melancholijne – wydawała się idealnym do tego miejscem.

Nie jechałam w ciemno. Wybrałam ten sam kameralny hotelik co ostatnio. Jego właścicielka znała angielski i na dokładkę serwowała śniadania do łóżka. Przy całej swojej południowej otwartości była zarazem osobą nienachalną. Gdy więc wylądowałam na miejscu, nie zamęczała mnie długimi powitaniem i formalnościami. Od razu poleciła mi iść na górę, gdzie czekało łóżko ze świeżą pościelą i mrożona herbata. Nie byłam śpiąca, ale wzięłam prysznic, a potem ruszyłam na mały rekonesans.

Hotel znajdował się niedaleko rzeki Tag. Wkrótce z punktu widokowego nad jej rozlewiskiem podziwiałam lizbońskie budowle. Wyglądały stąd, jakby były pomalowane na biało. Gdy zaś weszłam w stare zaułki – niespodzianka – domy stały się lazurowe od niebieskich *azulejos*, słynnych ceramicznych kafelków, charakterystycznej ozdoby tutejszych fasad, witryn, schodów i podwórek. Właśnie tego brakowało mi w małżeństwie. Niespodzianek, zaskoczenia! Handlowaliśmy

przedmiotami z drugim dnem, z tajemnicą. Piękna oryginalna rzeźba mogła być zarazem skrytką na biżuterię, urokliwy ślimak – kieliszkiem do jajka. Tymczasem my sami straciliśmy polot, staliśmy się przewidywalni do bólu. Świeżość i fantazję zastąpiła rutyna. Coś się wypaliło między nami. Gdzie tamte motyle w brzuchu, gdzie ekscytacja pierwszych randek, gdzie szalone pomysły, którymi oczarował mnie kiedyś Filip? Skończyły się romantyczne przejażdżki dorożką w świetle księżycy, spontaniczne wypadki w góry czy nad morze, namiętne noce w łożu obsypanym płatkami róż... Teraz dni mieliśmy zaplanowane, grafik ustalony. Niby rozumiałam, że codzienne życie to nie miesiąc miodowy. Ale w głębi serca tęskniłam za dawnym Filipem, gotowym rzucić wszystko i porwać mnie w nieznane. Z drugiej strony, czy miałam prawo go winić, że stał się racjonalny i praktyczny? Sama nie byłam lepsza. Mnie również wciągnęły tryby małżeńskiego przedsiębiorstwa. Targi w Lizbonie wypadły akurat w czasie, gdy obchodziliśmy piątą rocznicę ślubu. I zamiast zorganizować coś ekstra, coś szalonego, tylko we dwoje, wybrałam wyjazd w interesach. A Filip słowem ani miną nie okazał rozczarowania. Podejrzewałam, że po prostu zapomniał o naszej rocznicy. Przykre, smutne...

W nie najlepszym nastroju wróciłam do pensjonatu. Przekraczając próg pokoju, poczułam silny i znajomy zapach. Na stolicku w wazonie stał ogromny bukiet różnobarwnych frezji. Wspaniały... Z lubością wtuliłam twarz w delikatne płatki, chłonąc słodki, uwodzicielski aromat. Ze wszystkich kwiatów świata najbardziej kochałam herbaciane róże i frezje właśnie. Signora Maria idealnie trafiła. Tylko czym zasłużyłam na taki cudowny prezent? Uznałam za stosowne podziękować.

– Tak, śliczne kwiaty! – potwierdziła z uśmiechem gospodyni. – Delikatne, a działają na zmysły. Naprawdę pasują do pani.

Zarumieniłam się. Portugalczycy są rozbrajająco bezpośredni.

– Jeszcze raz dziękuję za miły gest, ale nie trzeba było... Taki wielki bukiet...

– Mężczyzna, który je przyniósł, też był spory. I piękny jak sam diabeł!
– Leciwa hotelarka zachichotała.

– Mężczyzna...? – Brwi podjechały mi do połowy czoła. – Czyli te kwiaty nie są od pani?

– Oczywiście, że nie. Nie zwariowałam, żeby gościom takie drogie prezenty

fundować!

– Kto to jest? Też tu wynajmuje pokój? Znam go? – dopytywałam się zaintrygowana.

– Ja go nie znam, ale chętnie bym to zmieniła... – Puściła do mnie oko.
– Wysoki, przystojny, hojny. W sam raz na wakacyjny romans. – Znowu zachichotała.

– Na pewno dla mnie te kwiaty? Nie pomyliła się pani?

– Nie. – Pokręciła głową. – Wyraźnie powiedział: piękne kwiaty dla pięknej signory z Polski. I duży napiwek dał.

Wróciłam do pokoju, nie bardzo wiedząc, co o całej sprawie myśleć. Pochlebiała mi taka romantyczna atencja, ale dręczyło pytanie, kim był tajemniczy darczyńca. Poza właścicielką pensjonatu nie znałam nikogo w Lizbonie. Wejściówki na targi załatwiałam przez internet... Właśnie, maile! Przecież nawiązałam sympatyczną korespondencję z portugalskim wytwórcą ekologicznych zabawek z drewna. Sądząc ze zdjęć, tworzył istne cacka. Między innymi żeby poznać go osobiście, wybrałam się w tę podróż. Może kwiaty są od niego? Wspomniałam w liście, gdzie się zatrzymam. Zresztą autor zabawek nie powinien być niebezpiecznym typem. Tak uspokojona, zasnęłam, otulona zapachem frezji i śnił mi się przystojny Latynos z diaboliczną bródką...

Nazajutrz wraz ze śniadaniem signora Maria przyniosła mi kolejny bukiet, tym razem herbacianych róż. I niepewność powróciła. Na pewno nie wspominałam w zawodowych mailach o swoich ulubionych kwiatkach. Gospodyni nie rozumiała moich oporów.

– Ma pani cichego wielbiciela z klasą i kasą. Czym tu się martwić? Korzystać trzeba.

– Jestem mężatką – przypominałam jej i... sobie. W końcu tęskniłam za jakąś ekscytującą odmianą w swoim poukładanym życiu. Flirt z nieznanym, daleko od domu kusił. Mimo obaw i wątpliwości dawno nie czułam się tak dowartościowana jako kobieta.

Targi otwierano dopiero o piętnastej. Postanowiłam wykorzystać wolny czas i pozwiedzać. Wahałam się nad wyborem środka transportu. Stacje metra same

w sobie stanowiły dzieła sztuki, ale gospodyni poleciła stary tramwaj, który jechał na powierzchni i docierał do najdalszych zakątków miasta. Podziwiając widoki, zapomniałam o swoich problemach. Jednak po kilku godzinach jazdy skrzypiącym, trzeszczącym zabytkiem miałam dosyć. Opuściłam go bez żalu i ruszyłam w kierunku starej Alfamy, teraz cichej i uśpionej. Obudzi się dopiero wieczorem, kiedy ożyją tawerny *fado*. Obiecałam sobie wrócić tu po zachodzie słońca, może jutro, i posłuchać tej miejscowej odmiany bluesa. Na razie po wyślizganej kostce na Rua Santa Luisa wspiełam się pod górę do zamku, który służył niegdyś portugalskim królom za rezydencję. Zapuściłam się w malowniczy kwartał Santa Cruz w obrębie zamkowych murów i nie wiedzieć kiedy... zgubiłam się w plątaninie wąskich średniowiecznych uliczek.

Trafiłam na ślepy zaułek i obróciwszy się nagle, dostrzegłam kątem oka jakąś męską postać. Cofnęła się szybko, ukryła za załomem. Poczułam dreszczyk emocji. Jeszcze nie strachu, raczej ciekawości. Może to dyskretny tubylec, który nie chciał przeszkadzać samotnej cudzoziemce? Pobiegnęłam za nim, by zapytać o drogę, ale mężczyzna jakby rozpląnął się w powietrzu. Zrobiło mi się nieswojo. Albo miałam omamy, albo ktoś mnie śledził. Odetchnęłam z ulgą, gdy zauważyłam parę turystów z mapą. Idąc za nimi, wyszłam z labiryntu. Odechciało mi się zwiedzania.

Tym razem skorzystałam z metra i w pensjonacie zdążyłam się jeszcze odświeżyć i przebrać. Targi nie rozczarowały mnie. Podobnie zabawki prezentowane przez miłego Portugalczyka. Jednak rozmawiając z nim, cały czas oceniałam, czy pasuje do roli sekretnego adoratora. Wydawał się na takie podchody zbyt sympatyczny i prostolinijny. Do ideału męskiej urody też mu sporo brakowało. Oczywiście gospodyni miała prawo do własnego gustu, więc postanowiłam się upewnić.

– Czy to pan przysłał mi kwiaty do hotelu?

– A powinienem był? – Speszył się odrobinę. – To taki polski zwyczaj, jak całowanie w rękę...? Przepraszam. Już naprawiam błąd. Choć jeden! – Porwał moją dłoń i cmoknął głośno. Poczułam się idiotycznie. Na szczęście sygnał nadesłanego esemesa dał mi pretekst, by uwolnić rękę i odejść na bok.

„To nie on” – wyświetlił się tekst napisany po angielsku. Sama się domyśliłam, cholera! Rozejrzałam się wokół, szukając nadawcy. Musiał tu być, obserwować mnie... podsłuchiwać! A ja, zajęta rozmową i własnym śledztwem, nie zorientowałam się. Zaraz... Skąd, na Boga, znał numer mojej komórki?! Ciarki

przeszły mi po krzyżu. To już przestawało być zabawne. Telefon znowu się odezwał. „Nie bój się, nie jestem wariatem, po prostu lubię na ciebie patrzeć...” – odczytałam. Dziwne, ale uwierzyłam. Albo raczej chciałam uwierzyć.

Niemniej późnym wieczorem wróciłam prosto do hotelu. Straciłam ochotę na odkrywanie uroków nocnego życia. Średnia przyjemność, gdy cały czas oglądasz się za siebie. Signora Maria już czekała, by wręczyć mi nowy prezent. Perfumy Diamonds Armani, z nutą frezji i wanilii w zapachu, których swego czasu bezskutecznie szukałam w rodzinnym mieście. Odpuściłam, zapomniałam, a teraz, proszę – stały przede mną w ślicznym kryształowym flakonie. Coś mi zaczęło świtać, jakaś niejasna myśl, przeczucie...

– To nie wszystko! – zbiła mnie z tropu gospodyni. – Jeszcze to. Zaproszenie na *touradas*. Kupił ci bilety na jutro, najdroższe, w najlepszym miejscu.

– *Touradas*...? – Skrzywiłam się. – Znaczą walka byków... Nie kręci mnie zabijanie zwierząt.

– Być w Lizbonie i nie odwiedzić Campo Pequeno, największej areny walk byków, to jak być w Egipcie i nie widzieć piramid! – oburzyła się. – Zresztą nasze *touradas* nie jest takie jak hiszpańska *corrida*. Mniej krwawe, u nas nie zabija się byków na arenie.

– Tak czy siak, często kończą w rzeźni.

– Ale widz tego nie ogląda – upierała się signora.

– Jasne.... Czego oczy nie wiedzą, tego sercu nie żal – mruknęłam.

– Zupełnie jak z twoją randką z tajemniczym cudzoziemcem. Nie jesteś ciekawa, co to za jeden? Mąż daleko, nie dowie się. Pójdiesz? – Jej wzrok sugerował, że byłabym idiotką, gdybym nie skorzystała z okazji.

– Cudzoziemiec, nie Portugalczyk? – tknęło mnie.

– Wcale nie mówiłam, że jest tutejszy. – Umknęła wzrokiem. Coś kręciła. Czemu? Może poproszono ją, by za dużo nie zdradzała. Znowu ogarnęło mnie dziwne wrażenie, że znam prawdę. Tylko muszę właściwie połączyć fakty. Za dużo tych przypadków. Ten ktoś mnie znał, i to bardzo dobrze. Wiedział, że tajemnice mnie zaintrygują. Zaproszenie na walkę byków też było znaczące. Czyż kobieta

i mężczyzna nie ścierają się w nieustającym *paso doble*? Moja intuicja mogła się oczywiście kompletnie mylić. Na szczęście mieliśmy się spotkać w miejscu publicznym oraz ludnym. Nic mi nie powinno grozić.

Stawiłam się punktualnie o osiemnastej. Równie rozgorączkowana, podekscytowana i pełna oczekiwań jak otaczający mnie tłum. Tyle że nie na widowisko czekałam...

– Czy to miejsce obok szanownej pani jest wolne? – usłyszałam pytanie zadane nienaganną polszczyzną. Obróciłam się. Przeczucie mnie nie zawiodło, choć nie śmiałam mu wierzyć. Jednak znałam ten głos. I tę twarz. Jak własną. Czy miała w sobie coś diabolicznego? Być może teraz, gdy uśmiechał się kącikiem ust, zadowolony z własnego podstępu. Musiał się ostro nagimnastykować, by zorganizować swój przyjazd tutaj bez mojej wiedzy, ale czyż nie był specem od logistyki?

– Miejsce? Dawno temu je zająłeś – odparłam.

– Dokładnie pięć lat. Sądziłaś, że zapomniałem? Wszystkiego najlepszego z okazji rocznicy ślubu, kochanie. – Filip pochylił się i pocałował mnie, najpierw w usta, potem w szyję. – Pięknie pachniesz. Frezja i wanilia... Czyli przyjmujesz prezenty od obcych mężczyzn albo... zaczęłaś się czegoś domyślać. W którym momencie?

– Teraz ty trwaj w denerwującej niepewności! – Zaśmiałam się cicho.

Nasza miłość wcale nie zgasła, po prostu się zarzyła; ale wystarczyło w nią dmuchnąć, żeby znowu strzeliła w niebo jasnym płomieniem.

Wakacje ze szwagrem

– Co Bóg złączył, człowiek niech nie rozdziela – obwieścił uroczyście ksiądz. Zapadła pełna wzruszenia cisza... którą zakłócił przeciągły zgrzyt otwieranych drzwi. Odgłos szybkich kroków odbił się echem od kamiennej posadzki. Tuż przed wymianą obrządek uwaga wszystkich przeniosła się na... Zerknęłam przez ramię. W ławkach po stronie Pana Młodego zrobiło się małe zamieszanie. Przesuwano się, robiąc miejsce dla szczupłego bruneta w smokingu. Chłopak przyłapał mój wzrok, mrugnął łobuzersko, po czym iście królewskim gestem ręki pokazał, że możemy kontynuować. Też coś! Tak poznałem Adama, młodszego brata Grzegorza. Wcześniej nie miałam okazji...

Braci dzieliła przepaść – nie tylko dziesięciu lat życia. Smukły Adaś wyglądał jak wcielenie chłopięcego wdzięku i urody. Gładkie policzki, kapryśne usta, długie rzęsy, błękitne oczy i poza niesfornego urwisa. Istny czaruś. Oraz lekkoduch i rozpieszczony pupilek całej rodziny. Uwielbiał balować, niczego nie traktował poważnie – nawet ślubu brata. Co innego Grzegorz, ambitny szef własnej firmy budowlanej. Dokładnie wytyczał sobie cele; czy szło o kolejne zlecenie, czy założenie rodziny. Spokojny, wyważony, nie umiał czarować, za to potrafił usadzić aroganta spojrzeniem, słowem, w ostateczności... wykręcał rękę. Przy nim kobieta mogła czuć się bezpiecznie.

Pracowałam jako instruktorka w Centrum Sportu i Rekreacji. Właśnie skończyłam zajęcia fitnessu i stanęłam przy barku, by napić się wody mineralnej.

– Ani się waż – usłyszałam basowy pomruk. Znajoma kelnerka rozdziawiła buzię, patrząc gdzieś ponad moim ramieniem. Obróciłam się jak fryga. Wysoki, potężnie zbudowany facet, o gęstej czuprynie, mocno zarysowanej szczęce i zaroście łamiącym żyłki, trzymał za kark ciut mniejszego kolesia. Drugą ręką ścisnął jego dłoń, która znajdowała się milimetry od moich opiętych trykotem pośladków.

– Kolega trochę się wstawił. Bratanie się przy kręglach i piwie potraktował zbyt dosłownie. Przepraszam panią.

– Sorry bardzo. Ale szefie, zrozum... – jęczał wstawiony – w życiu nie widziałem tak boskich kształtów. Jesteś ślepy, człowieku?

– Nie. I widzę, że ta piękna dama przefasonowałaby ci nos, gdybyś ośmielił

się ją pomacać. Sierpowy ma pewnie nie gorszy od mojego. Musi, przy takim wyglądzie – tłumaczył dobrotliwie, zaciskając uchwyt.

Tak poznałam Grzegorza. Zaproponował wspólną grę w kręgle. Nie potrafiłam odmówić, a on nie pozwolił mi zniknąć ze swojego horyzontu. Oświadczył się pół roku później. Po swoim: wręczył mi klucze do domu. Pierścionek zaręczynowy robił za breloczek...

Ślub i wykańczanie domu pochłonęły większość funduszy; na podróż poślubną zabrakło. Zresztą moszczenie gniazdka i wdrażanie się w rolę gospodyni wystarczająco mnie absorbowały. Jako zwolenniczka soi i kiełków dotąd nie gotowałam uczciwych posiłków dla dużego faceta. Pierwsza pomidorówka mojego autorstwa miała dziwny brązowy kolor i załatywała ścierką, ale małżonek wciągnął ją bez mrugnięcia okiem. To się nazywa miłość – pomyślałam wniebowzięta.

Po roku, gdy nabrałam wprawy i mogłabym startować w konkursie na najlepszą zupę pomidorową, Grześ wsuwał ją z równym apetytem co wcześniejszą breję. I pomyślałam: po co się starać, skoro nie widzi różnicy?

– Smakuje ci?

– Niebiańsko... – Siorbnął.

Akurat! Wracał z placu budowy tak zmęczony i głodny, że zjadłby wszystko. Zaczęłam się zastanawiać, która z nas jest na pierwszym miejscu: ja czy praca? Czy to wciąż miłość, czy już rutyna? Na szczęście już za parę dni wakacje i nasza mocno spóźniona podróż poślubna. Poszperałam w internecie i już w grudniu zaklepałam pokój w warmińskiej głuszy. Leśniczówka, zakole Pasłęki, komórki poza zasięgiem, bez mapki nijak dotrzeć. Idealne miejsce. Gospodarze obiecywali mnóstwo atrakcji, o ile sami je sobie znajdziemy. Oni zapewniali pyszne jedzenie i święty spokój. Idealne warunki. Grzegorz wydawał się zachwycony pomysłem – aż do dziś.

– Skarbie – uniósł głowę znad talerza – w kwestii naszego urlopu... Mam poważne problemy na tej budowie w Markach. Dojadę po piętnastym, okej?

Szkoda, że zeżarł całą zupę. Idealnie pomidorową. Fajnie by wyglądała na białej koszulce.

– Na nasze pierwsze wspólne wakacje mam jechać sama? – zapytałam z pozornym spokojem.

– Niezupełnie... Adaś musi zakuwać do komisyjnego, potrzebuje ciszy i spokoju, chętnie ci potowarzyszy...

– Mam niańczyć twojego brata?! – Udawany spokój prysł jak bańka mydlana.

– Jakbyś była taka miła. Może ty nauczysz go rozsądku – zażartował.

Tak mnie rozbawił, że błękitny talerz w różyczki trafił szlag.

Poprawiła mi humor mina Adasia. Wyjazd do leśnych ostępów, z dala od panienek, barów i dyskotek, wyraźnie mu nie leżał. Czemu więc jechał? Nie miałam pojęcia. Czemu ja się zgodziłam? Bo się wkurzyłam, że mąż mnie lekceważy, ignoruje. Bo chciałam, by zatęsknił, może nawet poczuł zazdrość o przystojnego, pozbawionego morale braciszka, który podrywał mnie przy lada okazji, twierdząc, że pomyliłam braci. Już na weselu to powiedział. Czy Grzegorz nie widział, że wpuszcza lisa do kurnika? Chyba nie. To obrażało bardziej niż brak smaku w kwestii zup.

Adaś, zamiast uczciwie pilotować, rozwodził się nad swoim podłym losem studenta politechniki.

– Czemu sobie nie odpuścisz?

– Bo jak nie zaliczę roku, doprowadzony do ostateczności ojciec każe mi iść do roboty. Jakiegokolwiek. Choćby przy betoniarce u brata. – Wzdrygnął się.
– Muszę skończyć studia. Taka umowa.

– Inaczej kaska przestanie płynąć – odgadłam. – Ale czemu polibuda? Nie masz własnych preferencji?

– Wyłącznie heteroseksualne... – zamruczał, kładąc mi dłoń na kolanie.

Trzepnęłam go po łapie. Smarkacz był nieznośny. Kazałam mu skupić się na drodze. I wyciągnąć mapkę, którą nonszalancko wcisnął do kieszeni. Rozprostowałam ją na kolanie i przestudiowałam uważnie. Dzięki temu nie przyszło nam nocować w aucie.

Ulga w oczach pulchnej brunetki o matczynym uśmiechu dowodziła, że to się już zdarzało.

– Niepokoiłiśmy się...

– Po zmroku mapka guzik by pomogła – dodał chudy, łysy jak kolano mężczyzna.

– Może coś zjemy? – żona gospodarza taktownie zmieniła temat. – Mam szynkę i pstrągi. Osobiście wędziłam. Paluszki lizać!

Nie kłamała. Zapominając o dziecie, objadłam się wprost nieprzyzwoicie. Z trudem wspinałam się po schodach. Zmęczenie też zrobiło swoje. Padałam z nóg i zapomniałam wspomnieć o pewnym ważkim szczególe. Na szczęście przyszykowany dla nas pokój na piętrze posiadał dwa oddzielne łóżka, stojące pod przeciwległymi ścianami.

– Nie zawsze gościmy małżeństwa – wyjaśniła pani Waleria.

– Ma się rozumieć – potaknął potulnie Adam, czym zwiódł moją ospałą czujność. Błąd. Ledwie drzwi się zamknęły, zaatakował: – Łóżka można przesunąć albo umościć gniazdko miłości na podłodze...

Ależ wypalił!

– Tu jest moje łóżko, tu twoje, a dzieli nas pleciony chodniczek, którego nie waż się przekroczyć. Prześpij się. Może rozum ci wróci.

Nazajutrz znalazłam na swojej poduszce bukietik stokrotek. Uznałam, że to forma przeprosin. Zeszłam na dół. Nikogo. Spojrzałam na zegar. Jedenasta. Ależ zasnęłam! – spanikowałam. I nagle do mnie dotarło. Wakacje... Ziewnęłam głośno i w koszulce nocnej wyszłam na zewnątrz. Przeciągnęłam się rozkosznie w promieniach słońca...

– Zapraszamy! Tu do nas!

Adam machał do mnie spod konarów rozłożystego sędziwego drzewa. Dzięki bardzo, szwagrze. Całe zgromadzone przy stole towarzystwo gapilo się teraz na mnie, taką rozmamłaną. Dwóch brzuchatych jegomości, dwie matrony

i trzy dzierlatki. Cofnęłam się.

– Nie uciekaj, bosa rusalko! Latem tutaj spożywa się posiłki. *Gościu, siądź pod mym liściem, a odpocznij sobie, nie dojdzie cię tu słońce, przyrzekam ja tobie!*
– zajechał poetą.

– Kochanowski pisał o lipie. Kiedy ten trzystuletni buk kiełkował, mistrz z Czarnolasu dawno nie żył – zauważył cierpko gospodarz, który akurat szybko odkrył, że lis zawitał w kurniku. Wystarczyło spojrzeć na miny pań przy stole. Niemniej, mimo nieściskości, ujęła mnie poetyckość Adama. I jeszcze te stokrotki. Grzegorz nie obdarzał mnie kwiatami. Wybierał konkretne prezenty: szybkowar, mikrofalówka, szlafrok. Naraz ogarnął mnie żal, że był tak beznadziejnie praktyczny.

– Buk czy lipa, co za różnica. – Adaś wzruszył nagimi ramionami. – Grunt, że ptaszki śpiewają, słońeczko grzeje, wiaterek powiewa...

Siadł do śniadania tylko w szortach. Matrony i dzierlatki chłonęły go pełnią zmysłów, ale to mnie czarował. Co mi pochlebiało; byle trzymał ręce przy sobie.

Minęły dwa dni. Obejrzeliliśmy młyn, brodziliśmy w rzece, wączaliśmy zioła i kwiaty w ogrodzie, wyprawialiśmy się na spacer do lasu. Gdy zrezygnował z pozy luzaka i donzuana, miło się z nim rozmawiało. Marzył o aktorstwie, co nijak się miało do rodziny o inżynierskich tradycjach.

– To ty musisz wybrać kierunek, o ile w ogóle chcesz studiować. Ja na przykład po maturze skończyłam kurs instruktorski. Chciałam jak najszybciej zarabiać, by uwolnić się od matki, która uważała, że póki jestem na jej utrzymaniu, ona dyktuje warunki.

– Zazdroszczę. Nie stać mnie na taką odwagę. Na samą myśl, co by się działo, gdybym napomknął o aktorstwie, włos mi się jeży na głowie.

– Biedaczek... – Spojrzałam na niego z politowaniem. – Niby dorosły, a boi się mamusi i tatusia. Guzik prawda! Walka o marzenia wymaga ryzyka. Ty jesteś po prostu wygodny.

Skrzywił się. Potem przyglądał mi się długo z dziwnym wyrazem twarzy. Jakby odkrył coś, czego się nie spodziewał.

– Wiesz, o czym teraz marzę? – zapytał cicho i przygryzł wargę. Ładne miał usta. Pełne, karminowe, jak dziewczyna. Przeszył mnie dreszcz. Niepokoję, ekscytacji? Wolałam nie dociekać.

– Ścigamy się? Kto ostatni przy huśtawce, ten palant! – krzyknęłam i zaczęłam biec. Rzucił się w pogoń z dzikim okrzykiem. Uciekałam niczym rączka łania. Coś się zmieniło w naszym układzie. Już nie byłam o pięć lat starszą szwagierką, z którą nieszkodliwie flirtował. Uświadomiłam mu, że może i powinien o sobie decydować. I naraz niesforny chłopiec dorósł, stając się realnym męskim zagrożeniem. Dopadłam huśtawki przed nim. Usiadłam i zacisnęłam dłonie na sznurach.

– Pobujam cię. – Odepchnął mnie i złapał.

– Za stara jestem na bujanie...

– Nieprawda. Jesteś młoda, piękna i mądra. Grzegorz trafił na prawdziwy skarb. Chyba go nie docenia, skoro puścił cię samopas z innym mężczyzną, siup!
– Rozbujaj mnie mocniej.

– Z chłopcem, któremu ufa jak bratu – poprawiłam go, a on gwałtownie przytrzymał huśtawkę.

– Z młodym mężczyzną, któremu nie można ufać, gdy się zakocha...
– szepnął, muskając gorącym oddechem moje ucho.

Oniemiałam. Przeraziło mnie nie tyle wyznanie, co własna reakcja. Poczulałam trzepotanie w żołądku i słabość w kolanach. Dobrze, że siedziałam!

– Adam, przecież ja cię nawet nie lubię... – trochę skłamałam.

– Dzięki Grzegorzowi zyskałam czas, by cię do siebie przekonać.

Robił to w sposób, który mnie rozczulał i irytował zarazem. Był romantyczny do bólu. Za dnia recytował wiersze. W nocy śpiewał serenady pod moim oknem. Gdy się opalałam, obrzucał mnie kwiatami. Grzegorz nie rozpieszczał mnie swoją praktyczną, pozbawioną wszelkich ozdobników miłością. Ale też nie osaczał na każdym kroku. Nie gapił się z wiernopoddańczym uwielbieniem. Odrobina samotności pomaga, by nabrać dystansu, zatęsknić... Nad-obecność męczy.

Przylazł za mną do urokliwej ziemianki, w której gospodarze trzymali wiktuały niewymagające lodówki, a ja chłodziłam się tu z dala od jego awansów.

– Odczep się, choć na chwilę – błagałam Adama.

– Nie mogę. – Zagroził mi wyjście. – Im bardziej się wymykasz, tym bardziej cię pragnę. Nie mogę spać, jeść, z trudem oddycham, gdy na ciebie patrzę.

Chryste, ale się wpakowałam!

– Wolnego, Adaś, wyluzuj. Każda kobieta marzy o takich słowach, ale zapominasz, że jestem żoną twojego bratu.

– Nie zapominam. – Westchnął. – Dlatego musimy mu powiedzieć...

– Ale co?! – spanikowałam.

– Że jesteśmy dla siebie stworzeni. Kocham cię. Z nikim tak szczerze nie rozmawiałem. Z nikim nie czułem się tak wyjątkowo. Przy tobie staję się lepszy. Wszyscy traktują mnie jak dzieciaka. Ty nie.

– Ja też! – zapewniłam solennie. Sprawiałam mu wyraźną przykrość.

– Jeden pocałunek – zażądał. – Pokaż, że nic dla ciebie nie znaczę, a dam ci spokój.

Wahałam się. Przysięgałam miłość, wierność i uczciwość. Jeden pocałunek... Czy to zdrada? Zwłaszcza gdy pozostanę bierna?

– W porządku – poddałam się. Musiałam sprawdzić. Skoro radziłam Adamowi, by nie bał się ryzyka, wyszłabym na hipokrytkę, gdybym teraz stchórzyła.

Rzucił się na mnie jak wygłodniały wilczek. Mało mi zębów nie wybił. Nie był tkliwy ani delikatny. Nie myślał o mnie. Sobie chciał udowodnić, jaki jest władczy i męski; bo jego zdaniem tego oczekiwałam. Nie poczułam nic, zero ciarek. Ziemia się nie poruszyła.

– Nie jesteś swoim bratem...

Też to zauważył. Odsunął się stropiony i na powrót zagubiony.

Nazajutrz znowu udawał luzaka.

– Wymasuję ci ramiona – oznajmił wszem i wobec przy obiedzie, wpędzając mnie w zakłopotanie.

– Dziękuję, obejdzie się. Jedz zupę. Jest pyszna, jak wszystko, co gotuje pani Waleria – próbowałam się przypocholebić, bo gospodyni podobnie jak reszta pań widziała we mnie podłą uwodzicielkę.

– Na pewno? Jesteś spięta... – przymilał się dalej, mszcząc się za odrzucenie.

– Jedz zupę! – burknęłam.

– Nie lubię pomidorowej – odpyskował. – Ani pomidorów w ogóle. Jestem na nie uczulony, podobnie jak Grzegorz. Nie wiesz? Co z ciebie za żona?

Kiepska – bo nie wiedziałam. Grześ z takim poświęceniem wsuwał serwowane pomidorówki... Nic dziwnego, że smak miał dla niego marginalne znaczenie. Resztką sentymentu, jakim darzyłam Adama, znikła. Ale byłam mu wdzięczna. Otworzył mi oczy. Miłość to nie piękne słowa, bukiety, wiersze, serenady pod oknem. To pozornie głupia pomidorówka, którą ukochany zjada, ryzykując wstrząs anafilaktyczny.

Gdy przyjechał Grzegorz, rzuciłam mu się na szyję.

– Też się stęskniłem. – Przytulił mnie mocno i pocałował mimo asysty. – Jeżeli było ci w połowie tak źle jak mnie, współczuję. Więcej nie puszczę cię samej. Okej? – Potaknęłam skwapliwie. – A jak nasz student, dobrze się sprawował?

– Hmm... – Zawiesiłam znacząco głos. Adaś zbladł. – Czy wiesz, że zamierza rzucić polibudę i studiować aktorstwo?

Grzegorz spojrzał surowo na brata. Adam nie ugiął się. Odpowiedział równie hardym spojrzeniem. Mój mąż uśmiechnął się z dumą, sięgnął długim ramieniem i przycisnął brata do szerokiej piersi:

– Wspólnie przekonamy staruszków. Grunt, że wreszcie się na coś zdecydowałeś, bracisz... bracie!

Niewolnik

– Ale wszystko dobrze? Bo jakiś dziwny masz głos... – W tonie mamy pojawiła się troska. Jej intuicja działała niezawodnie, nawet na odległość.

– Wszystko okej. Mówiłem ci, trafiła mi się lepsza robota, od trzech miesięcy jestem ogrodnikiem.

– Co z ciebie za ogrodnik? – Zaśmiała się. – Na działce nie odróżniałeś chwastów od sadzonek.

– To nie działka, tylko ogród z ogromnym trawnikiem, który koszę, ścinam żywopłot i... – przed oczami stanęły mi obrazy, do których nigdy bym się matce nie przyznał – i różne takie. Sorry, muszę lecieć...

Rozmawiałem przez komórkę, stojąc w oknie. Na zewnątrz odbywało się party. Susan pokiwała na mnie. Nie – do mnie. Jej ruch palcem znaczył jedno: miałem kończyć i dołączyć do niej.

– Powiedz mi tylko jedno – nie odpuszczała mama. – Znalazłeś tam jakąś dziewczynę? Stąd te tajemnice?

– Yhm – mruknąłem, nie zamierzając szokować jej szczegółami.

Moja pani była Angielką, kobietą sukcesu, z własną firmą; w wieku nieokreślonym, ale nie zdziwiłbym się, gdyby okazała się rówieśniczką mojej matki. Tyle że nie wyglądała na niczyją matkę. Zadbana, zgrabna, świetnie ubrana, pachnąca drogimi perfumami. Dziewczyną nie ośmieliłbym się jej nazwać, zwłaszcza swoją. To ja byłem jej „ogrodnikiem” i powoli, mimo oczywistych profitów, ta rola zaczynała mi ciążyć. Bo czy istnieje dość wysoka cena za dumę?

– Naprawdę muszę już iść, mam, wzywają mnie. Robota czeka.

Pożegnałem się z matką i wyszedłem na zewnątrz. Natychmiast spoczęły na mnie zaciekawione spojrzenia gości, szczególnie kobiet. Poczulem się jak ogier wystawiony na pokaz.

W szkole byłem chudy, niski, nieśmiały. Pod koniec technikum podrosłem, ale i tak pozostałem chyba ostatnim prawiczkim w klasie. Po maturze wyjechałem

do Anglii, głównie żeby zarobić, ale także by coś zmienić w swoim nijakim życiu. Podłapałem fuchę na budowie i po pół roku harówki faktycznie się zmieniłem. Znałem swoje fizyczne atuty: zgrabny tyłek, ogorzała skóra, mięśnie wyrzeźbione ciężką pracą i długie blond włosy, których tu nie ścinałem. Do roboty je spinałem, ale teraz były rozpuszczone, jak lubiła moja pani. Równą opaleniznę na całym ciele zawdzięczałem solarium – kolejne życzenie Susan. Przy niej stałem się mężczyzną. Tylko jakim? Miękkim niczym wosk w jej doświadczonych rękach. Czy matka byłaby dumna z takiego syna? Wątpię... Często sam sobą gardziłem.

Susan wypatrzyła mnie na budowie. Mieszkała niedaleko i czasem przechodziła obok, obserwując robotników. Na mnie jej wzrok zatrzymywał się najdłużej, wręcz czułem go przez koszulę czy spodnie. Wreszcie zagadała. Szukała kogoś do pomocy w ogrodzie. Zgodziłem się. Była duża ładniejsza od grubego brygadzysty, a dodatkowy grosz zawsze się przyda.

Kosiłem trawę od godziny, gdy przyniosła mi coś do picia. Miała na sobie związaną w pasie koszulę, rozpiętą na tyle głęboko, że widziałam prześwitujący staniczek. Przełknąłem ślinę. Zaschło mi w gardle, z czym wysiłek nie miał nic wspólnego. Pośpiesznie wziąłem szklankę i wypilem duszkiem; tylko lód został na dnie. Susan sięgnęła i wyjęła jedną kostkę. Włożyła ją do ust; possała chwilę, aż zaczęła się rozpuszczać, ciekąc po brodzie, wzdłuż szyi, na dekolcie... Gapiłem się jak zaczarowany na mokrą ścieżkę. W spodniach zrobiło mi się za ciasno, a Susan dręczyła mnie dalej. Przesunęła lodem po skórze, do rowka między piersiami, gdzie po prostu stopił się jak masło na patelni. Podobnie moja wola. Gdyby kazała mi skakać na jednej nodze, zrobiłbym to bez wahania! Zamknąłem oczy, podniecony, nieco przestraszony. Czego naprawdę ode mnie chciała? Wyjaśniliśmy to sobie przy zapłacie. Za jedno popołudnie ścinania trawnika zarobiłem więcej niż przez trzy dni na budowie. Zdziwiony taką hojnością, pytająco uniosłem brwi.

– Dobrze reagujesz, Mike, obiecująco... – odparła i zaśmiała się gardłowo.

Maturę z anglika zdałem dobrze, pół roku na obczyźnie też zrobiło swoje. Zrozumiałem dwuznaczną wypowiedź i spiekłem raczka. Znowu się zaśmiała i przeszła do konkretów. Zaproponowała mi pracę, mieszkanie nad garażem i wysoką miesięczną pensję. Zakresu moich obowiązków, czy raczej usług, nie ustaliliśmy dokładnie.

– Będziesz robił, co ci każę, okej? – Puściła do mnie oko.

– Okej... – wydusiłem.

Nie pojmowałem, czemu ja. Czemu wybrała akurat mnie? Musiała się domyślić, że w kwestiach seksu byłem kompletnym amatorem. Może właśnie to ją kręciło? Wkrótce miałem się przekonać...

Na początek kazała mi odnowić drewniany stół w altanie. Zeskrobałem starą farbę i właśnie kończyłem wygładzać blat, kiedy się pojawiła. W długiej do ziemi czerwonej sukience zapiętej po samą szyję. Gdy jednak oparła stopę o ławkę, sukienka rozchyliła się, ukazując... pończochy, podwiązki i mikroskopijne majteczki. Rany, takie rzeczy widziałam dotąd tylko w filmach! Po prostu zamarłem, gapiąc się na nią, a ona uśmiechała się zachęcająco. W głowie mi huczało, serce biło jak szalone. Bałem się jej dotknąć, choć wyraźnie na to czekała. Wyręczyła mnie w podjęciu decyzji. Pochyliła się nad stołem, przesunęła po nim dłoń.

– Gładki... – Uśmiechnęła się. – A ty gotowy. Mały Mike zaraz wyskoczy.
– Zerknęła na mój rozporek. – Wypróbujmy go. Szybko. Tak chcę.

Zdjęła majtki i rzuciła je na pergolę. Potem usiadła na brzegu stołu, rozchylając uda. Przepadłem! Złapała mnie za pasek, przyciągnęła ku sobie, a ja drżącymi dłońmi rozpiąłem spodnie. Niecierpliwie napałem na nią i... nie trafiłem! Zaśmiała się z tej niezdarności i znowu mi pomogła. Ujęła mojego członka i wprowadziła w siebie. Poczulem ciepło, otulające mnie niczym miękka rękawiczka. Susan położyła się na blacie, kładąc mi nogi na ramionach. Wszedłem w nią głębiej i zastygłem. Z całej siły zagryzałem wargi. Nie chciałem się zbłąźnić najkrótszym aktem miłosnym w jej życiu, ale ponagliła mnie, wpijając pięty w plecy i unosząc biodra. Przestałem myśleć. Na kilka sekund uleciałem z ciała, które gwałtownie się w nią zagłębiało, raz za razem... Gdy wróciłem, Susan znowu stała w sukience, okrywającej ją od stóp do głów. Tylko jej zadowolony uśmiech i majtki kołyszące się na gałązce bluszczu dowodziły, że wcale taką damą nie jest...

Miała niespożyty apetyt, a ja, kiedy raz spróbowałem jej miodu, wpadłem w sidła pożądania po uszy. Byłem jak ćma otumaniona światłem. Kochaliśmy się we wszelkich możliwych miejscach. Nawet teraz, idąc w jej kierunku, oczyma wyobraźni widziałem nas na zielonej trawie, splecionych w namiętym uścisku. Jaki facet by narzekał? Jednak nie czulem się komfortowo. Wcale nie dlatego, że ktoś mógłby mnie nazwać żigolakiem. Bo kto tu kogo wykorzystywał? Parę razy próbowałem odejść i nie umiałem. Susan dusiła bunt w zarodku. Bo jej na mnie zależało? Kim dla niej byłem w ogóle? Bałem się zapytać...

Obecne na party kobiety uśmiechały się z zazdrością. Udał się gospodyni interes. Zbliżywszy się do Susan, spróbowałem ją objąć, ale uchyliła się. Wręczyła mi pusty kieliszek, wysyłając po nowego drinka. Bez słowa. W ogóle niewiele rozmawialiśmy. W końcu nie partnera do intelektualnych dysput we mnie szukała. Tylko kogo? Jak bumerang wróciła dręcząca mnie kwestia.

– Kim dla ciebie jestem, Susan? Chłopcem na posyłki, młodym ogierem, niewolnikiem? – spytałem po polsku.

Przechyliła głowa. Słów nie zrozumiała, ale mój nastrój odgadła w lot.

– Nie dąsaj się, Mike. Wynagrodzę ci... – Pociągnęła mnie za pasmo włosów i dodała szeptem wprost do ucha: – Nie mam na sobie majtek, niech tylko pójdą, a wtedy...

Zrobiło mi się gorąco. Jak robot zrobiłem w tył zwrot i poszedłem grzecznie po drinka dla mojej pani.

Islandia i dziewczyna

Gdzie ten Lucek? My z Markiem byliśmy już po odprawie. Wreszcie! Zjawił się wraz z busem, który miał nas podwieźć do samolotu. Pchał przed sobą wózek bagażowy. Na co mu tyle tobołów? Plecak, torby, profesjonalny sprzęt, to rozumiem, ale po kiego grzyba taszczył dwie wypasione walizy...

Powód miał długie nogi, morelową sukienkę i burzę brązowych loków. Nic dziwnego, że panna wpadła Luckowi w oko i ochoczo robił za tragarza.

– My tu cali w nerach, a ten sobie flirtuje – mruknąłem.

– Pewnie chce się napatrzyć na zapas. Od jutra przez dziesięć dni będziemy odcięci od takich widoków, he, he! – zarechotał Marek, od lat szczęśliwy małżonek. Mówił, że jedzie na ryby, a żona życzyła mu udanego wypoczynku. Anioł, nie kobieta! Alicja obrażała się za każdym razem, gdy zamiast nudnego pobytu w gwarnym kurorcie z nią wybierałem wędkarskie zmagania w głuszy bez niej. Dlatego teraz łączyła nas tylko wspólna klinika. Zawsze lepiej dogadywaliśmy się w pracy niż w domu. Rozwód oczyścił atmosferę i uzdrowił relacje.

– Uff! No to jesteście! – odsapnął Lucek, pakując się do busa. – To Liza, moja kuzynka, jedzie z nami. Ekstra, co?

Przed trzydziestką. Wystające kości policzkowe, szpiczasta broda, ładnie wykrojone usta, lekko zadarty nos. Korekta możliwa, acz zbędna. Całość, faktycznie, prezentowała się nieźle – oceniłem okiem zawodowca.

– Z nami? Wspaniale! – ucieszył się Marek. – W miłym towarzystwie podróż szybciej upłynie. Pani do Londynu, służbowo czy na urlop?

Na jej trójkątnej twarzy pojawiło się zmieszanie. Nerwowym gestem odgarnęła włosy za ucho. Oho, tu już bym zadziałał. Małżowina wyraźnie odstawała od czaszki.

– Lucek panów nie uprzedził? Miał mnie zabrać już poprzednim razem, ale...

– Nie tłumacz się, Lizka. Jedziesz i koniec. Londyn, potem Reykjavik, i dalej dżipem nad rzekę Ranga. Zrobisz swój fotoreportaż z połowu łososi. Pomożemy. Założę się, że sama złapiesz kilka godnych sztuk. Naczelnej szczęka opadnie.

– Że co? – ocknąłem się. – Chyba żartujesz?!

– Wyluzuj, Paweł. Dobrze będzie – mitygował Marek. Pan mecenas już zaczął wakacje i był nastawiony przyjaźnie do całego świata. – Starczy ryb dla każdego...

– Nie o to chodzi. Męska wyprawa z zasady wyklucza obecność kobiet. Mam ich dosyć na co dzień. Bez obrazy... – Zerknąłem na Lizę. Zdążyła poprawić włosy, a zmieszanie pokryć wystudiowaną obojętnością. Widziałem już takie miny: u pacjentek, które upierały się wbrew rozsądkowi. Krew mnie zalała. – Po prostu ani mi się śni służyć za modela dla jakiegoś babskiego pisemka. Ani tłumaczyć laikowi, czym się różni wobler od błystki, a plecionka od zwykłej żyłki!

– Mniej więcej wiem – odparła chłodno – ale rozumiem obiekcje i obiecuję nie wchodzić panu w drogę.

– Po co tak oficjalnie – łagodził Marek. – Chętnie wprowadzę cię, droga Lizo, w wędkarskie arkana...

– Nie trzeba! – prychnął Lucek. – Jak była mała...

Nie słuchałem. Bus dojechał na miejsce. Złapałem plecak. Musiałem czymś zająć dłonie, bo inaczej bym Lucka udusił!

Czekałem na ten wyjazd. Marzyłem o nim, wykonując kolejną liposukcję, korektę nosa, zabieg zmniejszenia podbródka, powiększenia piersi... Po dziesięciu latach poprawiania Pana Boga i walki z nieubłaganym czasem miałem dość sztuczności, gładkości, regularności rysów. Weekendowe wypadki na ryby pozwalały odetchnąć, ale łaknąłem czegoś więcej. Tęskniłem za surowym pięknem nieskażonej niczym natury. Wyprawa w kraj gejzerów, wulkanów i lodowców wydawała się strzałem w dziesiątkę. Klub Laxa zapewniał zakwaterowanie, przewodników, transport na łowiska. Islandia w lipcu, pełnia wędkarskiego sezonu, łosie jak smoki, męskie zmagania, wieczorne rybaków rozmowy przy alkoholu, a przede wszystkim – żadnych bab! Brałem pod uwagę wyłącznie kaprysy pogody. Niech szlag porwie Lucka i jego morelową kuzynkę! Co ona tam będzie robić? Przecież nie łowić! Pstryknie kilka fotek i zbierze informacje, które równie dobrze mogłaby wyczytać w internecie. W stylu, że *lax* znaczy po islandzku łosoś, a Lucek nosiłby nazwisko Jansson. I co dalej? Już się bałem...

Nawet sławny angielski porter nie poprawił mi humoru. Charakterystyczna goryczka ciemnego piwa wręcz pogłębiła mój paskudny nastrój. Bo przecież nie fakt, że Liza, przekomarzając się z Luckiem i Markiem, mnie ostentacyjnie ignorowała. I tak przez kilka godziny oczekiwania na lot do Reykjavíku.

– Paweł, dobrze będzie. – Tuż przed odlotem przyjaciel szturchnął mnie w bok.

– Baba to baba. – Wzruszyłem ramionami.

– Rany, aleś się wziął! Nie słuchałeś tego, co mówił Lucek? To nie jest zwykła kobitka. Dziadek i tata góral zabierali ją na ryby, od kiedy nauczyła się chodzić. Dobrze będzie, tylko wyluzuj.

Jakoś nie mogłem.

Dzień pierwszy.

Nad rzekę Ranga dotarliśmy po dziewiątej rano. Szef bazy, Arni Bardulsson, powitał nas osobiście.

– *Welcome!* – Jasnowłosa olbrzym mocno uścisnął nam dłonie. Lizę omiółł spojrzeniem zdobywcy i cmoknął z zadowoleniem. Spłonila się. Sądziłem, że ludzie północy są bardziej powściągliwi. Zadowolona mina Lucka wskazywała, że właśnie takiego zachowania oczekiwał. Potem wyjaśnił, że Islandczycy są ludem wesołym i otwartym, wręcz rubasznym.

Pawilon pośrodku bazy pełnił rolę recepcji, salonu i jadalni zarazem. Tutaj Liza, jako specjalny gość, dostała oddzielny pokój. Nam przydzielono schludny trzyosobowy domek z łazienką i sauną.

– Plan jest prosty. Wypakować się, potem lunch i... na łososie! – zarządził Lucek. – Gadałem z przewodnikiem. Dziś bierzemy na cel nizinny odcinek rzeki, szeroki, bliżej ujścia. Kto złapie pierwszą sztukę, stawia whisky!

Świetnie. Im bliżej oceanu, tym ryba, wpływająca na tarło, była bardziej waleczna, trudniejsza do wyciągnięcia. Tym większe wyzwanie. Istniało jedno „ale”.

– Niepunktualność jest cechą wrodzoną kobiet. Ustalmy, że czekamy na

twoją kuzynkę najwyżej kwadrans. Potem ruszamy i niech sama się martwi o rozrywki. Mister Arni aż się pali do pomocy.

– Przynajmniej ma gust – skwitował Lucek. Marek, patrząc na mnie, popukał się w czoło.

No i faktycznie wyszedłem na idiotę, gdy przybyłem na lunch ostatni. Przesadziłem z wodą kolońską i musiałem się przebrać. Usiadłem przy stole i zatkało mnie na widok Lizy. Bez makijażu, w szortach i koszuli flanelowej, z włosami upiętymi w kucyk, co uwydatniało różowe uszy, wyglądała na szesnaście lat. Miejsce morelowej damulki zajęła dziewczyna, która faktycznie mogła z dziadkiem łowić pstrągi w potoku. Połykałem jakieś miejscowe danie z wędzonej jagnięciny, nie czując jego smaku.

Na łowisku stawiała się uzbrojona w aparat i spodniobuty z gorateksu. Rozsądny wybór, jeżeli zamierzała wchodzić do wody. Islandzkie rzeki nawet w lipcu miały zaledwie kilka stopni. Zgodnie z zapowiedzią ignorowała mnie. Skupiła się na Marku i Lucku, rejestrując ich zmagania z rzeką. Oraz na Gajdzie, kolejnym postawnym blondynie, który jako przewodnik nie łowił, za to chętnie służył radą i pomocą. Skryty za polaryzacyjnymi okularami i czapką z daszkiem, udawałem, że nie widzę, jak rozmawiają, żartują... Zrzuciłem. Raz, drugi, trzeci... Liza kibicowała Luckowi, łowiącemu na muchę. Osobiście wołałem spinning. Poczulem lekkie branie, zaciąłem. Kicha! Moja kotwica zahaczyła o trawy przy dnie. Marek zmagał się z podobnym problemem. Zrzuciłem ponownie, zacząłem zwijać żyłkę i... znowu za późno podciąłem. Przez nią! Rozpraszała mnie. Przebyłem tysiące kilometrów, by spełnić marzenie. I co? Zamiast uważać, co rusz gapilem się na smukłą postać z aparatem.

Mała mucha na pojedynczym haku, spływając z prądem, nie zaczepiała o rośliny i wkrótce Lucek odnotował poważnie branie. Srebrny samczyk, jeszcze niezasiedziały, capnął żarłocznie przynętę. Nie zamierzał szybko się poddać, ale nie z takimi rekinami radził sobie Lucjan-menedżer. Sprawnie wyholował srebrniaka na płyciznę. Pewny chwyt za ogon i oto pierwszy łosoś wylądował na brzegu. Po godzinie Marek wyłowił purpurowo wybarwioną samicę troci. Żadne smoki, ale zawsze. Ja zakończyłem połowy z kilogramem zielska na koncie.

Dzień drugi.

Nic nie brało. Ani jednego małego podbicia, szczypnięcia. Jakby ryby wymiotło z rzeki.

– Mówiłem, że baba na łowisku przynosi pecha.

– Skąd ten pesymizm i niecierpliwość? – Marek po kilku godzinach jałowego moczenia kija nadal zachowywał wakacyjny spokój. Zazdrościłem mu. Czułem się spięty i poirytowany, jakbym wciąż tkwił w miejskim młynie. Winiłem za to Lizę. Nie pasowała tutaj. Nie powinna tu być. Nie chciałem, żeby była! Jej jawnie okazywana obojętność drażniła mnie bardziej, niż skłonny byłem przyznać...

– Jak świat światem, a łowisko łowiskiem zdarza się, że ryba nie bierze. – Przyjaciel zwijał żyłkę wyluzowany, uśmiechnięty, rozmarzony wręcz. Czy mówił tylko o rybach? – Nic nie poradzisz, groźbą, prośbą ani zaklęciem. Wystarczy powiew wiatru, zmiana ciśnienia, pory dnia, żeby obojętne, ospałe osobniki zmieniły się w krwiożercze bestie! – Zaśmiał się. – Poczekajmy. Będzie dobrze, który raz ci to powtarzam, ech...

Mądrze prawił. Tkwiąc w wodzie po pachwiny, postanowiłem, że nie pozwolę sobie zepsuć wakacji. Chylące się ku zachodowi słońce ożywiło surowy krajobraz. Zalało chłodny, szarzielony świat tundry potokiem ciepłych płomieni. Spojrzałem w górę rzeki. W oddali, na tle pomarańczowego nieba, dostrzegłem sylwetkę wędkarza. Woda sięgała mu do kolan. Wprawnie trzymał dwuręczne muchowe wędzisko i wywijał nim z niewątpliwą maestrią, lokując przynętę w upatrzonym miejscu. Niby się wyróżniał z otoczenia, a zarazem stanowił nieodłączną część krajobrazu. Długa linka tańczyła, kreśląc w powietrzu spirale i węże. Kunszt, finezja, pewność ruchów i decyzji. Wreszcie ogarnął mnie spokój. Tego szukałem. Naturalności, ciszy odnalezionej w szumie bystro płynącej rzeki.

– Nieźle sobie radzi, co? – zagadnął mnie Lucek z dumą w głosie.

– Że niby... kto...?

Gdy pojąłem, że podziwiam Lizę, mój czarno-biały, męsko-damski świat zachwiały się w posadach. Poczułem się zdradzony, wystrychnięty na dudka. Wnuczka górala pasowała tu bardziej niż ja. Do Islandii, gdzie chłodna skorupa skrywała gorące, nieprzewidywalne wnętrza, letnie noce były białe, a słońce nie chowało się za horyzontem. Zakpiły ze mnie. Obie: Islandia i dziewczyna. Marek kiedyś powiedział, że nie rozpoznam wartościowej kobiety, nawet gdyby walnęła mnie pięścią między oczy. Pomylił się. Jak niczego żałowałem, że tak źle zaczęliśmy z Lizą naszą znajomość. Mój świeżo odzyskany spokój prysł.

Dzień trzeci.

Kapryśny islandzki klimat dał o sobie znać. Wiało i padało niczym późną jesienią. Zostaliśmy w bazie. Zajęliśmy się sprzętem, szykowaniem przynęt i degustacją obiecaną przez Lucka whisky. Liza zbierała dane do reportażu. Pomocny Arni opowiadał o przepławkach, dzięki którym łososi mogły pokonywać wyższe wodospady; o licznikach laserowych zasilanych baterią słoneczną; o zasadach licencjonowania rzek i limitach na odłowy; o tych wszystkich dyskretnych, ekologicznych metodach, dzięki którym Islandia żyła z turystyki, nie tracąc wiele ze swej pierwotności. Liza słuchała, notując skrzętnie. Płatki jej uszu płonęły. Nie od nadmiaru wiadomości. Raczej z powodu samego Arniego, który snuł opowieść, raz po raz podkreślając węża i obrzucając dziewczynę łakomym spojrzeniem. Nagle uznałem brak innych kobiet w bazie za wielkie niedopatrzenie. Dopilem whisky, gestem poprosiłem o jeszcze. W kraju, gdzie wierzono w skrzaty i trolle, dziewczyna z pierścionkami brązowych kędziorów, z trójkątną buzią i uszami elfa musiała robić piorunujące wrażenie. Co gorsza, umiała łowić ryby. Dość, by któryś z tych potomków wikingów postanowił ją porwać! Wychyliłem szklaneczkę jednym haustem.

Dzień czwarty.

Mżyło, ale przestało wiać. Skusiło mnie miejsce, które widziałem z okien domku; co szkodzi spróbować. Nie liczyłem na wiele, dlatego mocne branie zaskoczyło mnie, gdy byłem uzbrojony w cienką linkę. Z drugiej strony, im delikatniejszy sprzęt, tym większe emocje. Spory, silnie wybarwiony samiec walczył jak lew. Przegrał po dwudziestu trzech minutach. Mój pierwszy łosoś! Błysk flesza przyłapał mnie, gdy pocałowałem go przed wypuszczeniem. Moje pierwsze zdjęcie. Spojrzałem na Lizę. Uniosła brwi w uznaniu i prawie się uśmiechnęła...

Wieczorem, przy kominku i wódeczce tym razem, zebrało się nam na łososiowe wspomnienia. Przerzucaliśmy się nazwami rzek: Parśeta, Rega, Słupia i te mniej „zadeptane”, jak Wieprza, Łeba, Reda. Wyłowione okazy rosły w miarę pochłanianych procentów. Liza zaczęła głośno ziewać.

– A pamiętacie swoją pierwszą godną wzmianki zdobycz? – zmieniłem temat. Chłopakom rozbłysły oczy. Chwaliliśmy się szczupakami, leszczami, okoniami złowionymi na zwykłą bambusową wędkę. Liza nas przebiła. Bawiła się z braćmi w Indian i ustrzeliła z łuku pstrąga. Lucek potwierdził.

– Ponoć go usłyszała. – Zachichotał, nieco już wstawiony. – A durny narzeczony, samolubne wędkarskie zero, przez którego zrezygnowała z poprzedniej wyprawy, sugerował przykrócenie tych czujnych radarów. Żle wyszłyby na zdjęciach ślubnych. Uwierzycie? Dzięki Bogu rzuciła tego kretyna!

Liza nie wyglądała na rozbawioną. Sięgnęła do gumki spinającej włosy.

– Nie – zaprotestowałem. Nagle coś we mnie zaskoczyło. Wbrew pozorom Liza nie była tak twarda i obojętna, jaką udawała. Lucek się wygadał. Mniejsza o reportaż. Zabrał ją na Islandię, by odbudowała swoje kobiece ego. Dlatego pochlebiała jej adoracja ze strony Marka i Arniego. – Nie wstydź się tego, co czyni cię niepowtarzalną. Uwierz fachowcowi od poprawiania natury.

– Dzięki... – Nie umknęła wzrokiem. Jej piwne oczy miały zielone plamki.
– Jednak pozwól, że się odmelduję. Mam dość szczerości na dzisiaj.

Dzień piąty.

Obudzono nas o szóstej. Pogoda się zmieniła i wyruszyliśmy w górę rzeki. Trzy godziny przedzieraliśmy się terenówką przez bezdroża i mokradła, by dotrzeć nad czarowne miejsce. Wodospad, strome zbocza, kamienie, spieniony nurt. Spinning wykluczony. Pozostało mi podziwiać mistrzów i zazdrościć Markowi, który bez obawy o śmieszność łowił z kuzynostwem na muchę. Gdy przenieśliśmy się na bardziej dostępne łowisko, starałem się nadrobić punkty. Daremnie. Ryby uparcie omijały moją kotwicę.

– Zmień przynętę. Mocne kolory błystek i woblerów powinny się sprawdzić – poradziła mi Liza, pokazując swój zestaw much. Istna feeria barw! Oranż, fiolet, seledyn. Gajda skwapliwie potaknął. Posłuchałem i wkrótce nie nadążałem z wyciąganiem zdobyczy. Sukces mnie uskrzydlił. Zrobiłem o jeden krok za dużo i wpadłem po uszy. Czapka odpłynęła z prądem...

– Krzyczałam „uważaj”! – zirytowała się Liza. – Czemu nie czytasz wody? Kiedy marszczy się, wiruje, niby bez powodu, znak, że pod spodem tkwi kamień; nurt go omija, podmywa dno i dziura gotowa.

– Sorry, dotąd nie łowiłem na płytkich rzekach! Z łódki, brzegu, owszem. Nizinny ze mnie góral! – przyznałem, plując wodą i śmiejąc się do rozpuku. Opory rozmyły się, zniknęły wraz z czapką.

– Wariat... – mruknęła.

Wszystkim się dziś poszczęściło i Gajda uznał, że należy nam się ucztą. Rozbiliśmy namioty. Zajadając pieczone na ognisku łososie, mrugnąłem porozumiewawczo do Lizy. Uśmiechnęła się od ucha do ucha. Poczułem ulgę. Ale nie spokój.

Biała noc czy nie, Marek chrapał. Wyszedłem z namiotu. Liza siedziała na brzegu rzeki.

– Czy też mogę?

– Ale co?

– Na co mi pozwolisz. Zaczniemy od nowa. Jestem Paweł Adamsson, syn Adama.

– Jestem Liza Annassdottir, córka Anny. Jeszcze nie wiem, czy cię lubię.

Pozostałe pięć dni dowodziłem, że warto mnie polubić. Wspólne łowienie łososi sprzyjało zadaniu...

Siano

Od godziny leżałam w sąsięku, na kocu, okryta kołdrą. Nie mogłam zasnąć. Pode mną piętrzyła się góra siana, pachnąc tak intensywnie, że aż w nosie kręciło. Do uszu docierały dziesiątki tajemniczych odgłosów. Dla mieszczucha noc na wsi, w stodole, niewiele miała wspólnego z błogą ciszą. Owszem – zero zgrzytających tramwajów, erek na sygnale, warczących samochodów czy ryczących motocykli. Tylko co z tego? Mieszkając przy ruchliwej ulicy, przywykłam do podobnych hałasów. A tu? Zewsząd osaczały mnie ciche trzaski i szelesty. Wielce podejrzane. Jakby za chwilę coś miało wypełznąć z tej kopy siana, wleźć mi za bluzę dresu albo wplątać się we włosy. Brr! Byłam twardą babką, nie mdlałam na widok krwi; niejeden pożar, wypadek czy manifestację widziałam, wiele gorących relacji przeprowadziłam i mało co mnie tremowało. Ale tutaj czułam się nieswojo. Siłą powstrzymałam się, by nie wrócić do izby, ale przegrałabym zakład. Witek twierdził, że taka miejska paniusia jak ja nie wytrzyma całej nocy sama w stodole.

Bezczelny złośliwiec! Ale i tak go lubiłam. Miał w sobie przekorę i pewność siebie, którą ceniłam, bo zwykle mój własny tupet onieśmielał facetów. Witold nie był specjalnie przystojny, za to bystry i interesująco ironiczny. Wciąż mi dogryzał, prowadząc flirt, polegający na nieustającej szermierce słownej. Niezła taktyka. Skuteczniejsza niż gapienie się i wzdychanie. Niestety, z zasady nie łączyłam przyjemności z obowiązkami. Poznaliśmy się w lokalnej stacji telewizyjnej, gdzie oboje byliśmy na stażu. On jako operator, ja – reporterka. Roboty mieliśmy huk, bo w dużym mieście zawsze coś się dzieje, a życie toczy się w przyspieszonym tempie. Świetnie nam się razem pracowało, zrobiliśmy wiele dobrego materiału i wcale nas nie zdziwiło, gdy zaproponowano nam umowy na stałe. Od września. Na razie by uczcić sukces, nieco odetchnąć i naładować akumulatory, Witold zaprosił mnie do swojej babci na wieś.

Starsza pani okazała się typową babcią o szerokim łonie, geście i uśmiechu. Na obiad zaserwowała żurek, bogato okraszony kielbasą, jajami i ziemniakami. Wsunęłam pełen talerz, choć latem odżywiałam się głównie warzywami i owocami. Tych też nie zabrakło. W placku ze śliwkami. A potem micha malin z górą bitej śmietany! Już od patrzenia przybierałam w pasie. Niemniej pałaszowałam równo, bo Witek sam był gotów wszystko pochłonąć. Pani Zofia przyglądała się nam z zadowoleniem, zaś mój apetyt skwitowała:

– Podobasz mi się, dziewczyno. Wituś dobrze trafił. Wreszcie. Nie lubię, gdy te dzisiejsze pannice wybrzydzą nad porządnym jedzeniem. A potem chude toto

i charakter ma paskudny z wiecznego wygłodzenia. Jedz, jedz, dziecko. Jak troszkę więcej ciała nabierzesz, nie zaszkodzi. Trzeba siły mieć, do pracy i rodzenia dzieci.

Zakrztusiłam się połykaną właśnie maliną. Witek puścił do mnie oko.

– Babcia sądzi, że jesteś moją dziewczyną, bo dotąd tylko takie tu przywoziłem. Na test bojowy. Jak się babci kandydatka na narzeczoną nie spodobała, nici ze ślubu. Jak widać, ty pierwsza zdałaś egzamin.

– Świetnie – mruknęłam. – Szkoda tylko, że oświadczyły mi umknęły...

– A co będę ryzykować rekuzę. Swój męski honor mam. Poza tym jak zasmakujesz w babcinej kuchni, może okażesz się bardziej spolegliwa. Z pełnym brzuchem trudniej uciekać.

– Gonić też nielekkko – wytknęłam mu. – Miskę z malinami musiałam niemal ci wydzierać!

– Już, już, dzieci, nie kłóćcie się. Lepiej idźcie na spacer. Wituś, pokaż Julce okolicę, spieszyć się nie musicie. To nie miasto, czas wolniej płynie. Pościelę jej w twoim pokoju. Ty się prześpisz na kanapie albo na sianie, jak wolisz.

– Jasne, że na sianie! – prychnął. – Mówię ci, Julka, taka noc w stodole to przygoda sama w sobie. Choć ty byś się pewnie bała, co? Taki mieszczech...

– Niby czego? – Wzruszyłam ramionami.

– Duchów... – szepnął. – I ciszy. Z takiej ciszy potwory wychodzą. A w sianie nigdy nie wiadomo, co siedzi.

– W moim sianie?! – oburzyła się pani Zofia. – Nic w nim nie siedzi. Myszy wynoszą się latem na pole, więc nie strasz dziewczyny.

– Czy ja mam pięć lat, żeby się bać potworów? Nie ośmieszaj się, Witek. – Spojrzałam na niego zde gustowana.

– Więc załóż się. O zgrzewkę piwa. Moim zdaniem nie wytrzymasz całej nocy sama w stodole. A jak wytrzymasz, oka nie zmrużysz!

Właśnie tak wylądowałam w sąsieku pełnym pachnącego siana i odgłosów,

od których włoski jeżyły mi się na całym ciele. Zawsze miałam bogatą wyobraźnię. Teraz pracowała na pełnych obrotach. Coś przeleciało z piskiem. Nietoperz? Niedawno oglądałam horror o wampirach i uśmiełam się do łez. Teraz przełknęłam ślinę. Te nietoperze skrzydła są takie... wampirze! Na zewnątrz pohukiwała sowa. Wyraźnie twierdząco. Siano szeleściło, gdy ruszałam się nerwowo, wypatrując oczy, próbując przeniknąć ciemność. Latarka niewiele pomogła. Schowanie się pod kołdrę też. Miałam wrażenie, że skrzypnęły wrota, więc czym prędzej wychyńłam. Z dołu dochodził dziwny chrobot. Myszy? Niby miały się wynieść na pole, ale może jakaś została? Nie jestem tchórzem. Zasadniczo. Ale myszy się brzydzą. Robactwa tym bardziej. Diabli wiedzą, ile różnych chrząszczy, pajaków i innych robali mieszkało w tym sianie. No nie zasnę. Nie ma szans! Z obawy, że coś mi wlezie do ucha, jak kiedyś, gdy byłam mała. Lepiej skończyć z tą męką i wrócić do domu, gdzie czekało normalne łóżko, bez lokatorów. Niech sobie Witek triumfuje, co mi... Zastygłam. Chrobot nasilił się i przerodził w miarowe sapanie. Jezu, jeszcze duchów mi tu brakowało! Ujęłam mocniej latarkę w dłoń. Nie poddam się bez walki. Zaświecę intruzowi w widmowe oczy, to odechce mu się miejskie dziewczyny zaczepiać! Kolejne sapanie i syk: „kurde, polałem się”, przyjął z jękiem ulgi. Ktoś całkiem realny wdrapywał się po drabinie.

– Witek, to ty? – szepnęłam.

– A kto, duch święty? Jasne, że ja, przybywam z odsieczą. Babcia kazała. Uznała nasz zakład za durny. Przysyła kubek mleka z miodem. To najlepsze lekarstwo na sen, prócz mojego fascynującego towarzystwa. Ponudzę ci trochę, poopowiadam o dzieciństwie i zaraz będziesz chrapać. Bo jak znam twój upór, do wyrka nie wrócisz.

– Kocham twoją babcię – wyznałam z głębi serca. Duszką wypięłam mleko, nie zważając na kozuchy.

– To fajnie, bo ja też. No, posuń się trochę, wpuść mnie pod kołdrę, noc wcale taka ciepła nie jest...

Ochoczo zrobiłam mu miejsce i gdy tylko się położył, przylgnęłam do jego boku.

– Tak straszno było? – spytał, obejmując mnie.

– No... – przyznałam i umościłam się wygodniej. A potem wyrwało mi się nieopatrznie: – Właśnie miałam zrejterować, gdy przyszedłeś.

– Aha! Czyli wygrałem i stawiasz mi piwo. Głupi zakład, ale zakład.

– Niech ci będzie – mruknęłam, ziewając. Naraz poczułam się okropnie zmęczona. Przy Witku nie straszne mi były myszy, nietoperze, pająki ani całe zastępy duchów. Opowiadał coś o żniwach, w trakcie których... Nie pamiętam. Zasnęłam, ukołysana jego głosem...

Obudziło mnie pianie koguta. Darło się ptaszysko jak opętane. Fakt, świt sączył się już przez szpary i lufciki pod powałą. Zerknęłam na zegarek. 4.30. Chryste! Przecież miałam wakacje. Zerknęłam na Witka. Spał, nawet nie mrugnął, mimo hałaśliwej pobudki. Sen rozluźnił rysy jego twarzy, zwykle skrzywionej w kpiącym uśmiešku. Wydawał się młodszy i taki... bezbronny. Nie wiem, co mnie podkusiło – może przegrany zakład. Sięgnęłam po źdźbło i zaczęłam łaskotać go w ucho. Poruszył ramieniem. Zamarłam. Ale po chwili dobrałam się do jego nosa. Machnął ręką, jakby opędzał się od muchy. Stłumiłam śmiech. I właśnie miałam wpakować mu trawkę do drugiego ucha, kiedy złapał mnie za nadgarstek.

– Bawi cię to? – spytał poważnym, niskim od snu głosem.

– Troszeczkę! – Zachichotałam.

– A to...? – wymruczał, przyciągając mnie do siebie.

Teraz leżałam na nim, a nasze twarze i usta dzieliły milimetry. Przymknęłam oczy, pewna, że zaraz mnie pocałuje. Powinnam się wyrwać; głupio psuć przyjaźń i zgodną współpracę romanssem, ale nie odsunęłam się. Czekałam. Jak będzie? Raczej nic wielkiego. Ot, zwykły skradziony całus, kara za psotę... Jego język zanurkował w moje usta, zręczny, giętki. Usta pochwyciły usta. Igrał z nimi, skubiąc raz jedną raz drugą wargę, by za moment objąć je obie, wchłonąć i znów wyczyniać czarodziejskim językiem istne cuda. Kompletnie się pogubiłam. Tak nie wygląda koleżeński całus! Wystraszyłam się i cofnęłam. Witek chyba wyczuł mój lęk, niepewność. Delikatnie pogłaskał mnie po włosach, zsunął dłoń na kark...

– A to cię bawi? – powtórzył, po czym wpakował mi za kołnierz garść siana.

– Aaa! – krzyknęłam. – Ty głupku, ty zdrajco! – Odskokczyłam od niego. Sucha trawa łaskotała mnie w plecy. Nie mogłam jej wydobyć, więc zdarłam z siebie bluzę, zostając w samym staniku. Widząc, jak się ze mnie śmieje, zaczęłam go obrzucać naręczami siana i za moment tarzaliśmy się w kłującym stogu,

wrzeszcząc jak opętańcy. Kogut nie miał przy nas szans. W końcu zarumieniona i zdyszana padłam na koldrę.

– Poddaję się! Wszędzie mam siano, nawet w majtkach.

– Niemożliwe, pokaż. – Witek wziął latarkę i z miną detektywa amatora pochylił się nad moim brzuchem. Jednym palcem uniósł gumkę spodni wraz z figami i spojrzał mi w oczy. Jego własne nigdy nie były takie ciemne, nieodgadnione. – Mogę? – spytał.

– Nie krępuj się. – Zgrywałam chojraka, choć w gardle mi zaschło. Serce waliło jak oszalałe. Skoro jeden pocałunek tak mną wstrząsnął, co się stanie, gdy pozwolę mu na więcej?

Zerknął, poświecił, jeszcze raz zerknął i uśmiechnął się, dziwnie nieśmiało. Jakby spłoszony dokonany odkryciem.

– Nie wiem, albo to siano, albo tam również jesteś blondynką.

– Sprawdź, proszę, bo nie pamiętam. Od tego zapachu wszystko mi się płacze...

– Boże, Julka, dość tych podchodów. Przecież zaraz tu pożar wywołam! Wystarczy, że noc miałem fatalną. Tak się we mnie wtulałaś, że... że mógłbym się, cholera, przyzwyczaić. Teraz leżysz tu niemal naga, cała zasapana i podrapana, jakbyśmy już Bóg wie co robili! Co babcia powie? Każe mi się z tobą ożenić jak nic!

Zaczęłam się śmiać i nie mogłam przestać. Był taki oburzony, taki pełen pretensji, wyznając mi uczucia w mocno pokrętny sposób. Jejku, przecież też mi na nim zależało! Od dawna; broniłam się wyłącznie dla zasady. Więc poniekąd z siebie też się śmiałam. Długo mi na to nie pozwolił; złapał mnie za ramiona i zdusił nerwowy chichot kolejnym pocałunkiem. Władczo, acz skutecznie. Po chwili oboje byliśmy nadzy, a potem...

Dziwne... jak zmieniają się doznania. Naraz siano już mnie nie kłuło, już nie pachniało zbyt intensywnie... Czułam jego głowę między udami i ten magiczny, wszędobylski język, pieszczący mnie tak intymnie, że bardziej nie można. Jednak chciałam więcej, mocniej. Jęknęłam, złapałam go za włosy, przyciągnęłam, ale on się nie spieszył. Wolno przesuwiał się wyżej, wzdłuż łona, brzucha, przywitał się

z pępkiem, owionął gorącym oddechem piersi, każdą nagroził miękkim, wilgotnym pocałunkiem i kiedy myślałam, że dłużej nie wytrzymam, znowu pochwyił moje usta w objęcia swoich warg. Smakował mną. Poruszyłam niecierpliwie biodrami. Zaśmiał się chrapliwie i wreszcie... doczekałam się. Siano stało się miękką, aromatyczną odskocznią, z której ulecieliśmy niczym dwa nietoperze, wiedzione radarem zmysłów innych niż wzrok...

Na śniadaniu pojawiliśmy się spóźnieni, bo musieliśmy odespać. Unikałam wzroku Witka, wciąż będąc pod wrażeniem wydarzeń w stodole. Usta mnie piekły od pocałunków, ciało szczypało od zadrapań. Byłam szczęśliwa, nasycona, zarazem niepewna jak nigdy wcześniej. Pani Zofia powitała nas kawą i uśmiechem. Nie skomentowała siana we włosach.

– Zrobię wam jajecznicę. Co zamierzacie później? – Pytała chyba o nasze plany na dzisiaj, ale zabrzmiało dwuznacznie. Witek wziął mnie za rękę, pocałował i odparł:

– Do września mamy czas, by podjąć jakąś decyzję, prawda?

Potaknęłam z ulgą. Jak dobrze mnie rozumiał. Nie ma co się spieszyć. Pożyjemy, zobaczymy.

Dwa światy

Siedzę na drewnianej ławce. Moje stopy w niebieskich trampkach dyndają w powietrzu. Nie dosięgam podłogi. Mam dopiero trzy lata. Pod ogromną kopułą panuje gwar, radosna atmosfera święta i wyczekiwania. Mama coś do mnie mówi. Wskazuje śmiesznie przebranego pana, który rozdaje różowe, puchate kule na patyku. Ochoczo potakuję. I po chwili zajadam własną watę cukrową. Tak słodką jak myślałem. Zadzieram głowę do góry. Spod okrągłego ciemnego sufitu zwieszają się liny i dziwne wąskie huśtawki. Kto bawi się tak wysoko, pod niebem? Jacyś czarodzieje chyba...

Oto moje pierwsze wspomnienie. Wciąż żywe i kolorowe. Wtedy po raz pierwszy mama zabrała mnie do krainy cudów, magii i tajemnic.

Cyrk Arizona co roku, pod koniec wakacji, zjeżdżał do naszego miasta, rozkładając się w starym dorzeczu rzeki, niedaleko naszego domu. A ja co roku nie mogłem się ich doczekać. Widząc charakterystyczne wozy, czując z daleka specyficzny zapach – smaru, trocin i zwierząt – wpadałem w podniecenie.

- Mama, tata, cyrk przyjechał! – krzyczałem. – Pójdziemy, prawda?
- Znowu... – Tata wzdychał. – Nie znudziło ci się jeszcze?
- Nie – zapewniałem. – Proszę... proszę! Pójdziemy?
- Skoro tak ci zależy. Oczywiście, że pójdziemy – ustępowała mama.

I znowu pod ogromną kopułą ogarniała mnie cudowna atmosfera święta i wyczekiwania. Potem obrazy się mieszają. Występy klaunów i żonglerów przeplatają się z pokazami magików i treserów. Wybuchy śmiechu, głośnie westchnienia podziwu, narastające crescendo werbla przed trudnym numerem akrobatów, małe białe pudelki skaczące przez obręcz i olbrzymi szary słoń stający na przednich nogach. Migawki z kolejnych przedstawień zlewają się w jeden fascynujący ciąg...

Lata mijały, a ja nigdy nie byłem za duży na cyrk. Tata nie rozumiał tej mojej fascynacji. Był człowiekiem konkretnym, mistrzem murarskim, jak wcześniej jego ojciec i dziadek.

– Co ty w nich widzisz? Nie orzą, nie sieją, nic trwałego nie budują, wiatr ich nosi z miejsca na miejsca.

– Ale ile świata zobaczyli. Też bym tak chciał...

– Dorośniesz, zmądrzejesz, zrozumiesz. – Ojciec nie miał co do tego wątpliwości. Nim się urodziłem, zaplanował mi życie. Kiedyś przejmę rodzinną firmę. Inna opcja nie istniała.

A jednak po kryjomu trenowałem zonglerkę cytrynami i tęskniłem do innego świata, w którym niemożliwe jest możliwe.

Tego lata, gdy skończyłem piętnaście lat, kupiłem sobie bilet za własne oszczędności. Za nic nie poprosiłbym ojca. Z powodu świadectwa zrobił mi taką awanturę, że chyba całe miasto słyszało.

– Co z tego, że mam parę dwój? – broniłem się. – Do liceum ani na studia i tak nie pójdę. Obaj wiemy, gdzie skończę: na budowie.

– Ty gówniarzu! – ryknął. – Jak śmiesz! Tyram jak wół, a ty sobie bimbasz. Jeżeli myślisz, że zostawię firmę nieukowi i leniowi, to grubo się mylisz!

– Mam gdzieś tę całą firmę! Nienawidzę jej! Przez nią tkwię tu jak kołek w płocie! – wrzasnąłem.

Uciekłem nad rzekę. Jak zwykle. Rzeka nie pytała, nie wymagała. Płynęła, przed siebie, w nieznanie... Jak cyrk.

– Szanowni państwo, oto oni, sławna w całym kraju trupa Fidalgo!
– zapowiedział konferansjer. – Orkiestra, tusz!!!

Na jasno oświetloną arenę wypadły cztery konie; czarne jak węgiel, bez jednej jaśniejszej plamki. Orkiestra grała, a one galopowały w kółko; pęd powietrza rozwiewał ich długie grzywy i ogony. Na ostry, przejmujący gwizd zatrzymały się w równym rzędzie pośrodku sceny. Parskały, rzucając niecierpliwie łbami. Czekały, podobnie jak cała widownia. Mężczyzna w białym kostiumie, o siwych włosach spiętych w kucyk, wybiegł na arenę. Za nim podążyła reszta trupy: dwóch mężczyzn, kobieta i dziewczyna nieco starsza ode mnie, także ubrani na biało. Siwowłosy uniósł ręce. Konie stanęły dęba.

– Grafit!... Diament!... Andalużja!... Brylant!... – przestawiał je po kolei, a one opadały na ziemię, uginając przednie kolana. Publika reagowała rzęśistymi brawami po każdym ukłonie. Cyrkowcy położyli dłonie na piersi i również pochyłili głowy. Potem gwałtownie wyrzucili ręce do góry, a konie momentalnie zerwały się do galopu. Wskoczyli na nie w biegu.

Niewysoka dziewczyna w tiulowej spódnicy nie miała swojego konia, swojego miejsca. Lekka niczym piórko fruwała z jednego końskiego grzbietu na drugi. Z jednych ramion w drugie. Karosze szły obok siebie, parami albo całą czwórką, a ona tańczyła na nich jak na parkiecie. Po każdej udanej wołyżerke uśmiechała się i w triumfalnym geście wyrzucała w górę ramiona.

– Marika! Brawa dla naszej małej gwiazdy! – piał konferansjer.

Dłonie bolały mnie od oklasków.

Następnego dnia, zaraz po obudzeniu, ubrałem się szybko i wymknąłem z domu. Była sobota, siódma rano.

Zakradłem się od tyłu; od strony pomieszczeń dla zwierząt. Przyuważył mnie opiekun słonia.

– Nie pętaj się tutaj, chłopcze. I niech ci do głowy nie przyjdzie podchodzić do Lali. Miewa humory. Zmykaj!

Udałem, że odchodzę. Schowałem się za pierwszym wozem i zastanawiałem się, co dalej.

– Szpiegujesz czy kogoś szukasz? – usłyszałem. Na schodkach wozu siedziała jakaś smarkula o jasnych, niemal białych warkoczach. Jadła loda. Nie po raz pierwszy pomyślałem, że cyrkowcy mają fajnie. Lody na śniadanie – ekstra. Nie spieszyło jej się. Lód roztopił się i ciekł jej po ręce, skapywał na koszulkę, opinającą się na małych, jędrnych piersiach. Chyba jednak była starsza, niż sądziłem.

– Szukam Mariki, tej wołyżerki. Znasz ją? Nie spotkałem dotąd takiej dziewczyny... – wyrwało mi się.

– A co, zakochałeś się? – Poruszyła znacząco brwiami.

– Nic ci do tego, cyrkówko! – warknąłem.

Jej twarz oblała się gniewnym rumieńcem. Patyczkiem z reszką loda rzuciła prosto we mnie.

– Zjeżdżaj, ale już! Wszyscy jesteście tacy sami. Bijecie brawo wieczorem, obrażacie za dnia. Siwy ma rację. My i wy to dwa światy. Wynocha!

– Maryjka, co tu się dzieje? Wielbicieli odstraszasz?

W drzwiach wozu stanęła młoda kobieta. Ją poznałem, choć bez scenicznego stroju, makijażu i fryzury wyglądała inaczej, zwyczajniej, młodziej. Podobnie jak Maryjka...? Marika! Ale wpadka.

– Przepraszam, ja... nie chciałem... – jękałem się.

– Już dobrze. – Jasnowłosa wołyżerka roześmiała się. – Maryjka, weź kolegę i oprowadź go naszym małym królestwie.

– Bianka, no co ty?! Mam ważniejsze sprawy niż niańczenie miejscowego.

– Co na przykład? Konie oporządzone. Została ci ponad godzina wolnego, nim zaczniemy trening. Skorzystaj. Może jutro on się zrewanżuje. Wciąż się skarżysz, buntujesz... A jak ktoś stamtąd do ciebie przychodzi, to go przeganiaasz.

Nie miałem pojęcia, o co chodzi; jakbym przypadkiem podsłuchał fragment rozmowy, prowadzonej już od jakiegoś czasu.

Maryjka wzruszyła ramionami.

– Mogę oprowadzić. Co mi tam.

Z beztroskiej dziewczynki, która jadła lody, nie zostało śladu. Znowu wyglądała na starszą ode mnie. Doświadczeniem na pewno mnie przewyższała.

– Bianka to twoja siostra? – zagadnąłem.

– Mama.

– Mówisz do niej po imieniu?

– Do dziadka i wujów też. I jeżdżę konno, ryzykując skręcenie karku. Zamierzasz donieść na nas do opieki społecznej?

– Coś ty taka drażliwa? Po prostu pytam.

– Dobra, co chcesz zobaczyć?

Nagle straciłem ochotę na zwiedzanie sennego obozowiska. Wołałem lepiej poznać tę fascynującą dziewczynę.

– Miałem trzy lata, gdy mama zabrała mnie po raz pierwszy do cyrku. To moje pierwsze tak żywe wspomnienie. Co roku na was czekam.... – zwierzyłem się, jak nikomu wcześniej. Ale Marika była jak postać z bajki, jej się nie wstydziałem. – Gdy byłem mały, marzyłem, żeby do was przystać. Ostatnio znowu o tym myślę...

Zerknęła na mnie spod oka. Nieco przychylniej, jak mi się zdało.

– Kłopoty? Bywa. Ale jeżeli chcesz uciekać z domu, to nie z nami. Wyglądasz na silnego, ale nie wytrzymałbyś miesiąca. To, co wygląda lekko i łatwo na arenie, wiąże się z ostrą, nieustającą harówką. My nie mamy wakacji. Nigdy. Tu trzeba ciężko pracować na swoje utrzymanie.

– Umieję ciężko pracować. Mój tata jest budowlańcem. Konno też się mogę nauczyć jeździć.

Wybuchnęła śmiechem.

– O, Boże! – Chichotała. Łzy ciekły jej po twarzy. – Wiesz, jakie jest moje pierwsze, bardzo żywe i bolesne wspomnienie? – Opanowała się w końcu. – Spadłam z Andy, znaczy z Andaluzji, i zламаłam rękę. Siwy powiedział, że to moja wina, bo za mocno pociągnęłam wodze. I źle spadłam, a spadać też trzeba umieć. Wtedy rozplakałam się po raz pierwszy i ostatni. Siwy zabronił mi się mazać. Miałam jakieś cztery lata.

– Cztery?! Kurde, ten Siwy to jakiś tyran! – oburzyłem się.

– To mój dziadek i zaklinacz. Na koniach zna się jak nikt. Powinien mieć własne ranczo i stadninę. Ale urodził się w cyrku i jest na niego skazany. Tak jak

ja.

Coś zaczęło mi świtać; chyba o tym wspominała Bianka. Marika buntowała się, chciała uciec. Ale dokąd? Nie miałem pojęcia, dokąd uciekają dzieci cyrkowców. Mnie cyrk kojarzył się z magią i tajemnicą. Ale widziałem tylko jego fragment, ten najpiękniejszy, oświetlony reflektorami, umalowany i wystrojony, wystawiony na pokaz. Za kulisami kryło się znacznie więcej.

– O czym marzysz? – spytałem.

– Ja... – spłoszyła się. – Co cię to obchodzi?

– Niby nic, ale czasem dobrze zwierzyć się obcemu. Tak jak ja tobie. Za tydzień wyjedziecie, może nigdy więcej się nie spotkamy. Co ci szkodzi powiedzieć...

Rozmawialiśmy jak dorośli. Bo Marika nie była zwykłą dziewczyną. Zdawała się bardziej dojrzała niż jej rówieśnice, a ja starałem się jej dorównać.

– Nie tutaj – szepnęła. – Zabierz mnie gdzieś, gdzie będziemy sami.

Spodobało jej się moje miejsce nad rzeką. Położyła się na piasku, zakładając ręce za głowę. Zapatrzyła się w niebo. Koszulka podjechała do góry i odkryła płaski, umięśniony brzuch. Przełknąłem ślinę i przeniosłem wzrok wyżej. Błąd. Drobne, jędrne piersi kłuły trykot nastroszonymi sutkami. Była jak leszczyna – niby wiotka, a silna. Obudziła we mnie pragnienie, by jej dotknąć i nagiąć do swego ciała...

– Marzę, by poznać swojego tatę. Nie wiem, gdzie teraz jest, podobno się przeprowadził. Kiedyś był miejscowym, tak jak ty. Chciałabym zamieszkać z nim choć na trochę, przekonać się, jak to jest....

– Co?

– Mieć to, czego ty nie doceniasz: swoje miejsce.

– Ale ja w tym miasteczku pewnie umrę! – Złapałem się złości, by nie myśleć o tym, co rosnęło mi w spodniach. – Nosa z niego nie wychylę! Moja przyszłość została przesądzona. Przejmę firmę po starym, ożenię się, spłodzę dzieci i skażę je na ten sam los. Ty co tydzień jesteś gdzie indziej!

– I wszędzie jestem obca... Wracajmy. Już pora.

Tego lata byłem na wszystkich przedstawieniach, aż czterech. Trupa Fidalgo ściągała ciekawskich z całej okolicy. Marika wpuszczała mnie bocznym wejściem. Nie zwracałem uwagi na występy innych, czekałem na wołyżerów. Gdy Maryjka pojawiała się na arenie, w obcisłym stroju baletnicy uwydatniającym jej smukłe umięśnione ciało, w koczku i dorosłym makijażu dodającym jej lat – wciąż miałem w pamięci, jak jadła loda, który ściekał jej po brodzie i palcach. I zamiast podziwiać, bałem się. Drżałem z niepokoju, że zrobi sobie krzywdę. Jak jej rodzina mogła na to pozwalać? W każdej chwili mogła zginąć albo skończyć na wózku inwalidzkim!

– Musisz przestać. To zbyt niebezpieczne! – błagałem nad rzeką, gdzie spotykaliśmy się rankami, bo po występach była zbyt zmęczona i nazbyt pilnowana. – Jeden błąd i po tobie. Wiem, że znasz te konie, a one ciebie, ale to tylko zwierzęta. Boję się o ciebie. Kocham cię i nie mogę znieść myśli, że coś ci grozi.

– Co powiedziałaś? – Wspierała się na ramieniu; jasne, niemal białe włosy okoliły jej twarz.

– Słyszałaś. – Zawstydzilem się nagłego wyznania.

– Chcesz mnie pocałować? – spytała.

Kiedyś zastanawiałem się, jak to będzie. Teraz nie myślałem, czułem. Nasze wargi spotkały się, języki wymieniły delikatne pozdrowienie. Złapała moją dłoń i położyła na swojej piersi... Boże!... Była taka miękka i nastroszona zarazem. Pochyliłem się i objąłem ustami różowy pączek. Jej palce zgrabnie rozpięły rozporek moich spodni. Wszystko było takie naturalne, oczywiste. Jej miękkość, moja twardość. Jej gotowość, moja chęć. Przyjęła mnie. Otuliła ciepłem, wilgocią, życiem...

– Proszę, nie wyjeżdżaj – szepnąłem.

– Kiedyś będę musiała.

– Bo Siwy tak każe?

– Nie. – Odsunęła się i spojrzała mi w oczy. – Póki cię nie poznałam, łudziłam się, że mogę żyć bez cyrku. Teraz wiem, że nie potrafię.

– Nie kochasz mnie?

– Kocham. I właśnie dlatego wiem.

– Spotkamy się jutro?

– Jutro...? Tak, jutro może się spotkamy.

Nazajutrz po cyrku została pożółkła trawa.

Cyrk Arizona przyjeżdżał jak co roku, ale już bez wołyżerów. Straciłem do niego serce. Poświęciłem się firmie, rodzinie...

– Tata, tata, cyrk przyjechał! – podniecał się mój czteroletni syn.

– Mama na pewno cię zabierze.

– Mama jest chora. Ty musisz pójść ze mną. Proszę... Proszę!

– Skoro się upierasz...

– Chcesz watę? – Wskazałem klauna, sprzedającego różowe puchate kule na patyku. Ochoczo potaknął głową.

Dorosłem. Z dawnej atmosfery święta i wyczekiwanie pozostał cień. Kopuła nie wydawała się ogromna, a żonglerzy, magicy i akrobaci nie robili na mnie takiego wrażenia jak kiedyś. Dopóki konferansjer nie zapowiedział występu wołyżerów.

– Grupa Fidalgo! Orkiestra, tusz!

I znowu miałem piętnaście lat. Drżałem z niecierpliwości. Na arenę wypadły cztery czarne konie, pięć białych postaci. Dwie kobiety, dwóch mężczyzn i dziewczynka. Jasnowłosa Bianka, dorosła Marika, jej lekko siwiejący wujowie i dziewczynka o ciemnych włosach, takich jak moje... Patrząc, jak fruwa z jednego końskiego grzbietu na drugi, z jednych ramion w drugie – poczułem dawny lęk. Nie myślałem, że na obiecane „jutro” przyjdzie mi czekać trzynaście lat.

Dziewczynka mogła być moją córką. Chciałem wbiec na arenę i zabrać ją, chronić. Ale gdy wyrzucała w górę ramiona w triumfalnym geście, pojąłem, że jej miejsce jest tam, a moje tutaj. Nasze światy nie miały punktów stykowych poza areną. I rzeką, której nigdy nie zapomnę.

Jednym pisane jest bezpieczeństwo, innym ryzyko. Jednym stabilizacja, innym życie w biegu. Nie da się uciec od siebie...

Jakimś cudem Maryjka wypatrzyła moje oczy w tłumie. Uśmiechnęła się. Dziękując, przepaszając i... prosząc. Odpowiedziałem uśmiechem. Gdyby kiedyś jej córka chciała spotkać ojca, wiedziałaby, gdzie go znaleźć. Nigdzie się nie wybierałem...

Pocałunek

Wracalam z codziennej przebiezki. Czasem zyc mi sie nie chcialo, a co dopiero wstawac bladym switem, ale wieloletni nawyk robil swoje. Wiedzialam, ze poranne powietrze orzezwi mnie, a wysilek fizyczny podniesie cisnienie i przegoni apatie. Zgrabna sylwetka byla dodatkowym bonusem; nie do pogardzenia dla kogos o szkolnym przezwisku Kermit. Szeroko rozstawione oczy, malý nos i za duze usta – fakt, troche przypominalam zabę. Ale figura moglam zakasowac niejedna slicznoteke; choe przekroczylam czterdziestke, wciaz mialam ciało godne uwagi. Omijalam wlasnie lezace na chodniku fragmenty rusztowania, gdy ktos przecialge zagwizdal.

– Hej, lalunia, gdzie ci sie tak spieszy? Uważaj, bo nozki polamiesz, a bylyby szkoda, peciny jak sie patrzy, ha, ha! – Niezbyt oryginalny tekst zakonczył wybuch rubasznego, zaczepnego smiechu.

No tak, robotnicy... Administracja uprzedzala, ze w drugim tygodniu wrzesnia rozpoczna sie prace remontowe związane z dociepleniem budynku.

– Hej, lalka, nie uciekaj! – gonily mnie krzyk i rechot, gdy skierowalam sie w strone wejścia do klatki. Bylam spocona i marzyłam o prysznicu, nie o pseudo flircie z tegawym robotnikiem w drelichu, ktoremu sie wydawalo, ze jest dowcipny. – Czeka ktos na ciebie? – nie ustępowal. – Bo jak nie, chętnie wpadnę na kawę i pomogę ci zdjac ten ciasny trykocik.

Przesadzil. Unioslam glowe, mierzac palanta ostrym spojrzeniem. Od kiedy nauczylam sie mowic, uzywalam języka jak szpady. Przydatna umiejtnosc. Wspolnie z bratem prowadzilam firme transportowa i nie dawalam sobie w kasze dmuchać, tepiac siermiężne maniery, niewybredny szoferski język i seksistowskie żarty. Ten budowlaniec tez wymagal nauczki.

– I co potem? – odkrzyknelam, biorac sie pod boki. – Wskoczysz ze swego uniformu, ogierze? Dziękuję, ale nie. Życie mi mile, a na ten boski widok moglabym umrzeć ze smiechu!

– Ale ci dowalila, stary! – Ktos zachichotal.

– Lepiej z ta pania nie zadieraj – włączyl sie kolejny głos, dobiegajacy gdzieś z boku. – Dobrze ci radzę, przepros.

Niewydarzony podrywacz nie posłuchał dobrej rady.

– Myślałby kto, szefie, że taka szprycha. Z tyłu, owszem, liceum, ale z przodu... muzeum – burknął. Znowu przesadził. Miałam swoje lata i urodą nie powalałam, jednak do eksponatu muzealnego było mi daleko.

– Za to ty, trollu, nikogo nie zwiedzisz. Czy z przodu, czy z tyłu – beka piwa. Dobrze, że od zawietrznej stoję, bo twój oddech mógłby mnie powalić!

Odpowiedzią był wybuch gremialnego śmiechu i pojedyncze oklaski. Ekipa aż płakała, obserwując kolegę, łapiącego powietrze na podobieństwo ryby wyrzuconej na brzeg. Wyraźnie zabrakło mu weny na dalsze kpiny. A brawo bił mi „pan dobra rada”. Obróciłam się i... teraz mnie zatkało. Patrzyłam pod słońce, więc rysów twarzy dobrze nie widziałam, tylko podświetlone kontury sylwetki. Ale jakiej... Klękajcie narody! Potężne słupy długich nóg, wąskie biodra, trójkąt torsu i bary jak u pływaka. Żadnego zbytecznego przeładowania; mięśnie wyrobił sobie ciężką pracą, nie sztucznym pakowaniem na siłowni.

– Mówiłem, żebyś odpuścił i przeprosił? Mówiłem. Przez takich jak ty budowlańcy mają opinię chamów i prostaków – łajał pracownika leniwym głosem, podchodząc bliżej i stając do mnie profilem. Dostrzegłam ironiczny półuśmiezek, fryzurę na amerykańskiego żołnierza, siateczkę zmarszczek wokół kącika ust i oka, raczej wynik pracy na dworze niż posuniętego wieku; chyba nie był starszy ode mnie. – Przeproś... – zażądał cicho, niemal dobrotliwie. Grubasek zachnął się. – Przeproś – brygadzista powtórzył rozkaz ostrzej, niwecząc wszelkie pozory dobroduszości – albo zabieraj się z mojej budowy. Czekam.

– Jasne, szefie, wedle życzenia, ty tu rządzisz, przepraszam, proszę pani, co złego, to nie ja, zapędziłem się, sorry. Tak dobrze? – Facet wypluł z siebie wymuszone przeprosiny tonem nieco wyzywającym.

– To już ta pani oceni... – Brygadzista przeniósł uważne spojrzenie na mnie. Wreszcie ujrzałam go *en face* i odniosłam wrażenie, że skądś go znam. Ten bokerski nos, złamany co najmniej raz. Te ciemne, niemal czarne tęczówki. Czyżby...? Nie, pokręciłam głową. Tamten był znacznie niższy, chudszy i na pewno źle skończył. Musiało mi się przywidzieć.

– Może być. – Wzruszyłam ramionami. – Nie jestem specjalnie obraźliwa, po prostu nie lubię, gdy ktoś pozwala sobie na zbyt wiele.

– Oczywiście... – Zaśmiał się cicho i niepokojąco intymnie. Robotnikom rzucił krótko: – Do roboty, panowie. Zaraz wrócę, tylko odprowadzę panią bezpiecznie do domu.

Wskazał dłonią drzwi do klatki, najwyraźniej nie biorąc pod uwagę odmowy. Zmarszczyłam brwi. Pan i władca się znalazł! Niemniej zaintrygował mnie. Po dziurki w nosie miałam niezdecydowanych, zakompleksionych facetów. Ten nie pytał, brał sprawy w swoje ręce. Pokazać mu, gdzie mieszkam, zaproponować kawę? Czemu nie... Mogło być ciekawie.

Szliśmy po schodach na czwarte piętro. On za mną, bez żenady gapiąc się na moje łydki i pośladki.

– To już tutaj. – Obróciłam się, kładąc rękę na klamce. – Dzięki za opiekę.

– Naprawdę mnie sobie nie przypominasz? – spytał. Stał dwa schodki niżej, więc nie musiałam zadzierać głowy, by patrzeć mu w oczy. – Ja od razu cię poznałem. Tych kształtów i tego ostrego języka nie sposób wymazać z pamięci. A ślady po twoim ciosie, gdy ośmieliłem posunąć się za daleko, wciąż noszę na twarzy...

Dotknął skrzywionego nosa. Czyli jednak to on!

Wróciło wspomnienie jesiennego popołudnia przed salką katechetyczną. Waldek, osiedlowy chuligan, zwany Pajakiem z racji nieproporcjonalnie długich w stosunku do krótkiego tułowia kończyn, oczywiście na katechezy nie chadzał. Ponoć z trudem skończył podstawówkę i o dalszej edukacji nie myślał. W wieku lat siedemnastu wołał zapuszczać włosy i rozrabiać, przewodząc bandzie wyrostków. Tamtego dnia okupowali pobliski kiosk, pijąc piwo, paląc papierosy i zaczepiając porządną młodzież, wychodzącą z religii. Grzeczni chłopcy woleli ich omijać szerokim łukiem, dziewczyny umykały z piskiem. Tylko ja się nie dałam zastraszyć.

– E, lala, pytanko mam! – zawołał za mną, gdy ich minęłam. Dumnie uniosłam głowę, nie zwalniając ani nie przyspieszając kroku. – Co, Kermit, za ważna jesteś, żeby ze mną gadać? – Zastąpił mi drogę.

– Odsuń się i nie nazywaj mnie tak, bo pożałujesz – wycedziłam.

– Hu, hu, już się boję... – Przybliżył swoją twarz do mojej (wtedy byliśmy niemal równego wzrostu), w jego ciemnych oczach, zerkających spod przydługiej grzywki, błysnęła prowokacja. Śmierdział piwem i papierosami, a jednak miał w sobie coś intrygującego: zbójcką odwagę i autorytet. W końcu nie łatwo trzymać w ryzach bandę nastolatków. – A co mi zrobisz, gdy cię pocałuję?

– Nie waż się mnie tknąć, śmieciu! – warknęłam.

– Ktoś musi. – Uśmiechnął się złośliwie. – Inaczej zostaniesz dziewicą do śmierci. Ale kuperek masz całkiem do rzeczy, więc mogę się poświęcić...

Nim zdążyłam mrugnąć, złapał mnie tą swoją długą łapą za kark i przyciągnął do siebie. Drugim ramieniem objął mnie i ścisnął niczym liną, unieruchamiając obie ręce. Nie mogłam się wyrwać, choć próbowałam.

– Przestań, żabcia, bo niechcący cię uszkodzę – wymruczał, zwiększając nacisk na szyję. Musiał czuć pod palcami, jak galopuje mi tętno. Zamarłam. I wtedy naznaczył moje zagryzione usta parodią namiętnego pocałunku. Żeby na tym skończył, ale nie... Połuźnił uchwyt palców i ramienia. Otworzyłam oczy. Jego rozszerzone źrenice były jak sztolnie bez dna. Czekałam bez ruchu, bojąc się nawet odetchnąć. Ujął moją twarz w dłonie, przesunął kciukiem po obrzmiałej wardze, pochylił się, jeszcze raz mnie pocałował. Inaczej, zupełnie inaczej... Stałam jak sparaliżowana, spętana nieoczekiwanie delikatną pieśczętą ust i języka. Bezwiednie odpowiedziałam tym samym.

– I co, podobało się, prawda? – spytał chępliwie, odsuwając się. Miałam ochotę go zabić! Jego kumple zarechotali.

– Nie... – skłamałam, ocierając usta wierzchem dłoni. – bolało. Nie tak wyobrażałam sobie mój pierwszy w życiu pocałunek, zepsuleś mi wspomnienie.

Nie spodziewał się takiej odpowiedzi. Zmieszał się, zaczerwienił, w czarnych oczach dostrzegłam coś dziwnego, jakby żal i tęsknotę. Ale chwili słabości zawstydził się jeszcze bardziej i natychmiast pokrył ją szyderstwem.

– To może powtórka? – zasugerował z obleśnym uśmiechem. Drań! Zacisnęłam pięść i w cios, jaki wylądował na jego nosie, włożyłam całą swoją wściekłość i rozczarowanie. Coś chrupnęło, a Pająk poleciał na chodnik, zalewając się krwią. Reszta chłopaków oniemiała; gdy się otrząsną, może być różnie. Jednak nie darowałam sobie złośliwego komentarza.

– Widzisz, gdybyś nie pił i nie palił, urósłbyś większy i silniejszy. Dziewczyna nie położyłaby cię jedną ręką. Zrób coś ze sobą, człowieku, bo naprawdę skończysz jak śmieć!

Zrobiłam w tył zwrot, modląc się w duchu, by nie chcieli mnie gonić. Odetchnęłam z ulgą, słysząc zduszone, nosowe warknięcie:

– Zostawcie ją, niech idzie, zasłużyłam...

Od następnego dnia obchodziliśmy się z daleka. Gdy przypadkiem wpadliśmy na siebie w sklepie czy na ulicy, on udawał, że mnie nie widzi, a ja czułam wyrzuty sumienia, patrząc na jego skrzywiony nos. Zresztą wkrótce capnęło go wojsko i w ogóle zniknął mi z horyzontu. Dobrze, co z oczu, to z serca. Bo czy tego chciałam, czy nie, jego postępek zrobił na mnie wrażenie. Czasem śnił mi się ów zbójcecki pocałunek i jego niemal czuła końcówka, gdy bandycki gwałt na moich ustach przerodził się w delikatną pieśczętę. Naznaczył mnie, cholera! Każdy późniejszy pocałunek przegrywał w porównaniu z tamtym pierwszym. Mieszanka zniewolenia i łagodności podziałała na mnie jak narkotyk. Szukałam jej w kolejnych związkach. Bezskutecznie, o czym świadczyły choćby dwa rozwody. Pewnie, że nie tylko dlatego byłam obecnie sama. Jako osobowość silna, o skłonności do dominacji, przyciągałam typy słabe i uległe, które nudziły mi się raz dwa. A teraz, gdy główny bohater moich snów erotycznych stał przede mną, nie poznałam go. Fakt, bardzo się zmienił. Zmężniał, wydoroślał, obciął włosy, mówił leniwym, nosowym basem. Tylko te oczy wciąż miał jak studnie. Tonęłam w nich...

– Jakim cudem tak wyrosłeś, Pająk? – spytałam, wypływając na powierzchnię. – Wiem, że faceci rosną do dwudziestego piątego roku życia, ale aż... tak?

– Posłuchałem twojej rady! – Zaśmiał się gardłowo, seksownie. – Przestałem pić, palić. W ogóle wziąłem się za siebie. Dopiekłaś mi tym „śmieciem”. Po wojsku skończyłem technikum budowlane; sporo jeździłem po świecie, pracując i nabierając doświadczenia; kilka lat temu założyłem własną firmę. Nawet się ożeniłem...

– Ach.... – wyrwało mi się zawiedzione jęknięcie.

– Ale to akurat był błąd, nie wyszło nam, nie mogło. Znowu wszystko przez

ciebie. Waląc mnie w nos, trafiłaś celniej, niż przypuszczałaś. Wyszedłem na ludzi, ale jestem sam. Powinienem wcześniej cię odszukać, podziękować i przeprosić. Cóż, wstydziłem się. A tu proszę, kolejne zlecenie przyprowadziło mnie wprost do ciebie. Po dawnemu pyskatej, zgrabnej jak cholera, o ustach wręcz stworzonych do całowania i znowu mam ochotę...

– Na co? – szepnęłam.

– Już ty, zabcia, dobrze wiesz na co! – Westchnął. – Powiedz tylko, że nikt nie czeka na ciebie za tymi drzwiami...

– Nie czeka. Więc...?

Więc zafundował mi powtórkę. Znowu czułam walenie serca w piersi i słabość w kolanach, a on tętno pod palcami, którymi objął moją szyję. Ogarnął mnie ramieniem, uwięził i całował, jakby o niczym innym nie marzył. Ale teraz było nas dwoje w namiętnej, gorącej pieśszczocie. Wtulałam się w niego, wpijałam, chłonełam każdym zmysłem. Nie wiem, ile to trwało, wieki, sekundy, nim na koniec ujął w dłonie moją twarz i tkliwie muskał nabrzmiące usta opuszką kciuka.

– Wiedziałem, że tak będzie... Przepadłem dwadzieścia trzy lata temu... Nie śmiałem wierzyć, że ty też...

– I błąd! – Zachichotałam.

Potem zaprosiłam go do siebie – na szklanekę zimnej wody. Kawa byłaby za mocna. Musieliśmy ochłonać i na spokojnie ustalić, co zrobimy z resztą naszego życia. Dość już czasu zmarnowaliśmy z dala od siebie.

Braterska pomoc

Moja siostra to geniusz. Nie mówię tego ironicznie – naprawdę ma jakiś niebotyczny iloraz inteligencji, należy do Mensy, studiuje trzy kierunki jednocześnie, w tym matematykę dla zabawy. Dla zabawy?! Ale przy całej swojej niezwyklej umysłowości, czasami Danka zachowuje się jak kosmitka, istota niezająca zasad rządzących naszym światem.

– Przepraszam, co mam zrobić w ramach braterskiej pomocy? – spytałem zszokowany. – Przespać się z twoją przyjaciółką... dziewczyną?

Lubiłem małomówną Sylwię. Uważałem ją za miłą, ładną dziewczynę. Trochę nieśmiałą, ale przez to bardziej uroczą i oryginalną na tle przebojowych, pyskanych lasek, które bez oporów brały, co chciały. Dlatego nie pojmowałem, czemu naraz postanowiła dołączyć do ich grona. Szkoda. Co więcej, nigdy nie interesowałem się Sylwią w „ten” sposób; najbliższa przyjaciółka Danki też była dla mnie jak młodsza siostra. Rany, pamiętałem, gdy obie szły do przedszkola! A tu taka krępująca propozycja... Odchrząknąłem, nie bardzo wiedząc, co myśleć. Ba, nawet w uczuciach miałem mętlik.

– Odbiło jej? Wam obu... Oszalałyście?! – zirytowałem się. Ostatecznie złość wzięła górę.

– Nie, przemyślałyśmy to bardzo dokładnie. Dzisiaj dwudziestoczworoletnia dziewczyna to dziwoląg. Faceci, gdy się dowiadują, uciekają jak od pożaru. Jakby niewinność była niebezpieczną chorobą zakaźną.

– Może samych kretynów spotykała – burknąłem.

– Właśnie – podchwyciła Danka. – Ale ty do strachliwych nie należysz. Uwolnisz ją od tego brzemienia sprawnie, by nie rzec, z maestrią. Masz trzydzieści dwa lata i, nie wytykając ci tu licznych romansów, posiadasz bogate doświadczenie. Aktualnie jesteś wolny, więc nie ma mowy o zdradzie. A to, że w ogóle niechętnie wążesz się na dłużej, też nam pasuje. Sylwia nie planuje się w tobie zakochać, jeżeli... – zerknęła na mnie spode łba – tego się obawiasz. – No, mówiłem, że geniusz, bo dokładnie taka niespokojna myśl przemknęła mi przez głowę. Diabli wiedzą, co uroi sobie dziewczyna już po fakcie. Ale siostrunia mnie uspokoiła. – Nie ma strachu. Oczekuje od ciebie cielesnej rozkoszy, a ja wierzę, że dasz radę. Poza tym jesteś moim starszym bratem, ufam ci. Wiem, że jej nie

skrzywdzisz i nie będziesz się potem przechwalał łatwym podbojem.

– Buraki się chwala, ja zachowuję dyskrecję.

– Otóż to, masz klasę. Fizycznie też się Sylwii bardzo podobasz, czego nie należy bagatelizować. Podsumowując, nadajesz się idealnie. Skoro zdecydowała się wreszcie na seks, chce ten pierwszy raz przeżyć właśnie z tobą.

– Rany!... Czuję się zaszczycony, pochlebia mi, ale to nie jest dobry pomysł. Seks może wszystko zmienić...

– Tak czy owak, Sylwia już postanowiła. Więc jeżeli odmawiasz, bierzemy następnego z listy kandydatów, naszego kolegę z grupy. Nie umywa się do ciebie, ale... – Znacząco zawiesiła głos.

– Co?! – Takiej opcji nie brałem pod uwagę. – To ma być szantaż?!

– Skuteczny? – spytała słodko.

Jak cholera! Na samą myśl mało szlag mnie nie trafił. Sam nie wiem czemu. Chyba po prostu czułem się odpowiedzialny za tę dziewczynę. Jak wtedy, gdy uczyłem ją jeździć na rowerze. Pod żadnym pozorem nie mogłem się zgodzić, by jakiś niedouczony, niewrażliwy, za to napalony studencina wprowadzał Sylwię w arkana seksu. O nie, precz z łapami! Jeżeli taki z niej uparciuch, trudno. Ze mną przynajmniej nic jej nie groziło, gdyby rozmyśliła się w ostatniej chwili. A gdy odważy się pójść na całość, spróbuję jej nie rozczarować.

Samą organizację „randki” dziewczyny pozostawiły mnie. Zaprosiłem więc Sylwię do siebie. Przyszła ubrana w golf i džinsy. Psychicznie też zdawała się zapięta po szyję. Próbowałem rozładować sytuację flirtem, co zrozumiała opacznie, jak ponaglenie. Zatkano mnie, gdy bez słowa się rozebrała, zostając w majtkach i haleczce. Jedwabnych. No, no...

– Zróbmy to – rzuciła odważnie, przysiadając na brzegu kanapy.

Nie tak to planowałem. W sypialni przygotowałem łóżko i świeżą pościel.

– Nie pali się. Napijmy się wina. – Podałem jej kieliszek, który przyjęła z pewnym ociąganiem.

– Nie chcę się upić, aż tak się nie boję – wyjaśniła, umaczając wargi. Potem wskazała brodą stół, gdzie uszykowałem tacę z kanapkami i koreczkami. – Ale jednak trochę się denerwuję, więc jeść też nie chcę.

– To na potem. Dobry seks wzmacnia apetyt... – Uśmiechnąłem się.

Zarumieniła się i mimo wcześniejszych zapewnień wychyliła kieliszek duszkiem.

– Słuchaj, jeszcze nic się nie stało. – Usiadłem obok. Dotknąłem jej ramienia, przesuając palcem wzdłuż obojczyka. Zadrżała, zawahałem się. – I nie musi się zdarzyć. To był od początku szalony pomysł.

– Wycofujesz się? – Zastygła, patrząc na mnie z rozczarowaniem. Czyli to nie był dreszcz obawy. Skoro tak...

– Nie mówi się facetowi takich rzeczy... – wymruczałem, podczas gdy mój palec zahaczył o ramięczko haleczki i zsunął je z ramienia. Ona niecierpliwym ruchem barku zrzuciła drugie. Ten jej pośpiech był rozbijający. Nie sprawiała wrażenia, że chce mieć to jak najszybciej za sobą. Zachowywała się raczej jak dziecko, które nie może doczekać się odpakowania prezentu.

– Co się stało? – szepnęła. – Czemu nic nie robisz?

– Patrzę... – odszepnąłem, gapiąc się oczarowany na cuda skrywane pod koszulką.

Nie miała stanika. Pewnie w ogóle go nie używała, bo jej piersi były drobne. Za to kształtne, jędrne, zadziornie sterczące. Ująłem je w dłonie i potarłem kciukami małe, ciemno różowe brodawki, aż stwardniały niczym kamyki.

– Ojej! – krzyknęła cicho, patrząc na mnie szeroko otwartymi oczami. Jej ciekawość i podekscytowanie rosły. Moje podniecenie też. Opanuj się, chłopie, upomniałem sam siebie, zabierając ręce. Nie wiedziałam, co się dzieje. Nie sądziłem, że aż tak mnie weźmie. Czyżby jej niewinność okazała się zbyt silnym afrodyzjakiem? A może to Sylwia tak na mnie działała? Dziewczyna, którą znałem niemal całe jej życie i do której wolałem za bardzo się nie zbliżać, uważając to za niestosowane. Lub ekstremalnie niebezpieczne. Raz kozie śmierć.

– Pocałuj mnie – poprosiłem. – Umiesz?

– No wiesz! – obruszyła się. – Aż tak zielona nie jestem.

Ujęła moją twarz w dłonie i przyciągnęła ku sobie. Pochyliłem się posłusznie, acz nadal wołałem jej nie dotykać. Pierwszy pocałunek był jak muśnięcie motyla. Przy drugim lekko skubnęła mnie w dolną wargę. Potem obrysowała moje usta językiem. Uśmiechnąłem się, zaskoczony jej śmiałą inwencją. Natychmiast skorzystała z okazji i zanurkowała do środka. Nasze języki splotły się w namiętym tańcu. Zapomniałem, że miałem trzymać się ryzach; objąłem ją z całych sił, niemal zgniatając w ramionach. Pożądanie pulsowało we mnie, coraz potężniejsze, coraz trudniejsze do kontrolowania. Poderwałem się z kanapy, biorąc ją na ręce.

– Co, co...? – Zamrugła powiekami. Zaniósłem ją do sypialni i położyłem na łóżku. Nieco bezceremonialnie, bo jeżeli chciałyby się rozmyślić – to teraz. Potem moja silna wola mogłaby się okazać za słaba. Zacząłem się rozbierać. Niczego nie ukrywałem; drżących dłoni, unoszonego w przyspieszonym oddechu torsu, naprężonej, gotowej męskości. Patrzyła oczami jak spodki. Wreszcie przełknęła ślinę.

– Boże, jakiś ty piękny... – szepnęła i pospiesznie zrzuciła bieliznę.
– Kocham cię, wiesz...

– Ja ciebie też – odparłem.

I wcale nie kłamałem. Ona pewnie również. W takich chwilach łatwo pomylić miłość z wszechogarniającym pragnieniem, które tylko jedna osoba na świecie może ugasić.

Położyłem się na niej, moszcząc w kolebce rozchylonych ud. Wcale nie musiałem jej doradzać; instynkt podpowiadał Sylwii, co robić. Uniosła biodra, podała wargi... Pocałowałem ją, znów igrając z ochoczym językiem. Jednocześnie palcami odszukałem bramę, otwartą w wilgotnym, gorącym zaproszeniu... Objęła mnie udami, szepcząc do ucha: „teraz, ach, już...”. Wreszcie! Delikatnym pchnięciem wsunąłem się w nią. Westchnęła. Naparłem mocniej, ostatnia bariera pękła. Jęknęła. Spijałem z nabrzmiałych warg jęki i westchnienia, poruszając się w niej łagodnie, powoli. Potem mocniej, coraz szybciej... Płynęliśmy, kołysaliśmy się, sięgaliśmy tam, gdzie można dojść tylko razem, tylko z zamkniętymi oczami. Rozkosz otuliła nas, wchłonęła, zmieniała już na zawsze...

Opadłem obok. Zaspokojony, a zarazem znów głodny. Przepelniony uczuciem po czubki włosów i mocno tym faktem przestraszony. Takiej zmiany nie przewidziałem. Danka obiecywała, że Sylwia się we mnie nie zakocha, ale nie wpadła na możliwość sytuacji odwrotnej. To ja naraz odkryłem, jak bardzo ją kocham. I co teraz? Dziewczyna przytuliła się do mnie, kładąc mi głowę na piersi.

– Dzięki za bardzo udany eksperyment, który przeszedł moje najśmielsze oczekiwania. Chyba to polubię.

– No to, cholera, świetnie – burknąłem rozdrażniony.

– Co się stało?

– Dużo. Na myśl o tobie eksperymentującej z kimś innym mam ochotę mordować! Jesteś moja, tak to czuję, i guzik mnie obchodzi, jak zaborczo to brzmi.

– Fajnie brzmi... – zamruczała.

– Przestań się droczyć. Cholera, uprzedzałem, że seks wszystko zmieni między nami!

– I dobrze, na to liczyłam. Znudziło mi się czekanie, aż wreszcie mnie zauważysz, przestaniesz traktować jak młodszą siostrę. Przecież kocham cię, od kiedy pamiętam, ty głupku! – Zaśmiała się cicho, intymnie. – Danka wymyśliła ten podstęp. Przez łóżko do serca. Jest niesamowita, co?

Genialna, kosmicznie genialna! – pomyślałem z wdzięcznością. Co nie zmieniało faktu, że jak manipulantkę dorwę, to uduszę. Ze szczęścia chociażby.

Loteria usług

Mieszkam na małym osiedlu domków jednorodzinnych. Nie ma tu mowy o anonimowości, każdy każdego zna, lepiej lub słabiej. Ale raczej lepiej, bo właśnie w celu kultywowania stosunków dobrosąsiedzkich dwa razy do roku organizujemy imprezy integracyjne, zwane ulicznymi. Odbywają się wtedy gry i zabawy, wspólne grillowanie, karaoke oraz clou programu – loteria usługowa. Każdy, kto chce wziąć w niej udział, wrzuca do puszek kartkę z usługą, jakiej obiecuje się podjąć wobec wygranego. Przy czym nie wolno się wykręcać. To sprawa honorowa; jeżeli ktoś decyduje się na zabawę, musi usługę przyjąć i usługę wykonać. Umyć samochód, zerwać wiśnie z drzewa, odmalować płot, zgodzić się na kolorowe pasemka, odbyć lekcję salsy i co tam kto oferuje. Osobiście byłam dość monotonna w swoich usługach, bo proponowałam do wyboru korepetycje z matematyki albo upieczenie dowolnego placka. Ale obie rzeczy robiłam na tyle dobrze, że nikt nie narzekał. Tym razem to ja miałam kłopot, bo wygrałam... masaż stóp. Niektóre z pań westchnęły z zazdrością, gdy odczytałam na głos swoją kartkę, jedna nawet rzuciła:

– Oj, trafiła ci się gratka, Marta! Zamienisz się?

– Niestety, nie mogę, takie zasady – odparłam. Zabrzmiało dwuznacznie, więc zamilkłam i uśmiechem pokryłam zażenowanie.

Masaż stóp? Rany! Tyleż ekscytujące, co krępujące. Osoba masażysty też budziła we mnie ambiwalentne uczucia. Przyciągał i odstręczał zarazem. Krystian, rehabilitant w znanym klubie sportowym, wprowadził się rok temu do domu obok, po Nowakach. Nowy właściciel – sympatyczny, otwarty, znający się na sporcie i sprawnie podlegający procesowi integracji, bo chętnie wziął udział w wiosennej, a później jesiennej ulicznicy – podobał się sąsiadom. Zwłaszcza kobietom, na których przystojny, wysoki, muskularny mężczyzna również fizycznie robił spore wrażenie. A fakt, że taki facet był samotny, znaczy do wzięcia, działał jak dodatkowy wabik. Wszystkie babeczki, bez względu na wiek i stan cywilny, miękły w kolanach na jego widok i snuły marzenia, jak tymi silnymi dłońmi masażysty bierze je w obroty...

Kurczę, nawet ja nie stanowiłam wyjątku, bo przecież nie byłam ślepa. Co gorsza, widziałam też, jak on na mnie patrzył! Taksująco, zachęcająco, pytająco. Jego oczy proponowały... coś. Wolałam jednak nie wnikać co. Niech poszuka sobie kogoś innego do komplementowania i uwodzenia. Pół osiedla chętnych. Ja, pomna

przykrych doświadczeń, unikałam jak ognia takich pewnych siebie, rozflirtowanych przystojniaków. Nie nadawałam się do niezobowiązujących romansów. Każdego zaboli zarzut o oziębłość, a ja go usłyszałam więcej niż raz, głównie od mojego byłego męża. Nudziarą też mnie nazywał, bo traktowałam życie zbyt serio. Wiem, to moja wada, brakowało mi luzu, ale trudno, taka byłam i w wieku trzydziestu ośmiu lat nie zacznę się nagle zmieniać. Dlatego nie pasował mi cały ten cholerny masaż!

Za jakie grzechy? Czemu akurat ja, losując na końcu – nota bene tuż za nim – musiałam wyciągnąć kartkę z jego usługą? Chryste, i czemu akurat masaż stóp?! Wydawało się to bardziej intymne, osobiste, niż taki masaż karku czy pleców.

I właśnie dlatego Krystian to zaproponował! By mnie omotać, złapać w sieć swych magicznych palców! Nie... absurdalne podejrzenie. Świrujesz, Marta. Niby skąd mógł wiedzieć, że to będę ja? A jakby trafił na „gorącą pięćdziesiątkę”, panią Stasię? Uśmiechnęłam się na tę myśl. Niestety padło na mnie. Przypadek, pech, przeznaczenie? Krystian uznał, że to trzecie, i nie odpuszczał. Choćby dziś, zaczął mnie, gdy wyjeżdżałam do pracy.

– To kiedy przyjdiesz odebrać swoją nagrodę? Nie mogę się doczekać... – wymruczał, seksownie zniżając głos. Celowo to robił. Kiedy zorientował się, jak łatwo się rumienię, uwielbiał mnie peszyć. Ja, surowa baba od matmy, zwana Megierą, czułam się przy nim jak pensjonarka, niewyżyta podfruwajka. Nie dziwota, że go unikałam. Normalnie strach pomyśleć, co będzie, gdy mnie dotknie!

– Nie wiem... Mam dużo pracy w szkole, i w ogóle...

– Wykręcasz się. Znowu. Łamiesz mi serce oraz zasady loterii, o ile wiem. Ale ja cierpliwie czekam, kolejny już tydzień. Na taką kobietę... warto – ponownie zasunął basem, od którego zadrżałam. – A może ty się mnie boisz?

– Już bez przesady! – zachnąłem się, ale zdradziecki rumieniec natychmiast wypłynął na moją twarz. Teraz musiałam się z nim umówić. Zresztą ciekawskie sąsiadki wciąż mnie wypytywały, czy już skorzystałam z usługi. Zaczynało mi brakować wymówek. No bo czemu się tak wzbraniałam? Czego się bałam? Czyżby... siebie?

– W porządku, dzisiaj mam dużo lekcji, na dokładkę dwie ostatnie w bardzo odpornej klasie, przyda mi się relaksująca akupresura, po której zasnę snem kamiennym. – Zgrywałam bywalczynię salonów leczenia alternatywnego, pilnując,

by głos mi nie zadrżał. – Gdy wrócę, zjem coś lekkiego, wezmę prysznic i wpadnę około siódmej wieczorem. Może być?

– Jesteśmy umówieni. Przygotuję muzykę, kadzidelka, oliwkę aromatyczną...

No i znowu mu się udało. Zmieszałam się, zawstydyłam i przez cały dzień o niczym innym nie mogłam myśleć! Biedni uczniowie...

Po powrocie do domu wzięłam długi, chłodny prysznic. Wręcz zimny, by ostudzić emocje. Spryskałam się najlepszymi perfumami, wdziałam koronkową bieliznę, a potem długo zastanawiałam się, w co się ubrać. Boże, jakie to głupie. Marta, otrzeźwiej! – zbeształam się w duchu. To nie randka, choć tak się zachowujesz, kretynko. Ubierz się po prostu w coś wygodnego, najlepiej w dres. Celna samokrytyka zawsze działała.

Kilka minut później już dzwoniłam do drzwi Krystiana.

Otworzył mi także ubrany w dres. Co za ulga! I... jakież rozczarowanie. Znowu ogarnęła mnie typowa w jego obecności ambiwalencja uczuć. Poszłam za nim do pokoju sportowego, gdzie wśród przyrządów do ćwiczeń znajdował się profesjonalny stół do masażu. Rozłożony, ustawiony na środku, gotowy do usługi i kompletnie aseksualny, podobnie jak reszta salki. Nawet palące się kadzidelka i sącząca się z głośników muzyka instrumentalna zdawały się służyć wyłącznie relaksacji. Byłam za to wdzięczna, bo gdyby zaproponował kanapę w salonie albo łóżko w sypialni, chyba bym uciekła.

– Zapraszam, wskakuj i połóż się na brzuchu. – Wskazał z uśmiechem stół. Już nie było odwrotu. Wdrapałam się na górę i ułożyłam równiutko, prościutko.... – Hej, nie denerwuj się tak – szepnął i dotknął moich barków. Momentalnie zeszywniałam jeszcze bardziej. Już wiedziałam, czemu stopy były lepsze. Bo były dalej! Krystian mocniej ujął moje ramiona, ścisnął i pochylając się nade mną, wymruczał łagodnie: – Kobieto, mataczyłem z losami, żeby cię tu zwabić, ale przecież cię nie zjem.

– Oszukiwałeś na loterii?!

– No pewnie – przyznał się bezwstydnie. – Przeznaczeniu trzeba pomagać. Poza tym miałem rację. Jesteś spięta jak agrafka, naprawdę mnie potrzebujesz. Dobra, dość głędzenia, zaczynamy.

Przesunął ręką zawodowca wzdłuż mojego prawego boku, uda, kolana, łydki – jakby znarowionego konia uspokajał. O dziwo, na mnie też podziałało. Gdy ujął moją stopę, nie fiknęłam, nie pisnęłam; poczułam się przytrzymana, zarazem irracjonalnie bezpieczna. Złapał mnie, a ja się mu poddałam...

Zdjął mi prawą skarpetkę, potem lewą. Nie spieszył się. Nalał aromatycznej oliwki na dłoń, ogrzał ją oddechem, potarł ręce i rozpoczął masaż. Zdecydowanym, acz płynnym ruchem przesunął kciukami wzdłuż podbicia stopy i znowu, i jeszcze raz. Potem to samo zrobił z drugą stopą. Nie był delikatny. Doskonale wywazał proporcje między łagodnością a siłą dotyku. Masował mnie tak, by nie bolało, a zarazem nie łaskotało. Poczytałam i wiedziałam, że pod stopami znajduje się ponad siedemdziesiąt tysięcy receptorów, zakończeń nerwowych. Odpowiednia akupresura działała cuda, a Krystian był w niej mistrzem. Zaufałam mu i stopniowo się rozluźniałam, odpływałam, pozwalając galopującym myślom leniwie paść się na łące marzeń...

Po pół godzinie napięcie mięśni odpuściło całkowicie. Byłam jak doskonale wyrobione ciasto: mięciutkie, gładziutkie, wilgotne... Wilgotne? Kolistymi miękkimi ruchami gładził moją prawą kostkę, potem lewą, zahaczając kciukami o ścięgno Achillesa. Ciarki przeszły mi po krzyżu, unosząc włoski na karku. Krystian przesunął dłońmi wzdłuż bocznych krawędzi moich stóp. Znowu przeszył mnie dreszcz, bardzo przyjemny, a na tym się nie skończyło. Nastąpiła subtelna zmiana i teraz czułam mrowie za każdym razem, gdy mnie dotykał. Miękłam coraz bardziej. Gdzieś tam, głęboko, dokąd nie dotarł żaden mężczyzna. Przez siedem lat byłam mężatką i ani razu czegoś takiego nie czułam! Więc udawałam. Ale może to nie była wyłącznie moja wina? Może potrzebowałam magii, która mnie obudzi, rozpali, otworzy?

Czarodziej nie ustępował. Gładził moje pięty. Pukał w opuszki palców stóp. Ugniatał knykciami podbicie. A ja chciałam więcej, czułam niedosyt. Nastrój się zmienił, z rozleniwienia w oczekiwanie. Naciskał nasadę każdego palca, wsuwając czubek kciuka pomiędzy sąsiadujące palce. Za płytko. Drgnęłam, jak tuż przed zaśnięciem. Zrozumiał i zagłębił kciuk do końca, rozpychając się. Jęknęłam, bo miałam wrażenie, jakby wsuwał język w moje zaciśnięte usta. Ale wargi miałam rozchylone, spierzchnięte, oblizywałam je językiem. Przewróciłam się na plecy i rozsunałam uda. Tak, to było zaproszenie. Chciałam, by mnie dotknął tam, gdzie czułam dziwny, przyjemny, tętniący ból, gdzie coś tajemniczego wzbierało nieznaną mi falą... Przeniósł dłoń ze stopy na łydkę, wzdłuż wnętrza uda, do spojenia łonowego. Złapał mnie tak, jak masował – mocno, ale łagodnie. Przytrzymał, ścisnął i... i to wystarczyło. Zadygotałam, spazm był tak silny, że

krzyknęłam i ten krzyk również złapał. W pułapkę ust. Całował mnie, ogarniał wargami, wchłaniając mój dreszcz w bardzo intymnej, namiętnej pieszczocie. Gdy po długiej chwili się odsunął, jęknęłam tylko:

– Boże święty...

Uśmiechnął się.

– Wiem, wiem, tak mnie nazywają, ale zapewniam cię, jestem zwykłym facetem i byłbym szczerze wdzięczny za rewanz, bo ledwo tu stoję... – Puścił do mnie oko, ale wcale nie był tak wyluzowany, jakiego udawał. Teraz on drżał z niecierpliwości, niepewności.

– Mówisz, masz – wymruczałam, dowodząc tym samym, jak bardzo mnie zmiękczył.

Poza planem

Nie spodziewałam się, że w klubie techno, do którego zaciągnęła mnie współlokatorka, spotkam kogoś godnego uwagi. Ale Lidka się uparła. Niemal obrażała ją fakt, że w wakacje gniję w chacie, „rznąc w te durne strzelanki”. Wciąż próbowała ze mnie zrobić porządną studentkę, hojnie czerpiąc z uroków życia i młodości. Z marnym skutkiem. Medycyna pozostawała moim priorytetem. Toteż tańcem Zbyszka nie uwiodłam; brakowało mi wprawy i kondycji. Co innego Lidka, ale gdy odzeglłowaliśmy do baru i zaczęliśmy gadać, szybko zostawiła nas samych.

Nie lubiła gier, a Zbyszek właśnie w sieci spędzał większość czasu. Przedstawił się jako student informatyki od święta i fan Warcrafta na co dzień. Grał od trzech lat, biorąc udział w różnych zawodach i mistrzostwach.

– Wpadniemy do mnie? Pożyczę ci laptopa i pogramy na dwa kompy
– zarzucił wędkę, gdy wyszliśmy z klubu. Był ładniutki, sympatyczny...

– Czemu nie – dałam się złapać.

Odtąd spotykaliśmy się regularnie. Zaczynaliśmy od pubu albo klubu, kończyliśmy u niego w domu, gdzie z czerwonymi od ekscytacji uszami wdrażałam się w arkaną Warcraft III: The Frozen Throne. Rzadko rozmawialiśmy o czymś istotnym – zabijanie potworów nie sprzyja wyznaniom – ale czasem coś mu się wymknęło. Matka umarła, gdy był dzieckiem, i czuł wdzięczność, że ojciec nie szukał na siłę zastępstwa. Dobrze im było tylko we dwóch. Wzięty architekt i pasjonat gier. Każdy zamknięty w swoim świecie. Trochę przykre, ale nie mnie – skupionej na nauce nudziarze – krytykować.

Tego dnia umówiliśmy się ze Zbyszkiem do kina. Po którymś dzwonku drzwi otworzył mi facet w rozchełstanej koszuli. Uroczo chłopięcy syn miał zabójczo męskiego ojca. Dotąd się nie spotkaliśmy, bo tkwił w pracowni, kończąc jakiś ważny projekt. Sporo traciłam. Podobały mi się jego posiwiałe skronie, orli nos, zdecydowanie zarysowana szczęka, a na widok szerokiego, owłosionego torsu z miejsca naszły mnie nieprzyzwoite myśli.

– Danka, tak? Witaj. – Zaprosił mnie do środka i zaczął zapinać guziki koszuli. Szkoda. – Zbyszek pojechał zapisać się na jakiś turniej. Nim wróci, napijesz się czegoś? A może miałabyś ochotę na loda? Kiedy intensywnie pracuję, zaopatruję się w tony lodów. Ponoć są zdrowe i nie tuczają.

– Na dokładkę nie trzeba ich gotować! Mam to samo co pan. Gdy wkuwam, opycham się lodami.

– Mów mi Alek – zaproponował, prowadząc mnie do kuchni. – Studiujesz medycynę, jak słyszałem. – Wyciągnął z zamrażarki dwa Big Milki i podał mi jednego. – Nie obraż się, ale co taka mądra i piękna dziewczyna robi z moim synem? Kręcą cię te jego gry?

– Pewnie! Świetnie się razem bawimy. Jak dzieci.

– Ale chyba nie w lekarza? – Puścił do mnie oko. Zarumieniłam się, na co zaśmiał się gardłowo. Rany, ależ był seksowny! By nie gapić się na niego, skupiłam się na jedzeniu loda. Lizałam go i gryzłam delikatnie. Alek zamilkł. Zerknęłam spod grzywki... Patrzył na mnie niemal przestraszony. Nic dziwnego: napięcie seksualne między nami można było krajać!

– Ma synek fart... – mruknął. – Sorry, nie powinienem tego mówić. Jesteś pierwszą dziewczyną, którą zaprasza do swojej gawry. Mnie nie wpuszcza tam na krok. Musi cię bardzo... lubić. – Uniósł brew.

– Tylko się przyjaźnimy – wyjaśniłam stanowczo. Nie czułam przy jego synu żadnych motyli w żołądku. Owszem, raz, gdy mieliśmy trochę w czubie, pocałowaliśmy się na próbę. Było miło, ale bez fajerwerków. „Jakbym całował się z kuzynką” – podsumował i oboje odetchnęliśmy z ulgą. Seks wszystko komplikował.

– Już jestem! – rozdarł się od wejścia Zbyszek. – Poznaliście się? Super. To co, kino? Korzystaj, Dana, póki możesz. Eliminacje do WCG ruszają już jutro. Finał Polski, na który mam nadzieję się załapać, odbędzie się pod koniec sierpnia w Warszawie, zaś finał światowy na początku listopada w Niemczech...

Nie słuchałam zbyt uważnie. Odprowadzałam wzrokiem Alka, który wycofał się do pracowni. W kinie też nie mogłam się skupić. Przecież wraz z rozpoczęciem zawodów stracę powód do wizyt! Z drugiej strony, jeżeli dobrze odczytałam sygnały, byle pretekst wystarczy... Tym razem ja skutecznie zarzuciłam wędkę i nazajutrz pojawiłam się z gładką wymówką.

– U mnie kiepsko działa internet, słabe łącze. Zbyszek pozwolił mi skorzystać ze swojego komputera.

– Naprawdę zamierzasz grać? – spytał Alek. Był poważny, dziwnie spięty. Gdybym teraz stchórzyła, wycofałby się na dobre.

– Nie, naprawdę to przyszedłam do ciebie.

Zabrał mnie na spacer do pobliskiego parku. Rozmawialiśmy. O moich studiach oraz planach na świetlaną przyszłość. Rozumiał, czym jest ambicja, wytrwałe dążenie do celu. Wiedział również, że praca, nawet wymarzona, nie gwarantuje szczęścia.

– Nie żałę się. Mam syna. Ale po śmierci żony nie umiałem ułożyć sobie życia z nikim innym. Może za słabo się starałem, może Zbyszek był zbyt zaborczy. Teraz dorósł, ma własne sprawy, bywa, że całymi dniami go nie widuję. Została mi tylko praca. Czasem to bardzo mało...

– Nigdy nie jest za późno na szczęście – szepnęłam, znowu się rumieniąc, bo zabrzmiało okropnie ckliwie. Chyba nie dla niego. Wziął mnie za rękę, splatając mojej palce ze swoimi. Ten intymny gest okazał się o niebo bardziej porażający niż pocałunek ze Zbyszkiem. No i przepadłam. Zakochałam się. Poza planem, nierozsądnie, wręcz głupio, bo pakowanie się między syna a ojca wróżyło masę kłopotów.

Na szczęście Zbyszek zajęty zawodami nie wnikał, co dokładnie robię. Gdyby zabawił się w detektywa, szybko odkryłby, że nawet na sekundę nie zalogowałam się w internecie. Pochłonęła mnie inna gra, w realu... Byliśmy z Alkiem jak dwa różnoimienne magnesy, ciągnęło nas do siebie przemożnie, jednak nie poganialiśmy nieuniknionego. Potrafiliśmy godzinami siedzieć naprzeciw siebie, czytając i wymieniając uśmiechy. Ale gdy wstawał, żeby na przykład zaparzyć herbaty, przechodził obok i głaskał mnie po policzku. Wtulałam się w jego dłoń. Ot, cała bliskość – jedna chwilka. Wystarczało, bym miałam ciężką noc. Wspólne gotowanie dostarczało jeszcze więcej emocji. Kuchnia była spora, jednak dla nas za ciasna. Tu muśnięcie, tu delikatny pocałunek w kark, gdy pochylałam się na deskę do krojenia. A czy może być coś erotycznego w oglądaniu filmu kryminalnego? Niby nie. Pod warunkiem, że patrzy się na ekran. Alek zaś nie spuszczał wzroku ze mnie.

– Tam się toczy akcja, proszę pana – upomniałam go. – Sensacja goni sensację.

– Nuudy... Wolę obserwować grę emocji na twojej twarzy. Jest bardzo wyrazista.

– Znaczący brzydka! – Nadęłam się i za karę usiadłam mu na kolanach. Na moment zamarł. Ale wnet poczułam, jak mnie obejmuje, tuli zachłannie... Szczęk otwieranych drzwi przestraszył nas oboje. Odskoczyliśmy od siebie niczym spiskowcy. Kiedy Zbyszek wparował do salonu, grzecznie siedziałam w swoim fotelu. Lubił mnie jako przyjaciółkę, ale ewentualną macochę mógłby znienawidzić. Jak co dzień więc, udając zainteresowanie, wysłuchaliśmy relacji z turnieju. Dobrze mu szło. Liczył na finał w Warszawie. Ja z kolei odliczałam dni. Wyjedzie i zostaniemy z Alkiem sami. Nareszcie! Nie mogłam już dłużej czekać. Chciałam, by mnie pocałował, wziął bez zahamowań, wstydu, wyrzutów sumienia, tak by ziemia się poruszyła, a niebo wybuchło miliardem gwiazd. Bo wiedziałam, że tak będzie.

I było...

A teraz Zbyszek znowu wyjeżdżał. Choć nie udało mu się zakwalifikować do światowego finału i tak wybierał się do Kolonii, jako obserwator. Czyżby celowo usuwał się nam z drogi? Może wolno orientował się w sytuacji, jednak ślepy nie był. Od ponad miesiąca oboje uczęszczaliśmy na zajęcia, Alek zaczął nowy projekt, ale przez to wcale rzadziej u nich nie bywałam. Stałam się niemal domownikiem.

Pomagając Zbyszkowi w pakowaniu, włożyłam mu do torby ciepły sweter.

– Weź, może być zimno.

– Dobrze, mamusiu – mruknął, a potem spojrzał spode łba i uśmiechnął się krzywo. – Zalęgłaś się u nas na dobre, co?

– Przeszkadza ci to? – Wstrzymałam oddech.

– Duży jestem, poradzę sobie. – Wzruszył ramionami. – Zasady gry się zmieniły, trudno. Dostosuję się. Zresztą, Dana, nie męczysz was to krycie się po kątach? Tylko, proszę, nie skrzywdź go. Bo tego ci nie wybaczę. Zastanów się, czego właściwie chcesz. Jak wrócę, pogadamy.

Czego chcę? Jeszcze parę miesięcy temu to było proste pytanie. Miałam swój długoterminowy plan. Studia, staż, specjalizacja. Nieoczekiwana miłość

mocno w nim namieszała. Trochę się bałam, czy jestem gotowa na stały związek z dwadzieścia lat starszym wdowcem. On sam powtarzał, że jest dla mnie za stary, za nudny, z masą przyzwyczajęń kocura samotnika. Czar zakochania kiedyś minie i przyjdzie szare życie. Z Alkiem lub... bez niego. Nie. Taka opcja nie wchodziła w grę. Skoro Zbyszek dał nam swoje błogosławieństwo, największa przeszkoda została pokonana. W moim planie pojawił się nowy punkt: przekonać ukochanego mężczyznę, że naprawdę na szczęście nigdy nie jest za późno.

Separacja

Niedziela mijała wolno, leniwie... Mój weekend z córką wypadł dopiero w przyszłym tygodniu, więc mogłem się luzować do woli, nie martwiąc się o dawanie dobrego przykładu i szukanie kształcących rozrywek. Gapiłem się w telewizor, skacząc po kanałach i sącząc piwo. Obok mnie na kanapie leżała gigantyczna paka chipsów. Żyć, nie umierać. Nikt mi nie truł nad głową, aktywizując do jakichś zaległych prac domowych. Nikt się nie czepiał z powodu niezdrowego żarcia, picia prosto z butelki, jałowego trwonienia czasu i trzymania nóg na stole. No pełnia męskiego szczęścia. Więc czemu go nie czułem?

Komórka wrzasnęła ze stołu piosenką Nirvany. Kto to mógł być? W niedzielę po południu? Nie miałem chęci z nikim gadać. Zresztą ostatnio dzwonili do mnie głównie akwizytorzy. Dawni przyjaciele trzymali stronę Marty. Tak się porobiło. Nie sądziłem, że rozstanie pary oznacza też rozbrat ze znajomymi. Przykre. Zwłaszcza że to ja niemal z dnia na dzień zostałem sam jak palec. Tylko Marcin, wierny druh od przedszkola, pozostał lojalny; nawet przygarnął mnie do siebie, inaczej musiałbym wynająć jakąś klitkę za ciężkie pieniądze. Komórka wciąż krzyczała głosem Kurta Cobaina. Sięgnąłem po telefon, zerknąłem na wyświetlacz i... momentalnie się wyprostowałem, opuszczając nogi. Marta! Co się stało? Coś z Julką?

A może... – niepokój zastąpiła nadzieja – małżonka zatęskniła i chce się pogodzić? Może kolejna samotna niedziela i jej dała się we znaki? Liczyłem na to skrycie. Na otrzeźwienie. W końcu przeżyliśmy razem siedem lat, mieliśmy wspianą córkę i wiele pięknych wspomnień. Nie wszystkie były złe, jak to przedstawiała na rozprawie. Że niby nastąpił rozkład pożycia w sferze duchowej, fizycznej, a jak się wyprowadzę, czego oczekiwała, wręcz żądała, to również więzy gospodarcze zostaną zerwane. Przesadzała, niesiona emocjami. Owszem, oddaliliśmy się od siebie. Po narodzinach dziecka nasza wielka miłość jakby wyblakła, a na pewno spowszedniała. Poza tym Marta poświęcała córce większość czasu; czułem się wykluczany z ich świata, pomijany, mniej kochany. I znalazłem pocieszenie poza domem. Raz, drugi, trzeci... wiele razy. Ale to był tylko seks! Nic poważnego, na stałe, nie angażowałem się duszą, więc nie traktowałem tego jak zdrady. I choć w końcu się wydało, nadal uważałam, że w naszym małżeństwie więcej było dobrych chwil. Moja żona potrzebowała tylko czasu, spokoju, dystansu, żeby to zrozumieć, wybaczyć i dać nam szansę na nowy początek. Tak, przyznaję, zblądziłem, nie doceniając tego, co mam, i szukając szczęścia na boku, ale pół roku odseparowania od domu i rodziny chyba wystarczy. Kara aż nadto

surowa. Ująłem komórkę i pokrywając zdenerwowanie, rzuciłem żartobliwym tonem:

– Tu pogotowie seksualne. Czym mogę pani służyć?

– Robert...? – Usłyszałem rezerwę w jej głosie, niepewność. – To ja...

– Przecież wiem, skarbie, że to ty. Wyświetliłaś mi się. Jak w snach. Też mi się wyświetlasz, wciąż i wciąż, tęsknię, kocham, czekam, mam nadzieję...

– Przestań, proszę... Już to przerabialiśmy. Boże, nie ułatwiasz mi...
– Westchnęła ciężko.

– Czego ci nie ułatwiam? – Humor mi się zmienił. – Coś się stało? Coś z Julką? Chora jest?

– Nie, nie – odparła szybko. – Choć właśnie w jej sprawie dzwonię.

– Aha – mruknąłem mocno rozczarowany; nasze rozmowy zwykle tyczyły córki. A raczej wyłącznie o niej ze mną gadała. Jakby naprawdę już nic innego nas nie łączyło, jakby moje obecne życie, to jak sobie radzę, odcięty od własnej żony, dziecka i domu, w ogóle nie miało znaczenia. – O co chodzi? Przyszły weekend nieaktualny? Jedziesz do rodziców?

– Jadę... – wyznała dziwnie nieśmiało – ale nie do rodziców i właśnie chciałam cię prosić, byś wziął Julcię do siebie już w czwartek wieczorem, a nie dopiero w sobotę.

– Bo? Co cię tak przypiliło? – warknąłem. Czujęm przez skórę, że odpowiedź mnie wkurzy. I zrani, bardzo zrani...

– Bo mam plany. Zaproponowano mi wypad w Alpy, na narty. Krótki, tylko parę dni, ale i tak bardzo mi zależy. Wiesz, że zawsze o tym marzyłam, o szusowaniu w Alpach...

No pewnie, że wiedziałem! Ale to ja miałem ją tam zabrać! Tylko wciąż nie było okazji, czasu, pieniędzy, nastroju, chęci...

– Zaproponowano ci? Kto konkretnie?

– Nieważne, Robert, po co ci to...

– Kto?! Ten cały Witold? – dociekałam, drażąc w ranie. Brzydkiej, jątrzącej się, zatruwającej mnie od środka. Choć wołałam udawać, że to nic nieznaczące draśnięcie. Nie przyjmowałam do wiadomości, że Marta się z kimś spotyka. Z palantem, który oczarował ją wyszukanymi manierami, kwiatami, prezencikami, randkami w najlepszych knajpach. – Ten bogaty dupek, uwodzący cudze żony!

– Po pierwsze, nie jest dupkiem. Po drugie, jestem twoją żoną tylko na papierze, bo nie chciałeś się zgodzić na rozwód. Ustąpiłam, co nie znaczy, że możesz rościć sobie do mnie jakieś prawa. My już nie będziemy razem, zrozum, skończyło się. Nie kocham cię...

– Nieprawda! Nie wierzę ci. Mówisz tak, żeby mi dopiec. Rozumiem, zasłużyłem sobie, ale... koniec? Co ty bredzisz?! Między nami zawsze coś będzie, choćby Julka. Jak możesz nas przekreślać? – Głos mi zadrżał, byłem bliski płaczu.

– Nie przekreślam. Zawsze będziesz dla mnie ważny. Jednak ty i ja, my... to już zamknięty rozdział. Pogódź się z tym, ulży ci. Mnie ulżyło, kiedy wreszcie to zrozumiałam, zaakceptowałam prawdę. I postanowiłam zacząć od nowa. Nie wiem, czy coś z tego wyjdzie, ale chcę spróbować. Pozwól mi.

Chryste! A ja? Co ze mną? Chce spróbować... z kimś innym! Jakby mnie cięła przez pierś. Zareagowałem odruchowo i zaatakowałem, niczym zranione, zaszczute zwierzę.

– Pieprzysz się z nim, tak? I co? Lepszy jest ode mnie?

– Robert, nie bądź chamski. Zresztą to nie twoja sprawa.

– Moja! Odpowiadaj, przeleciał cię? Dogodził ci? Dlatego pobiegiesz na każde skinienie, zapominając o dziecku!

– Nie zapominam – odparła spokojnie. Nie dawała się sprowokować, nie traciła nerwów. Czyli aż tak zależało jej na tym wyjeździe... Rana zaogniła się, napuchła złością, żalem. Fale rozgoryczenia zalewały mnie, pozbawiając dumy, rozsądku. Ona zaś nie traciła jasności myśli. – Dlatego proszę, byś się zajął Julką. Przecież uwielbiasz to. Nigdy nie negocjowałam, że jesteś świetnym ojcem. Teraz nawet jeszcze lepszym, bo kiedy się spotykacie, masz dla niej czas, tylko na niej się koncentrujesz, ponoć świetnie się razem bawicie.

– Bo od kiedy wykopałaś mnie z domu, wszystko inne się spieprzyło! Brak mi celu, sensu, nie mam nic ani nikogo. Tylko te weekendy z córką trzymają mnie w pionie. Co nie znaczy, że pozwolę ci lecieć w Alpy, byś mogła się bzykać z jakimś gogusiem! Nic z tego. Nie ma mowy, słyszysz? Nie pozwalam! Nie... – zachłysnąłem się łzami – nie zgadzam się. Nie rób mi tego!

– Robert, proszę... Sądziłam, że mimo wszystko zostaniemy przyjaciółmi. Dla dobra naszej córki. Przecież kiedyś się kochaliśmy, lubiliśmy...

– Więc wróć do mnie. Błagam! Daj nam szansę. Nie zostawiaj mnie, zlituj się... – zebrałem, łkając w słuchawkę. Poniżałem się, ale nie dbałem o to. Niech wie, jak mi zależy. I niech wie, jak mi źle.

– Chryste... – jęknęła i usłyszałem, że też płacze. – Tak mi przykro, naprawdę... ale to koniec, daj mi odejść.

Rozłączyła się.

Koniec. Miłości, małżeństwa, nadziei, złudzeń. Nie! Nie mogłem się na to zgodzić. Przenigdy. Wybrałem jej numer. Nie odebrała. Płakałem i kląłem na zmianę. Piłem piwo. Jedno, drugie, trzecie... I znowu do niej dzwoniłem, nagrywając się na sekretarkę. Coraz bardziej nieszczęśliwy i pijany. Wrócił Marcin, mój przyjaciel. Jedyne życzliwa dusza, jaka mi została. Spojrzał na mnie, wyrwał oczami i kazał zeznać, co się stało. Więc wylałem z siebie cały żal.

– Ale z ciebie debil – powiedział Marcin, podsumowując moje płaczliwe, nieskładne wynurzenia. – Skąd przekonanie, że będziecie razem? Bo ty tego chcesz? Zwykle chciejstwo.

– Jak to chciejstwo?! – oburzyłem się. – Przecież to moja żona. Matka mojego dziecka. Łączy nas bardzo wiele.

– Dzieli też niemało. Separacja na przykład. Zapomniałeś o tym?

– Nie, ale nie tak miało być! Miała zmądrzeć i do mnie wrócić. Tymczasem nowe życie chce zaczynać. Beze mnie. Jak ona może? Ona kwitnie, a ja... ja tkwię w czarnej dupie!

– Aha, czyli to zawiść.

– Nie... po prostu... kocham ją, cholera, wciąż ją kocham... Nic więcej nie wiem... już... nic nie wiem... – bełkotałem.

– Ale ja wiem. Weź się w garść. Przestań wreszcie zgrywać pokrzywdzonego, bo to dopiero jest wkurwiające. Spierdoliłeś sprawę i pogódź się z konsekwencjami, miast jojczyć i gnuśnieć. Łazisz po chacie w gaciach, chlipiesz, chlasz piwo, straszysz ponurą miną i biadoleniem. Rany, nikogo zaprosić się nie da. Powoli też mam cię dosyć. Ogarnij się, stary, bo robisz się żaloszny. A skoro tak kochasz Martę, pozwól jej odejść. Opuść. Co było, nie wróci. Trudno. Nie zatrzymasz dziewczyny na siłę, nie zmusisz do uczucia. Wręcz przeciwnie. Będziesz się upierał, w końcu cię znienawidzi. Raczej docień, że wciąż ci ufa, nie ogranicza kontaktów z córką...

– Niby czemu miałyby mi utrudniać spotkania z Julką? – nie pojmowałem.

– Bo wiele zdradzonych, upokorzonych kobiet tak robi. Mści się kosztem dziecka, choć to głupie i okrutne. Na twoje szczęście Marta jest mądra i dobra. Docień to, debilu! I uwolnij ją. Pozwól zaznać szczęścia, dość się przez ciebie napłakała.

Nagadał mi aż przykro. Obraziłem się. W szczękę mu chciałem przyłożyć i... potknąłem się o własne nogi.

Nazajutrz miałem kaca. Fizycznego i moralnego. Jednak mimo potężnego bólu głowy myślałem jasno. Od pół roku zachowywałem się jak krety, a wczoraj przeszedłem samego siebie. To Marcin miał rację. I moja żona. Była żona, już wkrótce. Płkanie nad rozlanym mlekiem nie pomoże. Stało się. Rozdział zamknięty. Grzebanie patykami w ranie też nie uzdrowi sytuacji. Koniec to koniec.

Nie było mi łatwo przemóc się i zadzwonić. Zrobiłem to dla Marty i dla siebie. Jak ona się ucieszyła, kiedy obiecałem się zająć Julcią! Jak dziękowała. Poczułem ukłucie żalu – a jakże, od razu przecież nie zniknie – ale było słabsze, delikatniejsze, do zniesienia, takie bardziej ćmienie niż ostry przeszywający ból. Zwłaszcza że jej wdzięczność działała niczym plaster.

Wiolonczelistka

Kryśka trąciła mnie w ramię.

– Nie śpij.

Ocknąłem się z zamyślenia i rozejrzałem wokół. Nic się nie zmieniło. Wszzechobecny dym, niewyraźne bure postacie, na małej estradzie jakaś nawiedzona diwa, mizerne brawka, ciepłe piwo, zgasły papieros... Po prostu smutek i nostalgia. Nie wiem, po kiego czorta dałem się tu zaciągnąć. Aha, przypomniało mi się.

– Błagam, chodź ze mną! – prosiła koleżanka z pracy. – Pomogłam ci przy ostatnim kliencie, teraz ty pomóż mnie. Poluję na takiego jednego i nie mogę przyjść sama, bo się spłoszy. To ostatnio najbardziej trendy klub w mieście – zapewniała.

Trendy zalatywało nudą i pozerstwem. Słabo mi się robiło od egzystencjalnych tekstów puszcanych przez kolegę-poetę, na którego zasadziła się zazwyczaj inteligentna Kryśka. Cóż, miłość oślepia i ogłusza. Marzyłem o łyku porządnej whisky zamiast sikowatego piwa i wdechu markowego cygara zamiast tych podrzędnych skrętów z cholera wie czego, bo uczciwą marychę bym wyczuł. Przydałby się też jakiś obiekt, na którym można by oko zawiesić. Bo jak na razie – szkoda gadać – same wrony i topielice. Jeżeli to miało być trendy, wołałem już być drętwy.

– A teraz coś nie tylko dla ducha, ale i ucha! – podniecał się konferansjer. Mało nas przy tym nie opluł, bo Kryśka uparła się usiąść blisko sceny. – Kwartet smyczkowy dwa plus dwa! Brawa i oklaski!

– Dobrzy są – ożywił się poeta. – No wiecie, muzyka poważna, ale we współczesnych aranżach. Bardzo błyskotliwych i zaskakujących, wręcz żartobliwych. Dopiero zaczynają, dlatego tłuką się po takich knajpach, ale nieźle czadzą.

– Na smyczkach? Czadzą...?! – Ten facet był nienormalny.

– Posłuchamy, przekonamy się. – Kryśka trąciła mnie w bok.

– Daj spokój – zaprotestowałem. – Może cię rozczaruję, ale w szkole nie należałem do klubu młodego melomana i nie chadzałem na poranki symfoniczne. Lubię muzykę łatwą, lekką i przyjemną, szybką do tańca, wolną do...

– Tak, tak. – Kryśka poklepała mnie protekcjonalnie po ramieniu. – A teraz się zamknij, chcę posłuchać.

Zazgrzytałem zębami; przeginała laska na maksa.

Na estradzie pojawiła się czwórka wykonawców. Dwóch facetów plus dwie dziewczyny; dwie pary skrzypiec, do tego kontrabas i wiolonczela.

Mężczyźni mieli na sobie czarne smokingi, kobiety czarne, długie suknie. Smutasy. Pewną rozpoczną od marsza żałobnego...

Nie trafiłem. Zaczął gość na kontrabasie. Ponure adagio, ale po paru taktach zawtórowało mu wesołe allegro skrzypiec. Zaintrygowali mnie. Czekałem na babkę z wiolonczelą. Rozchyliła poły sukni... Niemal straciłem dech na widok długich zgrabnych nóg i czerwonych falbanek! Rozległy się brawa i gwizdy. Odpowiedziała na nie lekkim skinieniem głowy. Królowna, niech ją! Pod wyniosłą miną musiała skrywać nielichy temperament, podobnie jak frywolne falbanki pod grzeczną z pozoru suknią. Usiadła, rozchyliła kolana... Oblizałem usta. Ustawiła instrument między nogami. Wiele bym dał, żeby zamienić się teraz miejscami z wiolonczelą. Podnieciłem się jak smarkacz. Na myśl o jej smukłych udach... aż się spociłem!

Poruszyła smyczkiem. Popłynęła melodia, inna, trudniejsza, gorzko-słodka... Wiolonczela opowiadała swoją własną historię, smutną, choć pełną pasji historię o miłości, marzeniach, śmierci i samotności. Czulem dreszcze na całym ciele. To już nie było doznanie tylko fizyczne, poruszyła mnie do głębi. Nie znałem jej, a jednak chciałem przytulić, pocieszyć, pocałować. W pewnym momencie dziewczyna spojrzała prosto na mnie. Wydawało mi się, że jej ciemne oczy przewiercają mnie na wylot, odczytują zakazane myśli. Uśmiechnąłem się przeprasząco. Nawet nie mrugnęła, zapatrzona w tajemniczy punkt w czwartym wymiarze, który tylko ona widziała...

Następnego dnia stawiłem się w klubie Bohema najwcześniej, jak mogłem. Prawie nie było ludzi. Przeprowadziłem mały wywiad. Wiolonczelistka miała na imię Wioletta, lat dwadzieścia sześć, występowała tu wraz z zespołem w czwartki i soboty, czasami wpadała, żeby towarzysko pomilczeć przy barze.

– Nie, nie ma żadnego faceta na stałe – uspokoił mnie barman. – Ale bywa, że nie wychodzi sama, jeżeli o to panu chodzi. Dziwna dziewczyna, zamknięta w sobie. Nie zwykła się zwierzać, nawet kiedy jest wstawiona. Wpadła panu w oko? – Niby nie jego sprawa, ale potaknąłem, ciut za gorliwie. – Takie buty... to gorzej. – Spojrzał na mnie ze współczuciem. – Niech pan sobie odpuści, nim będzie za późno.

Już było za późno.

Wczoraj, kiedy kwartet skończył występ, nie miałem siły klaskać. Siedziałem otępiały, nie rozumiejąc, co się ze mną dzieje. Serce mi waliło, ręce drżały. Ktoś zapytał, czy coś brałem. Pokręciłem głową.

– Chyba że ona mi czegoś zadała! – Zachichotałem jak kretyn.

Kryśka się przejęła i odwiozła mnie do domu. W nocy miałem dziwne sny. W pracy myślałem tylko o dziewczynie z wiolonczelą. Przypominałem sobie każdy jej gest, spojrzenie, zmarszczenie brwi. Prześladowały mnie jej długie nogi, czerwone usta i falbanki. Boże, pewnie kochała się równie namiętnie, jak grała! Chciałbym być jej wiolonczelą, naprawdę. Po raz pierwszy w życiu tak bardzo pragnąłem jakiejś kobiety, na dodatek nieznanym. Choć grając, zarazem opowiadała o sobie. Jeszcze wczoraj rano nie uwierzyłbym w takie brednie rodem z telenoweli. Ale dzisiaj... po prostu siedziałem przy barze z nadzieją, że ją zobaczę.

– Podobno wypytywałeś o mnie?

Odwróciłem się. Bez scenicznego makijażu, w dżinsach i włosach zaplecionych w warkocz wyglądała jak zwyczajna dziewczyna. Czy to ona śniła mi się w nocy? Czy raczej otumaniał mnie podejrzany dym...

– Więc? – ponagliła mnie, pochylając się lekko w moją stronę. Poczulem zapach pomarańczy, dostrzegłem delikatny meszek na policzku, usta czerwone i wydęte od częstego przygryzania, kilka piegów na nosie. A potem spojrzałem w jej ciemne oczy i przepadłem jak kamień wrzucony w studnię. Wszystko wróciło. Dreszcze, poczucie więzi, chęć, by tulić, koić i oddać się jej bez reszty. Byłem przerażony. Ona chyba też.

– Czego ode mnie chcesz? – spytała nieco ochrypłym głosem. – Tylko bez

ściemy i drętwych tekstów, bo mnie brzydzą.

Nie miałem więc wyboru. Od wczoraj tyle się zmieniło. Wszedłem do Bohemy jako zblazowany, pewne siebie trzydziestolatek, młody wilk reklamy, który nie takie cuda widywał. Teraz czułem się jak dziecko we mgle, niczego nie byłem pewny, nic nie wiedziałem, pozostało mi mówić prawdę i tylko prawdę.

– Czego chcesz? Wszystkiego. Najpierw zobaczyłem, jak rozchylasz sukienkę, i zapragnąłem bliżej cię poznać, potem usłyszałem, jak grasz, i chyba się w tobie zakochałem.

Przekrzywiła głowę. Moja słowa musiały zrobić na niej wrażenie, bo znowu przygryzła wargę i zmrużyła czujnie oczy.

– Nawet nie proponujesz randki, tylko od razu skok do łóżka, co? Lubię, gdy z miejsca przechodzicie do rzeczy.

Założyłem, że kłamię. Musiałem.

– Cieszę się. – Udałem zadowolenie. – U ciebie czy u mnie, a może wolisz w hotelu?

Zaskoczyłem ją; chyba rzadko komu się to udawało.

– Hotel. – Uśmiechnęła się samymi kącikami ust.

Postanowiła mi udowodnić, kto tu rządzi i wzięła mnie sobie. Dosiadła i wykorzystała. Nie zajęło jej to wiele czasu, nie kosztowało wiele zachodu. Nic dziwnego, facet jest tylko facetem, a ja od trzydziestu sześciu godzin myślałem tylko o niej.

– Idę się wykapać – mruknęła po wszystkim.

Wyszła z łazienki naga, z ręcznikiem przerzuconym przez ramię. Miała piękne ciało, a po dzikim seksie sprzed kwadransa pruderią byłoby teraz udawać skromność; niemniej w tym jej paradowaniu kryła się jakaś ostentacja. Znowu próbowała mi coś udowodnić albo mnie odstraszyć.

– Powiedz coś o sobie – zaryzykowałem. – Czemu na przykład zakładasz na występy taką suknię, a potem grasz, aż się serce kraje?

Zerknęła na mnie z ukosa.

– Nie twój interes.

– Wyznałem, że się w tobie zakochałem, a ty mnie przeleciałaś. Nie narzekam, jestem facetem, ale chciałbym wiedzieć, czemu miłość mojego życia jest taka pokręcona. Wrażliwa i bezduszna zarazem.

– Nic o mnie nie wiesz!

– To mi powiedz.

Tylko przez chwilę widziałem w jej oczach błysk bólu. Potem patrzyłem, jak sznuruje się po samą szyję, zapina na wszystkie możliwe guziczki. Była naga z zewnątrz, ale od środka opancerzona jak średniowieczny rycerz. Złapałem ją za nadgarstek, gdy zaczęła się pośpiesznie ubierać.

– Będę miała siniaki.

Puściłem ją.

Ale odpuścić nie zamierzałem. Zostałem stałym bywalcem Bohemy; zaprzyjaźniłem się z panem Wiesiem, barmanem, poznałem też kolegów Wioli z kwartetu. Próbowałem pociągnąć ich za język.

– Ona nas stworzyła – usłyszałem od kontrabasisty. – Aranżacje są głównie jej autorstwa, pomysły ma niesamowite...

– Ale... – domyśliłem się istnienia drugiego dna.

– Nikomu nie pozwala się do siebie zbliżyć. Ważna jest dla niej tylko muzyka.

Nie zmierzałem się zrażać. Uczyłem się na pamięć jej min i gestów. Chciałem zrozumieć, co ukrywa. Nie byłem głupio ciekawy; pragnąłem poznać kobietę, którą kochałem.

Wiola z początku mnie ignorowała. Gdy nie rezygnowałem, irytowała się; sarknęła, że ją śledzę, molestuję, że przeze mnie nie może się skupić, ale pozwalała

się odprowadzać, a czasami proponowała hotel. Tam wciąż ona była górą, dyktowała warunki, nie godziła się na czułości, za którymi tęskniłem. Więcej w tym było wyrachowania niż uczucia, ale wierzyłem, że jestem na dobrej drodze.

Zwątpiłem, gdy wyszła z klubu z jakimś bubkiem. Założyłem, że to kolejna ostentacja, i zmusiłem się, żeby nie pobiec za nią, nie żebrać. Ale noc miałem z głowy...

Następnego dnia spojrzała w moje podkrążone oczy i szepnęła:

– Przepraszam. Odwiózł mnie do domu, nic więcej.

– Nie musisz się tłumaczyć.

– Muszę! – Złapała moją dłoń. – Zachowałam się podle. Ale gdybym się z tobą związała, byłoby jeszcze gorzej. Zrozum! Nic z tego nie będzie, bo nie mam nic do zaoferowania!

– A może to ja chcę dać coś tobie, idiotko! I może mi pozwolisz, zanim wszystko przekreślisz? Chyba zasłużyłem choć na jedną próbę.

Dała mi tę jedną szansę, obiecała, że będzie po mojemu, i mocno się zdziwiła, gdy pojechaliśmy do hotelu. Spodziewała się wyznań i pierścionka – nie kolejnej dawki seksu. Ale właśnie on był kluczem. Oświadczyni by odrzuciła.

– Czym jest dla ciebie muzyka? – spytałem, myjąc jej plecy. – Podobno wszystkim.

– Tak, dawno temu dokonałam wyboru i teraz mam tylko ją.

– Jak dawno? – spytałem ostrożnie, by jej nie spłoszyć.

– Miałam szesnaście lat. Niby smarkuła, ale w szkole muzycznej sprawy wyglądają inaczej. Zresztą... – opłukała twarz pod prysznicem – nie chcę o tym mówić. Jakie atrakcje przewidujesz prócz mycia pleców?

Poprowadziłem ją do łóżka.

– Usiądź – poprosiłem – i rozchyl nogi.

– Hmm...

Położyła się. Przesunąłem dłonią od szyi, przez wąwóz między piersiami, wciągnięty brzuch, łono, kuszące runo, w którym kryły się delikatne płatki. Pochyliłem się, by je rozchylić i posmakować...

– Nie!

– Ależ właśnie tak... – Powolnymi ruchami gładziłem jej uda. – Pozwól mi, zaufaj, nie kontroluj, nie tym razem, pozwól się po prostu kochać...

Mówiłem cicho i łagodnie, jak do przerażonego dziecka. Rozluźniła się, otworzyła dla mnie niczym kwiat. A ja się nie spieszyłem... Grałem piano, pianissimo na wrażliwym instrumencie jej ciała. Dopiero potem, słysząc przyspieszony oddech Wioli, i ja zwiększyłem tempo. Presto, presto! Gdy była bliska kulminacyjnego crescendo, ułożyłem się między jej udami.

– Od dawna marzyłem, by zastąpić wiolonczelę – wyznałem, wsuwając się w nią. Zacisnęła się na mnie, objęła miętko i sprężyste zarazem, poruszyłem się, raz, drugi, i kolejny, i znów... Jej palce przebiegały wzdłuż gryfu moich pleców, nadając ton wspólnej melodii...

Leżała z głową na mojej piersi.

– Płaczesz? – Wyczułem ciepłą wilgoć na skórze. – Dlaczego? Źle ci było?

– Za dobrze – szepnęła. – Boję się, co będzie, gdy...

– To się nie bój. Kocham cię i... – domyśliłem się w czym rzecz – nigdy nie każę ci wybierać między sobą a muzyką.

Uniosła się na łokciach. Patrzyła na mnie z niedowierzaniem i pytaniem w oczach.

– Chowasz się jak ślimak w skorupie, ale zdążyłem cię poznać. A teraz opowiedz mi całą historię tamtej szesnastolatki.

Długo leżała w milczeniu. Już myślałem, że za dużo od niej wymagam.

– Zabiłam ją, wiesz... – zaczęła swoją opowieść, trudną, słodko-gorzka. Były

w niej marzenia, pasja, miłość, było i dziecko, które się nie narodziło, bo zawiedzeni rodzice kazali jej wybierać... był chłopak, który znienawidził ją za podjętą decyzję, i była samotna dziewczyna, która nigdy sobie nie wybaczyła...

Przytuliłem ją z całych sił, całowałem i pocieszałem, jak chciałem już pierwszego dnia.

– Tak naprawdę nie miałaś wyboru, sama byłaś dzieckiem, które z dnia na dzień musiało dorosnąć. I nie zabiłaś tamtej dziewczyny, która wierzyła w miłość. Ona ciągle w tobie jest. Inaczej nie grałabyś tak pięknie, a ja nie kochałbym cię tak bardzo.

Zaduszki

Wstałem ze świtem. W ciągu ośmiu lat służby w Legii Cudzoziemskiej przywykłem do wczesnej pobudki. Wyszedłem na ganek w samych spodniach. Ziewnąłem i przeciągnąłem się. Poranny mroźnik orzeźwił mnie, odpędzając resztki snu. Zrobiłem kilka przysiadów i ćwiczeń rozciągających.

Trzask gałązki zwrócił moją uwagę. Za płotem dostrzegłem dziewczynę. Grabiła resztki liści, zerkając na mnie ciekawie. Przyłapana, pospiesznie odwróciła wzrok. No tak, byłem pół goły. Z drugiej strony, nie miałem się czego wstydić. Mój tors prezentował się godnie, a wojskowe blaszki wiszące na szyi dodawały mi męskości i pewności siebie. Rozkołysanym krokiem szeryfa zbliżyłem się do płotu. Dziewczyna uśmiechnęła się rozbawiona. Była apetycznie zaokrąglona, miała wielkie, sarnie oczy i urocze dołki w policzkach.

– Cześć, jestem Michał. Bratanek Anieli. Dawno mnie tu nie było. Chyba się nie znamy.

– Chyba jednak się znamy. – Zarumieniała się. – To ja, Magda. Strzelałeś we mnie pestkami wiśni.

– Ty?! – oniemiałem, przypominając sobie poważną grubaskę z mysimi ogonkami. Co lato przyjeżdżała do dziadków na wakacje. Lubiała się bawić w ogrodniczkę, a nas z Jackiem nazywała chuligańskimi łotrami. Uwielbialiśmy wrzucać jej dżdżownice za kołnierz i strzelać z procy w pulchne łydki. Wtedy traciła powagę; piszczała, machała rękami i podskakiwała, a my rechotaliśmy jak żaby w błocie. Ach, lube szczenięce czasy... Kto by pomyślał, że ofiara naszych prześladowań wyrośnie na bujną piękność, potrafiącą zawrócić w głowie. Zresztą już to zrobiła. Wreszcie skojarzyłem, kim była. Westchnąłem ciężko. Nagle poczułem chłód. Zaplotłem ramiona na piersi. – Więc... to ty, Magda... narzeczona Jacka...

– Ano ja. – Również spochmurniała. Już nie zerkała zalotnie na moje bicepsy. Flirt zamarł, ledwie się zaczął. – No, słucham, powiedz to. – Spojrzała mi zaczepnie w oczy.

– Ale co? – nie zrozumiałem.

– Nie udawaj idioty. Ledwo zorientowałeś się, z kim rozmawiasz, od razu

przyjąłeś postawę oskarżyciela. – Wskazała brodę moje splecione ręce.

– Zimno mi – bąknąłem.

– Jasne... – burknęła ironicznie. – Twardy legionista trzęsie się z zimna, a ja pracuję w ogrodzie o świcie, bo lubię.

– A nie? – podchwyciłem. – Ja też wcześniej wstaję. Miło spotkać pokrewną duszę. – Chciałem zatrzeć złe wrażenie. Chciałem znowu ujrzeć dołeczki w jej policzkach. Pal sześć, czyją kiedyś była narzeczoną. Życie toczy się dalej.

– No to cię rozczaruję – prychnęła. – Kocham się wylegiwać w łóżku, ale grabię liście o wschodzie słońca, by nie natknąć się... Ups! – Skrzywiła się. – Już za późno.

– Michał! Co ty tam robisz? Zaziębisz się, wracaj! Śniadanie czeka!

Kategoryczny ton ciotki postawił mnie na baczność. Cóż, należał się jej respekt. Po powrocie przyjęła mnie pod swój dach, bo w domu nic się nie zmieniło; umęczona matka, gromada wrzaskliwego młodszego rodzeństwa, prostacki ojczym, którego położyłbym jednym palcem, ale po co. Nie podważa się autorytetu gospodarza, nawet wątpliwego. To ja w rodzinnym domu zawsze czułem się niechcianym gościem. Co innego u cioci Anieli... Jednak wahałem się. Nie wyjaśniliśmy sobie z Magdą sytuacji. Gotowa obrazić się, gdy teraz zrobię w tył zwrot.

– Idź, już idź, bo Aniela apopleksji dostanie – pogoniła mnie.

– Pogadamy później – obiecałem.

Potężna porcja jajecznicy z boczkiem i cebulą, kubek kawy, trzy pajdy chleba z szynką; ciocia Aniela wiedziała, jak dogodzić głodnemu legionście. Usiadła naprzeciwko mnie. Sama nie jadła. Nerwowo wygładzała obrus.

– O co chodzi, ciociu? – spytałem. – Widzę, że coś cię dręczy.

– Nie zadawaj się z nią. Zabraniam ci! – wypaliła.

– Z Magdą? Ale czemu? Wydaje się miła.

– Miła?! Ta harpia! To wszystko przez nią. Przez nią straciłam syna. Rzuciła go niemal przed ołtarzem, serce mu złamała, skompromitowała na oczach całego miasteczka. Przez nią się zabił! I wciąż jej mało, teraz za ciebie się zabiera... Nie pozwalam, Michał!

– Chwila, moment... – Odsunąłem talerz z niedojedzoną jajecznicą. Straciłem apetyt. – Co to znaczy, że Jacek zabił się przez nią? Przecież miał wypadek na motorze. Sam jechał...

– Ale czemu gnał jak szalony? – Zerwała się od stołu. – Czemu wpadł na drzewo, jedno jedyne przy drodze?!

– Może wypił o jedno piwo za dużo – wymknęło mi się. Jacek, jakiego znałem, za kołnierz nie wylewał. Swego czasu obaj ostro szaleliśmy. Dwaj straceńcy, zawsze pierwsi do wypitki i wybitki. Mnie wyprostowała Legia; Jacek miał mniej szczęścia. Ciotka, która tyle razy załamywała nad nami ręce, teraz widziała sprawę po swoim.

– Jak śmiesz go oczerniać? Był twoim kuzynem, bliskim ci jak brat bliźniak. Cudownym, dobrym, czułym chłopcem. Takim wesołym, przyjacielskim... – Chlipnęła, ocierając łzy fartuchem. – Wszyscy go kochali. A ona go zniszczyła, ta przeklęta dziewczucha! Przez nią się załamał, stracił chęć do życia. Jeżeli pił, to z jej powodu. Nie waż się twierdzić inaczej. Lepiej jedz. I po prostu się z nią nie zadawaj, dla własnego dobra.

Posłusznie dokończyłem zimną jajecznicę. Nie widziałem sensu dalszej rozmowy, a już na pewno nie o Magdzie. Widać zerwała z Jackiem, zanim zginął. Więc nie była pogrążoną w żalu i żalobie narzeczoną. Może to okrutne, ale ucieszyłem się: miałem szansę. Trudno konkurować z nieżyjącym ideałem. Wystarczyło rozejrzeć się po domu ciotki. Wszędzie porozstawiała i porozwieszała zdjęcia Jacka. Pamiętała tylko dobre rzeczy, a przecież święty nie był. Choć na uroku mu nie zbywało. Jakimś cudem rozkochał w sobie stateczną Magdę. Z listu, który mi przysłał, wynikało, że ubił świetny interes. On ją rozśmieszał, ona go cywilizowała. „Nie uwierzysz, z kim się zaręczyłem! – pisał. – Z grubą Magdą! Rok temu zamieszkała u dziadków, by się nimi opiekować. No i sklepem. Teraz ona go prowadzi. Wciąż taka poważna, do bólu odpowiedzialna, ale umiem ją rozruszać. Fakt, kumpli moich nie znosi, na motor za diabła nie wsiądzie, ale nadaje się na żonę i matkę. Mama twierdzi, że i ja się przy niej ustatkuję”. Coś jednak nie wypaliło w idealnym planie, skoro dwa lata temu Jacek się zabił... Z głupoty czy rozpacz? Nie znałem szczegółów tragedii, nie dostałem urlopu na

pogrzeb. Może Magda faktycznie złamała mu serce, może była równie okrutna co ładna, a on kochał ją bardziej, niż potrafił przyznać się w liście? Chciałem poznać całą prawdę. Nim sam wpadnę po uszy. Bo już, jak tylko zamykałem oczy, widziałem jej pyszną figurę i śliczne dołeczki w policzkach.

Grunt to dobre rozpoznanie terenu. Języka postanowiłem zasięgnąć w miejscowym barze. Wystarczyło postawić piwo starym bywalcom. Pogadaliśmy o Legii, czy tam ciężko, czy dobrze płacą i czemu zdecydowałem się zakończyć swoją przygodę z korpusem. Owszem, lekko nie było, kokosów nie zbiłem, ale na założenie biznesu wystarczy. Wróciłem, bo świat już obejrzałem, baty zebrałem...

– Tymczasem lata lecą i czas rodzinę założyć, ustatkować się, żony poszukać. Jak Jacek... – Skierowałem rozmowę na właściwe tory.

– Na niesłowną trafił – mruknął jeden z kompanów. – Choć na zapowiedzi dali, pogoniła go. Wybredna jakaś, przecież chłopak jak złoto był!

– E, tam... tombak raczej – włączył się drugi. – Życie by sobie z nim zmarnowała. Przysięga święta rzecz, ale narzeczeństwo to jeszcze nie małżeństwo. Mądra, że go pognała na cztery wiatry. Bez obrazy, Michał, bo to twój kuzyn i o umarłych nie wypada źle mówić, ale ja się Magdzie wcale nie dziwię. Odpowiedzialna i obowiązkowa z niej dziewczyna. Nie każda zajęłaby się schorowanymi dziadkami, a z małego sklepiku zrobiła istne delikatesy. Zaś Jacek do uczciwej roboty się nie garnał, tylko po dyskotekach latał i na tym swoim motorze ujeżdżał, panny podrywał.

– Bo wyszaleć chciał się przed ślubem – bronił Jacka pierwszy. – A Magda zasadnicza jak cholera. Łatwo teraz kawalera nie znajdzie. Nie ustawiają się w kolejce, gdy zza płotu Aniela od najgorszych ją wyzywa. Mówi, że krew jej syna ma na rękach.

– E tam... Na mózg się biedaczce z żalu rzuciło. Najpierw straciła męża i brata w kopalni. Potem syn się po pijaku na drzewie roztrzaskał. Kogoś musi obwiniać za tę bezsensowną śmierć. Choć, po prawdzie, sama rozpuściła jedynaka jak dziadowski bicz. Po twoim wyjeździe już kompletnie przestał się hamować, za dwóch pił i rozrabiał. Pamiętam, jak Aniela za nim ganiała, jak błagała, by się opamiętał i pijany na motor nie wsiadał. Ten czort się tylko śmiał. A teraz aniola z niego robi. Postaw jeszcze piwo, Michał. Wypijemy za łajdacką duszę kuzyna, w czyścicu sobie posiedzi, oj, posiedzi...

– Co racja, to racja. Kto szybko żyje, ten szybko umiera. Dobrze, że choć ty, Michał, na ludzi wyszedłeś. Posłużyła ci ta Legia. Zmężniałeś, wyciszyłeś się, trochę grosza zarobiłeś. Szkoda, że Jacek zrezygnował i razem z tobą się nie zaciągnął, może żyłby jeszcze...

Zastanowiły mnie te słowa. Bo Jacek skłamał. Pierwotnie Legia miała być naszą wspólną przygodą. Wkrótce po odbyciu służby wojskowej razem pojechaliśmy do Paryża, do punktu rekrutacyjnego w Fort de Nogent, gdzie nas sprawdzali i maglowali. Mnie się udało załapać, ale kuzyn nie przeszedł testów psychologicznych. To Legia z niego zrezygnowała, nie na odwrót. Widać nie wyciągnął z tego żadnych wniosków. Z początku też nie pojmowałem, czemu go odesłali. Przecież był takim samym chojrakiem i twardzielem jak ja! Teraz, gdy wiedziałem i rozumiałem więcej, już się nie dziwiłem. Legia zmienia ludzi. Bufonada i ryzykanctwo to za mało, żeby przetrzymać szesnastotygodniowy obóz treningowy w Castelnaudary. Tam się łamie rekrutów, upokarza, a potem wydobywa z nich to, co najlepsze. Jeżeli jest, co wydobyć... Nauczyłem się cenić proste, niby oczywiste rzeczy. Wierność i honor – takim zasadom hołdowali legioniści. Z tego, co usłyszałem o Jacku, te wartości mało dla niego znaczyły. Raczej nie chciałbym mieć go u boku w trakcie którejś z misji. Nie powierzyłbym mu swojego życia, skoro własnego nie szanował. Miłość też miał za nic. Pozostał samolubnym gówniarzem i zgubiła go brawura. Lepiej że tu, gdzie nikomu więcej nie zaszkodził. Choć nie do końca miałem rację...

Cierpiała ciocia Aniela. Cierpiała także Magda. Przyczepiono jej w miasteczku opinię kobiety fatalnej. Dumnie nosiła głowę, puszczała głupie plotki mimo uszu, ale wybrała samotność. Wypatrywałem jej w ogrodzie. Daremnie. A w sklepie trudno o intymność. Zwłaszcza że moja obecność prowokowała ludzkie gadanie.

– Jak tam między nimi było nie wiadomo, ale ona kwitnie, a biedny Jacuś nie żyje – szepnęła do mnie jedna z klientek. Źle trafiła. Zirytowany odburknąłem, żeby przestała jątrzyć.

– Tylko dlatego że dziewczyna nie dała się powieść do ołtarza jak cielę na rzeź, ma do końca swych dni chodzić w pokutnej włosiennicy?! A może powinna zginąć razem z Jackiem? Absurd!

Babsko się obraziło. Magda zaś podziękowała mi za takie wsparcie, przez które klientów traci.

– Sama sobie poradzę. Daj mi spokój, idź sobie – wyprosiła mnie.

Więc przestałem nawiedzać ją w sklepie. Dość już jej nasza rodzina życie zatruła. Ciotka nie ustawała w pełnych jadu wyzwiskach. Znosiłem je tym gorzej, że zakochałem się w Magdzie. Podobała mi się nie tylko fizycznie; imponowała mi. O takiej dziewczynie marzyłem pod obcym niebem, o towarzysze na dobre i złe. I nie spieprzyłbym sprawy jak Jacek. Co z tego, skoro jego duch wciąż stał między nami...

Długo zwlekałem. W końcu wybrałem się na cmentarz. O świcie, w dzień przed Wszystkimi Świętymi poszedłem się z kuzynem przywitać i... pożegnać. Magda już tam była. Pewnie też chciała uniknąć tłoku, ciekawskich oczu i komentarzy. Zapaliła znicz i stała zamyślona. Podeszedłem bliżej. Ramiona jej drżały, płakała. Gdy mnie dostrzegła, szybko otarła oczy.

– Co się tak skradasz? – burknęła. – Śledzisz mnie? Czego ty właściwie chcesz? Zresztą, ja już idę...

– Poczekaj, Magda. Wciąż go kochasz? Dlatego mnie unikasz?

– Co to za pytanie? – Poderwała głowę, jakbym ją uderzył.

– Przepraszam, po prostu... chciałbym wiedzieć, nim zacznę się do ciebie oficjalnie zalecać – postanowiłem spróbować jeszcze raz.

– Dziwne miejsce na takie wyznania, legionisto.

– Najwłaściwsze. Był twoim narzeczonym.

– I nigdy się od niego nie uwolnię! – wybuchła. – Drań, zabił się i zostawił mnie z poczuciem winy! Może Aniela ma rację? Gdybym inaczej z nim tamtego dnia rozmawiała, gdybym dała mu tę kolejną ostatnią szansę, o którą błagał, może nie odjechałby jak wariat...

– Może tak, a może nie. – Wzruszyłem ramionami. – Może następnym razem zamiast drzewa staranowałby jakieś dziecko? Jedno jest pewne. Nie uratujesz nikogo wbrew jego woli. Mamy wpływ wyłącznie na własne decyzje. To on wsiadł na ten przeklęty motor. Kochałem Jacka, ale wątpię, byśmy dziś zostali przyjaciółmi. Kiedyś byłem do niego podobny, ale zmieniłem się. On nie chciał. Dlatego my żyjemy, a on umarł. Nic mu życia nie wróci, więc po co tracić czas na

gdybanie, wyrzuty sumienia czy zionięcie nienawiścią jak Aniela.

– Bezwzględny się zrobiłeś w tej Legii.

– Po prostu szczerzy. Więc co, umówisz się ze mną?

– Wtedy ciotka z domu cię wyrzuci. – Uśmiechnęła się krzywo.

– Trudno. Współczuję jej, ale ona też musi zdecydować. Jeżeli źle wybierze, zostanie kompletnie sama. To co, pozwolisz się odprowadzić? – Nadstawiłem ramię, które po chwili wahania ujęła.

Ciotka nie zmieniła zdania. Musiałem się od niej wyprowadzić. Wynająłem pokój u dziadków Magdy. Tym samym z bratanek stałem się wrogiem i zdrajcą. Próby mediacji zawiodły. Aniela zasklepiła się w bólu i goryczy. Nawet ksiądz proboszcz nic nie wskórał. Na nasz widok przechodziła na drugą stronę ulicę. Nie pobłogosławiła nam, nie zjawiała się na ślubie, na wieść o ciąży Magdy też nie złagodniała. Za to moja żona wraz z brzemiennością nabrała jakby szerszej perspektywy. Jako matka zdawała się lepiej rozumieć rozpacz Anieli, jej ogromną stratę. Nasz syn urodził się krótko przed świętami i z miejsca stał się całym naszym światem. Wtedy Magda postanowiła jeszcze raz spróbować. Z małym Jacusiem na rękach zapukała do drzwi ciotki Anieli, by zaprosić ją do nas na Wigilię. Nie wierzyłem, że ją wpuści. A jednak... Nie sądziłem, że przyjdzie. I znowu się pomyliłem...

Z ogłoszenia

Siedziałam na dworcu, zastanawiając się, co dalej. Byłam w trzecim miesiącu ciąży, miałam niecałe sto złotych, trochę ubrań w plecaku, jeden śpiwór, prawie nowy dowód i całe morze desperacji.

– Pozbądź się bachora – radziła mi przyjaciółka. – Nie zarobisz na niego, będzie ci jak kamień u szyi, a na bidula nikt nie zasłużył, sama wiesz...

Wiedziałam aż za dobrze.

Wychowałam się w Domu dziecka. Trudno to zrozumieć komuś, kto tego nie przeżył. Rząd łóżeczek, w każdym dziecko, większość się kiwa – oto moje pierwsze wspomnienie. Potem było czekanie, nieustające, i głód uwagi, i nadzieja, która niemal zatykała; że tym razem jakaś ładna pani przyjdzie do mnie, że właśnie mnie wybierze i już nigdy nie będę sama. Z biegiem lat przestałam czekać. Jako stara jedenastolatka wiedziałam, że już się nie doczekam. Nawet nie bolało tak bardzo; większości z nas nikt nie chciał. W końcu została mi tylko upokarzająca, ukrywana wstydliwie przed samą sobą, tęsknota za miłością. Pewnie dlatego, ledwie wystawiono mnie za drzwi ochronki, dałam się uwieść pierwszemu lepszemu. Wystarczyło, że był miły, zaprosił mnie do kina, a na trzeciej randce wyznał: „chyba się w tobie zabujałem”.

I zostałam z problemem, który – jak sugerowała koleżanka – najrozsądniej byłoby usunąć.

Tylko że ja nie mogłam! Prosto z Domu dziecka trafiłam na bezrobocie; bo niby gdzie indziej? – bez wykształcenia, zawodu, a przede wszystkim wiary w siebie. A jednak nie mogłam. To dziecko, bardziej bezbronne niż ja, było wszystkim, co miałam.

Na ławce leżała gazeta. Mimochodem zaczęłam czytać ogłoszenia.

„Poszukujemy przedstawiciela handlowego, z doświadczeniem, dyspozycyjnego, najlepiej z własnym samochodem...”

„...sekretarka zarządu, wymagane doświadczenie, biegła znajomość języków...”

„Zatrudnię gospozię. Może być panna z dzieckiem albo w ciąży. Wymagana rozmowa wstępna, telefon...”

Stop! Do tego, żeby sprzątać, prac i gotować, dyplomu nie potrzeba. Zadzwoiłam.

– Ja w sprawie ogłoszenia...

– Proszę mi tylko powiedzieć, dlaczego się pani zdecydowała?

– Bo... – Zawahałam się przez chwilę, na końcu języka miałam brednie o wyrodnym rodzicach, którzy wypędzili mnie z domu na wieść o ciąży, ale czułam, że chłodny głos w słuchawce przejrzy melodramatyczne kłamstwo. W skrócie, bez ozdobników, opisałam swoją sytuację. Nie rozczulałam się nad sobą. Same fakty, żadnego zebrania. Chyba mu się spodobało.

– Proszę przyjechać – zaprosił mnie krótko.

Mieszkał blisko parku. Byłoby gdzie chodzić z dzieckiem na spacer – pomyślałam praktycznie. Piętrowy dom z niewielkim ogrodem wyglądał schludnie i solidnie.

Otworzył mi mężczyzna. Wysoki, silny, o surowym wyrazie twarzy, sporo starszy ode mnie. Obrzucił mnie uważnym spojrzeniem; moje krótko obcięte włosy, wytarte dzinsy, lichą kurtkę i uśmiech z gatunku „jestem fajna”. Po chwili gestem zaprosił mnie do środka.

Oprowadził po domu i przedstawił swoje wymagania. Facet był jeden, ale chata spora. Czułam przez skórę, że samo odkurzanie zajmie mi godzinę; do tego gotowanie, zakupy, pranie, prasowanie – uprzedził, że nie znosi źle uprasowanych koszul – ale zgodziłam się bez wahania.

Przeznaczył mi pokój na piętrze, z osobną łazienką.

– Ten gabinecik – otworzył przechodnie drzwi – będzie można przerobić na pokój dla dziecka. Odpowiada pani?

Odruchowo pokiwałam głową, ale coś mi nie pasowało.

– Czemu ja, w ciąży i bez rodowodu, a nie jakaś miła, starsza pani,

z doświadczeniem i referencjami? – zapytałam wojowniczo. – Wolę wiedzieć, na czym stoję. Czy do moich obowiązków będzie należało także spełnianie innych... hm, usług?

Spojrzał na mnie jak na coś, co wypęzło z kanalizacji. Trochę trwało, zanim odpowiedział.

– Czy pani nie pochlebia sobie zanadto? – wydusił w końcu przez ściągnięte wargi. – Poza tym... przecież mógłbym być pani ojcem, a będę pracodawcą. W dzisiejszych czasach może to dla niektórych nic nie znaczy. Ale dla mnie owszem.

Kurde, obraziłam faceta z zasadami! Roześmiałam się beztrosko.

– Na imię mam Ada. – Wyciągnęłam rękę w geście pojednania. – Mogę zacząć od zaraz.

Ujął moją dłoń z wahaniem. Zdecydował się na męski, mocny uścisk.

Układ był prosty: szef – pracownica. Żadnych dwuznaczności. Z czystym sumieniem mogłam się poświęcić swoim obowiązkom. Najgorzej szło mi z gotowaniem. W bidulu miałam dyżury w kuchni, ale ograniczały się do zmywania, obierania warzyw i podawania do stołu. Na szczęście szef wykazywał swe dobre maniery także wobec przypalonej pieczeni czy rozgotowanej potrawy z kurczaka.

– Naprawdę nie wiem czemu ja, szefie? – Śmiałam się, gdy z kamienną miną łykał wytwory mojego mizernego talentu kulinarnego.

– Przy tobie, moja droga, nawet obiad staje się wyzwaniem – odpowiadał kurtuazyjnie, a ja miałam ochotę poklepać go z uznaniem po plecach. – I czy mogłabyś nie tytułować mnie szefem?

– A niby jak mam mówić? Tatuśku? – wysnęło mi się, nim zdążyłam pomyśleć. – Odsunął od siebie talerz. – Przepraszam, nie chciałam pana urazić – bąknęłam szybko.

– Mam na imię Tomasz – powiedział tylko.

Odetchnęłam z ulgą. Nie chciałam stąd odchodzić. Zdążyłam polubić ów

cichy dom i jego staromodnego właściciela. Swoją drogą dziwny facet ten Tomasz. Pełen sprzeczności. Mijały miesiące, a ja wciąż nie mogłam go rozgryźć. Niby oschły i nieco sztywny w obejściu, a zarazem cierpliwy i wspaniałomyślny. W końcu dał mi pracę i dach nad głową, no i nie narzekał, gdy przypaliłam obiad albo zbyt mocno wykrochmaliłam pościel. Zachowywał dystans, ale nie traktował jak służącej. Jadł razem ze mną w kuchni i rozmawiał o sprawach, o których nie miałam dotąd pojęcia, takich jak sztuka czy polityka. Czemu ze mną? Wokół takiego faceta powinno się roić od kobiet; przystojny, nieźle ustawiony, a samotny jak ja. Nikt go nie odwiedzał, sam rzadko wychodził. Żył jak mnich, nawet pracował w domu. Pisał. Ale nie zdradził, co konkretnie. Nie zwykł mówić o sobie. O książkach, filmach, proszę bardzo, ale nic osobistego. Jednak pod powierzchnią jego nieustającej samokontroli wyczuwałam coś... jakby pomruk rodzącej się burzy, tajemniczą głębię, płataninę uczuć...

Ale wymyśliłam! Tomasz był po prostu skrytym facetem i tyle. Za to ja gadałam za dwoje. Plotłam o głupstwach, a on słuchał z uwagą; więc nie wiedzieć kiedy opowiedziałam mu o niefortunnym kochasiu, który po fakcie zapomniał, jak mam na imię, i o pewnej ładnej pani, która nie chciała mnie wziąć, bo miałam za ciemne włosy i zbyt zadarty nos, a ona wolałaby „córeczkę podobną do siebie” – zacytowałam z wymuszonym śmiechem. Tomasz przykrył moją dłoń swoją i mocno uściśnął. Mógł sobie przypominać posąg wykuty z kamienia, mógł się uśmiechać tak, jakby się bał, że twarz mu zaraz pęknie, ale nikogo innego przed nim nie obchodziły moje uczucia.

A już jego zainteresowanie „moim stanem” – jak to określał – kompletnie mnie rozbrajało. Woził mnie do lekarza, pilnował, żebym brała zapisane pigułki i wykonywała zalecone ćwiczenia. Po raz pierwszy ktoś się o mnie troszczył. Już choćby z tego powodu warto było zająć w ciążę! Rósł mi brzuch, puchły nogi, bolał mnie kręgosłup, ale serce śpiewało. Skrupulatnie (choć może nieco wolniej) wykonywałam swoje obowiązki, by choć w ten sposób podziękować. Za to, że czułam się bezpieczna, a samotność zniknęła. Boże, jaka ja byłam szczęśliwa! Widać coś z tej radości i niemalże psiej wdzięczności musiało się czasami odbijać na mojej twarzy, bo Tomasz patrzył wtedy na mnie z czymś na kształt lęku czy rozczarowania. Jakby się bał, że w podzięce zamiast porządnie posprzątać, rzucę mu się na szyję i oświadczę. Niepotrzebnie się bał. Lubiłam go. Naprawdę. Nie musiał się mnie bać! Za nic nie chciałam go skrzywdzić ani zniszczyć układu między nami.

A jednak zrobiłam to! Głupia, głupia, jaka głupia!...

Tak się ucieszyłam, gdy zabrał mnie na zakupy. Dla dziecka. Powiedział, że on płaci i mam się nie krępować. Przesądnie nie chciałam urządzać pokoiku za wcześnie, ale lekarz zapewnił, że nie ma obaw, więc poszalałam. Łóżeczko, zabawki, tapeta w misie i kompletna wyprawka. Sprzedawczyni spoglądała to na mnie, to na Tomasza, potem na moją rękę, na której brakowało obrączki.

– Palce mi spuchły, musiałam zdjąć – skłamałam. Nie chciałam, by wzięła mnie za utrzymankę Tomasza. Żeby było jak należy, ja powinnam mieć męża, a moje dziecko ojca. Choć przez chwilę postanowiłam udawać, że tak właśnie jest.

– Musi panią bardzo kochać... – Ekspedientka westchnęła przeciągle. – Nie każdy z przyszłych ojców jest taki hojny.

– Tak, wiem, Tomasz jest wspaniały – przyznałam szczerze.

– Poza tym widzę, jak na panią patrzy – ciągnęła kobieta – jak na skarb albo co. Różnica wieku niewiele znaczy wobec prawdziwej miłości. – A potem nagle zmieszała się i zaczerwieniła.

Obejrzałam się. Stał tam, ze zmartwiałą twarzą. Musiał słyszeć naszą rozmowę. Zrobiło mi się słabo. Omamiło mnie poczucie bezpieczeństwa i popełniłam kolejny błąd. Niewybaczalny!

Wracaliśmy w milczeniu. Bałam się cokolwiek powiedzieć, widząc, jak zaciska ręce na kierownicy. Aż mu kostki bieleły. On, taki niewzruszony! W końcu nie wytrzymałam.

– Przepraszam, szefie! Nie wiem, co mnie napadło, nie chciałam, żeby ta wścibska baba pomyślała sobie coś złego. Ja...

– Umilknij – uciął krótko. – Muszę się zastanowić.

Ledwie dotarliśmy do domu, pognałam na górę. Na myśl, że utracę dom, jedyny, jaki miałam, łzy zalały mi twarz. I stracę jego! Jediną osobę, która okazała mi odrobinę ciepła i zrozumienia. Był po prostu dobrym człowiekiem. Pomógł mi, przygarnął jak porzuconego psiaka, zaufał... ale ja musiałam być zachłanna! I zepsułam wszystko. Wystraszyłam go! Już wcześniej powinnam się domyślić, zauważyć drobne z pozoru sprawy, które go peszyły czy irytowały. Co mnie podkusiło, żeby zanosić kwiaty do jego gabinetu? I czy musiałam w kółko podśpiewywać? Lubiłam śpiewać, ale on przecież nie musiał tego znosić. Ani

tolerować, gdy zaśmiewałam się do rozpuku z jakiegoś głupawego filmu. Pamiętam, przyglądał mi się chmurnym wzrokiem, a ja beztrzesko zapytałam:

– Przeszkadzam, szefie?

Mruknął, że nie, ale zaraz potem zabrał swoje papiery i zamknął się w gabinecie. Nie wyszedł nawet na kolację.

Wiele drobnych zdarzeń, które powinny mnie ostrzec, ale byłam ślepa. Po incydencie z durną komedią powinnam być mądrzejsza, ostrożniejsza. Przyzwyczylił się do samotnego, kawalerskiego życia, a ja wszystko wywracałam do góry nogami.

Leżałam w ciemności, łzy płynęły mi po policzkach. Musiałam zasnąć...

– Co? – Siadłam na łóżku przestraszona.

– To ja. – Zapalił nocną lampkę. – Przemyślałem sprawę.

– Kiedy mam się pakować? – Nadrabiałam brawurą, choć ze strachu robiło mi się niedobrze. Obrzucił mnie dziwnym spojrzeniem: ni to czułym, ni rozdrażnionym.

– O tym nie ma mowy. Nie wyobrażam sobie tego domu bez ciebie. Już nie. Bez twojego śmiechu, paplaniny, fałszowania i kwiatów brudzących pyłkiem moje dotąd nieskazitelne biurko.

Nadzieja odezwała się cichutkim dzwoneczkiem.

– Więc lubisz mnie choć trochę? – szepnęłam płaczliwie. – Nie zawadzam ci, w domu... życiu...

Uśmiechnął się gorzko – krzywa kreska w kamieniu.

– O jakim domu mówisz, jakim życiu? Pustym, sterylnym... Ty, zawadzasz? Wiesz, dlaczego dałem to ogłoszenie? – spytał nagle.

– Poprzednia gospośnia związała z listonoszem? – zaryzykowałam żart.

Nie rozbawił go. Przyglądał mi się smutnym, zmęczonym wzrokiem,

dziwnie postarzałym, ale pełnym determinacji.

– Ożenię się z tobą – oświadczył. – Dam ci dom i bezpieczeństwo, na jakie zasługujesz.

Zamiast radości, poczułam zamęt. I złość.

– Ożenisz się? – zdenerwowałam się. – Kpisz sobie ze mnie, szefie? Nie potrzebuję łaski! Jakichś ochłapów z pańskiego stołu! – Uniosłam się honorem.

– A ja tak. Czasem jest się tak samotnym, że traci się resztki godności i szuka kogoś, kogokolwiek, choćby z ogłoszenia. Pomyślałem, że... – zawahał się – kupię sobie rodzinę, pomogę jakiejś zagubionej kobiecie, ofiaruję jej dom i pracę, a z czasem wdzięczność przerodzi się w przywiązanie. Wystarczy. Nie chciałem kłopotów z uczuciami, nie sądziłem, że jestem zdolny do miłości, nie czekałem na nią, nie szukałem jej... ale nie przewidziałem ciebie. Jak nikt inny zasługiwałaś na moją pomoc, ale ty dałaś mi dużo więcej. Sprawiałaś, że ożyłem. I nie wdzięczności chciałem od ciebie, na pewno nie!

Albo byłam bardzo głupia i naiwna, albo on mi właśnie mówił, że się doczekałam! Że moja skrywana wstydliwie tęsknota wreszcie się doczekała. Ale to przecież niemożliwe, żeby on, taki dobry, mądry, troskliwy, chciał mnie! Takie zero, takie nic z bidula, którego nawet rodzice nie chcieli...

Tomasz ujął moją twarz z dziwnie szorstką czułością.

– Nie rozumiesz, wciąż nie rozumiesz! – wyszeptał gwałtownie. Emocje, długo tłumione i ukrywane, dały wreszcie o sobie znać. Wypląnęły na powierzchnię w żarliwym spojrzeniu, w tiku zaciśniętych ust, w brutalnej pieśczości kciuka, którym pocierał mój policzek. – Gdybym mógł cię kochać, tak jak pragnę... ale nie wiem, czy mi wolno, jesteś taka młoda! – Dotyk jego palców złagodniał. – I taka dzielna, taka słodka i promienna, pomimo smutku, jakiego zaznałaś. Gdybym mógł cię kochać, tak jak pragnę... ale wezmę, cokolwiek mi dasz.

Chciałam powiedzieć, że dam mu wszystko i jeszcze więcej. Bo go kochałam! Jak własną duszę. Bardziej! Bo skąd by się wzięła moja rozpacz na myśl, że go stracę? Skąd gniew, że lituje się nade mną? Nie byłam taka mądra jak on, nie umiałam znaleźć słów. Patrzyłam tylko szeroko otwartymi oczami i modliłam się, żeby ten sen nigdy się nie skończył. Bo przecież musiałam śnić,

czując jego gorący oddech tuż przy swoich ustach.

– Jeżeli nie czujesz tego samego, to nic. Jesteś młoda i potrzebujesz mojej pomocy. Choćby adoptuję cię! – wyrzucił nagle przez zbieleńnięte wargi. – To wystarczy, musi wystarczyć! Bo nie potrafię już żyć bez ciebie. Nie pozwolę ci odejść... Jesteś moja!

Czy tak wygląda szczęście? Że człowiek głupiej i słowa nie może wykrztusić?

– Powiedz coś! Chryste, mam cię błagać? Będę, nie mam dumy, będę żebrac.
– Przygarnął mnie. Czułam bicie jego serca, szybkie, przestraszone. – Tęsknię do ciebie od chwili, gdy stanęłaś w drzwiach... zraniony anioł z plecakiem, kryjący oczy pod źle przystrzyżoną grzywką. Ciągnęło mnie do ciebie tak bardzo, że aż się bałam. Dlatego czasem uciekałam, ale wszystko na nic, nie zostawiaj mnie teraz, gdy już nie umiem... powiedz coś...

Przesunęłam palcami po jego twarzy.

– Jestem twoja, szefie – uspokoiłam go. – A jeżeli chcesz kogoś adoptować, to proponuję tego malca. – Położyłam rękę na wypukłym brzuchu. – Ale nie oddam go bez walki. Najpierw ślub. Żeby było jak należy. Mama, tata, dziecko i obrączka na palcu.

Roześmiał się. Głośno i szeroko. Kamienna maska spadła i rozbiła się na tysiąc kawałków.

Pełna zgodność

W dzieciństwie, gdy pytano mnie, czym zajmuje się moja matka, odpowiadałem, że jest listonoszką. W pewnym sensie faktycznie pomagała ludziom w kontakcie. Z prawdą wolałem się nie wyrywać, zwłaszcza przed koleżankami. Od małego odczuwałem pewną nieśmiałość względem kobiet, która z biegiem lat przerodziła się w awersję do stałych związków. Czysta ironia losu, biorąc pod uwagę, że moja matka robiła za swatkę.

Konkretnie zaś prowadziła Biuro Matrymonialne AMOR. Żaden powód do wstydu, interes jak każdy inny; nawet lepszy, bo dochodowy. Mama miała autentyczny dar i spore doświadczenie. Ilość skojarzonych przez nią par oszałamiała; bądź przytłaczała – w każdym razie z mojego punktu widzenia. Wiedziałem, że wcześniej czy później dobierze się i do mnie.

Co nie znaczy, że nie miałem wzięcia. Nie nazwałbym siebie donżuanem, ale z czasem moja nieśmiałość zaczęła działać niczym wabik. Patrząc w lustro, widziałem chudego młodzieńca o lekko błędnym spojrzeniu krótkowidza, włosach sterczących na boki – niczym nie dawały się ujarzmić – i czole zmarszczonym w inteligentnym zastanowieniu. Krótko: zawsze wyglądałem, jakbym się dopiero co obudził. Na paniach robiło to piorunujące wrażenie. Z miejsca chciały uświadamiać takiego niewinnego chłopca. Jednak w żadnej nie znalazłem tego czegoś, o czym pisali poeci. Pewnie dlatego że w ogóle nie szukałem. Ale od czego miałem matkę...

Gdy skończyłem dwadzieścia jeden lat i ani razu nie przyprowadziłem „narzeczonej”, mama, niby przypadkiem, zaczęła zostawiać po domu co atrakcyjniejsze oferty.

– Stefcu, gdzieś mi się zapodział kwestionariusz jednej z klientek. Nie widziałeś?

– Leży w kuchni na stole.

– Tak...? Czytałeś może?

– Nie czytam cudzych papierów.

– Przyszły dziennikarz powinien być ciekawy. Nawet nie rzuciłeś okiem?

Dziewczyna jakby stworzona dla ciebie. Uwierz mi, tym razem...

Automatycznie się wyłączałem. I nadal preferowałem luźne związki, bez zobowiązań.

Na dwudzieste szóste urodziny rodzice kupili mi kawalerkę. Jako dziennikarz w dziale miejskim zarabiałem skromnie. Nie uzbierałbym nawet na komórkę pod schodami.

– Nie wypada, by dorosły facet wciąż mieszkał z rodzicami – zbyła moje opory mama.

Przyjąłem prezent, choć czułem, że chodziło o coś więcej. Na przykład o to, że żadna normalna kobieta nie zwiąże się z mężczyzną, któremu mama wciąż robi kanapki do pracy. Poza tym facet z własną chatą to niezły kąsek. Jeżeli tak myślała, to się przeliczyła. Dobrze mi było samemu. Po pracy, w której aż za dużo miałem bieganiny, spotkań, rozmów, wręcz łaknąłem samotności. Dużo czytałem, oglądałem filmy, no i pisałem swoją wiekopomną powieść. Zacząłem ją jeszcze na studiach. Niczego mi nie brakowało. Ani nikogo. Mijały lata. Miałem swoje życie, swoje nawyki i upodobania; mama zaś miała swoje zdanie na mój temat.

– Skończyłeś trzydziestkę – wytknęła mi w trakcie niedzielnego obiadu. – Powinieneś mieć żonę, dzieci... ja zaś wnuki! A co mam? Starego kawalera, który kupuje chleb tylko w jednej piekarni, nosi wyłącznie szare skarpetki i przestał jeść czerwone mięso z obawy przed chorobą wściekłych krów. Ja jem wołowinę całe życie i wściekam się tylko wtedy, gdy widzę, jak marnujesz swoje. Kiedy bierzesz urlop? – zmieniła temat, nim zdążyłem się obrazić.

– Choćby teraz – rzuciłem na odczepnego. Miałem miesiąc zaległego wolnego. Równie dobrze mogłem go wykorzystać w listopadzie. Skoro jako jedyny w redakcji nie posiadałem rodziny...

– Świetnie – ucieszyła się mama. – Za tydzień wyjeżdżamy do sanatorium. Teraz nie ma tłoku i są zniżki, a nasze stare kości domagają się renowacji. Ktoś zaufany musi pokierować AMOREM.

– Chyba nie ja?! – przeraziłem się.

– A kto? Ojciec tym razem jedzie ze mną. Nie mogę zostawić rodzinnej firmy obcym.

– Jakim obcym? A Maria, a pani Halinka?

– Marysia wzięła urlop macierzyński, a Halina jest księgową – przypomniała mi mama.

– To daj szansę tej młodej, rudej, jak jej tam...? Oldze! Wciąż się nią zachwycasz. Niech się wykaże.

– Żeby się wykazać, trzeba mieć przed kim. Nic nie będziesz musiał robić – obiecała, nieco mnie uspokajając. – Wystarczy sama twoja obecność, pańskie oko konia tuczy. Dwa tygodnie, chyba nie proszę o wiele... – Zawiesiła głos, mierząc mnie uważnym spojrzeniem. Bardziej wymownym niż słowa.

– Chyba nie. – Westchnąłem.

Młoda radziła sobie nieźle. A gdy pojęła, że nie zamierzam się jej czepiać – wręcz doskonale. Miała dryg do tej roboty. Czarowała ludzi – na równi mężczyzn i kobiety – którzy otwierali się przed nią niczym sejf w sprawnych dłoniach kasiarza. Może mi się wydawało, ale i na mnie zerkała łakomie, jakby była ciekawa, co kryję w swym tajemniczym wnętrzu. Postanowiłem mieć się na baczności.

Pani Halinka z kolei traktowała mnie jak nowy mebel. Czasami zawieszała na mnie wzrok, jakby zdumiona, co tu robię. Potem sobie przypominała, uśmiechała się zdawkowo i wracała do swoich spraw.

W kwestiach zawodowych mnie nie potrzebowały. I dobrze. Z góry uprzedziłem, że na swata się nie nadaję. Mogłem spać cały dzień. Albo stukać na maszynie do pisania, którą odkryłem na zapleczu. Wybrałem to drugie, a moja powieść zyskała kilka kolejnych stron. Potem utknąłem. Intryga mi się zapętlila i nie wiedziałem, jak wybrnąć z impasu, w który wpakowałem mojego bohatera, młodego agenta służb specjalnych.

– Stefan, ktoś do ciebie. Uparł się jak muł.

– Tylko nie to! – jęknąłem. – Jakiś namolny czy co?

– Obcokrajowiec – potwierdziła moje obawy Olga. – Sądząc z akcentu, Amerykanin polskiego pochodzenia. Chce pogadać z tobą jak szef z szefem.

– W jej piwnych oczach błysnęła kpina. – Pamiętaj, bądź miły. Tacy wymagają, ale dolarów nie skąpią. Twoja mama nie byłaby zadowolona, gdyby ci się wymknął.

– Pocieszyłaś mnie – mruknąłem, ogarniając się pospiesznie. Nim wyszedłem, przyjrzałem się mężczyźnie z daleka. Dżinsy, zamszowa kurtka, krótko obcięte jasne włosy; niby normalny facet. Co więc robił w biurze matrymonialnym? Chyba że pomylił nas z agencją towarzyską.

– Dzień dobry, chciał pan ze mną rozmawiać. Czym mogę służyć?
– Wyciągnąłem dłoń na powitanie.

– Witam, *hello!* – Amerykanin radośnie potrząsnął moją ręką. – Ważne sprawy ja załatwiać na wysoki szczebel, *you know. Nothing personal.*
– Uśmiechnął się przepaszająco do Olgi. – Szukam żony, Polki, bo moja babcia mówić, że tylko dziewczyna ze Stary Kraj się nadawać. Ona jeszcze mówić, że ja stary kawaler, że *life* marnować na zarabianie money, że są bardziej ważne sprawy, jak rodzina, dzieci, *you know.*

– *I know* – odparłem nieco skołowany. – To znaczy, rozumiem.

– Czyli wy znaleźć mi żonę? Ja zostać w Polsce tylko *week* jeden. Sam nie dać rady. Wy pomóc, nieprawdaż? – Spojrzał na mnie z taką nadzieją w oczach, że nie pozostało mi nic innego jak powiedzieć:

– Prawdaż.

No i wkopałem się na całego.

Najpierw musiałem z nim przebrnąć przez wypełnianie formularza, a raczej dwóch, bo Olga z miną niewiniątka zasugerowała:

– Ewentualne wątpliwości odnośnie pytań najlepiej wyjaśnisz panu, jeżeli równoległe będziesz wypełniał własną ankietę. Też jesteś mężczyzną na wydaniu, nieprawdaż?

– *Excellent!* – zachwycił się Alex Kozlosky.

Posłałem pracownicy spojrzenie pełne wyrzutu. Skąd ta mściwość? Nie ja odebrałem jej klienta, sam się uparł. Chyba że...

- Matka cię nasłala – szepnąłem, gdy podawała nam kawę w saloniku.
- Tylko poprosiła, bym w sprzyjającej chwili podsunęła ci kwestionariusz.
- Uśmiechnęła się przeuroczo do Amerykanina.
- Zołza! – syknąłem.
- Ale sprytna – odsyknęła i odpłynęła, kołysząc zalotnie biodrami.
- Ja chcieć, żeby moja żona tak się ruszać... – rozmarzył się Amerykanin.
- Każdy by chcieć – mruknąłem.

Odbiło mi? To przez tego cwane go rudzielca będę szukał, czego nie potrzebuję i co nie istnieje, czyli cech idealnej kobiety.

– Weźmy się lepiej za te formularze – przywołałem siebie i Jankesa do porządku.

Przez następne dwie godziny wypełnialiśmy rubryczki, wymieniając się uwagami i komentarzami. Dowiedzieliśmy się sporo o sobie. Okazało się też, że mamy podobne gusta. Wiek: 25 – 35. Wykształcenie: przynajmniej średnie. Typ: raczej domatorka (z dwojga złego lepsza taka, co umie gotować i zadbać o mężczyznę, niż taka, co biega z imprezy na imprezę). Inne zalety: pracowitość, poczucie humoru, oszczędność – również w słowach. Mogłaby lubić dzieci i zwierzęta; to dobrze świadczy o człowieku. Hobby? Tu nastąpił rozdźwięk. On wolał sportsmenkę, ja skłaniałem się ku intelektualistce. Co do typu urody, nie wybrzydzaaliśmy.

– Wystarczy, żeby była ładna – podsumowałem krótko, co wprowadziło nas obu w doskonały humor.

Poprosiłem Olgę, by wklepała formularz Alexa. Ta ochoczo wprowadziła do komputera również moją ankietę. Amerykanin zauważył, że zgrzytam zębami.

– Co być, Steve? – spytał poufale, podczas gdy program wyszukujący miał dane. – Ty nie chcieć się żenić?

– A skąd! Zmówiły się baby, żeby mnie wyswatać. Matka od dziesięciu lat próbuje, teraz wzięła do spółki uroczą Miss Olgę i widzisz... – Westchnąłem.

– Urocza, prawdaż? – Poklepał mnie współczująco po plecach.

Zrobiło mi się odrobinę raźniej. Znałem go od paru godzin, a czułem się z nim swobodniej niż z własnym ojcem. Wspólne wypełnianie ankiety matrymonialnej bardzo nas zbliżyło. Jeszcze z nikim tak szczerze nie rozmawiałem ani o sobie, ani o kobietach.

– Mam! – oznajmiła triumfalnie Olga. – Dziesięć ofert, z czego trzy nieźle rokują. Ponad sześćdziesięcioprocentowa zgodność. Co ważniejsze cała trójka nie wyklucza małżeństwa z obcokrajowcem i wyjazdu na stałe z Polski. No i znają angielski. Wydrukuję panu ich zdjęcia.

Wkrótce Alex siedział w fotelu i wyglądał na mocno oszołomionego. Za dużo szczęścia naraz.

– Stewardessa, dentystka i agentka ubezpieczeniowa. Przystojne, zdolne, młode kobiety, które nie mają czasu na chybione randki, a chcą wyjść za mąż za kogoś z klasą – wyjaśniła Olga. – Szefie, dla ciebie też kogoś mam, prawie siedemdziesiąt procent zgodności...

– Nie.

– Na pewno?

– Nie! – uciałem.

– Ale ja mieć tylko tydzień! – przypomniał sobie Alex. – Potem musieć wracać do Chicago. Kolejny raz przyjechać dopiero wiosną!

– No to musimy się spieszyć – zauważyła z uśmiechem Olga.

Zorganizowała to błyskawicznie. Pierwsze spotkanie jeszcze tego samego dnia; stewardessa akurat miała wolne. Następne jutro, ostatnie – z panią stomatolog – w sobotę. Miejsce zbiórki: AMOR, gdzie nastąpi oficjalna prezentacja. Potem panie miały zdecydować, gdzie chcą pójść na pierwszą randkę.

– Taki wybór wiele mówi o kobiecie – wytłumaczyła Olga.

– *Excellent!* Ale jeden warunek: Steve, ty musieć iść ze mną.

– Ja?! A po co?

– Żeby mnie wspierać, służyć rada. Weź Miss Olga, my zrobić *double date*, *you know*, w Ameryka podwójne randki *very popular*. Ja płacić.

Olga zachowała kamienną twarz. Gdyby w jej oczach pojawił się cień kpiny lub co gorsza triumfu – nie zgodziłbym się. Za nic. Nieważne, co by na to powiedziała moja matka ani ten jowialny Jankes.

Ledwie rzuciłem okiem na elegancką stewardessę, Andżelikę – wysoką blondynkę o grzecznym, acz nieco chłodnym uśmiechu – zrozumiałem, że w grę wchodzi wyłącznie bardzo wytworna restauracja. Wymieniliśmy porozumiewawcze spojrzenia z Olgą. Ta bezgłośnie powiedziała: Mariot.

Już przy stoliku Andżelika całkowicie zdominowała swojego partnera – po pierwsze swoją skandynawską urodą, po drugie niewymuszoną konwersacją w języku anglo-amerykańskim. Mnie i Oldze poświęciła kilka zdawkowych słów i uśmiechów, jakbyśmy byli pasażerami klasy turystycznej na linii krajowej.

Poczułem się w obowiązku sam zabawić moją towarzyszkę. Gorzej, że nie miałem wprawy. Moja ostatnia randka z koleżanką z pracy zaczęła się w kinie, a skończyła szaloną nocą w łóżku. Po trzech miesiącach romansu zostaliśmy przyjaciółmi. Standardowy scenariusz. Nigdy nie widziałem w tym niczego złego. Ale teraz, szukając nerwowo tematów do rozmowy z ładną, intrygującą kobietą, pomyślałem, że coś jest ze mną nie tak. Ja – dziennikarz – miałem pustkę w głowie. Dawna nieśmiałość wróciła ze zdwojoną siłą.

– Co czytałaś ostatnio? – wydukałem.

– Nie bój się – powiedziała cicho znad kieliszka. – Nie zgwałcę cię.

– Wtedy przynajmniej bym wiedział, co robić.

– Czyli?

– Oddałbym się cały w twoje ręce...

– Niesamowite... – Otworzyła szeroko oczy, aż na jasnej tęczęwce dostrzegłem kilka ciemniejszych cętek. – Ty ze mną flirtujesz!

– Skąd. Mówię szczerą prawdę. To dziewczyny zawsze na mnie polowały. Ja mogłem się poddać albo uciec.

Patrzyłem, jak wyraz miłej, piegowatej twarzy zmienia się – od niedowierzania po rozbawienie.

– Ach, ty biedaku!... – Zachichotała jak wariatka.

Nie wiem, jak bawił się Alex, ale ja doskonale. Wystarczyło zacząć rozmowę, a okazało się, że mamy z Olgą wiele wspólnych tematów. Nigdy nie czułem się tak rozluźniony w obecności kobiety, która mi się podobała. Może dlatego, że to nie była moja randka...

Modnie uczesana agentka ubezpieczeniowa Monika wybrała modną ostatnio dyskotekę. Zaciągnęła Amerykanina na zatłoczony parkiet; myśmy zostali przy stoliku, próbując rozmawiać. Nie dało się.

Na szczęście milczało nam się równie zgrabnie, jak wcześniej gadało.

Ciemnowłosa dentystka Julianna ucieszyła się, że jest nas czworo i zabrała wszystkich na kręgle. Olśniewającą bielą uśmiechu nie ustępowała szczerzącemu się jak na zawołanie Amerykaninowi. Obydwoje mogliby brać udział w reklamie pasty do zębów; podobnie jak w turnieju gry w kręgle. Rozłożyli mnie i Olgę na łopatki, ale w dobrym towarzystwie nawet przegrywa się z uśmiechem.

Pewnie dlatego zrobiło mi się dziwnie przykro, gdy na kolejne spotkanie z panią stomatolog Alex postanowił wybrać się sam. Uznał, że nie potrzebuje już mojej pomocy.

– Ja sobie poradzić, Steve. Julie być ideał, *perfect!*

Gdy patrzyłem na jego rozradowaną, szczerą twarz, dotarło do mnie, że właśnie straciłem pretekst do randek z Olgą. Bo to były randki! Najwspanialsze, jakie mi się trafiły! Pasowaliśmy do siebie jak dłoń do rękawiczki. Kiedy już myślałem, że nikogo nie potrzebuję, że nikt stworzony dla mnie nie istnieje – zdarzył się cud.

Tyle że ja nie wierzyłem w takie cuda. Stałem obiema nogami na ziemi, a konkretnie na podłodze biura matrymonialnego AMOR. Patrzyłem na

rozbawioną Olgę, załatwiająca z Alexem sprawy finansowe i przestraszyłem się, że ja też jestem jedną ze spraw, które postanowiła gładko załatwić. Za podszeptem mojej matki, tej swatki doskonałej.

Dziewczyna obróciła się. Dostrzegła w moim wzroku niepokój, nieme pytanie. Spoważniała. Wskazała na mnie, na siebie i powiedziała bezgłośnie: sto procent.

Nieważne, kto pierwszy uznał, że do siebie pasujemy: ja, Olga, moja mama czy komputer. Grunt, że pasowaliśmy. W innym przypadku nie mógłbym zaprosić jej na randkę...

Inspiracja

Zaspałam. Skandalicznie! Wróciłam do domu po pierwszej w nocy; ostro zasuwaliliśmy z Arturem nad nagłym projektem. Szef dostał cynk i nasza mała, acz wielce ambitna agencja reklamowa miała szansę wyrwać poważnego klienta. Oczywiście pod warunkiem, że my – połowa trzonu kreatywnego – zepniemy się i wymyślimy dwie albo jeszcze lepiej trzy genialne propozycje na kampanię.

Produkt: balsam do ciała. Grupa docelowa: kobiety w wieku od dwudziestu pięciu do czterdziestu lat. Czas na wykonanie: tydzień. W tak krótkim czasie nie oczekiwano od nas cudu, czyli dokładnego media planu. Chodziło o zarys koncepcji, o kierunek, a raczej o trzy kierunki – z dopasowanymi do każdej opcji propozycjami hasel, ulotek, ogłoszeń, scenariuszy. Strach się bać! Ale jak trzeba, to trzeba. Zanurzyliśmy się w ten... balsam. Ja jako copywriter i Artur jako grafik. Stanowiliśmy świetny duet. Rozumieliśmy się w pół słowa, nawet gestu. Czasem miałam wrażenia, że czytamy sobie w myślach, co usprawniało pracę. Jednak nie dość; chętnie scedowalibyśmy część zadań na kolegów. Choć nieprzeciętnie zdolni, byliśmy tylko ludźmi. Niestety druga połowa działu kreacji akurat wzięła chorobowe. W agencji szalał jakiś wirus. Tylko nas oszczędził. Szef obiecał sporą premię, czym dodatkowo skłonił nas do wytężania umysłów. Dwie koncepcje – jedna, w stylu żartobliwym, druga tradycyjna i bezpieczna – poszły nam jak z płatka. Przy trzeciej, bazującej na delikatnej erotyce, utknęliśmy. Od dwóch dni się z nią męczyliśmy, bez zadowalającego nas w pełni efektu. Widać nasze jadące na rezerwie zdolności wyczerpały się. A tu *deadline* się zbliżał. Dlatego wczoraj tyraliśmy jak woły, aż przestałam widzieć na oczy. Nie potrafiłam sklecić pół sensownego zdania, co dopiero hasła reklamowego mającego unieść całość koncepcji.

– Muszę się przespać i wykąpać – oznajmiłam Arturowi.

– Nie krępuj się. – Wskazał głową łazienkę, potem kanapę.

– Muszę się wykąpać we własnej wannie i przespać we własnym łóżku. Choć parę godzin. Muszę się oderwać od tej kołomyi. Tu by mi się tylko koszmary śniły, z balsamem w roli głównej!

– Jasne... – Uśmiechnął się ze zrozumieniem. – Spadaj.

– Stawiam się o siódmej punkt! Świeżutka i odnowiona, z głową pełną

pomysłów.

Ale zasnęłam! Budzik o szóstej wypluł płuca, a ja... nic. Ocknęłam się za kwadrans siódma i musiałam pognać do agencji bez makijażu. Dno! Jako jasny, piegowaty rudzielec, z wypłowiałymi rzęsami i brwiami oraz bladymi ustami, nie miałam twarzy, póki jej sobie nie namalowałam. Trudno. Znacznie gorzej, że kilka godzin pobytu w domu nie natchnęło mnie nic a nic: moja muza wciąż chrapała.

Tak jak Artur. Nikogo innego nie było, bo oficjalnie agencja otwierała swe podwoje o dziewiątej. Grafik leżał na kanapie, zwinięty w kłębek. Niech jeszcze sobie pośni, pomyślałam i nastawiłam kawę. Ekspres pyrkał; ja tymczasem siadłam do komputera, przejrzałam swoje wycpociny, mając nadzieję... Nie. Nic z tego. Tak jak wczoraj propozycje haseł i tekstów nadal były mało nośne. Nie dość kuszące. Albo właśnie zbyt seksualne, przez co jakby prymitywne. Artur zrobił fajne projekty, to ja zawiodłam. Jego, siebie. Po prostu czarna rozpacza! I wciąż miałam pustkę w głowie, żadnych obiecanych pomysłów. Płakać mi się chciało.

– O, już jesteees! – Ziewnął szeroko.

– Jestem – mruknęłam, ocierając oczy. – Kawa zaraz będzie. Weź sobie, a potem spróbujemy... – Odchrząknęłam, bo w gardle mnie coś zapiekło.

– Co jest, Miśka? Dudlisz? Małe przytulanko? – zaproponował i usłyszałam, że gramoli się z kanapy.

– Tylko nie waż się mnie pocieszać! Bo na bank się rozkleję, a opuchnięta to już w ogóle wyglądam fatalnie.

– Ty nigdy nie wyglądasz fatalnie – zapewnił lojalnie, człapiąc do ekspresu. Nalał sobie pół litra płynu do swojego kubasa. Upił łyk, siorbiąc z lubością. – A kawę parzysz wyśmienitą. Taką, jak lubię, a sam nie potrafię zrobić, bo zawsze wyjdzie mi za słaba albo istna smoła. Wiesz co, wyjdź za mnie! – rzucił ogranym żartem, który dziś nie podziałał.

– Nie mogę – burknęłam. – Nie mam twarzy. Zasnęłam i nie zdążyłam sobie namalować. Zresztą na cholereę tak się spieszyłam? Nadal kicha! Nic mi się nie rozjaśniło, żaden pomysł do głowy nie wpadł. Wypaliłam się.

– E tam. Po prostu potrzebujesz inspiracji... – wymruczał, stając za moimi plecami, siorbiąc kawę i zerkając w ekran. Co chciał tam dostrzec?

– Przestań! Wkurzasz mnie.

Odstawił kubek i położył mi dłonie na ramionach.

– Aleś ty spięta. Jak kamień, który... wujek Artur zaraz rozmasuje, poddaj się moim magicznym palcom...

Westchnęłam i przymknęłam oczy. Miłe było to, co robił. Nie przeszkadzało mi nawet, że gadał jakieś głupoty. Kiedy przerwał, znowu westchnęłam, tym razem zawiedziona. Obrócił mnie razem z krzesłem. I milczał coś za długo. Uniosłam powieki, by napotkać jego spojrzenie. Gapił się na mnie z... no, z zachwytem!

– O rany, aleś ty ładna...

– Od kiedy to indycze jajo jest ładne? – zakpiłam w samoobronie. Słodki był. Zналиśmy się od dwóch lat i naprawdę go lubiłam, może nawet więcej niż lubiłam, ale pracowaliśmy razem i nie powinniśmy...

Ukląkł i ujął moją twarz w dłonie. Zaskoczył mnie, kompletnie. Najpierw ugniótł mnie w palcach jak wosk, a teraz... Bezwiednie rozchyliłam kolana, by mógł się przybliżyć. Skrzętnie skorzystał z okazji. Przyglądał mi się z bliska, z tak bliska, że czułam jego oddech przesycony zapachem kawy. Przyspieszony oddech. Dotknęłam jego piersi; serce waliło mu jak młotem.

– Słuchaj, chyba nie zamierzasz... Potrzebuję inspiracji, fakt, ale bez przesady. Ktoś może wejść... nagle... – plotłam bez sensu, bo o wpół do ósmej rano nawet szef nie przychodził. – Poza tym musimy pracować... teraz i potem, a ja... Kurde! Przestań się tak gapić, peszysz mnie. Bez makijażu czuję się naga i jakaś... bezbronna.

– Wybacz, ale po raz pierwszy widzę cię bez maski i aż dech zapiera. Wyglądasz jak dziewczynka. Z tym jasnymi brewkami... – pocałował każdą brew z osobna – z jaśniutkimi rzęsami... – teraz pocałował moje powieki – i usteczkami koloru moreli... – Pocałunkiem delikatnym jak motyl musnął moje wargi.

I przypadło. Gdyby rzucił się na mnie, udając macho, czar prysnęłaby bezpowrotnie, ale on uwodził mnie czułością, rozbrajał miękkim jak piórko dotykiem miłości. Hm, niezłe hasło, pomyślałam, a potem przestałam myśleć, bo zanurkował głową pod moją sukienkę. Opuszkami palców sunął wolno od kostek,

wzdłuż łydek, do ud... Złapał za gumkę fig i zastygł. Czekał. Boże, na co?! Aha... Uniosłam biodra. Zdjął ze mnie majtki i od nowa rozpoczął dłońmi wędrówkę ku górze, przyprowadzając mnie o ciarki na całym ciele. Pieścił oddechem i pocałunkami jedno udo, drugie; bez wahania rozsunęłam je bardziej, by ułatwić mu dostęp. Dotknął językiem nabrzmiałego groszku. Ojejku! Przeszył mnie dreszcz, ale to jeszcze nie było to, tamto dopiero nadchodziło, zbierało siły, by wybuchnąć. Musnął wargami wilgotne płatki... Ja cię!... Smakował mnie, torturował, nie spieszył się, drań, słodki drań. Wczepiłam ręce w oparcie krzesła. Jęknęłam, kiedy poczułam go w środku. Z głową między moimi udami, językiem wewnątrz czynił magię... Wreszcie, stało się! Krzyknęłam cicho i zwiotczałam. Jak lalka. Z rozrzuconym nogami, odchylona do tyłu, z zadartą sukienką. Nie czułam wstydu, tylko leniwe, syte zadowolenie. I jakąś lekkość: ciała, umysłu...

– Teraz musisz się zgodzić na ślub, by zrobić ze mnie uczciwego faceta.
– Zaśmiał się ciepło, intymnie.

– Chyba muszę... – Westchnęłam. – Podstępnie mnie uwiodłeś, niecnoto. I, hm, zainspirowałeś. – Wyprostowałam się, okręciłam wraz z krzesłem ku ekranowi. Moje gotowe do pracy dłonie spoczęły na klawiaturze. – Mam pomysł. Pozwolisz? – Zerknęłam na niego. – Nie potraktujesz tego jako odwrócenia się do ściany?

– Michalina! – obruszył się. – Jestem zawodowcem. Pobudzonym, ale zawodowcem. Pisz, pisz, zanim ci muza ucieknie. Ja pójdę do łazienki, hm, coś z tym zrobić. – Wskazał brodą wybrzuszenie swoich spodni.

– Ojej! – zmartwiłam się. – Zróbmy tak: daj mi kwadransik. Zapiszę na gorąco kilka haseł, a potem ci pomogę. Wytrzymasz?

Udał, że zagryza w męce wargi, ale jego oczy się śmiały.

– Wytrzymam.

Fatalny dzień

Wracałam do domu zmęczona i wykończona. Miałam fatalny dzień. Od samego rana przychodnia pękała w szwach. Gdybym mogła, wykreśliłabym listopad z kalendarza. W żadnym innym miesiącu nie ma tylu chorób układu oddechowego, co w listopadzie. Dziś miałam dwie grypy, jedną anginę, jedno zapalenie płuc (za to obustronne), trzy zapalenia oskrzeli, cztery nieżyty gardła i chyba ze setkę zwykłych przeziębień.

Marzyłam o ciepłej kąpieli i łóżku. I o aspirynie – na wszelki wypadek.

Zrobiłam zakupy, zajrzałam na pocztę, wstąpiłam do sklepu zoologicznego po pokarm dla Szczypiora i bez trudu wykręciłam się od pogawędki ze spragnioną nowin sprzedawczynią. Mam długoletnią wprawę w unikaniu sąsiedzkich i sklepowych pogawędek. Nie cierpię plotek.

Wreszcie mogłam wrócić do domu. Uciekając przed chłodnym wiatrem, weszłam do bloku bocznymi drzwiami, które ktoś zostawił otwarte na oścież. Oczywiście dokładnie zamknęłam je za sobą.

Dochodząc do wind, usłyszałam, że ktoś rozmawia. Wiem, że to brzydko podsłuchiwać, ale wyczułam, że mowa o mnie i zwyczajnie nie umiałam powstrzymać ciekawości. Widać i ja mam jakieś słabości.

– Jakaś dziwna jest ta doktorka – wyraziła swoje zdanie Walczakowa, którą poznałam po głosie. – No ta, z dziesiątego, w naszej przychodni pracuje...

– Ach, ta. Ale czemu dziwna? Bo sama?

– Bo jakaś taka milcząca. Z nikim nie pogada, o nic nie zapyta, ledwie „dzień dobry” i „do widzenia” w windzie z siebie wydusi. Nieśmiała albo się wynosi – zdecydowała Walczakowa, innych możliwości nie biorąc pod uwagę.

– A ten jej facet już nie przychodzi? – zainteresowała się druga z kobiet, ścisząc głos. – Dawno go coś nie widziałam.

– Jaki tam facet, kilka razy na noc został i zaraz tam facet. Pogoniła go chyba. Strasznie się raz pokłócili, bo on z jakąś inną na boku kręcił. Ale ja to się nawet temu facetowi nie dziwię, bo ta doktorka... no nie pogadasz i tyle.

Zasadnicza taka.

– Samotna – zawyrokowała druga.

– Chyba tak. Stara panna. Niektóre się z tym rodzą, jak z kolorem włosów czy oczu. Wystarczy spojrzeć, jak ona się ubiera.

– No i jak się czesze – poparła Walczakową sąsiadka.

– I chodzi jakoś tak po męsku, i jeszcze te okulary...

– Ciekawe, ile ona ma właściwie lat? – zaczęła się zastanawiać ta, której głosu wciąż nie mogłam rozszyfrować.

– Nie wiem, wygląda na czterdzieści...

Wiedziałam, że nie należy podsłuchiwać. Można za wiele usłyszeć. A fatalny dzień, jak widać, jeszcze się nie skończył.

Miałam dopiero trzydzieści dwa lata.

Opanowałam odruch, żeby się cofnąć i wejść na górę po schodach. Byłam zbyt zmęczona, poza tym nie mam we zwyczaju uciekać, przed nikim ani przed niczym. Nawet przed prawdą o samej sobie.

Sąsiadki przywitały mnie średnio speszonymi minami i gradem pytań, co tam słysząc w przychodni.

Zanim winda dojechała do szóstego, dały mi spokój. Cóż mogły innego zrobić po moim stwierdzeniu, że nie zwykłam dyskutować z osobami postronnymi o chorobach moich pacjentów. Przerzuciły się na krytykę „tej hałastry, która mieszka na jedenastym, dokładnie nad panią doktor, jak pani to wytrzymuje, że też administracja czegoś z tym nie robi?!”. Aż za dobrze wiedziałam, jak uciążliwi potrafią być moi sąsiedzi z góry. Imprezy do późnej nocy, głośne kłótnie nad ranem, trzaskanie drzwiami o każdej porze i techno na zmianę z rapem. Początkowo myślałam, że to studenci. Ale wystarczyło na nich spojrzeć, żeby zmienić zdanie. Moi sąsiedzi wyglądali na wszystko, tylko nie na uczącą się młodzież. Byli... za łąsi.

Za dobre mieli samochody, za szerokie plecy i zwyczajnie źle im z oczu

patrzyło, jakby ich podsumowała moja mama.

W domu przywitał mnie porządek, zapach pasty do podłogi i głos Szczypiora: „Cara mia, cara mia!”. Szczypior był moją papugą od pięciu lat, zieloną nimfą, i uwielbiał wyśpiewywać na mój widok czule powitania. Miło wracać do domu, w którym ktoś na ciebie czeka. Ta myśl przypominała mi rozmowę sąsiadek. Zaniiosłam zakupy do kuchni, powiesiłam płaszcz w przedpokoju, potem przyglądałam włosy, poprawiłam spódnicę i stanęłam przed dużym lustrem w przedpokoju.

Właściwa ocena sytuacji, postawienie trafnej diagnozy – to nieodłączne elementy mojej pracy. Teraz musiałam ocenić i zdiagnozować samą siebie. Czy choruję na samotność?

Pierwszy zarzut – stroje. Miałam na sobie długą, brązową spódnicę, koszulę w beżowo-brązową kratę i buty na płaskim obcasie. Typowy strój. Ubieram się praktycznie i wygodnie. Nie lubię przyciasnych, przykrótkich ani zbyt jaskrawych rzeczy. Czy to powód, żeby nazywać mnie starą panną?

A fryzura?

Czeszę się w kok albo w koński ogon. Nie chcę, żeby włosy przeszkadzały mi w pracy i nie zamierzam tracić czasu na ich misterne układanie; z tych samych względów, czysto praktycznych, paznokcie mam stosunkowo krótkie i prawie się nie maluję. Czy upodobania odnośnie fryzur i makijażu mogą być oznaką samotności?

Zawsze myślałam, że najważniejsze to być sobą. A temu, z kim jestem, albo to odpowiada, albo nie. To, że Frankowi nie odpowiadało, miało niewiele wspólnego z moją niechęcią do loczków i mini, za to wiele z jego niestałością i brakiem odpowiedzialności.

Co do okularów – noszę, bo muszę. Na szkła kontaktowe jestem uczulona.

A że nie chodzę jak modelka, że nie umiem seksownie kołysać biodrami... Fakt, nie umiem. Nie umiem też seksownie modulować głosu. Jestem na to zbyt rzeczowa. Uważam, że głos służy do mówienia, a nogi do chodzenia, a nie do podrywania facetów. W ogóle nie mam we zwyczaju podrywać facetów.

Jestem zasadnicza, jak stwierdziły sąsiadki, co w ich ustach zabrzmiało jak

zarzut. Ciekawe, czy chciałyby się leczyć u roztrzepanej, rozflirtowanej i wiecznie potarganej lekarki?

– A więc, pani doktor, jesteś czy nie jesteś starą panną? – zapytałam odbicia w lustrze.

– Nie wiem – odparło odbicie i poradziło: – Idź do specjalisty.

Co za bzdury!

Starczy tego stania przed lustrem i gadania z własnym odbiciem; to na pewno trąciło staropanieństwem. Najważniejsze, że nie czułam się samotna. W każdym razie niezbyt często. Mam rodziców, brata, bratową i bratanek, którego rozpieszczam. No i mam pracę. A w domu? A w domu mam telefon, internet i papugę. Zawsze jest do kogo dziób otworzyć.

Odgrzałam sobie zupę, potem wzięłam kąpiel i poszłam spać. Była dopiero szósta, ale my, stare panny, lubimy chodzić spać z kurami. A poważnie, byłam po prostu zmęczona – dniem, tygodniem, jesienią, swoimi sąsiadami i sąsiadkami. Wzięłam aspirynę, witaminy i pigułkę nasenną. Wołałam się zabezpieczyć; i słusznie.

Już prawie zasypiałam, gdy z góry doleciał głuchy łomot, jakby wywróciło się coś ciężkiego, potem znowu, i jeszcze raz. Później usłyszałam krzyki, przekleństwa i brzęk tłuczonego szkła. Nakryłam głowę poduszką i... zasnęłam.

Coś mnie obudziło. Bum! Bum! Bum! Drrr! Łup! Łup! Drrr!... Minęło parę sekund, nim zrozumiałam, że ktoś dobija się do drzwi. Kopał w nie i walił pięścią, a w przerwach dzwonił jak na alarm. Znałam tylko jedną osobę, która zachowywała się w tak skandaliczny sposób. Mój sześćioletni bratanek Wojtek tak właśnie zwykł obwieszczać swoje przybycie. A tym mocniej walił, im bardziej mnie to denerwowało. Złośliwy smarkacz. Miał to po ojcu. Mój brat, od kiedy się urodził, uwielbiał robić mi na złość.

Zerknęłam na zegarek. Ósma. Szlag, spałam tylko dwie godziny!

Czy ten dzień nigdy się nie skończy?

Począpalałam do drzwi. Spojrzałam przez wizjer – oczywiście zatkany palcem. Kolejny głupi zwyczaj mojego bratanek i jego tatusia.

– Przestań walić, umarłego byś obudził! – warknęłam, otwierając drzwi na oścież.

I natychmiast zostałam wepchnięta do środka przez jakiegoś wysokiego, barczystego typu o krótkich włosach. Tak mnie zaskoczył, że nawet nie zdążyłam jęknąć. Za to mało nie dostałam zwału! Serce waliło mi jak oszalałe. Przyłożyłam dłoń do piersi...

– Tylko mi tu nie mdlej! – syknął przez ramię osobnik. – Zamknę te drzwi i pogadamy – dodał i wrócił do przerwanej zajęcia, którym było ryglowanie na głucho mojego mieszkania. Robił to szybko, fachowo i bardzo cicho. Gdy skończył, obrócił się, a ja otrzeźwiałam i wrzasnęłam, co sił w płucach:

– Ratunku!

Doskoczył do mnie błyskawicznie; jedną ręką złapał mnie w pasie, a drugą zamknął mi usta.

– Zamknij się! Chcesz nas zabić?

Pokręciłam głową. Czułam, że brakuje mi tchu, zaczęłam się szarpać.

– Puszczę cię, jak obiecasz, że będziesz cicho.

Ochoczo pokiwałam głową.

– Masz się nie drzeć, zrozumiano? – Znowu potaknęłam, a on powoli mnie wypuścił. Gdy tylko zdjął mi dłoń z twarzy, natarłam na niego z furją. Bałam się, ale w tym momencie złość przeważyła.

– Nie życzę sobie, żebyś mnie obmacywał, jasne? – wyszeptałam dobitnie. – Czy wiesz, ile zarazków masz na tych swoich brudnych łapach? Nie waż się mnie nimi dotykać, zrozumiano? Nigdy więcej, bo nie ręczę za siebie!

Teraz on wyglądał na zaskoczonego, ale pokiwał głową.

– Tylko się zamknij, bo...

Nie dokończył. Zza drzwi dobiegł nas tupot nóg i zdyszane głosy:

– Uciekł, skurwiel? Jak się rozwiązał? Poszedłem na chwilę do kibla, a ten nawiał. Jak...?

– Nieważne! Uciekł! Jesteś pewien, że pobiegł na to piętro?

– Niczego nie jestem, kurwa, pewien. Może pobiegł drugą klatką, może ktoś go wpuścił?

– A ty byś wpuścił?! Faceta z taką gębą?

– No to co robimy?

– Spadamy. Ja lecę tymi schodami, ty tamtymi, może go jeszcze dorwiemy, zanim kogoś wezwie!

Tupot nóg, potem cisza.

– I co teraz? – wycodziłam przez zaciśnięte zęby.

– Teraz muszę zadzwonić. – Złapał mnie za rękę i pociągnął w głąb mieszkania. – Gdzie...?

Zrozumiałam, że pyta o telefon. Zaprowadziłam go do pokoju, wskazałam ręką aparat. Dopadł go, wykręcił numer; chciałam odejść, ale wciąż trzymał mnie za rękę. Ktoś odebrał, a on rzucił krótko:

– Akcja nie wypaliła, przyjedźcie po mnie... Jaki tu adres? – Podałam mu, powtórzył rozmówcy i odłożył słuchawkę.

– Gdzie tu można w spokoju usiąść i pogadać?

– Wszędzie – zauważyłam ironicznie. – Ale nie przypominam sobie, żebym pana zapraszała.

Nie zareagował na przytyk, czekał.

– Chodźmy do kuchni.

Usiadł na stołku i jęknął. Złapał się za prawy bok.

– Coś pana boli? Jest pan ranny? – zapytałam odruchowo. Lekarzem jest się na okrągło. – A zresztą nic mnie to nie obchodzi! – Stłumiłam zawodowe odruchy.
– Nie chcę nic wiedzieć! Na razie nie poddaję się panice. Panika jest nielogiczna. Z drugiej strony mogę być w szoku... – Czułam, że paplam bez sensu, co było zupełnie nie w moim stylu.

– Nie, nie jestem ranny, tylko poobijany. A pani jest niezwykłą kobietą – wyznał. – Niewiele znalazłoby się osób, które by mnie wpuściły.

– Jestem głupią kobietą. Myślałam, że to mój bratanek. On tak samo wali w drzwi.

– Aha. Ale i tak dziękuję. Od samego początku stawiałem na panią.

– Nie rozumiem...

– Założyłem, że gdyby coś nie wyszło, pani mi pomoże. Jest pani lekarką, osobą spokojną, rzeczową, odważną... i samotną, po szóstej zawsze w domu, nie pukałbym na próżno.

Patrzyłam na niego oszołomiona i nieco obrażona. Ekspert się znalazł! Specjalista od siedmiu boleści! Jego komplementy brzmiały gorzej niż plotki sąsiadek. I skąd on to wszystko wiedział?

– Umiem obserwować, umiem szybko oceniać ludzi – odpowiedział, jakby czytał w moich myślach. – Taką mam pracę. Przez pewien czas byliśmy sąsiadami – wyjaśnił, wskazując palcem sufit.

– Nie ma się czym chwalić – burknęłam, ale spojrzałam na niego ciekawie. Pozornie przypominał resztę swoich kolegów; był barczysty, prawie łysy, ale miał dobre oczy. Zdaniem mojej mamy porządny człowiek ma uczciwe oczy. Ten tu – miał uczciwe.

– Kim pan jest? – zapytałam. W końcu ciekawość zwyciężyła. – O ile po udzieleniu mi tej informacji, nie będzie mnie pan musiał zabić; wtedy nie chcę wiedzieć.

Uśmiechnął się.

– Jestem policjantem, z wydziału narkotyków, tajnym agentem...

– Nabija się pan ze mnie, tak? To jakaś ukryta kamera albo inna bzdura?

– Zapewniam, że nie. Wiem, jak to brzmi. Postaram się streszczać. Dealerzy mają różne meliny. Tam na górze była jedna z nich. Wkręciłem się do ich grupy. Miałem ich skontaktować z dostawcą z Rosji. Oczywiście dostawca byłby równie prawdziwy jak ja, a towar pochodziłby z magazynów policyjnych. W trakcie realizowania transakcji mieliśmy wszystkich zwinąć. Nie wyszło. Zorientowali się. Jeden okazał się bardziej bystry. Przeszukał moje rzeczy i znalazł podsłuch. Wywiązała się bójka, związali mnie. Potem nie bardzo wiedzieli, co ze mną zrobić, dzięki temu żyję. Na chwilę osłabili czujność... Resztę pani zna.

– Chce mi pan wmówić, że w moim bloku była melina handlarzy narkotyków?! To żart. Tu mieszkają zwykli ludzie...

– No właśnie. Świetna przykrywka. Wynajmują mieszkanie, płacą regularnie czynsz, żeby się administracja nie czepiała, a przed sąsiadami udają bandę tępych, hałaśliwych dresiarzy. Kto się domyśli, że chodzi o coś więcej? Najciemniej jest pod latarnią.

– To dla mnie za mądre... Ale chyba panu wierzę. Napije się pan kawy?
– Przypomniałam sobie o obowiązkach gospodyni.

– Bardzo chętnie. Jestem wykończony.

Parząc kawę, przyglądałam mu się. Nie był piękny. Facet zza drzwi miał trochę racji; choć nie nazwałabym twarzy tego policjanta gębą. Była mocna, wyrazista i raczej inteligentna. Zdecydowanie męska i niewątpliwie zmęczona. Mój gość musiał mieć za sobą więcej niż jeden fatalny dzień.

– Dostanę medal? – zapytałam, stawiając przed nim filiżankę z kawą.

– Za pomoc stróżowi prawa? Wątpię – wypił parę łyków i uniósł brwi mile zaskoczony – ale za taką kawę, kto wie...

– Będę musiała zeznawać?

– Na pewno. – Uśmiechnął się przeproszająco.

– Po prostu świetnie – mruknęłam. – Tylko co ja z tego będę miała?

Spojrzał na mnie badawczo. Nagle zdałam sobie sprawę, że jestem bosa, potargana i w koszuli nocnej. Ale jakoś mi to nie przeszkadzało.

– A co by pani sugerowała?

Zamyśliłam się... Może właśnie trafiła mi się niepowtarzalna okazja, żeby zmienić coś w swoim życiu. Bo chyba wypadaloby. Moja rzeczowa natura nie mogła zlekceważyć opinii z dwóch niezależnych źródeł (sąsiadki i ten policjant). Skoro ktoś wygląda jak stara panna i zachowuje się jak stara panna, to niestety jest starą panną. Wcale mi się to nie podobało. Co robić?

Coś spontanicznego! – przemknęło mi przez głowę. Coś zupełnie nie w moim stylu. Skoro siedziałam prawie goła z obcym mężczyzną w kuchni, to chyba mogłam posunąć się jeszcze dalej.

– Niech mnie pan zabierze do kina albo restauracji. Sąsiadki padną trupem, kiedy mnie zobaczą z takim facetem jak pan. Uważają, że jestem do niczego, dają mi czterdziestkę, niech pan sobie wyobrazi... – Uśmiechnęłam się zalotnie.

– Ja bym nie dał więcej niż dwadzieścia pięć. W każdym razie teraz.

Zarumieniłam się, ale nagle do mnie dotarło, że nie ma się z czego cieszyć.

– Teraz? A przedtem?

– Na pewno mniej niż czterdzieści – wyznał nieco wstydliwie.

Westchnęłam.

– Chyba pora zmienić wizerunek. Obiecuję, że na naszą randkę umaluję się, założę sukienkę, rozpuszczę włosy, kupię sobie szpilki i okulary w cieńszej oprawce. Może być?

– Dla mnie wystarczy ta koszula nocna. Jest bardzo seksowna. I obiecuję, że umyję ręce, pani doktor.

Nigdy nie myślałam, że moja bawełniana koszula w kwiatki może się wydać komuś seksowna. Ale do dzisiaj też do głowy by mi nie przyszło, że dam się

wplątać w aferę kryminalną, a potem zaproszę niedoszęego „bandytę” na randkę. Nie chwal dnia przed zachodem słońca, mówi przysłowie. Ja wymyśliłam dzisiaj własne. Nie gań dnia, póki się nie skończy. W końcu nigdy nie wiadomo, kto zapuka do twoich drzwi. Potem wystarczy tylko otworzyć i skorzystać z okazji.

Listopadowa miłość

Łukasz świetnie tańczył, miał urok i poczucie humoru. Przystojny był jak sam diabeł, a Pan Bóg nie poskąpił mu inteligencji. Swoje atuty wykorzystywał bez skrpułów. Moja babcia powiedziała o takim: słodki drań.

Poznaliśmy się w liceum. Siedział za mną na polskim i szturchał mnie linijką, gdy przysypiałam. W zamian rysowałam mu słonie w zeszytach od matematyki. Nie miało to nic wspólnego z podrywaniem. Ot, spotkało się dwoje jedynaków i nadrabiało zaległości z całego dzieciństwa. Łukasz był dwa lata starszy (poszedł do szkoły rok później, ja rok wcześniej) i traktował mnie jak młodszą siostrę; ja jego jak ciut starszego brata.

Lubiłam go, naprawdę, ale zakochać się w Łukaszu mogłaby tylko masochistka. Był rozpieszczonym synalkiem swoich rodziców: ojca – znanego adwokata i mamusi – byłej Miss Mazowsza. Pewnie miał to w genach, ale w sprawach damsko-męskich nie zawracał sobie głowy takimi drobiazgami jak wspólnota zainteresowań czy pokrewieństwo dusz. Był nieprzyzwoicie powierzchowny; zewnętrzna atrakcyjność wabiła go niczym słodki nektar motyla. A gdy powąchał i posmakował jednej róży, zaraz szukał następnej. Wybierał dziewczyny ładne, wesołe i mało skomplikowane.

Właściwie tylko raz, na początku swojej kariery podrywacza, złamał tę bezpieczną zasadę. Na zabawie w drugiej klasie poprosił do tańca Dorotę. Podejrzywałam, że się założył. Klasowa skarbniczka nie należała do ślicznotek; była skrytą, wyniosłą panną o końskiej twarzy, co jeszcze podkreślała, czesząc się w koński ogon. Niemniej miała w sobie pewną szlachetność, niepospolitość, rasowość, z oczu biły duma i inteligencja – co dostrzegam teraz, przeglądając stare klasowe zdjęcia.

Wtedy miałam ją za nudziarę i kujona. Sam fakt, że pojawiła się na szkolnej dyskotece, zdumiewał. Byłam pewna, że odmówi Łukaszowi. Nie doceniłam jej – stanęła obok niego na parkiecie; jak zwykle sztywna i wyniosła. Łukasz dał znak didżejowi. Popłynęły pierwsze taktory niby obcej, a zarazem znajomej jak bicie serca melodii...

– Cholera, przecież to tango! – syknął ktoś. – Łukaszowi zupełnie odbiło. Nie tańczę tego, nie umiem!

– Ale oni tak.... – szepnęłam i zostałam z otwartymi ustami.

Nie ja jedna. Cała sala z wolna zamierała. Ludziska wycofywali się pod ściany i okna, by dać mistrzowskiej parze pole do popisu. Wiedziałam, że Łukasz brał lekcje tańca, ale kto mógł przypuszczać, że Dorota w niczym mu nie ustępuje... Byli doskonali.

W trakcie jednego z przechyłów ciasno ściągnięte włosy uwolniły się i opadły jasną kaskadą na ramiona i zarumienione policzki dziewczyny. Lśniące usta, błyszczące oczy, smukła kibić i zgrabne ruchy. Czemu wydawało mi się, że Dorota nie jest ładna? Łukasz chyba też pojął swój błąd. Nie spuszczała z siebie wzroku. Kartka ustawiona na linii ich spojrzeń spłonęłaby na popiół!

Gdy skończyli, dostali brawa, jakich nie znała ta aula! Na co dzień tak różni, w tańcu zdawali się stworzeni dla siebie. Rzecz działa się pewnej listopadowej soboty...

W poniedziałek Łukasz poderwał kolejną ślicznotkę, a Dorota zdobyła kolejną piątkę. Wszystko wróciło do normy. Tylko gorliwość, z jaką starali się być tacy jak dawniej, nie wydawała się normalna.

Lata biegły, zdaliśmy maturę, pokończyliśmy studia, pojawiły się dzieci, własne firmy, mieszkania, dwa rozwody... Przybyło zmartwień, kilogramów i zmarszczek. Tylko Łukasz się nie zmienił. Na imprezach zjawiał się zawsze elegancki, zawsze przystojny i niezmiennie z wystrzałową dziewczyną u boku, przyprowadzając podtatusiałych kolegów o palpitanie serca i nie tylko.

Zapamiętałam zwłaszcza jedną; wyglądała jak modelka wzięta wprost z wybiegu. Zrobiła wrażenie nawet na moim wiernym Wojtusiu. Mało oczu nie pogubił, gapiąc się na jej niebotycznie długie nogi.

– No przyznaj, że jest boska. – Łukasz szturchnął mnie poufale, widząc mój taksujący wzrok.

– Przyznaję, istna bogini – burknęłam, rzucając mężowi ostrzegawcze spojrzenie. – Czym się zajmuje?

– Nie mam pojęcia. – Łukasz uśmiechnął się rozbrajająco. – Dla mnie nic nie musi robić, wystarczy, że jest i wygląda, jak wygląda!

Wyczułam przymus. Gdzie się podział jego dawny diabelski urok? Czyżby przepadł, rozwodził się na kolejnych chybionych zdobyczach? Zdegustowana pokręciłam głową.

– Nie liczy się ilość, ale jakość. Wypadałoby wreszcie ten fakt uznać i się usatkwować – zaczęłam tonem starej ciotki – ale ty chyba nigdy nie dorośniesz.

– Nie zamierzam! – potwierdził nazbyt radośnie.

Oboje się myliliśmy. Dorósł w jeden dzień, by przez następne pół roku żyć intensywniej niż kiedykolwiek. Bolesniej, ale prawdziwiej.

Przypadkiem dowiedziałam się o chorobie Doroty. Napomknęłam o tym Łukaszowi.

– Pamiętasz Dorotę? Tańczyliście razem tango, wtedy...

– Pamiętam – przerwał mi suchym tonem. Jakby istotnie pamiętał, ale nie chciał wspominać. W końcu zdawkowo zapytał: – Co z nią?

Pożałowałam, że zaczęłam tę rozmowę. Nie zwykłam robić sensacji z cudzego nieszczęścia.

– Leży na onkologicznym – wyznałam szybko. – Rokowania nie są najlepsze.

Łukasz zbladł.

– Nie wierzę – szepnął przez zmartwiałe wargi.

Nie myślałam, że aż tak się przejmie. Dotknęłam jego ramienia – drżało.

– Też nie mogłam uwierzyć. To przykre dowiedzieć się, że twój rówieśnik...

– Nic nie rozumiesz! – wybuchnął. – Ona jest jedyna, zawsze była...
– Spuścił głowę.

Nie zobaczył wyrazu kompletnego osłupienia na mojej twarzy. On... i Dorota? Jak, gdzie, kiedy?! Sądziłam, że go znam, że wiem o każdym jego romansie. Co prawda nie wdawał się w szczegóły, ale wystarczyło, że

przyprawdzał swoje panny na imprezy. Zresztą o czym tu mówić, gdy dziewczyna jest piękna, wesoła i mało skomplikowana. Te trzy przymiotniki wyczerpywały temat Łukaszowego gustu. Aż tu nagle okazało się, że był głębszy, niż sądziłam; od lat ukrywał tajemnicę przede mną, przed innymi, a głównie przed sobą samym.

Nie naciskałam. Sytuacja była niezręczna, okoliczności zbyt przykre, by o nich myśleć, a co dopiero mówić. Jednak po jakimś czasie tłumione od dawna zwierzenia popłynęły.

– Intrygowała mnie od pierwszej chwili. Taka zimna i niedostępna. Nie powiem, żebym ją lubił. Ona też na każdym kroku dawała do zrozumienia, że mnie nie znosi. Możesz się domyślić, jak to na mnie podziałało! Chciałem jej utrzcę nosa. Ale gdy stanęliśmy na parkiecie... Nagle przestaliśmy udawać. I okazało się, że ciągnie nas do siebie, i to jak! Gdybym tylko się odważył... ale za silne to było, zbyt... wszechogarniające. Zrozum, miałem tylko siedemnaście lat! Przestraszyłem się. Zacząłem sobie wmawiać, że pewnie mi się wydawało. Zagrała męska ambicja. A jeżeli ja się odkryję, a ona mnie wyśmieje? – myślałem. No i wycofałem się. Jak ostatni kretyn liczyłam, że korowód pańienek wywoła jej zazdrość. Powinienem przewidzieć, że ktoś tak dumny jak Dorota raczej... – Głos mu się lekko załamał, odchrząknął. – Otoczyła się jeszcze wyższym murem. Chciałem zaprosić ją na studniówkę, ale ostatecznie poszedłem z tobą.

Wreszcie zrozumiałam, czemu na kilka miesięcy przed maturą stosunek Doroty do mnie zmienił się radykalnie. Zwykle traktowała mnie z protekcyjnym pobłażaniem. Po studniówce sztywniała, gdy tylko znalazłam się w pobliżu.

– Wydawało mi się, że mnóstwo czasu przed nami, że w każdej chwili zdążę jej powiedzieć, jak bardzo... – Zdania zaczęły się rwać. – Zwłaszcza gdy oboje zdaliśmy na prawo. Nie kryję... pomógł mi ojciec... Ona jak zwykle wszystko sama... Łudziłem się, że może teraz da mi jakiś znak... Dała! Wyszła za mąż, po dyplomie wyjechała. Chciałem zapomnieć... O rozwodzie dowiedziałem się od znajomego prokuratora. Dał mi jej telefon, chciałem zadzwonić, ale znowu stchórzyłem. A teraz... teraz jest za późno... Boże! – Ukrył twarz w dłoniach i rozplakał się.

Nie znałam takiego Łukasza. Nieszczęśliwego, samotnego, wrażliwego. Kto by pomyślał, że ten bawidamek i lekkoduch od lat kochał tylko jedną dziewczynę, jedną kobietę? I pogubił się w tej miłości.

Nie bardzo wiedziałam, co robić, ale czułam, że nie oczekuje ode mnie

pocieszeń w stylu „wszystko się ułoży, daj spokój, nie maź się, bądź facetem”. Czasami nawet mężczyzna musi się wypłakać. Zwłaszcza taki jak Łukasz, który dotąd śmiał się za często.

Rozwiązanie, choć najtrudniejsze z możliwych, było zarazem bardzo proste.

– Chodźmy do niej, braciszku – powiedziałam. – Jeżeli ty jesteś przerażony i nieszczęśliwy, pomyśl, jak czuje się Dorota.

– Boję się... – wyznał, unikając mojego wzroku. Przez chwilę wyglądał jak zaszczuty zając, gotowy ze strachu czmychnąć byle gdzie, nawet pod koła rozpędzonego samochodu. – Ale tym razem nie ucieknę. Jestem jej to winien. I sobie.

Wziął głęboki oddech, wyprostował się... Jakbym znów spojrzała w zielone oczy diabła! Nareszcie przypominał dawnego siebie, żadnego udawania, przymusu.

Nie chciano nas do niej wpuścić.

– Tylko rodzina – upierała się pielęgniarka. – Poza tym to nie pora odwiedzin.

Łukasz uśmiechnął się, coś włożył do kieszonki białego fartucha. Okazało się, że cała rodzina to tylko jedna starsza pani, ciągle zapłakana, pewnie matka, i że „kochanej chorej przyda się wizyta pogodnej, przyjaznej duszy”.

Leżała pośrodku wielkiego szpitalnego łóżka. Przełknęłam ślinę. Przywołałam na twarz blady uśmiech, tak sztuczny, że aż mi wargi zdrętwiały. Zmuszałam się, żeby nie omijać wzrokiem drobnej figurki. To nie łóżko było wielkie, ale ona malutka i wychudzona. A w liceum zazdrościłam jej dumnej sylwetki! Choroba nie tylko to jej odebrała. Kaskadę jasnych włosów zastąpiła kolorowa chustka, wargi wyschły i popękały, wielkie błękitne oczy błyszczały niezdrowo, białka podbiegły czerwienią, śniada cera wyblakła, nabierając kruchości starożytnego pergaminu. Poczułam kluchę w gardle. Co mnie napadło, żeby tu przyjść? Cokolwiek powiem, zrobię, wypadnie głupio i nie na miejscu. Gdybyśmy lepiej się znały, utrzymywały bliższe kontakty, a tak...

– Witaj, Dorotko, mam nadzieję, że nie masz nam za złe tej wizyty. Dowiedzieliśmy się, że... – zawahałam się.

– ...że umieram i przyszlście popatrzeć, jak mi idzie – dokończyła buńczucznie. Widząc jej charakterystyczny wyniosły uśmiezek, nie wytrzymałam, zalałam się łzami. Nim uciekłam z sali, wątek podjął Łukasz.

– Idzie ci świetnie, Dora. Jestem pod wrażeniem. Zwłaszcza ta chustka, ekstra pomysł. Długi czas się zastanawiałem, co mi dech zaparło w trakcie naszego tanga: twój urok czy twoje włosy. I chyba jednak włosy, które wpadły mi do tchawicy. Cieszę się, że teraz mi nie zagrażają.

Dorota zachichotała cichutko. Wyciągnęła rękę. Łukasz uchwycił ją i przysiadł na łóżku.

– Czekałam, choć nie wierzyłam, że przyjdiesz, nie w takich okolicznościach. A jednak...

Przeźroczytymi palcami drugiej dłoni przesunęła po jego policzku, podbródku, z którego zebrała pojedynczą łzę.

– Przykro ci, że tak zbrzydłam?

– Jesteś piękna – zapewnił ją Łukasz z taką mocą w głosie, że obie uwierzyłyśmy mu bez zastrzeżeń. Wcześniejsze onieśmielenie zniknęło.

Po godzinie wspomnień i przekomarzań zostawiłam ich samych. Pewnie nawet nie zauważyli, że zniknęłam...

Byłam świadkiem na ich ślubie. Odbył się jak należy w parafii panny młodej. Dorota poczuła się na tyle dobrze, że opuściła szpital, choć taktownie nikt nie pytał, czy remisja nastąpiła na dobre. Nie było mowy o remisji. To miłość podtrzymywała jej słabnące ciało, gdy na skromnym weselu zatańczyli swoje tango...

W czasie pół roku małżeństwa Dorota nie brała zbyt wielu pigułek. Nie chciała ograbić swego krótkiego szczęścia nawet z sekundy świadomości. Dobry Bóg przymykał oko, gdy z bólu klęła na czym świat stoi.

– Nauczyła mnie kochać – powiedział mi Łukasz na krótko przed jej śmiercią. – Kazała mi obiecać, że nie będę sam, że pokocham znowu, prawdziwie, a ja obiecałem, bo dzięki niej wiem jak.

Pod koniec zasypiała tylko wtedy, gdy Łukasz trzymał ją za rękę, gotów wezwać z powrotem, gdyby zapomniała się z nim pożegnać.

Pewnej listopadowej soboty nie odpowiedziała na wołanie...

Kobieta jak rzeka

Obudziłam się z dziwnym wrażeniem... nierealności. Nie rozpoznawałam otoczenia, jakbym wciąż śniła. Światło dnia sączyło się przez żaluzje, padając na wielkie łóżko i męskie nagie ramię, obejmujące mnie zaborczo. Nagie? Zerknęłam pod kołdrę. Prócz wisiorka też nie miałam nic na sobie. Ależ się wczoraj działo... Nie byłam pruderyjna i lubiłam seks, ale nie zwykłam zostawać do rana. Wołałam zniknąć, nim zrobi się krępująco – gdy facet po wspólnej nocy naraz unika twego wzroku, nie pamięta imienia lub, co gorsza, kiedy zaczyna sobie wyobrażać Bóg wie co. Nie łączyłam igraszek łóżkowych z miłością. Miałam dopiero dwadzieścia trzy lata i kupę czasu na uczuciowe perypetie. Brałam z życia, co chciałam, dobrze się bawiłam i nie oglądałam za siebie. Więc czymże ujął mnie leżący obok młody mężczyzna, że świt zastał mnie w jego domu i objęciach? Z wolna wracały wydarzenia zeszłego wieczoru. Naprawdę się działo, skoro złamałam jeszcze jedną ze swoich zasad i poszłam do łóżka z kolegą z pracy.

Andrzej trafił do naszej firmy parę miesięcy temu i szef kazał mi wprowadzić go w arkana telemarketingu. Od dwóch lat wciskałam ludziom kit na łączach; miałam gadane i potrafiłam sprzedać wszystko każdemu. Pewnie dlatego w życiu prywatnym zachowywałam daleko posunięty sceptycyzm. Towar można zareklamować albo zwrócić w ciągu tygodnia bez żadnych tłumaczeń. Faceta nie. I pracuj tu dalej w kwaśnej atmosferze. Toteż udawałam, że nie widzę maślanych oczu Andrzeja. Traktowałam go służbowo i bezpłciowo. Sądziłam, że odpuścił, gdy skupił się na robocie, a jego wyniki sprzedaży wzrosły. Ale, cwaniak, tylko się przyczaił, by zaatakować ze wzmożoną siłą. Wczoraj, w ramach integracji z załogą, urządził w pobliskim pubie Andrzejski. Stawiłam się, bo cóż mi mogło grozić w zgranej ekipie kilkunastu osób. Oj, mogło... Ledwie przekroczyłam próg pubu, okazało się, że solenizantów jest dwoje. Trzydziestego listopada przypadają jedyne w roku imieniny Zbysławy, których nie obchodziłam. Kolejna z moich zasad. Na co dzień byłam po prostu Sławką i nie chwaliłam się pełnym brzemieniem imienia, odziedziczonego po dziadku. Andrzej jakoś odkrył mój sekret i przy wszystkich złożył mi życzenia, wręczając lampkę szampana. Miałam ochotę go zabić! Przez chwilę. Potem na dnie kieliszka znalazłam wisiorek w kształcie serduszka; nietypowy, z dwoma uszkami, z którego po przełamaniu można zrobić dwa wisiorki. Sentymtalne, ale, cholerka, urocze. Naprawdę chłopak robił, co mógł, by przyciągnąć moją uwagę.

– To symbol... – szepnął, zapinając mi na szyi cieniutki srebrny łańcuszek.
– Wisiorek przypomina moje nadłamane serce. Możesz je złamać do końca

i zwrócić mi połowę. Możesz też je zatrzymać i zobaczyć, co z tego wyniknie. Poznaj mnie bliżej, zanim skreślisz. Spędźmy razem ten wieczór, daj się...

– Uwieść? – zakpiłam.

– To też, jak się uda – przyznał bezwstydnie. – Krew nie woda, jestem tylko facetem. Ale chciałem powiedzieć: oczarować. Więc jak będzie? Dasz mi szansę? – Teraz dla odmiany patrzył na mnie wzrokiem zmokłego szczeniaka.

– Czy ty nie masz cienia godności? – zburczałam go, zła na siebie, bo jego taktyka przynosiła skutek. Miękkłam.

– Za grosz! – Roześmiał się. Też musiałam się uśmiechnąć.

Wkrótce zapomnieliśmy o reszcie towarzystwa, integrując się we dwójkę. Flirtowaliśmy na całego, sącząc szampana, czarując się nawzajem, rozmawiając i tańcząc. Pierwszy raz pocałowaliśmy się właśnie na małym parkiecie. Na próbę, jak wyjaśnił, bo może nie zaiskrzy. Zaiskrzyło tak, że moglibyśmy oświetlić małą wioskę! Potem całowaliśmy się w taksówce, na windę też nie czekaliśmy bezczynnie... Drzwi do swojego mieszkania Andrzej otwierał z dużym trudem. Ręce mu się trzęsły, a ja nie ułatwiałam mu zadania, robiąc mu w tym czasie malinkę na szyi. Wtoczyliśmy się do środka, chichocząc i od progu zdzierając z siebie ubrania. Mało nie rozdeptaliśmy przy tym jakiegoś pokraccznego stworzenia, które przywitało nas trzema głuchymi szczeknięciami.

– Waruj, Brutus! Nie przeszkadzaj. Pilnuj drzwi! – rzucił zdyszany Andrzej. – Nie bój się, nie gryzie. Za to ja... owszem. – Delikatnie ukąsił mnie w ramię, które zdążyłam uwolnić z bluzki. Jęknęłam i przywarłam do niego całym ciałem. Ogarnęło nas jakieś szaleństwo. Nic nie mogło nas powstrzymać, nawet tornado. Brutus, ni to pies, ni to bies, stał więc na straconej pozycji. Szczeknął jeszcze raz, pro forma, po czym posłusznie uwalnił się przy drzwiach. A my, rozsiewając po drodze części ubrania, dotarliśmy wreszcie do sypialni. Gdzie działa się, oj, działa! Uśmiechnęłam się na wspomnienie namiętych pieszczot. Nie dziwota, że zasnęłam potem jak kamień.

Ale to było wczoraj – przywołałam się do porządku. A dziś jest dziś i pora się zmyć. Nim Andrzej otworzy oczy i zrobi się niezręcznie. Tego brakowało, żeby po jednej, nawet wspaniałej, nocy zaczął uzurpować sobie do mnie jakieś prawa! Tak to jest, gdy łamie się własne zasady. Im szybciej zniknę, tym prędzej wrócimy do dawnego układu. A jak się obrazi? Trudno. W końcu niczego mu nie

obiecowałam.

Delikatnie zdjęłam z siebie jego ramię i cichutko wstałam z łóżka. Westchnął przez sen, obracając się na drugi bok. Uff, udało się. Na paluszkach wymknęłam się z sypialni, idąc tropem rozrzuconych fatalaszków. Ubrałam się pośpiesznie w przedpokoju, obserwowana przez ziewającego Brutusa. Boże, ależ ten pies był brzydki! Stary pokiereszowany buldog przypominał skrzyżowanie tłustego Buddy z maskaronem. Gapił się na mnie bez specjalnego zainteresowania, do momentu gdy sięgnęłam do klamki drzwi wyjściowych. Wówczas z jego przepastnej gardzieli wydobył się groźny bulgot. Warknął na mnie! Cofnęłam się przestraszona.

– Piesku, co ty? Co cię napadło? Chcę tylko wyjść, nic nie ukradłam. Wypuść mnie, nie świruj... – tłumaczyłam szeptem. Przekrzywił łeb, słuchał. Spróbowałam znowu zbliżyć się do drzwi, co natychmiast udaremnił kolejnym przeciągłym, bulgoczącym warknięciem. Odgłos rodem z czeluści piekielnej! Nie gryzie – powiedział Andrzej. Dobre sobie. Niby skąd miałam wiedzieć, że na pewno mnie nie capnie?! Nie znałam się na psach. Mama nie chciała się zgodzić na zwierzaka, a potem byłam zbyt wygodna na takie zobowiązanie. Pies wymaga spacerów, pieścizot, uwagi, nie toleruje konkurencji. Zupełnie jak mężczyzna – uderzyło mnie. Dlatego nie miałam ani psa, ani faceta na stałe. Zerkając na cerbera, skierowałam się do łazienki. Pozwolił. Usiadałam na sedesie i zastanawiałam się, co dalej. Ale się wpakowałam! Z ukradkowej ucieczki nici. Mój wzrok błędził po ścianach. Ładne kafelki, spodobał mi się ich wesoły seledynowy odcień. Ciekawe, czy Andrzej sam je wybierał? Porządek panujący w łazience też przypadł mi do gustu. Zero kurzu, wałających się po podłodze skarpetek, zacieków czy zniechęcających osadów na dnie wanny. Pokaż mi swoją łazienkę, a powiem ci, kim jesteś. Andrzej był czyściochem, czym zyskał punkt. Kolejny. Odruchowo dotknęłam wisiora i zamyśliłam się... Może ten brzydki jak nieszczęście pies nie był taki głupi? Jeżeli wymknę się po angielsku, w pewnym sensie okażę się złodziejką. Skoro zamierzałam wrócić do układu koleżeńskiego, powinnam przełamać serduszko i oddać Andrzejowi połówkę. Więc skąd dziwna niechęć, by to zrobić? No nic, skoro utkwiałam tu na dłużej, skorzystam. Choćby z nowiutkiej szczoteczki do zębów, która leżała na pralce, tuż obok świeżego zielonego ręcznika. Jakby tam na mnie czekały...

Strażnik wciąż tkwił na posterunku, gdy odświeżona wychylnęłam z łazienki. Wolalam go nie denerwować, zresztą teraz bardziej niż o ucieczce marzyłam o kawie. Pomaszerowałam do kuchni. Brzydactwo na krzywych łapach za mną. Choć kuchenka była niewielka, trochę mi zajęło znalezienie puszki kawy, ukrytej

w lodówce. Przy okazji dokonałam przeglądu szafek. Bogactwo przypraw i wiktuałów świadczyło, że Andrzej lubi i umie gotować. W przeciwieństwie do mnie; żywiłam się mrożonkami, pizzą i daniami zamawianymi przez telefon. Ekspres pyrkał, rozsiewając wokół luby zapach, a moja dłoń znowu bezwiednie gładziła wisiorek. Nie kłóciłibyśmy się o gotowanie, jakby co. On by pichcił, ja bym wsuwała jego kulinarne dzieła. Rany, co ci się roi, dziewczyno... Westchnęłam ciężko.

Opuściłam przytulną kuchnię i powędrowałam z kubkiem kawy do ostatniego pokoju, którego jeszcze nie zwiedziłam. Brutus, rzecz jasna, poczłapał za mną. Salonik łączył w sobie funkcje biblioteki i pokoju telewizyjnego. Książki, w dużej mierze przyrodnicze i jakieś fachowe poradniki, niezbyt mnie zainteresowały; jeżeli coś czytałam, to fantastykę i kryminały. Ale na jednej z półek odkryłam kilka klaserów. No proszę, Andrzej znalazłby wspólny temat z moim tatą, zapalonym filatelistą. Gdybym oczywiście kiedyś ich sobie przedstawiła. Kto wie... Kto wie?! Cholerka, Sławka, co się z tobą dzieje? Usiadłam w przepastnym fotelu, uniosłam wzrok i... zastygłam z kubkiem kawy w dłoni. Dopiero teraz uważniej przyjrzałam się zdjęciom, zdobiącym ściany. Jeżeli Andrzej sam je zrobił – miał talent. Ile jeszcze takich sekretów skrywał? Zaskakujący mężczyzna. Największe wrażenie wywarła na mnie seria fotografii przedstawiających jedno i to samo miejsce – zakole rzeki – ale w różnych porach dnia i roku. Więc różniły się między sobą. Inna była rzeka w promieniach wschodzącego słońca, inna zimą o zmierzchu, inna w trakcie wiosennych roztopów. Hm... By poznać drugiego człowieka, ujrzeć go w różnych odsłonach, też trzeba czasu i cierpliwości. O to prosił mnie wczoraj Andrzej: byśmy bliżej się poznali, nim go skreślę. Właściwie cóż mi szkodziło spróbować? Już sporo się o nim dowiedziałam na podstawie jego mieszkania i coraz bardziej mi się podobał, nie tylko fizycznie. Brutus usiadł obok mnie, kładąc mi ciężki łeb na kolanach. Podrapałam go za uchem. Nie zaprotestował, wręcz zamruczał zadowolony. Proszę, jaka poufałość. Może teraz pozwoliliby mi wyjść? Jednak nie ruszyłam się z miejsca. Straciłam ochotę. Piłam kawę, głaskałam psa i podziwiałam fotografie rzeki, zmiennej jak kobieta.

Nie wiem, ile tak tkwiłam w fotelu, nim w progu salonu stanął rozespany Andrzej. Z nagim torsem, potargany, w samych dzinsach, wyglądał jak milion dolarów.

– Nie uciekłaś. – Uśmiechnął się. – Miałem nadzieję, że zostaniesz na śniadaniu. Brutus dobrze się spisał. Powiedziałem mu, że przeprowadzę super dziewczynę i ma pilnować, by nam nie związała. Co byś chciała zjeść?

– Zaskocz mnie – odparłam. – Jesteś w tym dobry.

Nie mój typ

Piątkowy wieczór. Od godziny siedziałyśmy w pubie i nic. Baśka wierciła się, jakby usiadła na mrowisku.

– Nuda wrzyna mi się w zadek – mruknęła niezadowolona. – Miały być żniwa, a trafiłyśmy na przednówek. Spadamy czy czekamy na cud?

– Jak chcesz... – To ona niemal siłą wyciągnęła mnie z domu. Może i dobrze. Alternatywą było gapienie się na puste ściany. Do niedawna wisiały na nich obrazy Janusza. Zabrał je, gdy wyprowadzał się do nowej muzy. Nawet się nie tłumaczył. Baśka od lat powtarzała, że pakuję się w beznadziejne związki z palantami, których rozdmuchane ego przesłoniłoby Pałac Kultury. Cóż, już od liceum pociągali mnie artyści. Przy nich wydawałam się sobie mniej zwyczajna, mniej nudna.

Co do nudy, Baśka się ożywiła. Do pubu wkroczyło nowe towarzystwo.

– Tego bruneta znam, to makler, Krystian jakiś tam – relacjonowała podnieconym szeptem. Lubowała się w przebojowych samcach *à la* sportowy wóz i garsoniera w centrum. – Parę dni temu wpadł do naszej firmy, by przejrzeć oferty. – Obie pracowałyśmy w biurze handlu nieruchomościami. – Szukał niewielkiego, acz gustownego mieszkanka – wyjaśniła. Czemu się nie zdziwiłam? Ten typ był przewidywalny jak deszcz w lipcu.

– Co ty, nie machaj do nich! – Złapałam ją za rękę. – Jeszcze tu przyleżą.

– I o to chodzi... – Posłała w kierunku nowo przybyłych zabójczy uśmiech. Mało kto by mu się oparł. A już na pewno nie banda wyelegantowanych japiszonów, którzy podchodzili do życia jak do partii pokera. Piranie z manikiurem. Nie mój typ. Zdecydowanie.

– Czy my się znamy...? – zaczął rytuał uwodzenia Krystian jakiś tam. – Ależ oczywiście! Pani agent od nieruchomości. Nie zapomniałbym tych pięknych oczu i boskiej figury. – Pochylił się i ucałował dłoń mojej przyjaciółki.

– Doprawdy... – Basia zatrzepotała rękami, bez trudu udając słodką idiotkę.

Boże, zlituj się! – pomyślałam, przewracając oczami. Przy okazji, na lewo od tokującej parki, dostrzegłam na twarzy nieznanego szatyna znajomy wyraz

obrzydzenia. Jakbym patrzyła w lustro. Przyjrzałam się uważniej; kategoria ta sama co brunet, ale w intrygującym stanie rozchełstania i egzystencjalnego zwątpienia. Zdjął marynarkę i krawat, podwinął rękawy koszuli; miał krótko obcięte paznokcie, a na nadgarstku niebieską opaskę z napisem: „zbieram wodę”. Na moją mało subtelną lustrację odpowiedział uniesieniem brwi i ruchem głowy wskazał barek. Okej, skoro mnie przyłapał, niech mu będzie. I tak musiałam do toalety. Wracając, przysiadłam na wysokim stołku za barem. Dżin z tonikiem już na mnie czekał. No proszę, jaki bystry...

– Barman mi doradził. Widać dobrze cię zna.

– Martw się o siebie – burknęłam. Na kontuarze stały dwa puste kieliszki po wódce i opróżniony do połowy kufel piwa. – Przy tym tempie i metodzie zmasakrujesz się.

– Taki mam plan. Przeze mnie klient stracił sporo kasy. Powiniennem wylecieć na bruk, ale nie wylecę. W ostatecznym rozrachunku za dobry jestem, cholera. Panie Staszku, jeszcze jednego! – pogonił barmana.

– A ja ciągnę się za przyjaciółką, która nie lubi ruszać na łowy bez przyzwoitki. Poza tym facet mnie rzucił. Piąty z kolei.

– No to sobie wyjaśniliśmy. Temat zwierzeń mamy z głowy. Szymon – przedstawił się.

– Iza.

Nie gadaliśmy o niczym konkretnym. Ot, wymienialiśmy uwagi pod adresem świata, ludzi, swoim własnym i rzeczywistości w ogóle. Złośliwości dopuszczalne, byle celne. Wysoko punktowana autoironia i poczucie humoru. Z nikim dotąd nie czułam się tak swobodnie. Może dlatego że nikogo nie udawałam. Pozwoliłam sobie na szczerłość. Nie zależało mi na Szymonie – wszak nie był w moim typie – więc nie próbowałam go olśnić. Nie słuchałam jego teorii w nabożnym skupieniu. Makler to nie artysta, nie bałam się urazić jego uczuć. Gdy palnął coś głupiego, z miejsca mu to wytykałam. On nie pozostawał mi dłużny. Pan Staszek hojnie nam dolewał, a my upijaliśmy się w nastroju błazeńsko-drwiącym...

Ocknęłam się we własnym łóżku. Nie sama. Obok mnie na poduszce leżała czyjaś głowa o zmierzwionych brązowych włosach. Czyjeś ramię przygniatało moje piersi! Nie wrzasnęłam tylko dlatego, że pragnienie wysuszyło mi gardło na

wiór. Poza tym oboje byliśmy ubrani, więc raczej nie doszło do gorszących scen między mną a tym całym Szymonem. Skąd się tu wziął, u diabła? Wstałam, starając się go nie obudzić. Na razie. Wolałam się najpierw odświeżyć. Na stoliczku nocnym znalazłam kartkę.

„Ululaliście się na perłowo – pisała Baśka. – Nie dawaliście się rozdzielić, więc odstawiliśmy was do siebie. Było bliżej. Położeni, zasnęliście jak aniołki. O twoją cnotę jestem spokojna. Krystian zapewnił, że Szymon to dżentelmen. I prawdziwy as giełdowego parkietu. Na dokładkę z sumieniem. Pociesz go i postaraj się faceta nie wystraszyć. W życiu nie widziałam cię tak rozflirtowanej. Może pora zmienić typ, przemysł to”.

Biorąc prysznic i szorując zęby, nie myślałam o niczym innym. Wspominałam cięte dowcipne odzywki Szymona i moje błyskotliwe riposty. Jakby otworzyły się we mnie jakieś drzwi. Porzucana przez narcystycznych oryginałów, utwierdzałam się w mniemaniu, że jestem nudna i nieciekawa. Z Szymonem było inaczej. Przy nich się pilnowałam, przy nim ani trochę. Czułam się pewnie. Nawet teraz. Pierwszy szok minął i sytuacja wydawała mi się bardziej zabawna niż żenująca.

Niemal obcy facet leżał w moim łóżku, pochrapując w najlepsze, a ja przyglądałam mu się z ciekawością. Miał długie rzęsy, całusne wargi, cień zarostu na policzkach. Wyglądał bezradnie i intrygująco zarazem. Przeszył mnie chłód; ciągnęło od podłogi, jak to w starym budownictwie. Ziewnęłam. A co mi tam – wślizgnęłam się pod kołdrę i obróciłam plecami. Już zasypiałam, gdy mnie objął, dopasowując się do krzywizn mojego ciała. Prawidłowo, pomyślałam. Było mi ciepło i bezpiecznie.

– Skorzystałem z prysznica, nowej szczoteczki do zębów i jakiegoś dziwnego czegoś...

Odemknęłam jedno oko.

– To szata kąpielowa Janusza. Była akurat w praniu, gdy mnie rzucił.

– Jak słyszę, kac nie stępił twego języka. – Zaśmiał się. – Wiesz, kiedy się obudziłem w obcym łóżku, lekko spanikowałem. Potem zobaczyłem ciebie i odetchnąłem z ulgą. Wyglądasz słodko, kiedy śpisz.

– Ty też. No to sobie wyjaśniliśmy. Temat zwierzeń mamy z głowy. Teraz

wskakuj do łóżka, zimno mi tu bez ciebie. – Zabrzmiało dwuznacznie. No i co?

– Mnie tym bardziej – czym prędzej skorzystał z zaproszenia – ta szata kąpielowa jest dość przewiewana.

– Nie gadaj, śpij. – Uklepałam go jak poduszkę, po czym wtuliłam się w jego plecy bez żadnej żenady.

– Z tobą choćby do poniedziałku. Czy ty mnie właśnie uklepałaś...?

Ponoć trzeba zjeść z kimś beczkę soli, żeby go poznać. Nam wystarczył piknik w łóżku. Jakoś nie mieliśmy ochoty go opuszczać. Spaliśmy w nim, piliśmy kawę, jedliśmy, gadaliśmy na tematy różne, nie czując najmniejszego skrępowania. Może to kwestia kaca, ale nie sądzę. Z Januszem byłam ponad rok, a nie osiągnęłam nawet ułamka tego porozumienia, poczucia intymności co z Szymonem. Ocieraliśmy się o siebie nieustannie; nieuniknione na tak małej powierzchni. W końcu musiało dojść do pocałunku: był czuły, delikatny, na próbę. Wypadł więcej niż obiecująco.

– Słodka, nie tylko kiedy śpi... – Szymon oblizwał usta. – Chyba się w tobie zakochałem. I umieram ze strachu, że nie jestem w twoim typie, coś o tym wspominałaś...

– Nie bój się. Zmieniłam zdanie.

Artystka i księgowy

Ta kobieta skupiała w sobie wszystkie wady swojego gatunku. Była chaotyczna, nielogiczna i piękna. Artystka! Unikałem takich kobiet jak ognia.

Wolę ciche, łagodne istoty, strażniczki domowego ogniska i męzowskiego spokoju, pozbawione wybujałych ambicji zawodowych i nadmiernego temperamentu. Nie mówię, że kobieta powinna stać trzy kroki za mężem i potakiwać każdemu jego słowu, ale odrobina szacunku dla mężczyzny przecież nie zaszkodzi. A teraz coraz mniej jest takich kobiet. Może dlatego wciąż jestem kawalerem, mimo ukończonych trzydziestu dziewięciu lat. Nie popadam w rozterki z tego powodu, choć mama wiesz mi co roku nad łóżkiem coraz większy kalendarz z coraz bardziej rozebraną modelką.

– Chciałabym mieć w końcu wnuki, i to zanim umrę, Grzegorzu!
– powiedziała ze złością w tym tygodniu, wieszając na mojej ścianie nowy kalendarz. Był wielki i przeżyła się na nim jakaś blondyna skąpo odziana, za to hojnie wyposażona przez naturę, a wszystko na tle wielkiego, czarnego motocykla. Obrazek ten miał, jak przypuszczam, działać na moją świadomość i podświadomość, ale nie działał – jakbym patrzył na kawałek tapety w kwiatki – choć z szacunku dla mamy go nie zdjąłem. O wiele bardziej działała mi na zmysły ta artystka.

Powiedziałem: na zmysły? Zwykle przejęzyczenie. Działała mi na nerwy. Na nerwy! Choć ja prawie nigdy się nie denerwuję, jestem z tego znany; podobnie jak z faktu, że jestem doskonałym księgowym. Nie zostaje się kierownikiem działu w Urzędzie Skarbowym bez powodu.

Dostałem nowe stanowisko, podwyżkę i nowy pokój. Dostałem też prezent w postaci Anastazji Marii Kwiatkowskiej, urodzonej piętnastego grudnia 1974 roku, zamieszkałej przy ulicy Warszawskiej, czego się dowiedziałem ze składanych przez nią deklaracji. Przynajmniej tyle! Przynajmniej wiedziała, jak się nazywa, ile ma lat i gdzie mieszka, bo oprócz tego była nieporadna jak dziecko we mgle. Tak mówiono. No i była piękna, czego nikt nie musiał mi mówić, bo stwierdzałem to za każdym razem, gdy ją widziałem. A ostatnimi czasy widywałem ją dość często. Błądziła po korytarzach naszego urzędu jak po labiryncie, od pokoju do pokoju, z kartkami w dłoniach i nieładem we włosach.

W końcu trafiła do mnie.

Wcale jej nie wzywałem. Owszem, były nieścisłości w jej deklaracjach, o czym została poinformowana telefonicznie, oraz pewne zaległości płatnicze, o czym powiadomiono ją na standardowych drukach. Powinna, jak każdy obywatel, dokonać korekty i przesłać ją do nas listownie, a zaległości uiścić. A ona pojawiła się osobiście i zażądała widzenia ze mną. No może nie żądała, tylko błagała, by ktoś jej pomógł, ale na jedno wychodzi. Zajęła mój czas, a czas urzędnika jest cenny.

Weszła i natychmiast podbiegła do mojego biurka.

– Jak się cieszę, panie starszy referencie, że mogę pana poznać, mam nadzieję, że pomoże mi pan, bo ja nic nie rozumiem ani z tych waszych pism, ani z tego, co do mnie mówicie przez telefon. Jakby nie można było tego ująć jakoś tak bardziej dla ludzi, a nie dla maszyn: same numery, skrótowce, liczby, kwoty...
– Patrzyła na mnie z bezradnym, przepraszającym uśmiechem. Miała najbardziej niebieskie oczy, jakie w życiu widziałem.

Wyciągnęła rękę. Co miałem zrobić, mama dobrze mnie wychowała, uściśnięciem jej dłoń, a potem wbrew woli uniosłem do ust i pocałowałem. Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek pocałował dłoń kobiety młodszej od siebie. Ten zaszczyt rezerwowałem dla mamy, jej przyjaciółek oraz moich ciotek. Ale ta dziewczyna po prostu nie puszczała mojej ręki, czekając, aż dopełnię formalności.

Jej dłoń pachniała rumiankiem i czymś jeszcze. Skądś znałem ten zapach, ale nie mogłem sobie przypomnieć. Był ostry, ale nie przykry. Jakby zapach lasu po burzy... Otrząsnąłem się. Co za brednie! Właśnie dlatego unikałem kobiet takich jak ona. Powodują, że mężczyzna traci głowę, zaczyna myśleć o głupstwach zamiast o pracy.

Jesteś urzędnikiem, to jest petentka – napomniałem się. Miałem ochotę dać sobie naganę. Nieważne, piękna czy brzydka, młoda czy stara, nieważne, jaki ma kolor oczu i czym pachnie, masz załatwić jej sprawę szybko i sprawnie, i zabrać się do sprawozdań. Czekają na twoim biurku już od kwadransa! Jesteś kierownikiem, zapomniałeś? Co z tego, że ona pachnie lasem czy innym absurdem?

– Pan się gniewa? – zapytała nieśmiało. – Ja przepraszam, ja wiem, że jestem do niczego, jeżeli idzie o urzędowe sprawy, ale potrafię wyczuć ludzkie nastroje. A pan się gniewa...

– Nie gniewam się! Jestem w pracy. Czym mogę służyć?

– Chodzi o to coś rocznego... – wyznała niemal szeptem, a ja pomyślałem, że zaraz zwariuję.

– Nie przyszła tu pani z powodu nieścisłości w deklaracjach ani zaległości podatkowych?

– Nie. To znaczy tak, ale nie do pana. Te drobne błędy, chyba drobne, bo ja nie wpadłabym na to, co zrobiłam źle, wyjaśnił mi taki bardzo miły pan z pokoju 203. Powiedział, że tu brakuje wpisanego NIP-u, a tu coś źle naliczyłam, a gdzie indziej się nie podpisałam. Poprawiliśmy wszystko na miejscu. A co do zaległości, po prostu poszłam do pokoju 305, gdzie napisali mi na kartce, ile mam zapłacić, skierowali do kasy i zapłaciłam. Jeszcze naliczyli mi odsetki! – Ucieszyła się jak dziecko. – Nie musiałam sama tego robić, zresztą i tak bym nie wiedziała jak.

– Więc po co pani przyszła? Po co pani przyszła do mnie – uściśliłem.

– Chodzi o to roczne coś. Siostra mówiła, że muszę zdążyć do kwietnia...

– Jest dopiero grudzień – zauważyłem, że wszystkich sił starając się nie podnosić głosu. – A to coś nazywa się rozliczenie roczne. – Nie wiem, co miała w sobie ta kobieta, że tak mnie drażniła. Nawet jej ubranie, zwiewne i kolorowe, budziło moją irytację.

– No właśnie, już grudzień! Siostra wspominała coś o jakichś odliczeniach, o jakichś dodatkowych PIT-ach, które mają do mnie przyjść. Mnie PIT kojarzy się wyłącznie z Bradem Pittem. Zna go pan? Bardzo przystojny aktor, bardzo, i zdolny, bardzo, podobno...

– Powoli! – powstrzymałem ten potok zachwyty. – Ustalmy jedno. Chyba nie przyszła tu pani po to, żeby mi zachwalać jakiegoś aktora, no chyba że ma pani z nim spółkę. Cywilną oczywiście.

– Pan raczy żartować. – Uśmiechnęła się i przekrzywiła głowę jak ptak.
– Nie myślałam, że urzędnicy to tacy dowcipni ludzie. A może tylko pan?

– Nie jestem dowcipny! – Co ta kobieta sobie wyobrażała? – Nie płacą mi tu za dowcipkowanie, tylko... nieważne. – Wzruszyłem ramionami. Dawałem się

wciągać w czoło dyskusje; ja, który zawsze tępiłem pogaduszki w pracy. Koledzy nie kochali mnie za to, ale kierownik nie jest do kochania. Poprawiłem krawat, przyglądałem włosy, przybrałem jak najbardziej urzędniczy ton i srogą minę.

– Pani prowadzi działalność, tak?

– Nie jestem działaczką, jeżeli o to pan pyta.

Rany, cierpliwości!

– Gospodarczą, działalność gospodarczą. Czy ma pani firmę?

– Mam księgarnię – powiedziała z dumą. – Małą, ale uroczą. Tak mówią. I prowadzę ją sama. Przedtem siostra mi pomagała, ale zaszła w ciążę, porobiły się komplikacje, musi leżeć i odpoczywać, i teraz na mojej głowie są te wszystkie zusy-śmusy i deklarowania.

– Deklaracje – poprawiłem odruchowo.

Umilkła i znów spojrzała bezradnie jak trzyletnie dziecko.

– Wytrącił mnie pan, nie wiem, o czym mówiłam. Czy może pan powtórzyć pytanie?

Wstałem i poszedłem sobie nalać wody. Wypiłem duszkiem całą szklankę.

– Jeszcze raz. Ma pani firmę jednoosobową, tak? Siostra pani pomagała w księgowości, tak? Ale nie była zatrudniona u pani?

– Chyba „tak” na dwa pierwsze i chyba „nie” na ostatnie. Ale nie wiem na pewno. Musiałby pan zapytać moją siostrę.

– Chyba to zrobię, jeżeli nie chcę zostać oskarżony o zabójstwo w afekcie.

– Znowu pan to zrobił! – Poruszyła zabawnie brwiami. – A ten pan i pani z pokoju 203 mówili, że pan nie lubi żartów. A tu proszę, znowu pan powiedział dowcip.

– Już ja im pokażę, jaki jestem dowcipny, kiedy dostaną po premii – mruknąłem do siebie. Zaczynałem podejrzewać, że zostałem wrobiony. Kiedyś

Zofia i Marek powiedzieli, że się zemszczą za moją upierdliwość. Co za brak szacunku dla przełożonego! Ale za dobrze pracowali, mimo wszystko, i za długo ich znałem, że bym mógł i chciał ich zwolnić.

– Ma pani książkę przychodów i rozchodów – kontynuowałem – czyli...
– urwałem, kiedy dostrzegłem jej wzrok pełen zmieszania.

– Ja nie wiem, nie przypominam sobie, że bym miała taką pozycję. Sprzedaję głównie książki dla dzieci. Mamy wszystkie tomy *Harry'ego Pottera*, jakby pan chciał...

– KSIĄŻKĘ PRZYCHODÓW I ROZCHODÓW – powiedziałem to drukowanymi literami. – Taki zeszyt z rubrykami, w którym zapisuje się wszystkie wydatki i wpływy. No chyba że prowadzi pani księgowość w komputerze...

– Aaa! – W jej oku pojawił się błysk zrozumienia i ulgi. – O tym mówiła Wiktoria, że bym pamiętała o wpisywaniu do programu na bieżąco wszystkiego, co kupuję i sprzedaję. Ale zapominam. Czasami mi się jakaś faktura zgubi, potem czasami znajdzie, i te raporty z dziennego utargu, koszmar! Wiktoria się tym zajmowała, ale musieli jej zaszyć szyjkę, jest dopiero w szóstym miesiącu, ale ma już rozwarcie na...

– Nie chcę wiedzieć! To nie należy do sprawy! – Aż się spościłem. Dwie godziny z tą kobietą, a poznam wszelkie intymne szczegóły z życia jej rodziny, i to dwa pokolenia wstecz.

– Czyli ma pani firmę jednoosobową i jest pani na książce. To już wiemy. Czyli co miesiąc lub co kwartał, przy założeniu, że ma pani zysk, odprowadza pani zaliczkę na podatek dochodowy.

– Co miesiąc albo co dwa. – Roześmiała się uroczo.

Uroczo? To wcale nie było urocze tylko... przerażające! Pokręciłem głową w niedowierzaniu.

– Czy jest pani vatowcem?

– Czym, przepraszam?

To było ponad moje siły. Zadzwoiłem do Sikorskiego od podatku VAT. Po

dziesięciu minutach wiedziałem, że pani Kwiatkowska nie ma takich dochodów, żeby musiała przejść na VAT. Ale mogłaby, przecież to nieekonomiczne... Zresztą nieważne, nie moja sprawa. Swoją drogą to cud, że ona w ogóle miała jakieś dochody i podatki do zapłacenia. Moim zdaniem powinna być na wiecznej stracie. Chyba że to oszustka podatkowa... Przyjrzałem się jej. Burza loków, błękitne oczy, zwiewna sukienka i ten uśmiech. Jeżeli tak wyglądają wszystkie oszustki, to mogę je tropić do końca życia.

Cholera, co ci chodzi po głowie, człowieku? Ta kobieta to katastrofa! Pewnie ma wieczny bałagan nie tylko w papierach, ale wszędzie – w mieszkaniu, w tej swojej księgarni, w życiu. Nawet taki pedant jak ty tego nie uporządkuje! Tylko współczuć temu, kto będzie musiał kiedyś przeprowadzić kontrolę w jej księgach. Pewnie ozdabia je kwiatkami i słoneczkami, żeby nie były takie smutne.

Bo kiedy ja czekałem na telefon od Sikorskiego, ona oglądała moje biuro i kręciła głową z dezaprobatą.

– Nie ma pan tu żadnych kwiatów ani obrazów. Nie smutno tu panu? Takie ponure wnętrze... Jak można pracować w takich warunkach?

– Kompetentnie, proszę pani. Kompetentnie – odpowiedziałem, odkładając słuchawkę. – Mam dla pani dobrą wiadomość, nie jest pani vatowcem.

– Cieszę się.

– Czy prócz księgarni posiada pani jakieś inne źródło dochodów?

– Czasami rzeźbię...

Stąd ten zapach lasu na jej dłoniach. Drewno, dotyka go, rzeźbi... Skup się, Grzesiu, proszę cię!

– Płacą pani za to?

– Tak, sami tego pilnują, na jakąś umowę o działanie.

– O dzieło.

– No właśnie.

– Otrzyma pani od nich PIT-8B. Pewnie o tym mówiła siostra. Trzeba to uwzględnić w rozliczeniu rocznym, w pani przypadku PIT-36.

– No właśnie, tylko jak? I jeszcze te odliczenia! Siostra mówiła, że skoro miałam remont w domu, to mogę coś odliczyć. Ale ja nie rozumiem, czemu mogę odliczyć nową wykładzinę w kuchni, a nowego dywanu do pokoju nie. Nic, absolutnie nic z tego nie rozumiem! – Wyglądała, jakby zaraz miała się rozplakać.

Jakieś straszne podejrzenie zrodziło się w mojej głowie.

– Czego pani właściwie ode mnie oczekuje?

– Że mi pan pomoże.

Wtedy otworzyły się drzwi i weszła Zofia.

– I co, porozmawiałeś sobie z panią? Doszliśmy z Markiem do wniosku, że ty najlepiej jej pomożesz. Ale minęła już prawie godzina, inni petenci też czekają...

– W jej oczach dostrzegłem złośliwą uciechę.

A więc miałem rację – to był spisek! Nasłali ją na mnie.

– Och, przeszkadzam panu! – zmieszała się „moja artystka”. – Przyjdę jutro...

– Nie! – prawie krzyknąłem, a Zofia za plecami Anastazji śmiała mi się w żywe oczy.

– No to co zrobimy? Ja rozumiem, że pana czas jest cenny, i jeżeli trzeba, to ja, no wie pan, za tę pomoc, odwdzięczę się... – Poczuję się jak lekarz, któremu pacjent wciska wszystkie swoje oszczędności, byle tylko ten zachciał uratować mu życie. Twarz Zofii spoważniała. Mnie zrobiło się głupio.

– Proszę mi podać swój numer, zadzwonię do pani.

– Tak się zawsze mówi, gdy się kogoś splawia. – Westchnęła. – Niech pani nie dzwoni, my zadzwonimy do pani.

– Zadzwonię! Ja zawsze dotrzymuję słowa.

Zofia potaknęła głową. Nie wiem, czy żeby potwierdzić moje słowa, czy żeby pochwalić moją decyzję.

Zadzwoiłem nazajutrz.

– Dzień dobry, Grzegorz Weber. Dzwonię w sprawie pani podatków.

Wcale nie tak chciałem zacząć, ale stało się. Oczywiście wystraszyła się.

– O Boże, znowu coś nie tak zrobiłam?! Ja przecież byłam u was wczoraj i wszystko wyjaśniałam, i rozmawiałam z tym surowym panem i on...

– To ja – wyjaśniłem cierpko.

– Jaki ja?

– Ten surowy.

– Och, co za gafa! – Zaśmiała się. Zamiast bezradności wyczułem ciepło i radość w jej głosie.

– Kiedy możemy się spotkać? Tylko proszę wszystko przygotować, wszystkie te faktury, PIT-y i inne papierki, których pani tak nie znosi.

– To może wpadnie pan do mnie, do księgarni? Dzisiaj jest środa, popołudnie czytania. Poczytamy, a potem będzie mnie pan męczył.

Kto tu kogo męczył? Popołudnie czytania – ki diabeł?

Dom, w którym mieszkała, był stary, z przełomu wieków, opleciony bluszczem i dzikim winem. Na parterze znajdowała się Księgarenka. Tak wieścił szyld wyrzeźbiony w kawałku brzoźowego drewna.

Wszedłem do środka i... otoczył mnie inny świat. Niewiele pamiętam z tego niezwykłego popołudnia. Dzieci, książki, półki, kwiaty, śmiechy, szepty, ciepło... I jej głos, kiedy czytała bajkę Andersena. I jej wzrok, kiedy unosiła go nad książki, żeby sprawdzić, czy słucham, czy wciąż jestem.

Kiedy skończyła, różne myśli przychodziły mi do głowy, ale żadna nie dotyczyła podatków, deklaracji i rozliczeń.

Ale poradziłem sobie. Uporządkowałem wygniecione rachunki i poplamione faktury.

– Wie pani, te PIT-y 8B mogą spływać nawet do marca, tak bywa, niektórym się nie spieszy. Ale mogę panią odwiedzać i kontrolować sprawy na bieżąco... jeśli oczywiście pani chce... – Wstrzymałem oddech.

– Chcę – powiedziała po prostu, a ja poczułem się szczęśliwy.

Następnego dnia w moim biurze pojawiły się dwa nowe przedmioty. Kalendarz z *Harrym Potterem* i paprotka.

Zofia, która przyniosła mi kolejną porcję sprawozdań, nie mogła powstrzymać się od komentarza.

– Wiedziałaam, że potrzeba ci tylko odpowiedniej kobiety. Ty uporządkujesz jej faktury, ona wprowadzi bałagan do twojego życia. Zaslugujesz na to jak nikt inny.

Niestosowny romans

Jeszcze raz rzuciłam okiem w lustro. Niebieskie dzinsy, ciemny żakiet, botki na obcasie. Modnie, acz stonowanie. Francuski warkocz i wąskie, czarne oprawki okularów dopełniały obrazu młodej, ale pewnej siebie nauczycielki. Zdobyłam etat w renomowanym prywatnym liceum. Nie zmierzałam zmarnować szansy. Czas szaleństw minął. Spojrzałam na zdjęcie wsunięte za ramę lustra. Nie przypomielałam dziewczyny z fotografii. Tamta miała czerwoną sukienkę i burzę włosów, uśmiechała się kusząco do obiektywu. W pasie obejmował ją pólnagi mężczyzna o boskim torsie. Takie były te wakacje: szalone, boskie. Ale się skończyły. Pora wrócić do rzeczywistości.

III B. Moja klasa; bo oprócz posady anglistki odziedziczyłam po poprzednicze również wychowawstwo. Przesunęłam wzrokiem po zaciekawionych twarzach. Ile lat nas dzieliło? Góra pięć. Ale byłam ambitna i lubiłam wyzwania. Nie przewidywałam kłopotów. Przedstawiłam się.

– Teraz wy. Wyczytam nazwiska. Z góry przepraszam, jeżeli któreś przekreść. Powiedzcie kilka słów o sobie...

– Zapamięta pani? – powątpiewała blondynka z pierwszej ławki.

– Postaram się. Choć nie kryję, że gdybyście od następnej lekcji mieli przed sobą kartoniki z imieniem, byłoby mi łatwiej.

– Może jeszcze tabliczki na szyi, jak w przedszkolu? – zakpił ktoś.

– Wolna wola. Do strzegących swego imienia mogę się zwracać „ej, ty”.

Po sali przebiegł śmiech. Wzajemne poznawanie się szło gładko. Aż z ostatniej ławki podniósł się wysoki, barczysty szatyn.

– Robert. Zamierzam zdawać na AWF. W wakacje dorabiam jako ratownik. To wszystko co w tej chwili chcę powiedzieć. Chyba że będzie pani... nalegać, ale... raczej wątpię... – cedził z kpiącą miną, żując gumę.

Obalałam się rumieńcem. Wcześniej go nie rozpoznałam, bo siedział ze spuszczoną głową. Poza tym w najgorszym śnie nie spodziewałabym się spotkać go właśnie tutaj! Też nie wyglądał jak na zdjęciu. Przede wszystkim był ubrany...

– Robercik, gdzie twoje maniery? – upomniała kolegę blondynka. – Jest z nas najstarszy i zwykle świeci przykładem. Filar szkolnej drużyny koszykówki. Widać wstał dziś lewą nogą, ale się poprawi. Prawda, Robercik?

– Jasne... – mruknął. – Ze mną jak z dzieckiem. Za rękę i do baru...

Jakoś dobrnęłam do końca lekcji. Staralam się być wyluzowana, choć wewnątrz czułam lód, zwłaszcza mówiąc o wzajemnych relacjach opartych na obopólnym szacunku i przyjaźni. Wreszcie mogliśmy się rozejść. Robert wyraźnie czekał, aż wszyscy wyjdą. Nie paliło mi się do rozmowy sam na sam. Za sprawą koszmarnego dowcipu przeznaczenia, moim uczniem okazał się... boski ratownik ze zdjęcia.

– Poznałem cię od razu! Nie zmylił mnie ten mundurek, grzeczna fryzurka, okulary... Wcześniej nosiłaś szkła kontaktowe? Mniejsza z tym. Musiałaś mieć niezły ubaw, co? A ja, idiota, chwaliłem twoją świetną znajomość polskiego!

Co mu miałam powiedzieć? Wstydziłam się. Wpadłam do Sierakowa na weekend; znajomi wynajmowali domek. Zostałam tydzień za namową przyjaciółki, która uwielbiała kawały i wakacyjne romanse. Zawsze bawiło ją, że po paru piwach zaczynałam mówić po angielsku. Przez siedem pierwszych lat mojego życia mieszkałam w Londynie – może dlatego. Gdy więc w pubie podszedł do nas Robert, kazała mi udawać rodowitą Brytyjkę.

– Nie wypuść go z rąk. Zobacz, jaki okaz. Niełatwo go poderwać, a uwierz, próbowałam! – szeptała mi do ucha. – Trafiła ci się gratka. Więc nie waż się tego zepsuć!

Oszołomiona alkoholem, posłuchałam. A potem niezręcznie było mi się wycofać. Zwłaszcza że udając kogoś innego, czułam się śmielsza, chętniej flirtowałam, jak nigdy. Gdybym wiedziała, kogo uwodzę!

– Posłuchaj, Robert. Co się stało, już się nie odstanie. Naprawdę załuję...

– A ja nie! Chyba tego, że tak nagle znikłaś, Susan... – Podszedł bliżej.

– Przestań! – Oparłam dłoń o jego pierś. – Jestem twoją nauczycielką. To wszystko zmienia.

– Niby co? Oboje jesteśmy dorośli. Parę lat różnicy nic nie znaczy. Zresztą nigdy nie kręciły mnie maślaki. Niemal zwariowałem, kiedy tak nagle wyjechałaś! Bez słowa. Z powodu tej małej? Przyczepiła się. To ona mnie pocałowała, nie ja ją. Jak mogłaś pomyśleć coś innego i uciec, po tym wszystkim... Susan... – szepnął, pochylając się. Zaszło mi w gardle z wrażeń. Albo strachu. W każdej chwili ktoś mógł wejść. Bezwiednie oblizałam wargę. – Kiedy tak robisz, przestaję myśleć... – Pochylił się jeszcze bardziej. Poczułam jego cytrynowo-miętowy oddech. To mnie otrzeźwiło i odskoczyłam jak oparzona. Tylko tego brakowało, żeby ktoś nas przyłapał. Zależało mi na tej pracy; bardziej niż na bezczelnym smarkaczu, który żuł gumę w obecności nauczyciela. Bardziej niż na donżuanie z plaży, który jednego dnia niemal mi się oświadczał, a drugiego obściskował się z inną na pomoście. A ja prawie się w nim zakochałam!

– Dosyć tego! Wakacje się skończyły. Ty udawałeś studenta AWF, ja Angielkę studiującą w Polsce. Jesteśmy kwita. Musimy o tym zapomnieć, bo...

– Bo co, pani profesor? Wstawisz mi jedynkę, obniżysz ocenę ze sprawowania? – ironizował. Mrużył oczy, zaciskał zęby. Był zły, urażony. – Ty jesteś w gorszym położeniu. Chyba nie masz złudzeń, jak zareaguje dyrekcja, gdy się o nas dowiedzą? Na dowód mogę podać intymne szczegóły. Znamię na udzie, uroczy pieprzyk na piersi...

Dałam mu w twarz.

– Nie dam się szantażować! Przykro mi, jeżeli czujesz się zraniony, oszukany, ale nie masz prawa tak do mnie mówić. Faceta, za którego się niby uważasz, skreślam. Jesteś niedojrzałym gówniarzem!

Pocierał czerwieniejący ślad na policzku, patrząc na mnie z wyrzutem. Moje słowa zraniły go bardziej niż uderzenie. Nie zdziwiłaby mnie kolejna dawka obelg i gróźb. Ale nie. Wzruszył ramionami.

– Bez obaw, dam ci spokój. Nikt się nie dowie. Czym się tu chwalić? W końcu dałaś mi kosza. Teraz trochę mnie poniosło, bo zaskoczył mnie twój widok. Głupio liczyłem, że... Nieważne. Przepraszam, Susan, znaczy... pani profesor.

Skrucha wydawała się szczerą.

Odtąd pilnował każdego gestu i słowa. Był taki oficjalny i chłodny, że

wbrew logice czasami robiło mi się przykro. Brakowało między nami naturalnej swobody, z jaką traktował innych nauczycieli. Lubili go, doceniali, że ma plany na przyszłość. Zamierzał studiować rehabilitację, by spłacić dług, jaki kiedyś zaciągnął. Po ciężkim wypadku groziło mu przykucie do wózka. Stracił rok szkoły; dlatego był starszy od reszty klasy. I dlatego wyglądał, jak wyglądał. Ćwiczenia na basenie i w sali wyrzeźbiły jego ciało. Trenował dalej z przyzwyczajenia, nie po to, żeby wabić panienki. Rozmawialiśmy o tym w Sierakowie. O wielu innych sprawach też. Nie posunęłabym się tak daleko, gdyby pociągał mnie wyłącznie fizycznie. Dla własnego bezpieczeństwa wołałam o tym zapomnieć. A on...?

Gnębiło mnie poczucie winy, bo Robert pogorszył się z angielskiego. W poprzednich klasach miał czwórki; teraz groziła mu jedynka na półroczu. Czyżby uczył się źle z mojego powodu? W trakcie klasowej Gwiazdki znowu mnie unikał. Z resztą wymieniłam życzenia; on stał z boku, nawet nie patrząc w moją stronę. Podeszłam pierwsza. Wyciągnęłam dłoń z opłatkiem. Odłamał kawałek. Chciałam powiedzieć coś miłego, świątecznego... Górę wzięła nauczycielka.

– Co się z tobą dzieje, Robert? Jak zamierzasz zdać maturę, skoro nie odróżniasz strony biernej od Present Perfect?

– Wyleciało mi z głowy. – Wzruszył ramionami. – Ale na maturę się wykuję. Może się pani nie martwić.

– Jednak się martwię... – Westchnęłam. – Źle zaczęliśmy. Z niczyjej winy – zaznaczyłam. – Tak wyszło. Ale dobrze ci życzę, i naprawdę cię lubię. Cofam, co powiedziałam o niedojrzałym gówniarzu. Jeżeli potrzebujesz pomocy albo przyjaciela... Jestem, słucham. Co cię męczy?

– Takie tam... ale duży ze mnie chłopiec, poradzę sobie, nie będę płakał, pani profesor. – Wreszcie na mnie spojrzał i uśmiechnął się krzywo.

– Przestań już z tą panią profesor – odpowiedziałam uśmiechem. – Zalegasz z materiałem, ale wszystko da się nadrobić. Znam świetną korepetytorkę. Pomoże ci, ma u mnie dług... – Nagle urwałam, bo uświadomiłam sobie, że mówię o Anieli. Tej samej, która kazała mi udawać cudzoziemkę. – Cholera! – zakląłam.

– Czyli jednak nie pomoże – domyślił się. – Może ty? W końcu wiesz najlepiej, czego nie umiem.

– Ja? To niemoralne, żeby nauczyciel dawał swojemu uczniowi korepetycje.

– Jeżeli musiałbym ci za nie płacić. Poza tym, nie obraż się, ale poruszanie kwestii moralności w naszych wzajemnych stosunkach jest ciut spóźnione.
– Zabawnie wywrócił oczami.

– Raczej! – Roześmiałam się i odetchnęłam z ulgą. Skoro mogliśmy żartować z naszego niestosownego romansu, to znak, że wreszcie oboje przeszliśmy nad nim do porządku dziennego.

Ustaliłam plan korepetycji. Zamierzałam zacząć po Nowym Roku, ale Robert, nie chciał zwlekać. Umówiliśmy się więc od razu, na dzisiaj.

Nastawiłam ekspres do kawy. Na stole ustawiłam paluszki i herbatniki. Im bliżej było osiemnastej, tym bardziej się denerwowałam. Dwa razy się przebierałam. Włosy najpierw spięłam, potem rozpuściłam, by w końcu założyć opaskę. Jakbym szykowała się do randki. Idiotka! Wreszcie przyszedł. W moim mieszkanku zdawał się dużo większy niż w przestronnej klasie.

– Kawy? – zaproponowałam. – Czarna, dwie łyżeczki cukru, tak?

– Tak. Miło, że zapamiętałaś.

Po dwóch godzinach intensywnej nauki miałam dosyć. Przymknęłam oczy, przeciągnęłam się na krześle, ziewnęłam szeroko.

– Sorry! Nawet mnie nudzą zawilości czasów w angielskim, szczególnie że w mowie potocznej używa się... zalewie... trzech... – mówiłam coraz ciszej.

Patrzył na mnie. Ale jak! Niemal wypalał wzrokiem dziurę w mojej bluzce. Przerażona zerknęłam w dół. Guzik mi się rozpiął, odsłaniając stanik.

– Koronkowy, czerwony... Taki miałaś wtedy na plaży. Śnił mi się, wiesz... Ty mi się śnisz... Niemal każdej nocy! Myślałam, że dam radę, ale nie dam...
– Pochylił się nad blatem. – Nie potrafię. Weszłaś mi do głowy i nie chcesz wyjść, nie-chcesz-nie... – Zaczął uderzać czołem w stół.

– Przestań, Robert. Nie można tak! Zrobię ci nowej kawy, otrzeźwiejesz. Potem porozmawiamy, bo jednak musimy. Trzeba oczyścić atmosferę raz na zawsze!

Kiedy wróciłam z kawą, już go nie było. Poczułam się oszukana, zawiedziona. Co teraz? Jak mam spotykać się z nim w szkole, wiedząc, co czuje? Jak udawać? Dotyk ręki na ramieniu zaskoczył mnie. Obróciłam się gwałtownie, oblewając go kawą.

– Auć! – syknął. Miał mokrą twarz i włosy, podwinięte mankiety. Wyszedł tylko do łazienki.

– Przepraszam! Boże, poparzyłam cię! – Zaczęłam zdejmować z niego koszulę. – Trzeba to opatrzyć, mam specjalny aerozol do oparz... – Urwałam na widok jego nagiego torsu. Przełknęłam ślinę. Miał naprawdę piękne ciało: umięśnione, ale smukłe. Takie zapamiętałam, takie mi się śniło. Bo mnie też dręczyły po nocach sny i pragnienia, których za dnia się wypierałam. Jednak teraz nie mogłam się powstrzymać. Dotknęłam gładkiej skóry. – Boli? – szepnęłam.

– Trochę...

Pocałowałam zaczerwienione miejsce.

– Gdzie jeszcze cię boli?

– Tutaj – wskazał policzek, który kiedyś uderzyłam. Pocałowałam. – A tutaj...? – ni to spytał, ni poprosił, kładąc palec na ustach.

Wspięłam się palce, a on się pochylił. Miał miękkie, wilgotne wargi. Równie stęsknione co moje. Nasze języki się splotły. Zakręciło mi się w głowie. Objął mnie ramieniem w pasie i uniósł. Jedną ręką. Drugą przesunął wzdłuż uda i zatrzymał na pośladku. Idealnie pasował do jego dłoni... Wtuliłam się w niego, poruszyłam biodrami. Westchnął. Jęknęłam cichutko. Serce waliło mi jak oszalałe, gdy wziął mnie na ręce i zaniósł na łóżko. Położył się obok. Patrzył mi w oczy. Czekał na decyzję...

Było jak wtedy na plaży i zupełnie inaczej. Bo przestałam udawać. Pragnęłam go najbardziej na świecie i właśnie dlatego nie mogliśmy posunąć się dalej. Nie teraz. Nie, gdy byłam jego nauczycielką. Za bardzo mi na nim zależało, żeby to zepsuć niestosowną pochopnością. Pokręciłam głową.

– Cholera, wiedziałem... – wymruczał bez złości. – Ale kiedy zdam tę przeklętą maturę, już mi się nie wywiniesz.

Sylwester w Paryżu

Sylwester w Paryżu? Szalony weekend w stolicy lirycznej piosenki i frywolnej rozrywki? No, no... nie podejrzewałam rozsądnego Piotra o taką fantazję. Prawda, kiedyś wyrwało mi się, że chciałabym choć raz w życiu pojechać do Paryża. Ale nie sądziłam, że to zapamięta ani tym bardziej, że mnie tam zabierze! Normalnie zatkało mnie, gdy pod choinką znalazłam prospekt z biura podróży i dwa bilety na pociąg, oczywiście miejsca w sypialnym. Piotr niczego nie zaniedbał.

– Wyszło drożej, ale autokarem tłuklibyśmy się całą dobę. Podróż wykończyłaby nas bardziej niż nocne szaleństwo.

Ciekawe, że tak to ujął. Bo właśnie nocnego szaleństwa najbardziej mi brakowało w naszym związku – ekstazy, olśnienia, fajerwerków. Wydawało mi się, że tylko mnie to niepokoi.

Czwarty rok mijał, od kiedy zostaliśmy z Piotrem parą. Znajomi traktowali nas jak stare dobre małżeństwo, choć nie nosiliśmy obrączek. Czułam zakłopotanie, gdy pytali, kiedy wreszcie przestanę grzeszyć i pozwolę uczynić z siebie uczciwą kobietę. Piotr bezradnie rozkładał ręce. Bo to ja się wahałam. Wszystko niby było idealnie. Piotr stanowił ucieleśnienie marzeń każdej teściowej: przystojny, uprzejmy, ambitny, z dobrą pracą. Lubiłam go jako człowieka i ceniłam jako przyjaciela. Wiedziałam, że sprawdzi się też w roli męża i ojca. Prawie się nie kłóciliśmy. Choć jeden powód by się znalazł, ale unikałam go jak zarazy.

Mówiąc brutalnie, Piotr był kiepski w łóżku. Zero finezji, pomysłowości i polotu. Gdyby nie moja bujna wyobraźnia, na palcach jednej ręki mogłabym policzyć orgazmy, jakie mi zafundował. Nie byłby zachwycony na wieść, że kochając się z nim, wyobrażam sobie na przykład szaleńczy seks z kimś innym. Sama źle się z tym czułam, jakbym go zdradzała. Dlatego wstrzymywałam się z wypowiedzeniem sakramentalnego „tak”. Chciałam, żeby mój mąż był także moim kochankiem. W marzeniach i na jawie. Czy to źle? Ale nie miałam pojęcia, jak mu o tym powiedzieć. Może w Paryżu, mieście zakochanych i artystów, znajdę odpowiednie słowa.

Piotr rozsądnie radził, żeby zabrać ciepłe ciuchy i dobre buty.

– Żadnych śmiesznych szpilek, przewiewnych paltocików czy fikuśnych

kapelusików zamiast porządnej czapki. Nie chcę, żebyś mi się przeziębila. Czekamy sporo chodzenia i to po szampanie... – Poruszył znacząco brwiami. – Zaczniemy u stóp wieży Eiffla, a potem ruszymy tradycyjnym pochodem w stronę Pól Elizejskich.

Wszystko dokładnie zaplanowałam. Nie zamierzałam być gorsza. Oprócz typowo zimowego odzienia spakowałam koronkową bieliznę, moje najlepsze perfumy i dwa pudełka prezerwatyw. Jak szaleć, to szaleć!

Niewielki pensjonat, w którym zamierzaliśmy spędzić trzy najbliższe dni, lata świetności miał już dawno za sobą, ale był czysty i ładnie pachniał, a gospodyni o matczynym wyglądzie sprawiała miłe wrażenie. Dużo się uśmiechała, przyglądając się nam z ciekawością. Chyba zdaliśmy egzamin. Spodobało jej się, gdy na powitanie Piotr pocałował ją w rękę. Nie umknęło jej uwagi, że pomagał mi nieść bagaż i przytrzymał drzwi. W pewnym momencie o coś zapytała. Piotr jej odpowiedział i wtedy rozkrochmalila się do reszty; wręcz wybuchła potokiem słów, z których nic nie zrozumiałam. Potem Piotr mi wszystko dokładnie przetłumaczył. Kolejne zaskoczenie: nie sądziłam, że aż tak dobrze zna francuski.

– Spytała, jak długo jesteśmy razem. Gdy usłyszała, że cztery lata, widziałaś, jak zareagowała. Była zachwycona, że wciąż traktuję cię jak swój najdroższy skarb. Wróciliśmy jej wiarę w miłość. Nie mam pojęcia, kogo tu gościła, ale chyba jakieś gbury, skoro zwykłą grzeczność bierze za oznakę uczucia. Co nie znaczy, że cię nie kocham, mój skarbieńku. – Cmoknął mnie w czoło.

Gdybyś jeszcze w pocałunkach francuskich był równie dobry co w mowie...
– rozmarzyłam się.

– Co to za minka?

– Nie, nic... – przywołałam się do porządku. – Kiedy ruszamy na podbój Paryża?

– Jest pierwsza. Rozpakujemy się, odświeżymy, coś zjemy, potem mała drzemka dla nabrania sił, a potem... wstrząśniemy tym miastem!

Ale to Paryż wstrząsnął nami; mną na pewno. Mimo wieczorowej pory było widno jak w dzień. Wieża Eiffla prezentowała się z daleka jak wielka złota iglica, a rzeka zdawała się wrzeć od odbijających się w jej wodach sztucznych ogni

i świateł. Gwar, feeria barw, tłumy turystów z całego świata, unosząca się wokół atmosfera oczekiwania i podniecenia. Nawet powietrze pachniało ekscytująco.

Podczas gdy ja wołałam patrzeć i chłonać wrażenia, Piotr recytował informacje z przewodnika:

– „Kontrowersyjna konstrukcja inżyniera Gustawa Eiffla, zbudowana z okazji światowej wystawy w roku 1889, jest od dawna symbolem Francji. Wysokość trzysta i pół metra, waga około siedmiu tysięcy ton. Randka na jej szczycie to marzenie wszystkich zakochanych. Zwłaszcza w noc sylwestrową impreza w restauracji na wieży jest jednym z najmodniejszych sposobów powitania Nowego Roku...”. Mnie niestety na to nie stać. Mam nadzieję, że mi wybaczysz.

– Zamknij się... – szepnęłam – i patrz. Czyż nie pięknie?

Piotr chrząknął niepewnie.

– Mam otworzyć szampana, czy wolisz jeszcze poczekać?

– Otwórz i daruj sobie kubeczki, które masz w kieszeni. Pij z gwinta, wyluzuj się wreszcie. Jesteśmy w Paryżu, a nie na szkolnej wycieczce!

Wystrzał korka niemal utonął w ogólnej wrzawie. Tylko najbliżsi nam balujący powitali go aplauzem. Wypiłam pierwszy łyk. Piotr drugi. Słodkie bąbelki wypełniły mi gardło, zmoczyły brodę i uderzyły do głowy.

Po kolejnym haŹście puściłam butelkę dalej; trafiła w chętnę ręce. Obcy ludzie pili nasze zdrowie, życząc nam jak najlepiej w różnych językach. Piotr nie był zachwycony tą hojnością.

– Mam tylko jeszcze jednego szampana, a do północy daleko...

– Nie bój się, odwdzięczę się z nawiązką.

Miałam rację.

Po jedenastej rozbawiony tłum poniósł nas w stronę Pól Elizejskich, tej najpiękniejszej ulicy Paryża, gdzie tradycyjnie odliczano głoŹno ostatnie sekundy starego roku.

Nie mogłam się doczekać. Stałam pośrodku placu Charlesa de Gaulle'a – oczarowana i oszołomiona. Rozpostarłam ręce... Czułam, że widniejący przede mną Łuk Triumfalny wyznacza nie tylko jedno z centralnych miejsc w Paryżu, skąd rozchodzi się gwiazdziście dwanaście ulic, ale jest też czymś dużo ważniejszym. Stanowi środek wszechświata, z którego drogi mleczne biegną w odległy kosmos, poza granice poznania...

A potem nastąpiła eksplozja szału i radości! Błyskały flesze. Każdy chciał mieć pamiątkę z tego jedyne w swoim rodzaju spektaklu, jedynej w życiu chwili. Wybuchy petard i fajerwerków mieszały się z głuchymi wystrzałami korków. Szampan lał się obficie – do gardeł, na ubrania, na paryski bruk. Nikt nikomu nie szczędził upajających bąbelków. Nawet Piotr przestał w końcu wycierać krążące butelki rękawem kurtki; zwłaszcza gdy każdy całował się z każdym.

Wyciskał mnie jakiś sięgający mi do ramienia Japończyk. Krzepka Francuzka ucałowała mnie z dubeltówki, a jowialny Amerykanin tak się podochocił, że Piotr musiał wyrwać mnie z jego objąć. Po raz pierwszy widziałam, żeby tak otwarcie okazał zazdrość.

– Upiłeś się! Obściskujesz się, z kim popadnie. To miała być nasza noc, a ty...

– A ja co?

Złapałam pierwszą z brzegu butelkę. Upiłam solidny łyk, ale nie przelknęłam. Przyciągnęłam Piotra do siebie i wraz z pocałunkiem przelałam musujący płyn prosto w jego usta. Lekko się zachłysnął. Zaskoczyłam go.

– Naprawdę nie poznaję koleżanki... – wymruczał, przytulając mnie do siebie. Wyczułam, że wreszcie i jego ogarnęło podniecenie.

– Wracajmy, chcę ci pokazać, jak bardzo mnie nie znasz.

Przeciskaliśmy się przez rozgorączkowany tłum. Wszelkie zatory wykorzystywaliśmy, by pić szampana i całować się do utraty tchu. Niemal dwa kroki od pensjonatu Piotr oparł mnie o ścianę. Jego ręce zawędrowały pod moją kurtkę, rozpięły zamek spodni, wślizgnęły się za gumkę majtek i zapuściły się w wilgotne, spragnione rejony. Jęknęłam głośno. Ktoś przechodził obok. Rozbawione głosy dochodziły do mnie jak zza grubej szyby. Piotr poruszał palcami, w powolnej, delikatnej torturze. Jego usta odnalazły na mojej szyi bijące

szybko tętno. Liczył je skrupulatnie językiem i oddechem. Przeszedł mnie dojmujący dreszcz; tak dogłębny, że gdyby nie ściana i obejmujące mnie w pasie ramię, pewnie bym upadła.

– Ja cię kręcę... – wyjąkałam. – Kiedyś się tego nauczył?

– Teraz. Podoba ci się?

– Jak nie wiem co! Rób tak częściej, a zostanę twoją niewolnicą.

– Chciałbym... – wyznał. Jego twarz skrywał cień. – Czasami marzyła mi się zabawa w pana i nałożnicę.

– Czemuś nie powiedział? Może to przegnałoby nudę i rutynę z naszego łóżka! – palnęłam bez zastanowienia. – Przepraszam, nie chciałam cię urazić. Teraz było cudownie, jak nigdy! – zapewniłam żarliwie.

Faktycznie, przeżyłam najbardziej ekscytujący seks w moim życiu. Nawet nie myślałam, że tak może być. Z Piotrem, w miejscu publicznym!

– Chodźmy. – Zapiął mi spodnie i kurtkę. – Chyba musimy pogadać, ale nie tutaj.

Wciąż nie widziałam jego twarzy. Odwrócił ją od światła ulicznej lampy. Nie wiedzieć czemu poczułam chłód.

Gospodyni powitała nas z pobłażliwym uśmiechem. Jakby domyślała się, co robiliśmy przed chwilą. Zaświergotała do Piotra.

– Obiecała, że śniadanie do łóżka mamy gratis. Wyglądamy na zmęczonych, bardzo zakochanych i życzy nam jak najlepiej.

No pewnie! Rozpierało mnie szczęście i podniecenie. Wciąż miałam ochotę na szaleństwo. Tym większą, gdy odkryłam, że Piotr potrafi zaprowadzić mnie na takie szczyty.

Wzięłam kąpiel. Spryskałam się perfumami, ubrałam koronkową bieliznę, a na stolicku nocnym położyłam małą paczuszkę. Piotr jakby niczego nie zauważył. Siedział na łóżku, gapiąc się tępo w dywan. Czemu nie na mnie, z żądzą i zachwytem? Poczułam się nieswojo. Stałam przed nim w samych majtkach

i staniczku, a on nawet nie zdjął kurtki. W końcu podniósł głowę i spytał napiętym głosem:

– To dlatego wciąż się wahasz, tak? Nie chcesz za mnie wyjść, bo uważasz, że jestem do niczego w łóżku.

Teraz naprawdę zrobiło mi się głupio.

– To prawda – kontynuował – nie mam doświadczenia. Jesteś moją drugą dziewczyną, a pierwszą, którą naprawdę kocham. Wydawało mi się, że jest okej, skoro się nie skarżyłaś. Skąd miałem wiedzieć, czego pragniesz, jeżeli nic mi nie mówiłaś, nie kierowałaś mną. Czytałem... te, no wiesz, różne książki, tam radzili, żeby nie robić niczego wbrew partnerce, choć nie kryję, że często miałem ochotę na coś więcej niż te śmieszne ruchy... – Zabrzmiało to tak bezradnie, że musiałam go przytulić.

– Tak cholernie mi przykro! Wstydziłam się powiedzieć: dotknij mnie tu albo tam, teraz mocniej, a teraz poczekaj. Ja też nie mam wielkiej wprawy. Tylko masę wyobraźni.

– Czasami, kochając się z tobą, wyobrażałem sobie bujną blondynę w skórzanym body. Czułem się z tym tak podle, że nie wiesz...

Coś jednak wiedziałam. Jak to możliwe, że będąc tak blisko, jednocześnie tak kompletnie nie umieliśmy się porozumieć? Nie kryję, wypity szampan dodał mi śmiałości.

– A koronki nie wystarczą? – spytałam zalotnie i zaczęłam go rozbierać. – Mam na ciebie taką chęć, że aż mnie ściska w dołku. Powiem ci o moich najskrytszych fantazjach...

– Ale potem ja o swoich – ożywił się, rzucając buty w kąt. Trzęsącymi dłońmi zdejmowałam z niego koszulkę.

– Ja cię kręcę... – Naprawdę zakręciło mi się w głowie, gdy ujrzałam nagi tors i owłosioną pierś unoszącą się w przyspieszonym oddechu.

Resztę weekendu spędziliśmy, studiując nawzajem topografię naszych ciał. Okryliśmy doprawdy wiele uroczych, tajemnych zakątków.

I niech ktoś mi powie, że Paryż nie jest magicznym miejscem!

Łykam takich na śniadanie!

Kiedy na Gwiazdkę dostałam od Roberta cenną pamiątkę – broszkę po jego babci – poczułam się nieswojo. Sprawy szły w złym kierunku, ale przy choince i całej rodzinie wypadało grzecznie podziękować i pocałować darczyńcę. Tak sprytnie wykręcił głowę, że cmoknęłam go prosto w usta. Zarumieniałam się, zażenowana.

– Hm... – chrząknęła Kasia i puściła do mnie oko. – Już się nie gniewam, że broszka przypadła Justynie. Zostanie przecież w rodzinie...

– Oczywiście, kochanie. Nie mam córki, więc bez obaw, cała moja biżuteria i tak przypadnie ci w spadku. – Uśmiechnęłam się do synowej, udając, że nie wiem, do czego pije.

A piła do tego, że Robert – jej ojciec – wyraźnie mnie adorował. Ależ się wpakowałam! Na swoją obronę mam fakt, iż kompletnie nie spodziewałam się tego typu komplikacji.

Roberta poznałam na przyjęciu zaręczynowym naszych dzieci. Trochę się obawiałam jego reakcji; rozwiódł się ledwie pół roku temu. Jego ambitna żona od lat siedziała w Stanach, robiąc karierę i z rzadka nawiedzając rodzinę. On, nauczyciel akademicki, został w kraju. Cokolwiek dziwny układ nie sprawdził się. Gdy małżonka poznała za morzem kogoś bardziej interesującego – porzuciła wiernego Roberta jak stare, niepotrzebne kapcie. To mogło zdołować człowieka, zrazić do związków na amen. Już wolałam swoje wdowieństwo. Zresztą jeszcze zanim beztrouski Lucek zginął w wypadku, nauczyłam się radzić sobie sama. Nie wszyscy jednak musieli być równie odporni i przebojowi. Stąd mój niepokój, czy Robert nie zepsuje przyjęcia biadoleniem lub, co gorsza, cynicznymi uwagami na temat ślubów i małżeństwa w ogóle.

Nic z tych rzeczy. Szpakowaty mężczyzna o kanciastej urodzie intelektualisty okazał się całkiem miły. Przy powitaniu wymieniliśmy silny uścisk dłoni. To ważniejsze niż słowa. Z góry zrażam się do ludzi, którzy podają rękę wiotką niczym zdechła ryba. Uśmiech Roberta, nieco smutny i zagubiony, też nie odstręczał, raczej wzruszał. Mało się odzywał, za to ja trajkotałam i żartowałam za dwoje – więc się wyrównało. Pod koniec przyjęcia przyłapałam go, jak mi się przygląda – jakby zaintrygowany dotąd nieznanym zjawiskiem pod tytułem „wesola wdówka”. A co tam! Skoro mieliśmy zostać rodziną, mogłam robić za

nadwornego klauna. Grunt, że się ożywił i z jego oczu zniknęła ta łamiąca serce nostalgia. Zgodziłam się, by odwiózł mnie do domu i na widok jego auta znowu wybuchnęłam śmiechem. Solidne, dobre Volvo! Pasowało do niego. Niemodne i kanciaste, ale ponoć najbezpieczniejsze auto na świecie.

– Jak już mieć wypadek, to tylko w Volvo! Tak słyszałam.

– Natomiast ja, że jak ruszać w długą drogę, to w dobrym towarzystwie – odparł kurtuazyjnie.

Przygotowania do ślubu i wesela istotnie można porównać do podróży, a ja w swej nadgorliwości prowokowałam kolizje. Gdyby nie Robert, który dyskretnie hamował mnie w zapędach dyktatorskich, doszłoby w końcu do większej scysji. Jak choćby przy wyborze zaproszeń. Marek i Kasia woleli proste, ja upierałam się przy bardziej ozdobnych – co z tego, że droższych? Jednego miałam syna, chciałam dla niego wszystkiego, co najlepsze. Więc po co te dąsy? Wtedy Robert wziął mnie pod ramię, odciągał na bok, pod pozorem obejrzenia innych wzorów, i szepnął do ucha:

– To ich wesele, ich wybory. Zresztą czy to naprawdę takie ważne, na jakim papierze i jaką czcionką powiadomią gości o dacie swojego święta?

Miał rację, to w ogóle nie było istotne. Spojrzałam na tę jego mądrą, kanciastą twarz, dostrzegłam ciepły błysk w oczach. Pamiętam jak dziś, co wtedy pomyślałam: że ostatnio nie był już taki smutny, zamyślony, daleki. Pochłonęły go przygotowania do ślubu, oczywiście, ale może i moja osoba okazała się na tyle absorbująca, by odciągnąć go od roztrząsania dawnych rozczarowań. I świetnie, uznałam. Mało czujnie, niestety.

Przygotowania dobiegły końca, nadszedł wielki dzień... Byłam dumna jak paw, patrząc na oblubieńców, stojących przed ołtarzem. Nawet nieobecność matki Kasi, która nie raczyła pojawić się na uroczystości – tylko drogie prezenty przysłała – nie psuła mi humoru. Za to Roberta ponownie ogarnęły smętne myśli.

– Uda im się, prawda? – spytał.

– Oczywiście – zapewniłam, biorąc go za rękę. – Komu, jak nie im? Są piękni, młodzi, kochają się. Mimo złych doświadczeń, moich i twoich, miłość naprawdę istnieje. Musimy w to wierzyć.

Boże! Słyszac ten uspokajajacy, zyczeniowy banał, spojrzal na mnie z wdziecznošcia, ale tak bliską uwielbienia, że normalnie dech mi zaparło. Potem splótl moje palce ze swoimi i... tak przesiedzial do końca uroczystości. Jednak nawet wtedy nie pojmovalam jeszcze powagi sytuacji. Dopiero na weselu.

Okazalo się, że Robert jest wyšmienitym tancerzem. Czyniac zadošć obowiązkom ojca panny mlodej, obtańcowal každy ciotkę i kuzynkę, ale to do mnie wracal. Wciąz i wciąz. Pasowalismy do siebie, moje wypuklošci i jego wklęšlošci. Wirowalismy po parkiecie z taką wprawą, jakbyšmy robili to od lat. Wbrew swej zadziornej, niezaleznej naturze czulam się absolutnie na swoim miejscu w jego ramionach. Niepokojaco dobrze i bezpiecznie, bo moglabym się do tego przyzwyczaić.

Umknęlam na taras, by trochę ochlonąć. Elegancka kreacja stanowila kiepską osłonę przed chłodem wieczoru, który naznaczyl dreszczem moje nagie ramiona. Ktoš okryl je marynarką. Obróciłam się. Robert... Przyszedl za mną, niczym przyciągnięty magnesem. Widzialam po jego minie, że zaraz mnie pocałuje. Zaszło mi w ustach, zabrakło słów. Mnie –gadule! Więc tylko patrzyłam na niego z niemą prošbą. „Daj spokój, odejdz, nic z tego nie będzie, lepiej w ogóle nie zaczynac”. Zmarszczył brwi w zastanowieniu i rezygnujac z pocałunku, powiedzial:

– Rozumiem, Justynko, jeszcze za wcześnie...

Chryste, czyli nic nie zrozumial!

I jak teraz mialam rzecz odkrecić? Naprawde lubilam Roberta. Moze nawet więcej niż lubilam, skoro serce malo z piersi mi nie wyskoczylo, ale to nie byl facet dla mnie. Za miękki. Po przejšciach, zraniony, spragniony miłosci, wsparcia... A ja? Niecierpliwa, kapryšna, trudna. Zjem go z butami. Zmasakruję bardziej niż byla żona, której dal się wykorzystac, przeżuc i wypluc. Nie moglo nam się udac. Po prostu zero szans. Zaczniemy romansowac, nie wyjdzie, a klopot zostanie. Tylko jak mu to wytłumaczyć, nie raniac? Malo wycierpial?!

Po Gwiazdce bylo coraz gorzej. Skoro przyjęlam broszkę, uznal to za przyzwolenie na amory. Dzwonil co rano, by uslyszec mój głos i miło zacząc dzien. Dzwonil co wieczór, by miło dzien zakonczyc. Czarujace, słodkie... Tym gorzej dla niego! Słodkich facetów lylalam zamiast śniadania. Jednak nie zniechecal się. Przysylal kwiaty, czekoladki (na Walentynki wielkie pudło w kształcie serca), nieustannie też zapraszal mnie do kina, teatru, restauracji, na

dansingi. Gotów zbankrutować przeze mnie! Wykreślałam się – pracą, spotkaniami z przyjaciółmi, migreną – ale ile można? Żeby nie wyjść na niegrzeczną, czasami musiałam ustąpić. Gdyby sytuacja była inna... W wieku czterdziestu czterech lat miałam wprawę w zbywaniu niechcianych adoratorów. Niestety nie mogłam być nazbyt okrutna, bo jego rodzina była teraz moją rodziną! Wszelkie niesnaski zostałyby między nami. Na wsparcie młodych też nie miałam co liczyć, bo ochoczo kibicowali kiełkującemu uczuciu i uważali, że opieram się zwyczajnie ze strachu. Niby przed miłością. Phi! Zdaniem mojego syna, ostatnio eksperta w sprawach sercowych, straciłam wiarę w facetów, pakując się w różne przypadkowe i nieprzemyślane związki. Bezczelny szczeniak. Gdyby nie taka nieprzemyślana wpadka, na świecie by go nie było!

Czyli znikąd pomocy. Nawet przyjaciółka, do której zwróciłam się o radę – tylko popukała się w czoło. Wolny, niebrzydki, romantyczny, na randkach nudą nie zionie, dzieci są za... a jednak wybrzydza? Znaczy – kretynka ze mnie. Ale nie ma tego złego; skoro go nie chcę, ona chętnie skorzysta. Wszak najskuteczniejszy sposób na niechcianą miłość, lepszy niż zgrywanie jędzy czy idiotki, to zakochać absztyfikanta w kimś innym. Na przykład w niej.

Wcale, ale to wcale mi się ten pomysł nie spodobał. Wiem, wiem! – zachowywałam się jak pies ogrodnika, co sam nie weźmie i drugiemu nie da. Patowa sytuacja.

Od tej walki wewnętrznej tylko się rozchorowałam. Dopadł mnie jakiś wirus i rozłożył na łopatki. Tkwiłam w domu zakatarzona, opuchnięta, obolała na duchu i ciele. No i kto się pojawił ze słoikiem rosółu? Robert.

– Idź sobie! – warknęłam przez uchylone drzwi. Nie zamierzałam go wpuścić. Dotąd oglądał mnie na randkach albo uroczystościach rodzinnych: wystrojoną, pachnącą, umalowaną. Teraz wyglądałam jak czarownica, z tłustymi włosami i w rozwleczonym szlafroku. A w chacie miałam bałagan. – Jeszcze się zrazisz, znaczy, cholera, chciałam powiedzieć: zarazisz! Po co oboje mamy się męczyć... – Znowu zabrzmiało dwuznacznie, więc pokazałam mu obłożony język. Bardzo dorośle. Chciałam zamknąć drzwi, nim do reszty się zbłąźnię, ale wsunął stopę za próg. – No to, proszę, wejdz, w ogóle rób, co chcesz!

Obrażona poczłapałam do pokoju i zaległam na łożu boleści, czyli na kanapie przed telewizorem. A ten, pogwizdując, wstawił rosółek do mikrofali. Czekając, aż się podgrzeje, pozbierał rozrzucone chustki, sprzątnął kubki ze stołu, okrył mnie kołdrą po uszy i przewietrzył pokój. Cały czas się uśmiechał.

– Co się tak szczerzysz jak głupi do sera? – nie zdzierżyłam. – Nie widzisz, jak wyglądam, jaka jestem paskudna? Charakterek też mam taki. Zapewniam! Nie wytrzymałbyś na dłuższą metę. Nie pojmuję, czemuś się tak uparł. Nie chwytasz subtelnych sygnałów, powiem wprost: odczep się wreszcie! To niestosowne, by nie rzecz chore, narzucać się teściowej własnej córki! Nie wyjdzie nam i tylko problemów dzieciakom narobimy! – wreszcie to z siebie wyrzuciłam. Całą prawdę. – No i co teraz powiesz, mądralo?

– Na pewno nie skłamię, że wyglądasz ślicznie – odparł i usiadł obok mnie na kanapie. Niezrażony ani moim tonem, ani bakcyłami. – Ale to nie ma znaczenia, bo nie z powodu urody cię kocham.

– Ach tak – bąknęłam słabo. Zawstydził mnie. Jaki facet przyznaje się otwarcie do miłości? Bez warunków, pewności na wzajemność? Może taki, który nie ma nic do ukrycia, jest pewny swego i daleko mu do mięczaka, za jakiego go uważałam. Odważyłam się pociągnąć temat. – A za co?

– Za to, że jesteś. Taka, jaka jesteś. W każdym zdrowym czy chorym calu. Wrażliwa, zabawna, pyskata, troskliwa, uparta. Trochę tchórzliwa. Ale nawet twoje obawy wynikają z troski o innych. Więc jak cię nie kochać? Toteż załóżmy hipotetycznie, że nie jestem teściem Marka i jak by się nam nie udało, moglibyśmy po prostu się rozstać, bez żadnych... – zmarszczył nos – smrodów, ciągnących się po rodzinie. Wtedy zaryzykowałabyś?

Nie miałam siły dłużej się opierać, albo choroba na mózg mi się rzuciła, bo tylko westchnęłam ciężko:

– Yhy...

Rozpromienił się niczym gwiazda betlejemka.

– Czyli pozostaje nam rozwieść dzieci, gdyż teraz na pewno się nie odczepię.

– To... szaaantaż! – psiknęłam. Robert podał mi świeżą chusteczkę.

– W miłości i na wojnie wszystkie chwytły dozwolone – potwierdził, gdy wytarłam nos. A jego mina znowu wskazywała, że zamierza mnie pocałować. Wariat, samobójca!

Uratowała mnie mikrofalówka, która zapiszczała, informując o podgrzaniu rosółu. Cóż, na razie on nam musiał wystarczyć. Na zaspokojenie innego głodu przyjdzie czas, gdy wyzdrowieję.

Oficyna wydawnicza RW2010 proponuje:

Natasza Orsa: W świecie Jonasza

Intymna podróż w poszukiwaniu miłości.

Monika to młoda, samodzielna kobieta, która po rozwodzie obiecała sobie, że nigdy więcej nie zaangażuje się emocjonalnie. I z takim nastawieniem wkracza w pełen erotyki świat Jonasza. Mężczyzny tajemniczego, niebezpiecznego, który działa na nią jak żaden inny dotąd. Niczym prywatny narkotyk. Nie pojmuje, co się z nią dzieje. Nigdy tak nie reagowała, nigdy nie była tak bezwstydna. Śmiałe seksualne doświadczenia są dla Moniki fascynującą, choć nieco zatrważającą nowością. Zwłaszcza że Jonasz, wprowadzając kochankę w świat zmysłów i pożądania przekraczającego granice rozsądku, ma swój cel. Chce niewiele i bardzo dużo zarazem. „Nie broń się przede mną – żąda – i... kochaj mnie”. Ale zraniona, nieufna Monika boi się miłości. Czy spotka ją za to kara?

Joanna Łukowska: Nieznajomi z parku

Miłość od nienawiści dzieli krok.

On jest bogaty, doświadczony, nieufny. Ona – wrażliwa, introwertyczna, pełna kompleksów. Oboje niosą bagaż trudnego dzieciństwa. Po raz pierwszy spotkali się w parku. Wtedy też po raz pierwszy od niego uciekła...

Zafascynował ją i przeraził jednocześnie. Zawsze bała się takich mężczyzn: silnych, pewnych siebie do granic arogancji, mrocznych i skomplikowanych. Był zły i przestraszył ją, ale nie mogła o nim zapomnieć. Irracjonalny lęk, jaki w niej wzbudził, przekonał ją, jak pozorny był jej spokój i ćwiczone całymi latami opanowanie. Bezpieczeństwo, którego szukała w swoim cichym, uporządkowanym świecie, okazało się złudne i kruche...

Nieznajomi z parku to w równym stopniu opowieść o miłości, jak i o nienawiści. To historia mężczyzny, który nie potrafi ufać, i kobiety, która nie umie walczyć o to, w co wierzy.

Monika Gabor: Uwaga na marzenia

Trzy różne kobiety – trzy różne historie.

Podglądamy miłosne i życiowe perypetie trzech przyjaciółek. Każda z nich jest inna, każdej przytrafia się coś innego, każda inaczej reaguje.

Iza, aktywna zawodowo, ambitna i kompetentna, również prywatnie życie bierze we własne ręce, dokonując wyborów na przekór wszystkim i wszystkiemu. Dąży do celu, którym jest szczęście, nie słuchając rad i nie bacząc na konsekwencje.

Marta to domatorka spełniająca się w roli żony, matki, gospodyni domowej. Rozwód jest dla niej szokiem, zarazem początkiem zmian. Jak wpłynie na nią rozpad rodziny? Czy będzie umiała jeszcze komukolwiek zaufać?

Julia wie o życiu, o którym marzy każda z nas. Kochający mąż, mądra córka, satysfakcjonująca praca... Gdzie tkwi haczyk? Czy traumatyczne dzieciństwo wpłynęło na wybór zawodu? Czy można być jednocześnie lojalną przyjaciółką, kompetentnym psychologiem i uczciwym człowiekiem? A gdy trzeba wybrać...

Aneta Rzepka: Magia kasztana

Nie wierzysz w talizmany? Nie musisz. Wystarczy, że pozwolisz działać magii...

Po śmierci rodziców życie Kamili całkowicie się zmienia. Musi opuścić dom, przyjaciół, ukochaną wieś i przeprowadzić się do stolicy, by zamieszkać z ciotką, której nie zna. Ma nadzieję, że kiedyś wróci do domu, ale świat pędzi do przodu, pozbawiając ją złudzeń. W pokonywaniu codziennych trudności pomaga jej... kasztan i uczucie do chłopaka o kasztanowych oczach.

Małgosia jest realistką twardo stającą po ziemi. Kocha, mocno i szczerze, niestety bez wzajemności. A układ koleżeński to dla niej za mało. Próbując uciec przed uczuciem, pakuje się w spore kłopoty. Ofiarowany przez przyjaciółkę kasztan budzi uśmiech niedowierzania, lecz wbrew rozsądkowi przyjmuje talizman, bo kto wie... *Magia kasztana* to powieść o codzienności, w którą wplątała się czarodziejska nić nadziei...

Joanna Łukowska: Państwo Tamickie

Kraina niezwykłej codzienności.

Powieść obyczajowa w dwudziestu epizodach, które łączy para bohaterów – młode małżeństwo, wchodzące w dorosłe życie na przełomie lat 80-tych i 90-tych ubiegłego wieku. Zaczyna się od „ślubu z rozsądku”, czyli... dla mieszkania. Takie były czasy, że osobie samotnej przysługiwała zaledwie kawalerka, a małżeństwu „aż” M3. Sporo humoru w codzienności, czasem zaskakujący finał, trochę wzruszeń i smutku, trochę grozy, odrobina magii... Jak to w życiu.

Bohaterami są ludzie, duzi i mali, zwierzęta, duchy oraz święci.

Książka, która bawi, wzrusza i pokrzepia. To patchworkowa opowieść, w której kolejne rozdziały są jak kolorowe kawałki kołdry – każdy inny, ale razem tworzą zgrabną i ciepłą całość.

E. M. Thorhall: Zamek Laghortów

Ostrzegamy: ta opowieść wciąga i pochłania.

Nie będziecie się mogli doczekać ostatniej strony, a potem będziecie żałować, że to już koniec. Akcja, turnieje, dworskie obyczaje, intrygi, zjawy, dziwne istoty, rodzące się uczucie, którego obie strony się wypierają, humor, barwny język, plastyczne opisy – to wszystko znajdziecie w I tomie powieści z cyklu ZBROJNI pod tytułem: *Zamek Laghortów*.

Młodziutka Kyla, uciekając przed niechcianym ślubem, trafia pod opiekę Sir Eryka i jego żony Lady Lyanny. Poznaje zamek, jego mieszkańców, nawiązuje przyjaźnie, uczy się fechtunku, odkrywa prawdę o swoim pochodzeniu. Wiele się wokół niej dzieje. Wszyscy zdają się lubić i akceptować jasnowłosą podopieczną Laghortów, prócz jednej osoby: ponurego, opryskliwego Morhta. Ten pochodzący z Varthen surowy i oschły dowódca najemników z jakiegoś powodu od samego początku nie znosi dziewczyny i nie zamierza jej pobłagać. Panna drażni go, irytuje i wzbudza niezrozumiały dla niego samego gniew. Kyla znosi jego zachowanie do czasu...

Mroczne dziedzictwo, Marian Kowalski

Opowieść o miłości, przeznaczeniu i czarownicach.

Spotykają się na zjeździe poświęconym zjawiskom nadprzyrodzonym. Daniel jest sceptycznym niemieckim dziennikarzem, żyjącym teraźniejszością,

nieczującym związku z rodziną i jej historią. Irena to polska rzeźbiarka, za którą ciągnie się tren odległej przeszłości. Mroczna scheda po przodkach nie daje o sobie zapomnieć. Ma wpływ na jej obecne życie oraz na losy związanych z nią mężczyzn. Na plenerze rzeźbi posązek swej dalekiej krewnej spalonej na stosie; duch kasztelanki – opiekuńczy? żądny zemsty? – wciąż jej towarzyszy. W powieści przewija się wątek Inkwizycji i procesów budowanych na pomówieniach; pojawiają się postaci „czarownic”, ich bezlitosnych sędziów, oraz potomków jednych i drugich.

W historii pełnej tajemnic nie może zabraknąć motywu ukrytego skarbu, sporów rodzinnych sprzed wieków prowadzących do okrutnej śmierci i nagłych a niejasnych zgonów w teraźniejszości. Wiele tu legend, aluzji, dywagacji oraz... uczucia. *Mroczne dziedzictwo* to niesamowita opowieść o miłości, przeznaczeniu, szukaniu miejsca w życiu, to historia intrygująca i fascynująca.

Katarzyna Woźniak: Hydra pamiątek

Historia jednej podróży, która staje się opowieścią o miłości i spełnianiu marzeń.

Czy pracownica banku może przeobrazić się w artystkę, czarującą słuchaczy głosem i grą na gitarze? Czy pełna kompleksów kobieta może rozkochać w sobie mężczyznę odważnie podążającego za swymi pragnieniami? Czy Polka i Węgier odnajdą w Amsterdamie wspólne szczęście i drogę do swoich serc? Czy można zapomnieć o bagażu przeszłości, który dźwigamy jak niechciany garb? Czy potrafimy wystawić za drzwi walizki wyuczonych zasad i narzuconych priorytetów, które nie pozwalają nam iść od przodu?

Anna, będąc świadkiem śmiertelnego wypadku, uświadamia sobie, że jej wypełnione karierą życie tak naprawdę pozbawione jest sensu, emocji i głębszej treści. Ona już jest jak martwa. Nikogo nie kocha, niczego nie pragnie, nie ma pewności, czy to, co osiągnęła, było jej celem, czy spełniała tylko oczekiwania innych. Targana wątpliwościami, dręczona poczuciem niespełnienia, podejmuje próbę porzucenia wyuczonych przez społeczeństwo nawyków i wartości. Opuszcza rodzinny kraj i wkracza do zupełnie nowego świata.

Anna Rybkowska: Nell

Natalia to przykładna żona i matka, która spełnia się, dbając o dom i rodzinę. Nie ma pojęcia, że czegoś jej brakuje, że za czymś tęskni. Nie musi lękać się

swoich marzeń, bo... ich nie ma. Przypadkiem nawiązuje internetową znajomość z Wiliamem Barlowem, angielskim muzykiem rockowym, idolem swojej własnej córki. Gdy dostaje od niego zaproszenie na koncert w Londynie – postanawia pojechać.

Zostawia za sobą swojski Poznań, kochane, choć czasem męczące dzieci, małżeńską rutynę, znajomy, bezpieczny świat i podąża ku nieznanemu...

On nazywa ją Nell. I budzi w niej coś, czego się nie spodziewała, czego nie chciała, czego się lęka i o czym nie może przestać myśleć. Czy będzie umiała się temu oprzeć? Dla dobra rodziny. Dla spokoju własnej duszy...

A co z rozbudzonym ciałem?

Bajkowa historia, która staje się dramatem. Obyczaj, który przeistacza się w zmysłowy thriller o opętaniu. Opowieść o miłości, odpowiedzialności, pożądaniu, które niszczy, ale właśnie dzięki niemu życie nabiera barw, smaku, zapachu.

Joanna Łukowska: Wybory

Gdy dorastasz, rodzice wciąż traktują cię jak dziecko, zarazem każą podejmować życiowe decyzje.

Zbiór siedmiu pełnych ciepła i humoru nowelek, opowiadających o dorastaniu, przyjaźni, miłości i podejmowaniu decyzji: tych błahych i tych na całe życie. Coś dla młodszych i starszych, dla dziewcząt i chłopaków, dla wszystkich, którzy nie wstydzą się swoich uczuć.

Tytułowe „Wybory” to historia rozgrywki między prymuską Zosią a nonszalanckim Antkiem Romanem, dwojga imion, z których jedno jest nazwiskiem. Oboje, nieco wbrew sobie, zostają wmanewrowani w wybory na przewodniczącego samorządu szkolnego. Kto wygra? A może inne wybory okażą się dużo ważniejsze...

Kolejne opowiadania o znamienych tytułach zapewnią czytelnikom wiele emocji i zaskakujących point: „Pyzo, wróć”, „Dziennik, pryszczę i cudze sekrety”, „Działka, moja z mora”, „Wakacje w siodle”, „Korepetycje z przyjaźni”, „Smok i dziewczica”.

